

**Podróż
na północ**

**Mot
nord**

**Podróż na północ.
Antologia nowej literatury
z Polski i Norwegii**

**Mot nord.
Antologi for ny litteratur
fra Polen og Norge**

**redakcja / redaktører
Małgorzata Cwikła
Małgorzata Różanska
Renata Serebnicka**

**Stowarzyszenie
Willi Decjusza /
Villa Decius Association
Kraków 2011**



Polak Norweg dwa bratanki?

Zapewne przeciętny polski czytelnik wie na temat współczesnej literatury norweskiej tyle samo, co przeciętny norweski czytelnik o polskiej. Czyli niewiele. Dzięki bestsellerowej powieści *soft* filozoficznej „Świat Zofii” znany jest w Polsce Jostein Gaardner. Marie Amelie, autorka „Nielegalnej Norweżki”, trafiła na początku roku 2011 na strony polskich gazet, gdy po deportacji z Norwegii na kilka miesięcy przeniosła się do Krakowa. Zdeklarowani fani kryminałów na pewno kojarzą nazwiska popularnych w całej Europie pisarek, takich jak Karen Fossum, która nazywana jest „królową skandynawskiego kryminału”, Anne Holt czy Unni Lindell. Miłośnicy poezji będą w stanie wskazać dwóch czy trzech poetów norweskich, których teksty rozrzucone są po periodykach literackich i stronach w Internecie. I to właściwie tyle. Co tu kryć, współczesna literatura norweska jest w Polsce z rzadka wydawana i tłumaczona, mało kto też dba o jej promocję, choć w najbliższych latach pewnie się to zmieni. Szansę na to dał — między innymi — uruchomiony niedawno program Dagny.

Dwuletni (2010—2011) program stypendiów i wymiany kulturalnej Dagny skierowany został do pisarzy przede wszystkim z Norwegii i Polski, ale też Ukrainy oraz krajów niemieckojęzycznych. Głównym organizatorem projektu było krakowskie Stowarzyszenie Willa Decjusza, któremu partnerowały instytucje kulturalne i finansowe z zagranicy — w tym oczywiście norweskie. Swoją nazwę program wzięł od imienia Dagny

6 Juel-Przybyszewskiej, norweskiej literatki, muzy wielu artystów końca XIX wieku, żony skandalizującego pisarza młodopolskiego Stanisława Przybyszewskiego, której postać świetnie symbolizuje nie tylko norwesko-polskie związki kulturowe, ale ogólnie — wewnątrz europejskie. Głównym elementem programu były stypendia pobytowe dla pisarzy (w malowniczej, zabytkowej siedzibie Willi Decjusza w krakowskiej dzielnicy Wola Justowska), przyznawane przez międzynarodową komisję ekspertów. Otrzymali je Norwegowie: Tor Eystein Øverås, Lisa C.B. Lie, Knut Olav Homlong, Eivind Hofsand Evjemo, Agnes Ravatn, Nils Henrik Smith, Tina Åmodt, Henning Bergsvåg oraz Polacy: Hubert Klimko-Dobrzaniecki, Juliusz Strachota, Katarzyna Sowula, Bohdan Sławiński, Marcin Bałczewski, Michał Zygmunt, Ewa A. Madeyska, Dawid Kornaga. W ramach programu zorganizowano, pod hasłem „Dagny. Open mike”, w Krakowie, Lipsku, Lwowie i Stavanger cykl spotkań autorskich stypendystów, które służyć miały prezentacji szerszej publiczności literatury współczesnej pochodzącej z odmiennych krajów i tradycji kulturowych oraz problemów związanych z przekładem literackim. Finałem programu będzie zaś organizowany w Krakowie międzynarodowy festiwal „Dagny. Romans kultur”, w którym wezmą udział zarówno stypendiści, jak również zaproszeni goście.

Antologia „Podróż na północ” nie jest tylko i wyłącznie publikacją okolicznościową, rodzajem materialnego śladu po dwuletnim programie Dagny. Pomyślana została jako próba zderzenia dwóch odmiennych literatur — norweskiej i polskiej. Zderzenia — dodam — swobodnego niczym kolizje cząsteczek w ruchach Browna. Pomysłodawcy antologii nie narzucali autorom ani tematu przewodniego zbioru, ani formy literackiej ekspresji, stawiając na różnorodność i swobodę wyrażania się poprzez słowo. Polscy pisarze postawili na prozę, opowiadania i fragmenty powieści, zaś autorzy norwescy zaproponowali oprócz prozy również wiersze i fragment sztuki teatralnej.

Program Dagny skierowany był przede wszystkim do pisarzy młodego pokolenia — i faktycznie, wśród stypendystów dominują pisarze urodzeni w latach 80. ubiegłego wieku, choć są wśród nich także ci z roczników 70. i późnych 60. Zderzenie twórców z różnych pokoleń, ludzi o odmiennych doświadczeniach zarówno twórczych, jak i życiowych, zaowocowało antologią zaskakującą. Z jednej strony w każdym z opublikowanych tekstów widać wyraźną autorską sygnaturę, z drugiej — zestawione w tekstową całość naocznie potwierdzają, że współczesna literatura, nie tylko europejska, ale również światowa, błąka się w granicach opłotków jednej globalnej wioski.

Znamienne jest, że praktycznie żaden z 16 autorów zbioru nie pokusił się o napisanie tekstu awangardowego, o podjęcie gry w literaturę. Dlaczego? Odkąd zgasło zainteresowanie postmodernistycznym modelem prozy, większość pisarzy europejskich postawiło na sprawdzone konwencje, głównie realistyczne, i eksplorowanie tematyki społeczno-politycznej. Tę tendencję widać również w antologii „Podróż na północ”. Właściwie jedynie Marcin Bałczewski, w opowiadaniu „Miłość w czasach wojny”, spróbował poigrać literackimi konwencjami. Choć — w gruncie rzeczy — autora zajmował głównie problem miejsca i roli pisarza w „czasach pop kultury”, zdominowanej przez dyktat sukcesu i pieniądza. Podobnie jak Knuta Homlonga w tekście „Samochód w fiordzie”.

Autorów tekstów z antologii interesują przede wszystkim powikłane relacje międzyludzkie. Piszą o niedobrych związkach małżeńskich, w których wspólne życie zmienia się w codzienną gehennę, jak w z lekką kryminalnym opowiadaniu Ewy A. Madeyskiej „Alergia” czy mocno ironicznej tragikomedii w trzech aktach Agnes Ravatn „Spokój domowego ogniska”. O toksycznych relacjach rodzinnych: opowiadanie „Zupełny nie(z)byt Willema” Juliusza Strachoty czy fragment powieści pod roboczym tytułem „Ostatnie, co zobaczysz, to oblicze miłości” Eivinda Hofstada

8 Evjemo. O samotności w tłumie, w mniejszym bądź większym stopniu stygmatyzującej ludzi: opowiadanie „Dzisiaj pękło niebo” Huberta Klimko-Dobrzanieckiego czy fragmente powieści Bohdana Sławińskiego pod nieco barokowym tytułem „Wypoczynek i rozrywkę po pracy udostępniają ci wycieczki świąteczne PTTK”.

Choć — oczywiście — nie jest tak, że pomieszczone w antologii teksty społeczno-obyczajowe Norwegów i Polaków są całkowicie do siebie podobne. Dostyc wyraźnie przejawiają się w nich różnice wynikające z faktu, że Norwegia i Polska znajdują się na innych etapach rozwoju cywilizacyjnego, co sprawia, że społeczeństwa obu tych krajów zmagają się z nieco innymi problemami. Dla większości Polaków kluczowa jest kwestia zapewnienia sobie stabilizacji i godziwych warunków życia, co często przychodzi im z trudem (opowiadanie Dawida Kornagi „Call Center”). W rozwiniętej gospodarczo, bogatej Norwegii coraz większymi problemami — podobnie jak w innych krajach Europy Zachodniej — są postępujące się starzenie społeczeństwa i napływ imigrantów (wspomniany już przeze mnie tekst Eivinda Hofstada Evjemo).

Zarówno program Dagny, jak i antologia „Podróż na północ” były próbą zderzenia, skonfrontowania dwóch współczesnych literatur rozwijających się dotąd bez wyraźnych związków między sobą. Jestem przekonany, że próba ta nie tylko podziałała inspirująco na pisarzy, uczestników programu, ale również przyniesie wiele lekturowej przyjemności czytelnikom tego zbioru.

Polakken og nordmannen — to gode venner?

En vanlig polsk leser vet trolig like mye om den norske samtidsliteraturen som en vanlig norsk leser vet om den polske. Altså lite. I Polen er Jostein Gaarder kjent for bestselgeren *Sofies Verden*. Maria Amelie, forfatteren av boken *Ulovlig norsk*, havnet på førstesidene av polske aviser i begynnelsen av 2011, da hun etter å ha blitt deportert fra Norge bodde et par måneder i Kraków. Tilhengerne av krimromaner kjenner forfatterne som er populære i hele Europa: Anne Holt og Unni Lindell eller Karen Fossum, som blir kalt “dronningen av den skandinaviske krimromanen”. Poesielskerne vil være i stand til å nevne to eller tre norske poeter som publiserer i litteraturtidsskrifter eller på Internett. Og det er vel det hele. Det er ingen hemmelighet at det hører til sjeldenhetene at norsk samtidsliteratur utgis og oversettes i Polen, og at det er få som jobber med å formidle den. I løpet av de neste årene vil dette endre seg, og det er — blant annet — takket være det nyoppstartete programmet “Dagny”.

Det toårige (2010—2011) kulturutveksling — og stipendprogrammet “Dagny” har vært rettet mot forfattere fra Norge og Polen, samt Ukraina og tyskspråklige land. Organisasjonen Villa Decius i Kraków har hatt hovedansvaret for prosjektet, og programmet har mottatt støtte fra kulturelle og finansielle institusjoner i utlandet — deriblant Norge. Programmet har fått navnet sitt etter Dagny Juel-Przybyszewska: den norske litteraten, musen til flere av 1800-tallets kunstnere, ektefellen til den

10 skandaløse polske forfatteren Stanisław Przybyszewski; en kvinne som ikke bare symboliserer kulturbåndene mellom Norge og Polen, men også de kulturelle forbindelsene i hele Europa. I regi av programmet har en internasjonal komité tildelt forfatterstipender med opphold i Villa Decius i Kraków. De norske stipendmottagerne var: Tor Eystein Øverås, Lisa C.B. Lie, Knut Olav Homlong, Eivind Hofstad Evjemo, Agnes Ravatn, Nils Henrik Smith, Tina Åmodt og Henning Bergsvåg, mens de polske var: Hubert Klimko-Dobrzaniecki, Juliusz Strachota, Katarzyna Sowula, Bohdan Sławiński, Marcin Bałczewski, Michał Zygmunt, Ewa A. Madeyska og Dawid Kornaga. I forbindelse med prosjektet har det også blitt organisert en rekke forfattermøter med tittelen “Dagny — Open Mike” i Kraków, Leipzig, Lviv og Stavanger, med det formål å presentere samtidslitteratur fra forskjellige land og kulturtradisjoner for et bredere publikum, samt diskutere problemer omkring litterær oversettelse. Programmet avsluttes med den internasjonale festivalen “Dagny — Et kjærlighetsforhold mellom kulturer” i Kraków, med bidrag fra stipendmottagerne og andre inviterte gjester.

Men antologien “Mot nord” er ikke bare ment å være et spor etter det toårige programmet “Dagny”. Den har også vært et forsøk på å få to forskjellige litteraturtradisjoner — den norske og den polske — til å støte sammen. Det skal her nevnes at sammenstøtene skulle være like utvungne som kollisjonene mellom partiklene i Brownske bevegelser. Antologiens initiativtakere gav ikke forfatterne et hovedtema eller en bestemt litterær form, og satset heller på mangfold og frihet. De polske forfatterne valgte å uttrykke seg i prosa: fortellinger og romanutdrag, mens man blant de norske bidragene også kan finne dikt og utdrag fra et teaterstykke.

Programmet “Dagny” har først og fremst vært rettet mot forfattere fra den yngre generasjonen. De fleste av stipendmottagerne er født i 80-årene, men noen ble født på sytti — og sekstitallet.

Denne sammensetningen av forfattere fra forskjellige generasjoner, med ulike forfatterskap og uensartede erfaringer, har resultert i en variert antologi. På den ene side har hver av tekstene en tydelig forfattersignatur, på den annen bekrefter antologien som helhet at samtidslitteraturen, ikke bare i Europa, men også i verden, beveger seg innenfor grensene på den samme globale landsbyen.

Det er betegnende at ingen av de 16 forfatterne falt for fristelsen til å skrive en avantgardistisk tekst, eller gå inn i et litterært spill med leseren. Hvorfor ikke? Da interessen for postmodernistisk prosa avtok satset flesteparten av de europeiske forfatterne på konvensjoner, i hovedsak realistiske, og på å utforske en samfunnspolitisk tematikk. Denne tendensen kommer også til uttrykk i antologien "Mot nord". Det er egentlig bare Marcin Bałczewski, i fortellingen "Kjærlighet i krigens tid", som prøver å leke med de litterære konvensjonene. Men også han er egentlig mest interessert i forfatterrollen i "popkulturens tid", en rolle som domineres av jakten på penger og suksess. En lignende tematikk finner vi også i Knut Homlongs tekst "Bil i fjorden".

Forfatterne som er representerte i antologien er først og fremst opptatt av innfløkte mellommenneskelige relasjoner. De skriver om par som ikke passer sammen, der ekteskapslivet forvandles til et helvete, som i Ewa Madeyskas kriminalnovelle "Allergi", eller i Agnes Ravatns "HUSFRED": en komisk familitragédie i tre akter. Ødeleggende familieforhold beskrives også i fortellingen "Willems fullstendige (ikke)væren" av Juliusz Strachota eller i Eivind Hofstad Evjemos romanutdrag med arbeidstittlen "Det siste du skal se er et ansikt av kjærlighet". Det handler om ensomhet i mengden, en ensomhet som setter spor: denne tematikken utforskes både i fortellingen "I dag sprakk himmelen" av Hubert Klimko-Dobrzaniecki, og i Bohdan Sławinskis romanutdrag med den noe barokke tittelen "Den Polske Turistforeningens ferieturer muliggjør rekreasjon".

Men det er selvfølgelig ikke slik at de norske og polske tekstene i antologien er helt like. De inneholder ganske tydelige forskjeller som kommer av at Norge og Polen befinner seg på ulike faser i samfunnsutviklingen, noe som resulterer i at landene strever med forskjellige problemer. De fleste polakkene er fortsatt mest opptatt av å sikre stabile og gode levekår, noe som ofte byr på vanskeligheter (som i Dawid Kornagas fortelling “Call Center”). I et velutviklet og rikt land som Norge — i likhet med andre land i Europa — er det eldreomsorg og innvandringspolitikk som skaper stadig større problemer (som i den tidligere nevnte teksten til Eivind Hofstad Evjemo).

Både programmet “Dagny” og denne antologien har vært et forsøk på skape en konfrontasjon mellom to samtidsliteraturer som hittil har utviklet seg uten å ha en tydelig forbindelse. Jeg er overbevisst om at dette forsøket ikke bare vil være til inspirasjon for forfatterne og deltagerne av programmet, men også til stor glede for leserne av tekstsamlingen.

Oversatt av Agnes Banach

There have been various myths which have accrued to cultural romances. They abound in adventure (Robert F. Scott in the North Pole), inspirational Eureka's (William Morris in Iceland or Witold Gombrowicz in Argentina), personal tragedies (Walter Benjamin in the Soviet Russia), and intercultural misunderstandings. The romance of Dagny Juel and Stanisław Przybyszewski is a compilation of all of these. She was a gifted Norwegian writer whose beauty swept Strindberg and Munch off their feet; he a demonic Pole, who wrote in German and indulged in attacks of Northern tristesse. Their relationship was stormy and their romance did not last long. But it has invited a new, cultural romance — a largely unexplored chapter in the cultural history of both countries which still awaits for its chronicler. Poland has always romanced the East and the West; its Northern connections have been attenuated, in spite of Witold Lutosławski's summers in the South of Norway or Jan Garbarek's half Polish origin. The Norwegian Dagny — promiscuous as she was — is an invitation to a Polo-Nordic romance.



Et kart og noen barn

På den niende dagen sa Gud:

Jeg ønsket meg en sønn og fikk det, derfor skal også dere få sønner og kalle dem deres egne.

Menneskene sa: Kan vi skaffe dem uavhengig av metode og motiv?

Gud svarte med å sende en fønvind over jorden.

16 Det finnes barn man aldri får truffet.
Adopterte barn og barn som ble for gamle.
Unger som bare bor i skoger med mye kram snø.
Det finnes grenser og generell mangel på interesse.
En blinkende tv, et nybygd hus som trekker.
Hud med sugemerker eller flere lag syntetisk fremstilt tøy.

Man kan være heldig og leve uforstyrret.

Blant kommuner, fylker og andre regioner.
Land og unioner, flagg og lange vimpler.

Ha en kropp og en adresse og aldri tvile på det.

Det hadde vært natt igjen. Vi forberedte oss på å våkne.
Man våkner og ofte er det alt.
Men en morgen stod vi opp og fødte barn.

Vi var sju hundre kvinner med termin på samme dag.
Vi hadde ulike klær og fasong, men betalte skatt i den samme kommunen, kommunen som vi alle bodde i.
Noen hadde eksem.
Noen var blondiner.
Noen var katterennesker.
Noen skrev romaner.
Noen hadde vært gift med handymenn.
Noen plukket blomster fra naboens hage.
Noen fantaserte om å ligge med dyr.
Noen var jomfruer.
Noen hadde angst for spåkoner.
Noen skrev alltid lange eposter.
Noen hadde ønsket en invasjon velkommen.
Flere ytret en stund ønske om å fryse vedkommende ut, men etter hvert som svangerskapene skred fram, skjønte alle at hun angret seg.

18 Sammenlignet med død, er fødsel mest normalt.
Dette er en generell setning av global karakter.

Lokalt var dødsfall en periode — i månedene før barna kom — like vanlig som Sprengkalde vintre. Nedbørsrekord. Heteroseksualitet. Mobbing. Brød.

Man har statistikk og regler som resultat av den.

Mennesker må gravlegges i en viss type jord for at det skal være lovlig. Vendt mot øst, og med naturlig avstand mellom føttene.

Når Dagen kommer, skal de døde uten større anstrengelser kunne reise seg og gå i riktig retning.

I kommunen skal det til enhver tid være ledig gravplass til 3 prosent av kommunens innbyggere.

Et nedgravd lik skal ligge urørt i 20 år, med minst én armlengdes avstand til sidemannen.

Alle de nye barna lignet barn og veide som barn før dem.
De drakk melk. De kikket på solen og kunne det uten
å bli blinde.
Det drøyde før de grodde tenner. Da bet de, men ikke med
vilje.
Iblant syntes alle de så nesten like ut.
Iblant sugde de melk av feil mor.
Ingen klandret dem eller ble særlig opprørte.
Det var så mange mødre, og enda flere barn.
Luktene blandet seg. Vi delte på det som var igjen.
Om formiddagene løp barna langs de gamle
kommunegrensene, klatret på restene, spurte hva det var.

20 En bil som kjørte i ring.

En bil kjørte i ring på sletten.

Vi hadde hørt at den kunne være rød eller ha sotede ruter.
Være fylt av folk med bibler eller særlig spisse sko.
En familie med dårlig gruppedynamikk. To kasser med post.
Eller noen som hadde kjørt altfor langt.

Vi hadde hørt at det i en fremmed region er lett å miste
overblikket.

Det er derfor man så sjelden krysser grensen.

Vi visste at man kunne ha spist her som barn, men likevel
glemt det.

Kjørt for langt ved en feil eller fordi man ville.

Husene var bygd av betong men hadde dører.

21

Noen sang slutten på et eventyr:

Hvorfor har du så mørke ører?

Hvorfor har du så tunge hender?

Hva slags nytte har du av en så brei munn?

22 Folk sprang ut av bilene.
Fly fôr over skogene.
Kommuneflagg ble sydd om til skjørt.

Det fantes byer av hus og fjell av ruiner.
Fabrikker med fisk og andre med miner.
Det var så mye og viktig å få kontroll.

Det fantes kvinner og alle kart ledet dit.

Historien et mønster enhver passer inn i. Man trer det på og sender det videre.

Det finnes kvinner og alle kart leder hit.

Man kunne velge mellom å ha øynene åpne eller blunke.

23

Det var en dag, en solfylt dag, det var den niende dagen, de kom og alle var hjemme.

Alle stod i ring og ringen vandret

Knærne fikk merker av grusen

Det var en onsdag for fra alle åpne vinduer luktet det sosekjøtt

24 Barna kom ut av skogen
De *var* barn.

Tennene kom fram i tide og frisyrene klippet vi selv

Men de kunne navn på flere guder og sjeldnere trær.
La avansert strategi for hver lek
Pratet om drømmer selv om det ikke var vanlig.

Barna drømte om tundra og store hav med grunner.

Om dykking.

Geværer.

En helt ny type farger.

Barna drømte om menn, men gravde aldri for dypt på
skogbunnen.

Vi roste dem bestandig for instinkt

Plagg man neppe vil kle og aldri egentlig like.
Aksjer man ikke vet kursen på, kriger som ingen ga navn.
En kropp som varer og statistikk en ikke kan lære seg.
Man samler hår og fletter parykker,
skurer trapper og koker passe mengder mat.
Fylket minsker eller er uendret.
Veiene brukes og ingen biler har betydning.
Man teller tær og har stadig like mange.
Man snakker med sitt eget barn:
Du er et barn av Gud.

Mapa i parę dzieci

Dziewiątego dnia Bóg rzekł:

Życzyłem sobie syna i urodził mi się, dlatego także i wam urodzą się synowie, i nazwiecie ich własnymi.

Ludzie zapytali: Czy możemy ich począć niezależnie od pobudek, i jakim tylko chcemy sposobem?

Bóg odpowiedział zsyłając na ziemię wiatr halny.

28 Są dzieci, których nigdy nie spotkamy.
Dzieci adoptowane, i dzieci, które były za stare.
Dzieci, które żyją tylko w lasach, gdzie jest mokry śnieg.
Istnieją granice i ogólny brak zainteresowania.
Migający telewizor, nowowybudowany dom z przeciągami.
Skóra z malinkami albo wiele warstw syntetycznie
wytworzonej odzieży.

Można mieć szczęście i żyć w spokoju.

Wśród gmin, województw i innych regionów.
Krajów i unii, flag i długich proporców.

Mieć ciało i adres i nigdy w to nie wątpić.

Znowu była noc. Gotowaliśmy się na pobudkę.
Budzimy się, i często nie ma nic więcej.
Ale pewnego ranka wstaliśmy i urodziliśmy dzieci.

Było nas siedemset kobiet z terminem w tym samym dniu.
Miałyśmy różne ubrania i figury, ale płaciłyśmy podatki w tej samej gminie, gminie, w której wszystkie mieszkałyśmy.
Niektóre miały wysypkę.
Niektóre były blondynkami.
Niektóre kochały koty.
Niektóre pisały powieści.
Niektóre były żonami rzemieślników.
Niektóre zrywały kwiaty w ogrodzie sąsiada.
Niektóre miały fantazje erotyczne ze zwierzętami.
Niektóre były dziewicami.
Niektóre bały się wrózek.
Niektóre zawsze pisały długie maile.
Niektóre ucieszyłyby się z najazdu.
Wiele chciało przez pewien czas pozbyć się delikwenta, ale w miarę rozwoju ciąży stało się jasne, że była to zła myśl.

30 W porównaniu ze śmiercią poród jest bardziej normalny.
Jest to ogólne stwierdzenie o charakterze globalnym.

Lokalnie śmierć była przez pewien czas — w miesiącach przed pojawieniem się dzieci — tak samo zwyczajna, jak Trzaskająco mroźne zimy. Rekordowe opady.
Heteroseksualność. Mobbing. Chleb.

Mamy statystykę i zasady jako jej rezultat.

Ludzi należy grzebać w odpowiedniej ziemi, aby było to zgodne z prawem. Ku wschodowi, i z naturalnym odstępem między stopami.

Kiedy nadejdzie Dzień, zmarli muszą bez zbyteń wysiłku móc się podnieść i pójść we właściwym kierunku.

W gminie muszą zawsze być wolne miejsca na cmentarzu dla 3 procent mieszkańców.

Pogrzebany trup musi leżeć nienaruszony przez 20 lat, w odległości od sąsiada nie mniejszej niż długość ramienia.

Wszystkie nowe dzieci przypominały inne dzieci i ważyły tyle, 31
co dzieci urodzone wcześniej.

Piły mleko. Zerkały ku słońcu i wiedziały, jak patrzeć, by ich
nie oślepiło.

Upłynęło trochę czasu, zanim wyrosły im zęby. Wtedy gryzły,
ale nie umyślnie.

Czasem wydawało się, że wyglądają prawie tak samo.

Czasem ssały mleko nie od tej matki.

Nikt nie miał im tego za złe, ani się zbytnio nie przejmował.

Tyle było matek, a dzieci jeszcze więcej.

Zapachy mieszały się. Dzieliliśmy się tym, co zostało.

Przedpołudniami dzieci biegały wzdłuż starych granic gmin,
wdrapywały się na ich resztki, pytały, co to.

32 Samochód, który jeździł w kółko.

Samochód, który jeździł w kółko po równinie.

Doszły nas słuchy, że mógł być czerwony, albo mieć przyciemnione szyby.

Być wypełniony ludźmi z bibliami, albo w butach z bardzo spiczastymi noskami.

Rodziną o złej dynamice grupowej. Dwoma skrzynkami z listami.

Albo kimś, kto zajechał za daleko.

Słyszeliśmy, że w nieznanym terenie łatwo stracić orientację. Dlatego tak rzadko przekraczamy granice.

Wiedzieliśmy, że może jedliśmy tu obiad będąc dziećmi, ale i tak o tym zapomnieliśmy.

Zajechaliśmy za daleko przez przypadek, albo celowo.

Domy były zbudowane z betonu, ale miały drzwi.

33

Ktoś śpiewał zakończenie bajki:

Dlaczego masz takie ciemne uszy?

Dlaczego masz takie ciężkie ręce?

Po co ci takie szerokie usta?

34 Ludzie wyskakowali z samochodów.
Samoloty leciały nad lasami.
Flagi gminne przerobiono na spódnice.

Były miasta domów i góry ruin.
Fabryki rybne i inne z minami.
Działo się tak dużo i trzeba było mieć kontrolę.

Istniały kobiety i wszystkie mapy do nich prowadziły.

Historia to wzór, który nadaje się dla każdego. Wystarczy się
wpassen i podać dalej.

Istnieją kobiety i wszystkie mapy do nich prowadzą.

Można wybrać: mieć otwarte oczy, albo mrugać.

35

Pewnego dnia, słonecznego dnia, dziewiątego dnia, przyszli,
i wszyscy byli w domu.

Wszyscy stali w kółku, a ono wędrowało.

Na kolanach pojawiły się ślady żwiru.

To była środa, bo ze wszystkich otwartych okien dobiegał
zapach gulaszu.

36 Dzieci wyszły z lasu
Były dziećmi.

Ząbkowały o czasie, a włosy obcinaliśmy im sami

Ale one znały imiona wielu bogów i rzadkich drzew.
Układały skomplikowaną strategię do każdej gry
Rozmawiały o snach, choć nikt tego zwykle nie robił.

Dzieci śniły o tundrze i wielkich morzach z mieliznami.

O nurkowaniu.

Karabinach.

Całkiem nowych rodzajach kolorów.

Dzieci śniły o mężczyznach, ale niezbyt dokładnie
przeszukiwały ściółkę leśną.

Nieustannie chwaliliśmy ich instynkt

Nietwarzowe ubrania, których wcale nie lubimy.
Akcje, których kursu nie znamy, wojny, których nikt nie nazwał.
Ciało, które trwa, i statystyka, której nie można zapamiętać.
Zbieramy włosy i robimy peruki,
szorujemy schody i gotujemy odpowiednią ilość jedzenia.
Województwo zmniejsza się, albo się nie zmienia.
Drogi są w użytku, a samochody nie mają znaczenia.
Liczymy drzewa, i ciągle jest ich tyle samo.
Mówimy do własnego dziecka:
Jesteś dzieckiem Boga.

Tłumaczenie: Karolina Dworzecka



*Miłość w czasach wojny**Dla KA...*

Prosił, abym przychodził do niego choć raz w tygodniu. Jeśli nie mogę częściej, to choć raz. Był już za stary, aby samemu pisać każdy z tekstów.

— Dobrze, ale nie wiem, czy będę potrafił robić wszystko tak, jak pan to sobie wyobraża. Ja... Ja nie jestem taki zdolny. Pan, pan jest...

— Podoba mi się twój styl, młodzieńcze. Muszę coś napisać i szukam kogoś, kto będzie przepisywał moje myśli. Bardzo proste. Mam zlecenie, prosta opowieść, opowiadanka. Nie chcę niszczyć moich rąk, są zbyt delikatne, nie warto, to tylko chałturka. Chodzi o to, abys zapisywał to, co mówię, i tyle. Dasz sobie radę.

Spokojnie, bez pośpiechu, mamy tydzień na napisanie tego opowiadania, ba, opowiadanka. To ma być coś króciutkiego, miniaturka — to bardzo dużo czasu, chcą mi to wydać w jakiejś jubileuszowej wersji pisma z okazji wydarzenia, o którym ma opowiadać ta historia. Powstanie warszawskie, mamy rocznicę. Banalna opowieść. Oczywiście otrzyma pan wynagrodzenie. No i będzie miał pan satysfakcję z tego, że może ze mną współpracować. Czy możemy przejść na ty? Tak głupio pan i pan. Mów mi po prostu „mistrzu”.

Zaczynajmy — był piękny słoneczny dzień. Poranek, jednak już niezbyt wcześnie. Taki późny poranek. Tak, tutaj możesz opisać całą przyrodę, taki wiejski klimat. Nie chce mi się wymyślać, możesz to zrobić, bohater na swoim rumaku, opisz go, dobrze? Na tym rumaku jedzie do ukochanej — och, Alfredo, mówi Joanna — gdzie jesteś, wpatrując się z okna w dal lasu. Wspominałem, że jedzie przez las? Jeśli nie, to nie zapomnij o tym wspomnieć w tekście. Taki las, gęsty. Wiesz jaki?

Mamy wstęp, jeśli chcesz, możesz opisać, jak wyglądali — ona szczupła blondynka, on kędzierzawy, nieco nieogolony. Taki nieco Bohun, kojarzysz? Taki słodziutki. Widzisz to? Masz? Tu jest zdjęcie moich rodziców, zobacz, tak, opisz ich, coś w tym stylu, umiesz? Tak. No to powiedz, jak skończysz. Zaczniemy pracę nad rozwinięciem opowieści. Zajmij się początkiem.

Trzeba rozwinąć jakoś całą historię, może tak nowocześnie. Dobrze, napisz taki dialog między bohaterami, ona podejrzewa go o zdradę, on się wzbrania, a tak naprawdę to ona jego zdradziła i wmawia mu, że to on. Rozumiesz, taka dominująca kobieta w związku. Nowoczesnym związku na odległość.

Czuję się zmęczony — ile mamy stron?

— Niecałą jedną, proszę pana. A ile ma być?

— Co najmniej trzy, dobrze, gdyby było pięć. Jak mówiłem, to ma być miniaturka. Dobrze, to napisz teraz dialog między ukochanymi, taki na pół strony, ona się zamartwiała, on nie mógł dojechać. Niezbyt skomplikowany, czytelnik nie chciałby, aby ich relacje były zbyt skomplikowane, prosta miłość, tak, to będzie prosta opowieść.

— Przepraszam, ale czy to nie miała być historia z okazji powstania warszawskiego?

— Tak, ale to tylko wyjście. Zakończymy, tak, w sumie to ma być opowieść o niespełnionej miłości — to się dobrze sprzedaje,

plus martyrologia, i dlatego mamy taki misz masz. Trzeba dodać coś współczesnego, hmm. Może tak. Ona, jak się okazało, miała kochankę, czuje się rozdarta pomiędzy mężczyzną, rodziną, ojczyzną a kochanką. Motyw wspaniały. Fenomenalny. Pięknie to wymyśliłem.

— Tak, wspaniale.

— Wiesz, jak to napisać?

— Nie za bardzo, nie znam się na związkach lesbijskich.

— Biseksualnych, chłopcze, biseksualnych. Lesbijki nie są urodziwe, nasza bohaterka tak — to biseksualistka. Pamiętaj o tym rozróżnieniu. A to nie jest nieco szowinistyczne? Jestem mistrzem. No tak. Dobrze, to ja rozpocznę, ty napiszesz dalej...

Ile mamy? Dwa i pół tysiąca znaków — dobrze, to teraz tak, młodzieniec otrzymał powołanie do wojska, ma walczyć w Warszawie z powstańcami — ha, zaskoczyłem cię, bohater jest żołnierzem niemieckim — dobre, prawda? Dlatego nazywa się Alfredo.

— Ale to chyba niezbyt niemieckie imię.

— Nie czepiajmy się szczegółów, to taki niemiecki Hiszpan, czarny, taki Bohun. Napływowiec.

Dobrze, a teraz krótkie zakończenie, pointa, on już jest na wojnie, a ona go oplakuje, myśli, że zmarł, bo tak jej znajomi powiedzieli, bierze ślub z innym, on wraca do domu i tam widzi ją z mężem, ona go widzi i umiera, on to widzi i umiera, tak, to będzie dobre zakończenie. Bla, bla, bla, i po sprawie.

— Przepraszam, można się wtrącić?

— Tak?

— A skąd ten drugi mężczyzna?

— To ta jej kochanka przebrana, proste. Dobrze, teraz napisz to ładnie, znasz mój styl, tak prosto, a jednak zawile. I koniec. Teraz przepisz to, ja idę się przespać. Dodaj coś w środku, ale nie za długo. Żeby tak chociaż trzy strony z tego były. Zostaw mi cały tekst tutaj, na stoliku, zamknij za sobą proszę. Dobranoc. Nie zapomnij podać mi konta, coś tam ci przeleję.

Był piękny słoneczny dzień. Na horyzoncie widać było już wioskę. Rolnicy pracowali na polach, ich kobiety dokarmiały drób. Był to piękny okres, wszystkie plony miały być w tym roku duże. Już teraz wiele kłosów kwitło. Wydawać się mogło, że wesołe pieśni mieszkańców wsi odbijały się echem, aż do samego lasu. Lasu gęstego, zaludnionego zwierzętami, przepięknego, pełnego dębów i buków.

Stamtąd go dostrzegła. Na pięknym rumaku czarnowłosa Alfredo jechał do swojej ukochanej Joanny. W pamięci miał ostatni obraz ich spotkania. Jak trzymał jej delikatne ciało w objęciach. Jak jej blond włosy opasywały jego, a on, nieogolony jak zawsze, swoim zarostem tulił jej policzki.

Wypatrywała go od rana — och, Alfredo, gdzie jesteś. Wiedziała, że ma przybyć. Był coraz bliżej, jej kędzierzawy rycerz na koniu. Pan i władca, pan i zdobywca — można by rzec. Wszystko było tak piękne, jednak Joanną targwały wewnętrzne sprzeczności i uczucia, o których nie była zdolna nawet swojemu ukochanemu powiedzieć.

— Moja miłości! — Alfredo wbiegł do przedpokoju. Joanna już na niego czekała. — Tęskniłaś? Tak, ukochany... ale. Zrozum, tyle czasu cię nie było. Tak bardzo się zamartwiałam — Joanna delikatnie pogłaskała szorstkie policzki ukochanego. — Słyszałam tyle złego. Czy to prawda? O czym mówisz moja miłości? O tobie i...? O kim, ja... ja nie, ja nic. Nigdy — Alfredo stanął obok jarzącego się kominka, odwrócił się w stronę lustra. Spojrzał na swoje oblicze, odwrócił wzrok. — Nie, nie było mnie długo, ale żyłem, myśląc tylko o tobie. O twoim pulsującym ciele. Joanno, jak możesz mnie tak podejrzewać. Ukochana rozpuściła włosy — Alfredo, mój Alfredo. Tyle się teraz słyszy. To już nie są stare, dobre czasy. To świat dominujących kobiet. Zrozumiałabym, gdyby cię jakaś uwiodła. Zdarza się, nawet kobietom...

z kobietą. — O czym ty mówisz, Joanno!? Nie, nic... głośno myślę, kochany... Podejź, niech nasze usta zewrą się w namiętych uściskach.

Joanna mocno pocałowała Alfredo. Jego krew ściekła po policzkach. — Ugryzłaś mnie, to lubię — zasyczał. — To za to, że tak długo czekałam — powiedziała kochanka. — Miałem problem z dojazdem, coraz bardziej niebezpiecznie na drogach, przepraszam. Jechałem jak najszybciej, aby tylko się z tobą spotkać — wybacz. — Nie wiem, czy ci wybaczę. Musisz sobie na to zasłużyć.

Joanną dotykającą Alfredo targwały sprzeczne uczucia. To on, silny mężczyzna, jednak Agnieszka. Ach, Agnieszka, jej dotyk był tak... niezwykły. Czy mu o tym powiedzieć? Nie, nie chcę go zranić — pomyślała. Tyle krwi wokoło, delikatnie otarła jego krew z ust.

— Przepraszam, że niepokoję — do pokoju wszedł Feliks. — To dla ciebie, Alfredo, przyszło dziś rano.

Czarnowłosa kochanek spojrział na telegram. Zgniół kartkę, spojrział w okno. Zatrzymał się. Spojrział na Joannę — Wzywają mnie, mobilizacja. Polacy próbują wyzwolić Warszawę, muszę jechać. Znowu cię zostawić.

— Nie wiem, jak to przeżyję — Joanna myślami błądziła wokół ciała Agnieszki. — A jak coś ci się stanie? — Jeśli zginę, nie wahaj się. Nasza miłość jest na wieki, ale ty powinnaś być szczęśliwa — dodał Alfredo, odjeżdżając na ognistym rumaku.

Ten obraz zapamiętała. Wspominała go często, tuląc się wieczorami do Agnieszki — Alfredo i jego koń oddalający się w głębi lasu. Mijały dni, tygodnie, miesiące. Ludzie zaczęli mówić, że zmarł. — Ktoś widział jego ciało — powiedział Feliks. — Zmasakrowane, rozpoznali go jedynie po włosach i zaroście. — Czy mam czekać? — pytała Joanna i przypominała sobie słowa: „Nasza miłość jest na wieki, ale ty powinnaś być szczęśliwa”.

Pytała dnie i noce. Także Agnieszki. — Wiesz, to były jej go słowa. Zrób wszystko to, abyś była szczęśliwa — mówiła jej

44 kochanka. — Jestem szczęśliwa tylko z tobą — odpowiadała jej Joanna. — Jednak tego nikt nie zaakceptuje. A może, a może jest wyjście? Agnieszko — całowała jej delikatne ciało. — Agnieszko, co mamy uczynić? I gdzieś mój Alfredo.

Wzięła ślub zimą. Zasypane drogi spowodowały, że w kościele pojawiło się zaledwie kilka osób. — I ślubuję ci wierność i uczciwość małżeńską. I że cię nie opuszczę aż do śmierci.

— Joanno! — usłyszała znajomy głos. Przed kościółkiem stał on, zraniony, bez jednej nogi i ręki, Alfredo. — Jak mogłaś! Joanna ujrzała go, zamarła. A z nią zamarło jej serce. Joanna zobaczyła ukochanego i umarła. Alfredo podbiegł do opadającego na śnieg wątlęgo ciała. — Jeśli ty nie żyjesz, ja też tak zrobię — powiedział i przebił sobie niemiecką krtań. Krew trysnęła na śnieg. Agnieszka w przebraniu męża Joanny rozplakała się. Kolejny dzień wojny polsko-niemieckiej skończył się tragicznie.

Miłość w czasach wojny — recepcja

W najnowszym opowiadaniu *Miłość w czasach wojny* artysta pokazuje, jak skomplikowane relacje łączyły społeczeństwa od zarażania dziejów. Wątki homoseksualne uwypuklone na tle wojny, w szczególności w kontaktach polsko-niemieckich, pokazują, jak ważnym problemem była zawsze tożsamość płciowa i dominacja krwistych samców na tle wątlęch samic.

Sylwia Szutnik, „Lampka”

Fenomenalny powrót geniusza. W miniaturce *Miłość w czasach wojny* artysta pokazał, jak w kilkudziesięciu słowach opowiedzieć dzieje całej ludzkości — miłość, śmierć. Eros, Thanatos. Pożądanie kapie z każdej linijki tego niezwykłego tekstu.

Joanna Pomorska, „Tonie światło”

Znajome wyrażenia. Artysta powrócił, a z nim jego geniusz. Personifikacja naszych czasów, problemów i strachów. Majstersztyk.
Daniela Lisowacka, „Widzę” 45

Nie bronią, a zdaniem wojować trzeba w czasach terażniejszych. Takimi słowami, jakie zawarto w *Miłości w czasach wojny*. Nie było ich za mało, nie było za wiele. W sam raz. Na początek. Chcemy więcej.

Marcin Mieller, „Łódź”

Słowa uderzają z coraz większym natężeniem. Na przykładzie *Miłości w czasach wojny* widać, jak wiele czasu zajmie nam rozliczenie z przeszłością. Te małe kroki trzeba jednak podjąć, na rzecz przyszłości i relacji polsko-niemieckich.

Adam Mihnick, „Pany”

Kompletnym niezrozumieniem dla mnie była publikacja *Miłości w czasach zarazy*. „Tfu”rca ocznymi połączeniami relacji homoseksualnych próbuje zamydlić nam problemy, jakie do tej pory panują na linii Polacy— Niemcy.

August Knot, „Wolność”

Nominacja do „Paszportu” dla mistrza za ten fenomenalny tekst była wiadoma od dawna. Nikt tak pięknie nie wysławia się, walcząc o tożsamość i wolność zakrwawioną niczym symboliczny zakrwawiony śnieg z tekstu.

Adam Mały, „Polit_tyka”

*Kjærlighet i krigens tid**For KA...*

Han ba meg om å komme til ham i hvert fall en gang i uken. Hvis jeg ikke hadde mulighet til å komme oftere, så i det minste en gang. Han var blitt for gammel til skrive selv.

— Greit, men jeg vet ikke om jeg klarer å gjøre alt som De ønsker. Jeg... Jeg er ikke så dyktig. De, De er...

— Jeg liker stilen din, unge mann. Jeg leter etter noen som kan skrive ned tankene mine. Det er veldig enkelt. Jeg har et oppdrag, en enkel historie, en liten fortelling. Jeg vil ikke slite ut hendene mine, de er for sarte, det er ikke verdt det, det er bare en ekstrajobb. Du skal bare skrive ned det jeg sier, det er alt. Det klarer du fint.

Rolig, vi har det ikke travelt, vi har en uke på oss til å skrive denne fortellingen, eller rettere sagt, minifortellingen. Det skal være noe veldig kort, en miniatyr — vi har veldig god tid, de vil utgi den i en eller annen jubileumsutgave av et tidsskrift i anledning hendelsen som denne historien skal handle om. I anledning minnedagen for Warszawa-oppstanden. En banal fortelling. Du vil selvfølgelig få honorar. Ja, og så får du gleden av å samarbeide med meg. Kan vi være dus? Det føles rart å være Des. Du kan bare kalle meg “mester”.

La oss begynne — det var en vakker solskinsdag. Morgen, men ikke altfor tidlig. En sen morgen. Ja, her kan du skape naturen, en slags landlig atmosfære. Jeg orker ikke å dikte det opp, du kan gjøre det, helten på sin hest, beskriv ham, greit? På denne hesten rir han til sin elskede — å, Alfredo, sier Joanna — hvor er du, hun ser ut av vinduet og stirrer inn i den mørke skogen. Nevnte jeg at han rir gjennom skogen? Hvis ikke, husk å nevne det. En tett skog. Skjønner du hva jeg mener?

Nå har vi innledningen, hvis du vil kan du beskrive hvordan de så ut — hun slank og lys, han med krøllete hår, litt ubarbert. Litt sånn som Bohun¹, skjønner du? Sukkersøt. Ser du det for deg? Har du det? Her er et bilde av foreldrene mine, se på det, sånn, beskriv dem, noe i den duren, klarer du det? Ja? Si fra når du er ferdig da, så kan vi begynne å utvikle fortellingen. Sett i gang.

Vi må på en eller annen måte utvikle historien, kanskje modernisere den. Greit, skriv en dialog mellom personene, hun mistenker ham for utroskap, han nekter, men egentlig er det hun som har vært utro og prøver å legge skylden på ham. Skjønner du, en dominerende kvinne i et forhold. I et moderne avstandsforhold.

Jeg er trett — hvor mange sider har vi?

— Vi har snart én. Og hvor mange skal det være?

— I alle fall tre, og det hadde vært bra hvis vi hadde hatt fem. Som sagt, det skal være en miniatyr. Greit, nå kan du skrive dialogen mellom de elskende, på en halv side, hun var fra seg av bekymring, han hadde problemer med å komme seg frem. Men ikke for komplisert, leseren vil ikke at relasjonene deres skal være for kompliserte, en enkel kjærlighet, ja, det skal være en enkel fortelling.

¹ Bohun er en person i Henryk Sienkiewicz roman Med ild og sverd. Han er hovedfienden og rivalen til romanens hovedperson Jan Skrzetuski. Bohun er en kosakk, og blir beskrevet som høy, mørk og temperamentsfull. (overs. anm.)

— Unnskyld, men skulle ikke dette være en historie i anledning Warszawa-oppstanden?

— Jo, men det er bare utgangspunktet. La oss skrive slutten. Ja, egentlig skal det være en historie om ulykkelig kjærlighet — det selger bra, pluss martyrdom, og derfor blir det litt blanding. Vi må ha med noe moderne, hm. Kanskje noe slik... Jo, som at det viser seg at hun har en elskerinne, hun føler seg splittet mellom mannen, familien, fedrelandet og elskerinnen. Et glimrende motiv. Fenomenalt. Det er vakkert.

— Ja, glimrende.

— Vet du hvordan du skal skrive det?

— Ikke helt, jeg vet ikke så mye om lesbiske forhold.

— Biseksuelle, gutten min, biseksuelle. Lesber er ikke pene, vår hovedperson er det — hun er biseksuell. Ikke glem den forskjellen. Men er ikke det litt sjåvinistisk? Jeg er mesteren. Ja visst. Greit, jeg skal begynne, du kan skrive videre...

Hvor mye har vi? To og et halvt tusen tegn — bra, la oss gå videre, den unge mannen blir innkalt til militæret, han skal kjempe i Warszawa sammen med de som kjemper i oppstanden — ha, der overrasket jeg deg, helten er en tysk soldat — det er bra, ikke sant? Det er derfor han heter Alfredo.

— Men det er vel ikke et særlig tysk navn.

— La oss ikke henge oss opp i detaljene, han er en tysk spanjøl, mørk, en Bohun-type. En utlending.

Bra, og nå en kort avslutning, poenget, han kjemper i krigen, og hun sørger over ham, hun tror at han er død, for det har bekjente fortalt henne, hun gifter seg med en annen, han kommer hjem og ser henne med den andre, hun ser ham og dør, han ser det og dør, ja, det blir en god avslutning. Bla, bla, bla, og ferdig med det.

— Unnskyld, kan jeg bryte inn?

— Ja?

— Hvor kommer den andre mannen fra?

— Det er elskerinnen hennes i forkleddning, enkelt og greit. Bra, finskriv det nå, du kjenner stilen min, enkel, dog innfløkt. Og det er alt. Skriv det ned, jeg går og tar en hvil. Legg til noe her i midten, men ikke for langt. Sånn at det blir i alle fall tre sider. Legg igjen hele teksten her, på bordet, lås døren etter deg. God natt. Ikke glem å gi meg kontonummeret, jeg skal overføre et eller annet.

Kjærlighet i krigens tid — fortellingen

Det var en vakker solskinnsdag. Man kunne skimte landsbyen i horisonten. Bøndene arbeidet på åkrene, kvinnene matet hønene. Det var en vakker tid, avlingene så ut til å bli store. Det var allerede kommet mange kornaks. Det kunne synes som om ekket fra landsbyboernes glade sanger bar helt inn i skogen. Den tette skogen fylt med eik og bøk og en stor dyrebestand.

Det var der hun så ham. Den mørkhårede Alfredo red til sin elskede Joanna på hesten sin. Han mintes deres siste møte. Hvordan han holdt den spede kroppen hennes i armene sine. Hvordan det lyse håret hennes svøpte ham inn, og hvordan han, ubarbert som alltid, kjærtignet kinnene hennes med skjegget sitt.

Hun ventet utålmodig på ham fra morgenen av — å, Alfredo, hvor er du. Hun visste at han skulle komme. Han kom stadig nærmere, hennes ridder med det krøllete håret. Herre og hersker, herre og erobrer — kunne man si. Alt var så vakkert, men Joanna strevde med indre motsigelser og følelser hun ikke kunne dele med noen, ikke engang sin elskede.

— Min elskede! — Alfredo løp inn i gangen. Joanna ventet på ham allerede. — Savnet du meg? Ja, elskede... men. Du må forstå, du har vært borte så lenge. Jeg har vært så bekymret. — Joanna strøk varsomt de røde kinnene til sin elskede. — Jeg hørte så mye vondt. Er det sant? Hva snakker du om, min elskede?

Om deg og...? Om hvem, jeg... ikke jeg, jeg har ikke gjort noe. Aldri — Alfredo stilte seg ved den glødende peisen, snudde seg mot speilet. Han så på ansiktet sitt, vendte blikket. — Ja, jeg har vært borte lenge, men jeg tenkte bare på deg. På den deilige kroppen din. Joanna, hvordan kan du mistro meg slik? Hans elskede løsnet fletten i håret — Alfredo, min Alfredo. Man hører så mye nå for tiden. Det er ikke som i gode, gamle dager. Dette er de dominerende kvinnenes verden. Jeg hadde forstått det hvis en av dem forførte deg. Det hender, til og med kvinne... med kvinne. — Hva er det du snakker om, Joanna!? Nei, det var ingenting... jeg bare tenker høyt elskede... Kom hit, la munnene våre forenes i et lidenskapelig kyss.

Joanna kysset Alfredo dypt og indelig. Blodet hans rant nedover kinnene. — Du bet meg, hveste han, det liker jeg. Det er straffen for at jeg måtte vente så lenge — sa elskerinnen. — Jeg hadde problemer med å komme meg hit, det er stadig farligere langs veiene, unnskyld. Jeg red så fort jeg kunne, bare for å treffe deg — tilgi meg. — Jeg vet ikke om jeg kommer til å tilgi deg. Du må fortjene det.

Mens Joanna tok på Alfredo, kjente hun seg trukket mellom følelser. Der var han, en sterk mann, men Agnieszka. Åh, Agnieszka, berøringen hennes var så... usedvanlig. Skulle hun fortelle ham om det? Nei, jeg vil ikke såre ham — tenkte hun. Det var så mye blod, varsomt tørket hun blodet hans fra munnen sin.

— Beklager at jeg forstyrrer — det var Feliks som kom inn i rommet. — Det er til deg, Alfredo, det kom i dag tidlig.

Den mørkhårede elskeren kastet et blick på telegrammet. Han krøllet sammen arket, så ut av vinduet. Stanset. Så på Joanna — De kaller meg inn, det er mobilisering. Polakkene prøver å frigjøre Warszawa, jeg må dra. Jeg må forlate deg igjen.

— Jeg vet ikke hvordan jeg skal klare det — Joannas tanker fabulerte om kroppen til Agnieszka. — Hva om noe skjer med deg? — Hvis jeg dør, ikke vent. Kjærligheten vår er evig, men

52 du burde være lykkelig — la Alfredo til, idet han red bort på sin ildrøde hest.

Det var det bildet hun husket. Hun fremkalte ofte minnet om det, når hun om kveldene omfavnet Agnieszka — Alfredo og hesten hans som forsvant dypere inn i skogen. Det gikk dager, uker, måneder. Folk begynte å si at han var død. — Noen så kroppen hans — sa Feliks. — Massakrert, de gjenkjente ham på håret og skjegget. — Skal jeg vente? — spurte Joanna og mintes ordene hans: “Kjærligheten vår er evig, men du burde være lykkelig”.

Hun spurte om dagene og nettene. Hun spurte Agnieszka. — Du skjønner, det var hans ord. Gjør det som gjør deg lykkelig — sa elskerinnen hennes. — Jeg er bare lykkelig sammen med deg — svarte Joanna. — Men ingen kommer til å godta det. Men kanskje, kanskje det er en løsning. Agnieszka — hun kysset den vevre kroppen hennes. — Agnieszka, hva skal vi gjøre? Og hvor er min Alfredo?

Hun giftet seg om vinteren. Gjensnødde veier gjorde at det ikke kom mange mennesker til vielsen — Og jeg lover deg ekteskapelig troskap og ærlighet. Og at jeg skal bli hos deg inntil døden skiller oss.

— Joanna! — hun hørte en kjent stemme. Han stod foran kirken, såret, han manglet en fot og en arm, det var Alfredo. — Hvordan kunne du! Idet Joanna så ham, stanset hun som forsteinet. Og sammen med henne stanset også hjertet hennes. Joanna så sin elskede og døde. Alfredo løp bort til spinkle kroppen som falt ned i snøen. — Hvis du er død, skal jeg også dø — sa han og spiddet sin tyske strupe. Blodet sprutet ned på snøen. Agnieszka, som var forkledd som Joannas ektemann, brast i gråt. Etter en dag i den polsk-tyske krigen endte tragisk.

I den nyeste fortellingen *Kjærlighet i krigens tid* viser kunstneren de kompliserte relasjonene som har bundet sammen samfunn siden tidenes morgen. De homoseksuelle trådene som er satt i relieff mot krigens bakgrunn, og som særlig kommer til syne i de polsk-tyske kontaktene, viser at kjønnsidentitet knyttet til livlige hanners dominans over svake hunner alltid har vært et viktig problem.

Sylvia Szutnik, *Lampka* [Den lille lampen]

Geniets fenomenale tilbakekomst. I miniatyren *Kjærlighet i krigens tid* har kunstneren vist hvordan man i et par hundre ord kan fortelle hele menneskehetens historie — kjærlighet, død. Eros, Thanatos. Begjæret drypper fra hver linje.

Joanna Pomorska, *Tonie światło* [Lyset drukner]

Kjente uttrykk. Kunstneren er tilbake, og det er også hans geni. En fabel over vår tid, våre problemer og vår frykt. Et mesterverk.

Daniela Lisowacka, *Widzę* [Jeg ser]

Det er ikke med våpen, men med ord man må krige i vår tid. Slike ord som *Kjærlighet i krigens tid* består av. Det var verken for få eller for mange av de. Akkurat passe. Som en begynnelse. Vi vil ha mer.

Marcin Miller, *Łódź*

Ordene slår med stadig større styrke. *Kjærlighet i krigens tid* viser oss hvor lang tid oppgjøret med fortiden vil ta. Men vi må ta de små skrittene, for fremtiden og de polsk-tyske relasjonene.

Adam Mihnck, *Pany* [Herrer]

- 54 Utgivelsen av *Kjærlighet i koleraens tid* var for meg helt og holdent en misforståelse. Med en dyster sammenstilling av homoseksuelle relasjoner prøver forfatteren å kaste blår i øynene på oss og skjule problemene som fremdeles råder mellom polakker og tyskere.

August Knot, *Wolność* [Frihet]

Vi har lenge visst at mesteren ville bli nominert til prisen “Politykas Pass” for denne fenomenale teksten. Det er ingen som ordlegger seg så vakkert, mens de kjemper for identiteten og friheten som er like blodstenket som den symbolske blodstenkede snøen i teksten.

Adam Mały, *Polit_tyka* [Poli_tikk]

Oversatt av Agnes Banach



Det er ditt eget dikt

Hva ser du?
Døden hadde grodd øyne i
deg. Et stødig blikk.
Du sier at du ikke
kan se meg.
At jeg ikke fins.

Ordene legges i munnen din.

58 Kan jeg tro på det du sier?
Hva ser du?
Hva holder ansiktet ditt i ro?

Du bruker munnen min
til å le med.
Bygger nye vegger som ikke
har sett verden.
Hva holder ansiktet ditt i ro?

Hendene dine ligger døde i fanget ditt, men
du fortsetter å snakke.

Språket er påkledd selv om det er usynlig.
Ingen kaster skygge i teksten.
Ordene legges i munnen din. Kan jeg tro på det du sier?
Hva ser du? Fortell.

:En stor fugl trakk toget.
Det skjøt damp ut fra det rødsvarte nebbet.
Vognene var fylt med haner.
De dro i krigen med sine høye hanekam-hjelmer.
Jeg var en gutt og bestefars kinn lå inntil
togruten, pusten festet seg til landskapet.

60 Se på gutten fordi
den gutten er meg.
Ikke tvil på at jeg er her med deg. Jeg skriver dette. Språket
opererer under nattens liksvøp. Risser inn
merker i kroppen for å bli husket.

Ikke forsvinn.

Du dekkes sakte av små kryp, flagrende
hvite vinger. De fester seg til hendene dine, kravler over
 huden din der de kommer til. Koloniserer hudflaten.
Hvis du allerede er død, hvorfor skjelver hendene dine ennå?

Jeg anstrenger meg hardt for å få
ansiktsmusklene til å passe med min
indre tilstand.

Det skrevne begynner sakte å bli synlig, iført sin egen kropp.
Landskapet henger som en kartplansje foran togvinduet,

Språket er påkledd, selv om det er usynlig.
En upålitelig stedfortreder.
Etabler en metode.
Skriv det sjøl.

62 Dette går ikke. Noe har skjedd med munnen.
Hva holder ansiktet ditt i ro? Hva ser du?

Døden hadde grodd øyne i deg, et stødig blikk.

Ordene legges i munnen din. Kan jeg tro på det du sier?
Hendene dine ligger døde i fanget ditt,
men munnen din fortsetter å snakke.

Oppskriften er hemmelig, men vi bruker hele dyret.

Du bruker munnen min til å le med.
Språket er påkledd selv om det er usynlig.

Jeg kan ennå slette dette.

Må jeg skrike ut
for å skyggelegge landskapet?
Det skulle være et dikt bestående av luft, språkets forsvinning.
La oss si at den nye dagen ble senket
ned fra himmelen, og begravd i jorden.

Grensen er usynlig. Håndleddene dine:
mørke, blå, nesten svarte blodårer. Som uttørkede elveløp,
bunnslam.
Hva holder ansiktet ditt i ro?

Det er ingen som hører på meg inne i teksten. Det er ingen opp-
rinnelige
lyder her inne, bare ekko.

64 Jeg spyr av setningene som faller meg inn.

Tog-Kupeen har fleksible vegger, som et hus oppført
av flagrende slør på påler.

Velter deg over på ryggen, ingen av oss kan lenger høre.
Vi kan bare ule.

Ingenting i teksten, forklarer tilstanden din.

Kupeen deler seg i to, og vi sitter i begge,
Finner noen et verb i teksten, står de fritt til å
bøye det etter egen lyst.

Det er ingen som har sagt at vi er aleine.

Du kan skrive: På solen er det evig natt.

Du vil ikke bli forstått.

Hva ser du?

Skriv det sjøl.

Etabler en metode.

Skriv det sjøl.

Innbyggerne i grenselandet er usedvanlig høye og tynne.

De bare forestiller seg muren som omgir dem:

å leve i eksil i egen tekst.

Skal vi fortsette? Det betyr vel uansett ingenting.

66 Språket er konstruert
etter modell av lever og innsjøer
i området.

Lokale fiskere ble tilkalt. De ble beordret til å
gå omkring på slagmarken og stikke spyd i
de døende. Murer ble reist for å avgrense minnet.

Døden er under kontroll så lenge den fins i språket, sier du.
Det er ditt eget dikt.
Du vil ikke bli forstått.
Det er ditt eget dikt.
Skriv det sjøl.

To Twój własny wiersz

Co widzisz?
Śmierć utkwiała w tobie
oczy. Niezachwiane spojrzenie.
Mówisz, że mnie
nie widzisz.
Że mnie nie ma.

Słowa wkładane są w Twoje usta.

68 Czy mogę uwierzyć w to, co mówisz?
Co widzisz?
Co daje spokój Twojemu obliczu?

Śmiejesz się
moimi ustami.
Wznosisz ściany, które
świata nie widziały.
Co daje spokój Twojemu obliczu?

Twoje dłonie leżą martwe na kolanach, a Ty
nadal mówisz.

Język jest ubrany, choć niewidoczny.

Nikt nie kładzie się cieniem na tekście.

Słowa wkładane są w Twoje usta. Czy mogę uwierzyć w to, co mówisz?

Co widzisz? Opowiadaj.

: Wielkie ptaszysko ciągnęło pociąg.

Wypluwało parę z czerwono-czarnego dzioba.

Wagony wypełnione były kogutami.

W hełmach z wysokimi czubami jechały na wojnę.

Byłem chłopcem, a policzek dziadka opierał się o

szybę pociągu, oddech przyklejał się do krajobrazu.

70 Popatrz na tego chłopca, ponieważ on
jest mną.
Nie wątp, że jestem tu z Tobą. To ja to piszę. Język
operuje pod osłoną nocy. Wycina znaki
na ciele ku pamięci.

Nie znikaj.

Powoli pokrywasz się robaczkami, trzepoczącymi
białymi skrzydłami. Przyklejają się do Twoich dłoni, pełzają
po skórze, tam gdzie mogą dotrzeć. Kolonizują powierzchnię skóry.
Jeśli już nie żyjesz, to dlaczego Twoje dłonie nadal drżą?

Wysilam się, by
mięśnie twarzy pasowały do
stanu mojego ducha.

Pismo powoli staje się widoczne, ubrane w swoje własne ciało.
Krajobraz wisi za oknem pociągu jak plansza z mapą.

Język jest ubrany, choć niewidoczny.
Niegodny zaufania zastępca.
Ustal metodę.
Sam to napisz.

72 Tak się nie da. Coś stało się z ustami.
Co dajesz spokój Twojemu obliczu? Co widzisz?

Śmierć utkwiała w tobie
oczy. Niezachwiane spojrzenie.

Słowa wkładane są w Twoje usta. Czy mogę uwierzyć w to, co mówisz?

Twoje dłonie leżą martwe na kolanach, a Ty nadal mówisz.

Ten przepis jest tajemnicą, ale wykorzystujemy całe zwierzę.

Śmiejesz się moimi ustami.

Język jest ubrany, choć niewidoczny.

Wciąż jeszcze mogę to wykasować.

Czy muszę zakrzyknąć, by
zacieniować krajobraz?

To miał być wiersz złożony z powietrza, zanikania języka.
Powiedzmy, że ten nowy dzień zstąpił
z nieba pod ziemię.

Granica jest niewidoczna. Twoje nadgarstki:
ciemne, fioletowe, niemal czarne żyły. Jak wyschnięte koryta
rzek, szlam.

Co daje spokój Twojemu obliczu?

Nikt mnie w tym tekście nie słucha. Brak tu pierwotnych
dźwięków, jest tylko echo.

74 Rzygam zdaniami, które mi się nasuwają.

Przedział pociągu ma elastyczne ściany, jak dom wzniesiony
z trzepoczących muślinów na żerdziach.

Przewracasz się na plecy, żaden z nas już nie słyszy.

Możemy tylko skowyczeć.

Nic w tym tekście nie wyjaśnia Twojego stanu.

Przedział dzieli się na dwoje i siedzimy w obu,

Jeśli ktoś znajdzie czasownik w tekście, może go swobodnie
odmienić według swego upodobania.

Nikt nie powiedział, że jesteśmy sami.

Możesz napisać: Na słońcu panuje wieczna noc.

Nie będziesz zrozumiany.

Co widzisz?
Sam to napisz.
Ustal metodę.
Sam to napisz.

Mieszkańcy pogranicza są niezwykle wysocy i chudzi.
Tylko wyobrażają sobie otaczający ich mur:
żyć na wygnaniu we własnym tekście.
Czy mamy kontynuować? To chyba nie ma znaczenia.

76 Język jest zbudowany
według wzorca okolicznych
rzek i jezior.

Wezwano miejscowych rybaków. Kazano im
chodzić po polu bitwy i wbijać włócznie
w umierających. Mury wzniesiono, by ograniczyć pamięć.

Śmierć pozostaje pod kontrolą tak długo, jak istnieje
w języku, mówisz.

To Twój własny wiersz.

Nie będziesz zrozumiany.

To Twój własny wiersz.

Sam go napisz.

Tłumaczenie: Aleksandra Mazurek Søderlind



Utdrag fra romanen med arbeidstittelen:
Det siste du skal se er et ansikt av kjærlighet

Maktens bord er i lyst tre og har åtte stoler dyttet pliktskyldig inntil. Pappkopper på et trillebord, en halvfull med Nescafé-pulver, en annen med sukkerbiter. Et gjenglemt silkeskerf. Noen har også glemt å lukke vinduet, så det kommer til å være kaldt når de kommuneansatte om ikke lenge kommer med sine koffertene og nistepakker. Kaffe er fylt i filteret, det er bare å fylle vann og trykke på knappen. Utenfor: ei rist som samler avfall, tyggispapir, frossent pommefrites, sneiper og annet skrot. Månen lyser sterkt gjennom torghjørkene. Vinden river bladene, like kynisk, som et barn river beina av ei flue. Fontenebassenget på øvertorget er dekt av tynn is, ei barnesko bikket på siden og minner kanskje mest om ei yoga-nesepipe, av den sorten som står i badehyllene, men sjelden eller aldri brukes. I midten av bassenget står en gutt støpt i bronse, stilt opp på et lite platå. Han klyper rundt buken på en fisk, og om sommeren spruter det vann i en bue ut av denne fiskens munn, men parkvakten har for lengst skrudd av vannet for at rørene ikke skal sprekke under jorda. De stjålne syklene ligger i elven under bybroa og skal ikke sykles noen steder, eventuelt hvis politiet fisker dem opp og selger dem på auksjonen under martnaen, medio mars. Vaskerpersonalet har en time igjen av natta. Bakerne står allerede i dusjen. Securitasmannen lyser med lommelykten rundt hus hjørnene, men ser bare en albinogrevling som graver i en haug frosen kompost på jakt etter meitemark. Låser seg inn hos en rikmanns familie med boblebad og presser avføring ned i sveitsisk porselen og

80 holder på å glemme å skylle ned, avledet av synet av sin egen penis i det kravstore speilet.

Når klokken blir fire, ringer vekkeklokken til vaskepersonalet som i løpet av ti minutter må greie å sette beina på gulvet. Securitasvakten parkerer taktisk nede på jernbanestasjonen, når et godstog kommer dundrende gjennom sentrum med vogner fylt med smør, joggesko, sprøytemidler, spikeresker for å fylle hyllene i diverse bygg og matbutikker nord i landet. Securitasvakten sovner mens han forsøker å telle vognene og våkner ikke før en av taxisjåførene borte ved sentralen banker på vinduet hans og sier, "på tida at vackna" og går tilbake til gruppen med taxisjåfører som står og damper på dagens første sigaretter.

Mørket fortyntet som utvannet kaffe. Det lysner. Lyden av en ambulanseutrykning, et trafikkuhell på E6, to barn alvorlig skadet, mor sovnet bak rattet.

Kommunens representanter våkner. Arbeiderpartiordføreren koker seg som vanlig tre egg om morgenen som han eter på knekkebrød med meierismør, en gave fra en politikervenn i Underdal, lar så hunden løpe rundt i hagen i noen minutter og rekker igjen å angre på at han ikke stiftet familie mens han fremdeles hadde sjansen. Kommunens kultursjef våkner av at telefonen ringer, men når han svarer, er det ingen der, og han blir i et kort øyeblikk bekymret for at noen er etter ham, men vet ikke at mennesket på den andre siden er en av de gamle på sykehjemmet som forsøker å ringe hjem til sine foreldre som har vært døde i over førti år.

Så går det slag i slag. De som ikke forsover seg sitter rundt hvert sitt bord og tygger i seg sine brødskiver. Den gamle får en siste beroligende av nattvakten før hun går og våkner først sent på ettermiddagen, hutrende under et fleceteppe på balkongen og spør en røykende helse — og sosiallærling, "hvem er du?". Legen som håpet på en rolig formiddag, må ta kontroll over en tragedie, da barna dør på operasjonsbordet og moren våkner fra narkosen.

Noe er helt feil for plutselig blir hun helt rar i ansiktet. Et bein, innser Roy, har tverket nede i halsen hennes. Han begynner derfor å banke løs på ryggen hennes med harde, konsise slag, skjønner ikke hvor mye tyngde han bør legge i det. Barnet velter framover og fatet med kylling, peppersaus og karriris faller ned i to nivåer, først i fanget til Roy, så ned på leggen, før det knuses mot gulvet. Sausen er heldigvis ikke kokvarm. Rakk ikke engang å forsyne seg med den helvetes salaten med havsalt og feta. Fargen i ansiktet hennes har gått fra friskt, rødt, liksom blankt, til hvitt, tenderende blått. Roy slår og slår. Hun har kvalte oppsperrede øyne og griper etter objekter som om hun i raseri ønsker å ødelegge alt omkring seg før sin egen forsvinning; blomstervasen går i gulvet sammen med de nyskollende mandlene som Rita skulle bruke til kransekakestenger og mandarinene triller ut over gulvet som avhogde hoder under en giljotin. Roy registrerer at bevegelsene hennes gradvis tappes for kraft, blir mer rykkvis, spastisk, at dødsgiften pumpes rundt i kroppen hennes. Roy har forklart det mange ganger, at det er derfor man koker krabbene levende, at krabben ikke føler smerte slik mennesker gjør og at det derfor ikke finnes noen grunn til å stille seg opp på krakken og med nedsunkne blikk holde gravtaler. Alt man føler, alt man har i kroppen er kjemiske prosesser, blå og røde eliksirer som renner fra et reagensrør til et annet og blir til noe annet som igjen blir til noe annet.

Og nå regner det for første gang etter første frostnatt. Har ikke det fenomenet også et navn? Brødristeren har lagt en pøl med kokssmuler utover benken og duken har fått et grenseløst irriterende eseløre som Roy kaster seg fram for å jevne ut. Han reiser seg opp. Stolen vipper tilbake og blir stående lent mot kjøkkenbenken. Han løfter datteren, folder hendene rundt kroppen, knytter hendene til en slags hjerteform og rykker til mot det punkt han antar er solar plexus. Først en gang, så en gang til. Og det er først da det løsner; noe spretter ut av munnen hennes, et

82 påfølgende dypt innpust, så korte hakkende hikst og livet vender tilbake til sin opprinnelige form. Roy setter seg ned på stolen og tar tak under armene hennes og løfter henne over i fanget sitt, begynner å stryke henne over håret. Han er klam i hånden og den glir ikke så lett over ryggen hennes, så han opplever ikke at kjærtegnet får noe flyt. Ser et ambulanshelikopter komme blinkende over himmelen, og er glad han ikke skal veive den inn i sin egen hage og se Ida bli heist opp i himmelen. Nei, hans datter lever. Vinden er derimot lite sjenerøs med helikopterkroppen, der en syttito år gammel mann ligger med sitt hjerteinfarkt og like ved, hans kone, med brukket hånd, redd for at hun har kommet til *det siste*, og derfor griper hun ekstra hardt rundt mannens håndledd.

Gråten går fort over, men Roy beholder henne, skjønner at reddheten bare har trukket inn i henne, vet den er der, bare skjult. Kanskje tenker hun at faren egentlig vil gjøre noe annet, for eksempel se et program på tv i stedet for å være med henne. Men han ønsker ikke å se noe på fjernsyn, vil tvert om signalisere at det eneste han vil nå, er å være *her* med henne, hans eneste datter som nettopp har gjennomlevd et traumatisk øyeblikk. *Så, så*. Sier han, trekker opp skjorten hennes og stryker henne over den røde huden. Katten har kommet inn på kjøkkenet og står og sniffer på kyllingen som ligger ved bordbenet, stikker først tungen ut, smaker forsiktig, før den begynner å dra i skinnnet. Han tenker, *men det var til ditt eget beste, jeg ville bare hjelpe deg slik det er forventet av en far*, men sier i stedet "unnskyld". Katten drar med seg et kyllingstykke ut i gangen og blir ikke stoppet for denne gang, selv om rommet under trappa ligner ei steinalderhule, med ulike bein som katten på finurlig vis har fått klørne i.

"Vil du ha noe mat nå da?", spør han.

"Nei", sier hun.

"Er du ikke sulten allikevel?"

Hun drar på det. "Kanskje sjokkomelk".

”Nei, det får du ikke”.

”Men da så”.

?

Ida vipper fram tilbake på låret hans. Her viser hun sitt ansikt, tenker Roy. Et ansikt av smerte, tenker han, smigrende og svakt. Det hun en gang kommer til å ta med seg når hun i framtiden besøker han, den dagen familien har gått til det skritt å innlosjere ham på et sykehjem. Ja, det har han tenkt oftere og oftere på. At hun kommer sikkert da for å søke forsoning, med sin kalde far som sitter alene på et sparsommelig rom inne på et underprioritert sykehjem, i en uttisset bleie og bordblomster som han av og til pirker over med en skjelvende nikotingul finger. Han ser for seg at Ida skyver stolen inntil sengen hans der han sitter med fire store puter i ryggen og brødsmler spredd rundt på brystet. Roy som bare sitter og ser ut av vinduet, mot parkeringsplassen der noen polske arbeidere eter skinkebagetter, på en gammel dame som stavrer seg fram med gåstolen med bærekurven full av tomflasker. Han ser for seg øyeblikket der datteren kjenner hvor mye han stinker, men allikevel skyver stolen sin helt inntil senga, lener seg over ham, stryker han over håret, for hvem ville gjort dette om ikke henne? Roy hører stemmen hennes, *hvordan går det med deg i dag da far?* Ser henne vagt gjennom hornbrillene, klarer ikke helt å kjenne henne igjen og spør om hun er moren hans. Men hun svarer, *nei, det er meg Ida, din datter.* Å jo, svarer han, *å jo. Deg har jeg hørt mye fint om.* Så stillhet. En byggmakkerreklame i radioen. En rutebuss som stopper ved holdeplassen utenfor gartnerskolen. Lukten av overkøkt steinbit på kritthvite bein. Hun vet ikke helt hva hun skal si, har bare lyst til å gå, men gjentar inne i seg selv; *hvem andre om ikke meg, hvem andre om ikke meg?* Aksel har avskrevet sin far, *han sitter jo bare og glaner ut av vinduet,* tenker Roy at sønnen sier, *man må jo også beskytte seg selv.* Men datteren tørr å hvile i den stillheten, forsøker å skrape vekk en flekk han har på ermet, men da trekker han

84 armen fornærmet til seg, skriker, *våg ikke di drittkjerring*. Roy ser på henne, *hvem er hun, hvem er dette mennesket som sitter her, fornærmer hun meg?* Hun venter litt, lar faren selv glemme det han har sagt, for hun vil fortelle noe viktig, vil at han skal lytte. Hun biter fremdeles negler for hun er fremdeles urolig og er ofte sykemeldt. Ei pisseflaske ligger på bordet så det skal være praktisk å få unna sitt fornødende hvis Roy mot formodning skulle huske å trekke i snora fremfor å væte rett i bleia. Han drømmer om somrene på gården til besteforeldrene der kyrne sprøyter varmt kupiss i åkrene, stå i ei balje og plaske og rope som barn gjør, under syrinene, under klesvasken.

Vinduer fulle av hakkende veps! Så tar hun sikkert pusten og sier sannheten, *du var aldri noen god far du*. Men Roy sitter bare og gliser, plutselig opptatt av et punkt rett over hodet hennes, på motsatt vegg, en slags lysfleck som langsomt glir over rommet som om noen sto utenfor og reflekterte sollys med et knivblad. Det ser så morsomt ut, synes han, *oho*, noen skriver med lys!

Hører du etter? Han ser på henne igjen, ser ikke at hun er helt lik sin far, "at dette farskapet er noe han nok ikke kunne lure seg unna". Men han retter igjen konsentrasjonen mot flekken på veggen. Den har nå nådd lampeskjermen, glir over de tunge bronsefargede tekstilrosene. *Sola er god den*, sier han. *Hva? Sola skinner*. Hun nøler. *Jeg syns ikke du var snill nok mot mor*, kan hun for eksempel komme til å si, mens solflekken begynner sin reise over veggen. Først over stolen der det ligger et fleeceteppe, så over nattbordet, der solbrillene ligger like ved ei skål med sjokoladehjerter og videre og videre. Han ser og ser på denne prikken, mens datteren forsøker å møte blikket hans, vil utstå dette ødelagte ansiktet mens hun fremdeles har det. Har hun noen gang sett det så nakent før? Kanskje legger hun nå merke til noe nytt: en linje fra øret til munnen, nye rynker, formet etter det livet han hadde levd, de menneskene han hadde møtt, som en minste felles multiplum av alle de ansiktsuttrykkene han hadde rettet

mot verden gjennom sitt uforbeholdne lange liv. Se noe vevert i det hatefulle ansiktet som plutselig får henne til å kjenne et fnugg av omsorg overfor sin gamle far, for eksempel arret etter at han falt ut av sengen og ble liggende i en pøl av blod og rope om hjelp i over en time før nattevakten omsider hørte ham og fikk han opp i sengen sin igjen. De ringte henne fra sykehjemmet morgenen etter, så han for seg, for sånt var vel lovpålagt, der hun og den lille fuglefamilien står og hakker salat og forteller henne at *din far falt i morges ut av sengen sin og ble sendt til legevakten* og hun ville sikkert svare noe sånt som, *takk for at dere gav beskjed*, lagt på og fortsatt arbeidet med å hakke hjertesalaten til enda finere biter og raskt glemt alt om ham. Helt til hun nå ser arret. Den lille rifta i pannen hans, like unselig som en krittstrek på ei skoletavle når elevene har dratt hjem, og kommer på dette og føler igjen omsorg. Men sier, *dette er en avskjed far, nå kommer jeg aldri mer tilbake*. Roy ser på henne før han igjen henvender seg til den lykkelige prikken som dreier over veggen, familiebildene, sykehjemmets standardmalerier, Miro og Piccasos modernisme, landskapsidyller. Imens har Ida reist seg og gått fra rommet han bebor. Roy merket ikke at hun la sitt kinn til hans, at hun smurte leppene hans før hun tok jakken sin og gikk. Ikke føle glede, ikke føle hat, for å føle er å åpne døren til skrekken og hjemløsheten, men holde igjen, grave ned, følge prikkens reise gjennom rommet, mens lysene faller og prikken snart forsvinner som en fisk glipper av kroken og svømmer glinsende tilbake til dypet hvor den kom fra, og han kommer til å gråte og gråte for alt som forsvinner og aldri, aldri kommer tilbake.

Men Ida var heldigvis fremdeles bare et lite barn som hadde fått et kyllingbein i halsen. Roy informerer så datteren om hva klokka er, og hun sier *jeg vet* og hopper ned fra fanget hans, løper mot badet. Han reiser seg, skrur først av platene som fremdeles står på, før han går inn på badet, lukker døren etter seg, låser. Hun står og venter på ham. Han bøyer henne over vasken,

86 setter på vannet, fukter kluten og skrubber ansiktet hennes. På gamlehjemmet skal hun også nevne dette, at han vasket henne for hardt, for grovt, og forsøker å stryke lettere, men vil bare bli ferdig og få jentungen til sengs, så det blir grovt allikevel. Hun tar selv tannkrem på kosten og begynner å pusse. *Alt det jeg ser nå er mitt*, tenker han. *Dette eier jeg*. Rumpa hennes formet som en løk. Og igjen til gamlehjemmet skal hun også kommentere det, at *når du sto på badet var det akkurat som om du glodde på meg, på kroppen min, jeg skjønnte ikke hvorfor, og når du sa at rumpa mi lignet en løk, jeg glemte aldri det*, og det er nå han sier det, det er nå, it's realtime; Ida "rumpa di ligner på en løk". Hun pusser bare videre. Ser på faren som om hun ikke hørte helt etter. "Sånn ser rumpa di ut". Han lager en form i luften. Når hun ser på faren er det ikke fordi han ikke har truffet henne, det er bare at hun er så jævelig god til å skjule ting for ham. Vis meg ærligheten din! Tenker han. Hun spytter i stedet en munnfull skum i vasken som om det allerede var glemt. Pusser videre, før hun straks kakker tannbørsten mot kanten, skyller børsten og drikker slurpende av vannet han fører til munnen hennes med buktet hånd. Hun har nakken etter sin farmor. Så skal hun tisse, syns nok han bør vente utenfor, men såpass forstår da en far. Han stiller seg i gangen, men holder dørhåndtaket nede. Han vil at hun skal vite at han venter. Roy hører henne dra av seg trusa, at strikken klas-ker mot låret, hører at hun setter seg. Katten graver i kattesanden. Hun har satt seg ned, men det skjer ingenting. Katten graver og graver. Ikke noe tiss. Han venter og lytter, men fremdeles ingenting. Han hører henne presse og så, et lite, bittlite plopp og raskt lyden av en hånd som river av først ett og så to dopapirflak og skyller ned. Han åpner ei lita glipe og titter inn. Hun har reist seg og trusa sitter som den skal. Roy er så stolt at han holder på å sprekke, måten hun klarer seg selv på, hvor ryddig og ordløst alt er, hvor mye hun egentlig har tilegnet seg, glad for at det nesten ikke lukter noen ting.

Hun løper foran faren inn på rommet sitt. Han gir henne talgbitene hun bruker i ørene, som hun trenger for å få sove, kysser henne på pannen og sier "god natt, frøken".

Roy går og lukker døra så vidt etter seg, hører at det knirker litt i senga før hun faller til ro. Han blir stående å se på bildene som Rita har nålet opp på korktavla i gangen; et fotballkort, dugnadsinvitasjon, noen gamle konfirmasjonstakkekort. Ei ungjente i nordlandsbunad som Roy i det siste har sett røykende i baksetet på byens lysegrønne Amazon, og tenker hun nok må spre beina for en slurk heimbrent, blandet ut i appelsinhooch, og en tipakning Marlboro light. Den andre gutten har på seg stripe-te dress og et gult silkeslips på hvit skjorte. Han har edderkopp-tynt hår og trillrunde briller og står med hånden lent til et vårfriskt tre der noen prestekrager er lagt i en klissete bukett på ei grein like over hodet hans. Roy ser for seg aspik og tynne skiver elgkjøtt med asparges og Mozel i champagneglass. Kommer på at Aksel snart også er konfirmant, grubler over dette, ser for seg seg selv som konfirmant, men ingen bilder kommer til. En helt tom dag? Så hører han Rita, sin kone, åpne ytterdøra og trå inn i gangen.

"Halo", roper hun.

"Hysj", sier han.

Hun er fuktig i håret og det bare på den korte turen fra postkassestativet. I posen hun har satt på gulvet er det stablet vaniljeisbokser.

«Så er syltetøyet i hus», sier hun, på en måte som om det gleder ham. Riktignok var han glad i konens syltetøy, men å oppvise glede over det, holdt han seg for god til. Hun har fargestoffer på fingrene, som ligner blåmerkene som vokser under huden på et lik.

"Har dere hatt det fint?"

"Jada". Han ser henne på brystene, men ingen utringing. Vender om og går til kjøkkenet og rydder opp. Kaster kyllingen. Setter

88 salatbollen på benken. Går inn i stua og legger seg rett ut i sofaen. Det er ulikt Roy, men nå gjør han det, legger seg i sofaen, ja riktig kroer seg opp i hjørnet. Vil snakke, men Rita er på badet, tar opp et dameblad mens han venter, blar litt i det. Roy roper *nei* takk når Rita spør om hun skal lage ekstra ostepørbrød til ham, men når hun kommer med maten, får han allikevel lyst på og biter over en tredjedel av brødskiven hennes mens hun er ute etter tekoppen sin. Hun ser på bittet som ligner et haibitt i et surfebrett, velger å la det passere ukommentert, spiser resten mens smuler drysser ned på det lille fatet hun holder opp under haka.

Før han legger seg, bestemmer Roy seg for å dusje. På kjøkkenet går vaskemaskinen stille og benkene er sitron-jiffet. Han går forbi soverommet til Ida og går ikke videre før han er sikker på at hun puster. Han går inn på badet, raper den karrisausen og den kyllingen som han rakk å få i seg før uhellet fant sted, og gir seg selv to spruter med Ritas Dior-parfyme. Badekulene hennes ligger i munnen av en gapende porselensfrosk på hyl-len hennes, sammen med en pinsett, rusten i kjevene. Han tar av seg på overkroppen og river litt i hårene rundt brystvortene. Trekker ned buksa og trusa i samme bevegelse. Merker seg en liten ereksjon som han forsøker å motivere. Forsøker å se for seg at Rita kommer inn på badet og sier *jeg kan godt hjelpe deg litt*. Ser henne sette seg ned på huk som på pornofilm og tar pikken hans i munnen. Tar den så langt inn i munnen at hun nesten brekker seg som alltid virker så pirrende når han ser det skje på film. Vil så gjerne fantasere om sin kone. Men det stopper der, han ser bare for seg feil ting. Så ser han igjen for seg Idas ansikt, hvordan det farget av seg mot blått, han kjenner de ansente berøringene hennes på ryggen, hører kvelningslydene. Kyllingbeinets form. Men så pumper allikevel sæden daft ut av ham og ned i vasken, en orgasme så svak at den nesten ikke merkes. Han kjenner hvordan det meste av dosen fremdeles henger igjen oppe i urinrøret og at han derfor må presse resten ut som

var det remulade fra et kremmerhus. Sæden er en anelse gråere enn porselenet i vasken, tenker han. Allikevel slår det ham som rart at kroppen stadig produserer sæd. Han skal jo ikke ha flere barn. Hvorfor?

Han går stivt inn i dusjkabinettet og skrur på vannet. Lider seg gjennom det kalde før en osende varm følelse får spre seg i kroppen. Såpene til Rita står i egen hylle, som henger som en venetiansk balkong på veggen. Han har en flassjampo og et snart tilintetgjort stykke Lano håndsåpe i plastskålen som fulgte med dusjkabinettet. Roy ser for seg huset omringet av amerikanske militære som gjennom *high definition* våpen leser av kroppsvarmen på husets beboere for å gjøre et mest mulig taktisk angrep. Han ser for seg den røde energibanen rundt Rita, med sin kopp engelsk te i hendene, han ser for seg Ida i sengen sin, han ser for seg sin egen lysende kropp i kabinettet, hvor lett det ville vært å sette ham ut av spill med et velplassert nakkeskudd fra et lyd-dempet maskingevær. Han ser for seg katten som ligger på kontorstolen foran datamaskinen i etasjen over, dog med et svakere lys. Han ser for seg obersten sittende i skjul nede i skråninga, som tar den endelige beslutningen og hvisker inn i sambandet, *attack*.

Et slags mantra: Roy ser offiserens kone som har stått hele formiddagen og kokt kraft på knokler, kål, kyllinglever, neper og laget en vidunderlig kjøttssuppe; strødd over estragon, kruton-ger og ost, som hun setter rykende varm på kjøkkenbordet når hun hører skinnstøvlene hans trække inn i trapphuset. Ungene, to lyshårete småjenter med fletter og rutete bondekjoler sitter som vanlig ved bordet og legger puslespill, men springer bort til sin far idet de ser ham i døra (*Vater, Vater!*) og kysser ham på begge kinnene fordi de vet hvor mye han setter pris på det. Moren motiverer dem. Men i dag dytter han dem bare vekk, sier «ikke i dag», «gå og sett dere». Konen må ha lagt merke til at han oppfører seg underlig, at han ikke viser den gleden overfor

90 småjentene sine slik han bruker. De, som er hans prinsesser! Hun spør, «noe i veien Joseph?», hvorpå han ser på henne, sier, «la oss spise». Først forsyner Joseph sine døtre, så øser han opp til seg selv, han ser at kjøttet slipper beinene med et smatt og ser for seg det redde ansiktet til et barn som han nettopp har sparket inn i en togvogn. Der han egentlig bruker å nyte luktene, vemmes han, kjenner bare stanken av likbål og brent hår. Konen ser det og sender brødkurven over bordet, sier «her Joseph, nybakt brød». Korpsmusikk høres fra lang avstand. Noen kroende duer i vinduskarmen. Vimpler som flapper i vindene. Småpikelleppene som slurper i seg, drevet av sin selvfølgelige lyst til liv. Så plukker han langsomt granaten opp fra lommen, veier den litt i hånden før han trekker splinten ut med pekefingeren og slipper den rolig ned på gulvet. Den triller i to eller tre sekunder før den faller til ro. Han rekker å kaste korte blikk rundt bordet og vil plutselig advare dem og si *løp*, men granaten rekker å eksplodere og ingen ord når fram til de ansiktene han er omgitt av, kvinnene i sitt liv: glass og suppetallerkener knuses til pulver, treskap slås til pinneved, sølvtøy og duker det samme, viserne i vegguret lander på balkongen på den andre siden av gaten, tyske landskapsmalerier og de knuste lemme- ne til de elskede små pikene flyr sammen gjennom luften, også hans kone som akkurat rakk å skjønne hva som holdt på å skje, men som ikke greide å verge sine barn, rives i filler. Sildrende glass over solvarm brostein.

Ingen ting er tristere enn et utkonkurrert kjøpesenter. Og et av dem står midt i byen på bein av misfarget murstein. Går man inn dit gjennom en av senterets to skyvedører får man øyekontakt med butikkselgere som en gang hadde gründerideer de trodde på, men nå står de der som Ivo Caprinske voksfigurer, bak disker dekt med gavepapir, tillater seg å smile til menneskene som passerer, men like fullt glir tilbake til kjedsommeligheten når kunden glir forbi i retning Vinmonopolet. Ofte er det menn som parkerer under kjøpesenteret for å få sentrums billigste parkering og skal på en kort bankvisitt over gaten. Det eneste som kan få dem til å stoppe opp er når gullsmeden triller ut det en meter høye brillestativet ut i gangen, fylt med pilotbriller med glinsende innfatninger. Men man kan ikke finansiere drømmen om Provance på pilotbriller til hundreogsyttininitti.

Kjøpesenteret lever på julehandelen fram til påske, men etter det blir det vanskelig. Byplanleggerne så muligheten av å legge senteret her, mente at alle som befant seg i sentrum på et eller annet tidspunkt ville forville seg ned hit. Rundt bordet ble det sagt, "alle veier fører til Centrum City". Dessverre fikk de altfor rett i dette, bare at de som faktisk stikker innom ikke er de som er best økonomisk stilt. Det er ungdommer som skal kjøpe seg ei flaske farrisvann på automaten fordi det er fire kroner billigere enn på treningssenteret hundre meter lenger ned i gaten. Det er pensjonister og asylsøkere som kommer for å spille automat. Ofte oppstår det grusomme scener, av typen; en hasjrøykende mann fra Eritrea ser seg lei av at en åttiniår gammel dame okkuperer Indiana Jones automaten i førti minutter og tar til slutt tak i jakkekraven hennes og roper opp i ansiktet hennes, "my turn!", hvorpå kvinnen, godt trent i ydmykelse, spytter afrikaneren opp i ansiktet, hvorpå han igjen svarer med å kaste handlekurven hennes fylt med hermetikk og puffet ris ned på gulvet, hvorpå situasjonen ikke roer seg før en mann fra Vinmonopolet kommer løpende. Skobutikkens ansatte ser en annen vei.

En gang lå skobutikken nobelt til i sentrumsgaten, viden kjent for sine italienske sko, solgte paraplyer for femtitusen i året, lommebøker for tjue, og hadde en eim av eksklusivitet som dro pe-ne fruer fra omegn dit for å handle. Men nå, ettersom årene har gått, et IT-firma presset dem ut av lokalene, ble butikken flyttet til kjøpesenteret, sluttet med å ta inn italienske sko, men billigere, østeuropeiske varianter, samtidig som beboerne ble mer kosmopolitiske og dro til nærmeste storby der utvalget tross alt var større. De er to ansatte som går i skift, en eldre dame med brune kjoler, og som med en hvis verdighet fremdeles kan selge skolisser og vintersåler til pensjonistfruene. Den andre er en ukrainsk kvinne, med tett, krøllet hår, som gjerne selger buk-ketøfler og støvletter og enda sjeldnere boots til en hipster på juleferie, men uten større innlevelse enn med den man åpner ei kjøleskapsdør. Kommunens velfungerende gründere kan telles på en hånd: fem rånere gikk sammen og laget hermetisk egge-salat som visstnok har slått til i Baltikum. Omsetning: 1, 1 milli-on. Nevnte IT-firma, omsetning 500500. Et aktivitetssenter satt i gang av en danser utdannet ved skolen for samtidisdans i Oslo. Omsetning 202200. Det er som om noe nytt er på gang, men ingen helt greier å sette fingeren på hva det er. En snikkapitalis-me som har funnet seg nye kanaler og som har nullstilt de gamle strukturene. Ingenting fungerer like bra, og ingen vet hvor-for. Verden har vridd så langsomt at ingen så det. Men så hva? Hvordan se endringen? Hva er endring? Reklameplakater med vakre mennesker er ikke nok for at kommunens beboere begyn-ner å interessere seg for østeuropeiske støvletter med hasp. Sal-get av Napoleonskake stuper. Velkledde utstillingsdukker med naturlige kroppsformer er heller ikke tilstrekkelig for å bryte seg inn i ungpikenes lommebøker. Det er som om man skuler på hverandre. Hva er det du går og tenker på? “Jasså, du kjøper deg entrecôte, din luksusrotte”, tenker man og kjøper seg selv First Price karbonadedeig på trass. Hvor er logikken?

Slik kan man tenke, når man står i bilkøen gjennom sentrum, passerer det utkonkurrerte kjøpesenteret der brillestativene rulles inn i butikken igjen og revisorfirmaet bestående av svært gamle menn og svært unge damer der lyset slukkes for dagen. Slik kan man tenke når man ser organisten låse seg ut av kirkedøren med kofferten full av flere hundre år gamle kantater i hånden, kantater ingen lenger orker å lytte til. Slik kan man tenke, når man låses fast inne i kommunenes mest trafikkerte kryss av røde lys og plutselig gripes av en vond klaustrofobi, mens bilene tuter og suser utenfor. Og man vinker ikke til en bekjent man ser liggende over dashbordet mens han eller hun forsøker å vaske duggen av frontruten med en Naff-klut, nei, man fortsetter rett fram, ut, vekk, hvor som helst bare ut av denne verden.

Fragmety powieści pod roboczym tytułem Ostatnie, co zobaczysz, to oblicze miłości

Stół władzy wykonany jest z jasnego drewna, przy nim stoi osiem posłusznie dosuniętych krzeseł. Papierowe kubeczki na stoliku na kółkach, jeden do połowy wypełniony proszkiem Nescafé, drugi — kostkami cukru. Pozostawiony jedwabny szal. Ktoś zapomniał też zamknąć okno, więc w środku będzie zimno, gdy pracownicy gminy wkrótce zjawią się ze swoimi aktówkami i kanapkami na drugie śniadanie. W filtrze znajduje się kawa, trzeba tylko nalać wody i nacisnąć przycisk. Na zewnątrz: krata zbierająca odpadki, papierki od gum do żucia, mrożone frytki, niedopałki i inne śmieci. Książyc prześwieca mocno przez brzozy na rynku. Wiatr porywa kartki równie cynicznie, co dziecko wyrrywające nóżki musze. Zbiornik fontanny na górnym rynku przykryty cienki lód, dziecięcy but przewrócony na bok przypomina chyba najbardziej iryga-tor do nosa, który często kładzie się na łazienkowej półce, ale używa się rzadko lub wcale. Pośrodku zbiornika stoi chłopiec z brązu, ustawiony na niewielkim podwyższeniu. Ścisła brzuch ryby, z której pyszczka la-tem tryska strumień, jednak dozorca parku już dawno wyłączył wodę, żeby rury pod ziemią nie popękały. Skradzione rowery leżą w rzece pod mostem miejskim i nigdzie już nie pojadą, chyba że wyłowi je policja i sprzeda na aukcji podczas jarmarku w połowie marca. Ekipie sprzą-tającej została jeszcze godzina nocy. Piekarze biorą już prysznic. Ochro-niarz oświetla latarką rogi domów, ale widzi jedynie borsuka albinosa, przekopującego zamrożony kompost w poszukiwaniu dżdżownic. Za-myka się w domu bogatej rodziny z jacuzzi i wyciska kał na szwajcarską

96 porcelaną; prawie zapomina splotkać, rozproszony widokiem własnego penisa w wymagającym lustrze.

Po nastaniu czwartej odzywają się budziki członków ekipy sprzątającej, którzy w ciągu dziesięciu minut muszą postawić nogi na ziemi. Ochroniarz parkuje taktycznie na dworcu kolejowym, gdy pociąg towarowy przejeżdża z totemem przez centrum, z wagonami pełnymi masła, sportowego obuwia, pestycydów i gwoździ, które zajmą miejsce na półkach w sklepach z artykułami budowlanymi i spożywczymi na północy kraju. Ochroniarz zasypia, próbując liczyć wagony, i budzi się dopiero, gdy jakiś taksówkarz z centrali stuka do jego okna, mówiąc: „Czas wstawać”, po czym wraca do grupki taksówkarzy kurzących pierwsze tego dnia papierosy.

Ciemność rzędzie jak rozwodniona kawa. Robi się jasno. Dźwięk karretki, wypadek drogowy na E6, ciężko ranne dziecko, matka zasnęła za kierownicą.

Budzą się reprezentanci gminy. Przewodniczący Partii Pracy gotuje sobie jak zwykle rano trzy jajka, które zjada na chrupkim pieczywie z prawdziwym masłem — prezentem od kolegi-polityka z Underdal, następnie pozwala psu pobiegać parę minut po ogrodzie, udaje mu się też znów pożałować, że nie założył rodziny, gdy jeszcze miał szansę. Gminny kierownik do spraw kultury budzi się na dźwięk telefonu, ale kiedy odbiera, nikogo nie słychać, więc przez chwilę martwi się, że ktoś go śledzi; nie wie jednak, że osobą po drugiej stronie jest staruszka z domu opieki, próbująca dodzwonić się do swoich nieżyjących od ponad czterdziestu lat rodziców.

Dalej idzie już gładko. Ci, którzy nie zaspali, siedzą przy swoich stolikach, pochłaniając kanapki. Staruszka dostaje ostatnią dawkę środka uspokajającego od pracownika na nocnym dyżurze, po czym idzie sobie i budzi się dopiero późnym popołudniem, drżąc pod kocem z polaru na balkonie, gdzie pyta palącą praktykantkę opieki społecznej: „Kim jesteś?”. Lekarz, który miał nadzieję na spokojne przedpołudnie, musi zapanować nad tragedią, gdy dzieci umierają na stole operacyjnym, a matka budzi się z narkozy.

Coś jest nie tak, bo nagle jej twarz przybiera dziwny wyraz. Roy zdaje sobie sprawę, że w jej gardle utkwiała kość. Zaczyna więc mocno i precyzyjnie uderzać ją w plecy, nie wie za bardzo, jak dużej siły użyć. Dziecko przechyla się naprzód, a talerz z kurczakiem, sosem pieprzowym i ryżem z curry spada na dwie raty — najpierw na kolana Roya, potem na goleń, aż wreszcie rozbija się o podłogę. Sos nie jest na szczęście zbyt gorący. Nawet nie zdążył spróbować tej cholernej sałatki z solą morską i fetą. Jej twarz zmienia się ze świeżej, czerwonej, jak gdyby jaśniejącej, w białą, niemal siną. Roy ciągle uderza. Dziewczynka wytrzeszcza oczy i chwyta przedmioty, jakby w napadzie szału chciała zniszczyć wszystko wokół siebie, zanim zniknie; wazon trafia na ziemię razem ze świeżo łuskanymi migdałami, którymi Rita miała ozdobić kawałki kołacza, a mandarynki toczą się po podłodze niczym głowy ścięte pod gilotyną. Roy rejestruje, że jej ruchy stopniowo tracą na sile, stają się bardziej urywane, spazmatyczne, jej ciało wypełnia śmiertelna trucizna. Roy wielokrotnie wyjaśniał, że to dlatego kraby gotuje się żywcem, że kraby nie odczuwają bólu, więc nie trzeba z tego powodu stawać na taborecie i ze spuszczonego wzrokiem wygłaszać mów pogrzebowych. Wszystko, co człowiek odczuwa, co ma w swoim ciele, to procesy chemiczne, błękitne i czerwone eliksiry płynące między próbkami, stające się czymś nowym, co znów zmienia się w coś nowego.

A teraz spadł pierwszy deszcz po pierwszej nocy z przymrozkiem. Czy to zjawisko nie ma swojej nazwy? Toster zostawił na blacie kałużę okruszków koloru koksu, a na obrusie pojawiło się bezgranicznie irytujące zagięcie, na które Roy rzuca się, chcąc je wyrównać. Wstaje. Krzesło przechyla się w tył i opiera o kuchenny blat. Podnosi córkę, obejmuje dłońmi ciało, styka z sobą dłonie, tworząc swego rodzaju serce i uderza w punkt, w którym jego zdaniem znajduje się splot słoneczny. Najpierw jeden raz, potem raz jeszcze. Dopiero wtedy puszcza; coś wypada z jej ust,

98 następnie głęboki wdech, krótkie, urywane zachłyśnięcia; życie powraca do pierwotnego kształtu. Roy siada na krześle, chwytając ją pod rękę i usadawia na swoich kolanach, zaczyna głaskać jej włosy. Jego dłoń jest wilgotna i nie przesuwają się lekko po jej plecach, więc Roy ma wrażenie, że pieszczocie brak płynności. W górze widzi nadlatujący, mrugający światłami helikopter pogotowia, cieszy się, że nie musi wskazać mu drogi do swojego ogrodu i patrzeć, jak Idę unoszą ku niebu. Nie, jego córka żyje. Wiatr nie obchodzi się jednak łaskawie z ciałem helikoptera, kiedy siedemdziesięciodwuletni mężczyzna leży tam z zawałem serca, a tuż obok jego żona ze złamaną dłonią, pełna obaw, że to *ostatnie chwile*, więc wyjątkowo mocno ściska nadgarstek męża.

Płacz prędko mija, ale Roy nadal ją trzyma, rozumie, że strach tylko się w niej schował, że nadal tam tkwi. Może ona myśli, że tata właściwie chce zrobić co innego, na przykład obejrzeć program w telewizji, zamiast być z nią. Ale on nie chce oglądać telewizji, wręcz przeciwnie, chce zasygnalizować, że jedyne, czego teraz chce, to być *tutaj* z nią, jego jedyną córką, która właśnie przeżyła traumatyczną chwilę. *Już, już*. Mówi, podciąga jej koszulkę i głaszcze czerwoną skórę. Do kuchni przyszedł kot, obwąchuje kurczaka leżącego koło nogi u stołu, najpierw wyciąga język, ostrożnie próbuje, a potem zaczyna ciągnąć skórę. Roy myśli: *ale to było dla twojego dobra, chciałem ci tylko pomóc, tak jak ojciec powinien*, zamiast tego mówi tylko „przepraszam”. Kot ciągnie kawałek kurczaka na korytarz i tym razem nikt go nie powstrzymuje, chociaż przestrzeń pod schodami przypomina jaskinię z epoki kamienia, pełno tam kości, które kot w przebiegły sposób dostał w swe pazury.

— Chcesz coś jeść? — pyta on.

— Nie — odpowiada ona.

— Nie jesteś jednak głodna?

Zastanawia się. — Może mleko czekoladowe.

— Nie, tego nie dostaniesz. No przecież wiesz.

Ida kołysze się na jego udzie. Pokazuje swoją twarz, myśli Roy. — No dobra — mówi. Twarz pełną bólu, myśli Roy, przytulną i słabą. Twarz, którą pokaże mu kiedyś podczas odwiedzin w przyszłości, gdy rodzina podejmie ten krok i odda go do domu starców. Tak, ostatnio coraz częściej o tym myśli. Że na pewno przyjdzie tam, aby się z nim pojednać, ze swoim chłodnym ojcem, siedzącym samotnie w oszczędnie urządzonej pokoju w podrzędnym domu starców, w niezasikanej pieluszcze i z kwiatkami, w których czasem grzebie drżącym, żółtym od nikotyny palcem. Wyobraża sobie, jak Ida przysuwa krzesło do jego łóżka, na którym siedzi podparty na czterech wielkich poduszkach, z okruszkami chleba rozrzuconymi na piersi. Roy tylko siedzi tak i wygląda przez okno, na parking, gdzie polscy robotnicy jedzą bagietki z szynką, na starszą kobietę, która człapie z balkonikiem i koszykiem pełnym pustych butelek. Wyobraża sobie chwilę, kiedy córka czuje jego smród, a jednak przysuwa krzesło jak najbliżej łóżka, pochyla się nad nim, głaszcze go po włosach, bo kto inny zrobiłby to, jeśli nie ona? Roy słyszy jej głos, *to jak się dzisiaj miewasz, tato?* Widzi ją niewyraźnie przez okulary w rogowej oprawie, nie rozpoznaje jej do końca i pyta, czy jest jego matką. Ale ona odpowiada: *nie, to ja, Ida, twoja córka. A tak, mówi on, a tak. O tobie słyszałem dużo dobrego.* Cisza. Reklama marketu budowlanego w radiu. Autobus zatrzymuje się na przystanku pod szkołą ogrodniczą. Zapach rozgotowanej zębaczki o białych jak kreda ościach. Dziewczyna nie wie do końca, co powiedzieć, ma tylko ochotę iść, ale powtarza w duchu: *кто inny, jeśli nie ja, кто inny, jeśli не ja.* Aksel skreślił swojego ojca, *przecież on tylko siedzi i gapi się przez okno,* Roy wyobraża sobie, co mówi jego syn, *przecież trzeba też siebie chronić.* Ona jednak ośmiela się wytrwać w ciszy, próbuje zdrapać plamę z jego rękawa, na co on urażony cofa ramię i krzyczy, *ani się waż, zasrana babo.* Roy patrzy na nią, *kim ona jest, kim jest ta osoba, która tu siedzi, czy ona mi ubliża?* Odczekuje chwilę, pozwala ojcu

100 zapomnieć, co powiedział, bo chce przekazać mu coś ważnego, chce, aby jej posłuchał. Nadal obgryza paznokcie, bo ciągle jest niespokojna i często przebywa na zwolnieniu lekarskim. Na stole leży kaczka na mocz, więc pójście za potrzebą nie powinno być trudne, o ile Roy wbrew oczekiwaniom będzie pamiętał, aby pociągnąć za sznurek, zamiast zmoczyć pieluchę. Śni o lecie na farmie dziadków, gdzie krowy podlewają pola ciepłym moczem, o staniu w balii, pluskaniu się i krzyczeniu jak dziecko, pod bzami, pod praniem. Okna pełne szamoczących się os! Wtedy ona wciąga zdecydowanie powietrze i mówi prawdę, *nigdy nie byłeś dobrym ojcem*. Ale Roy tylko szczyrzy zęby, nagle zainteresowany punktem tuż nad jej głową, na przeciwległej ścianie, swego rodzaju plamką światła, która powoli przesuwa się po pokoju, jakby ktoś stał na zewnątrz, odbijając błysk słońca ostrzem noża. Sądzi, że to takie zabawne, *oho*, ktoś pisze światłem! *Słuchasz mnie? Znów na nią spogląda, nie widzi, że zupełnie przypomina swojego ojca, „że tego ojcostwa nie mógłby się wyprzec”*. Po chwili koncentruje się jednak znów na plamie, która dotarła do abażuru i przesuwa się właśnie po ciężkich różach w kolorze brązu. *Słońce jest dobre*, mówi. *Co? Świeci słońce*. Ida waha się. *Myślałem, że nie byłeś dość dobry dla mamy*, mogłaby na przykład powiedzieć, gdy słoneczna plama zaczynała swoją podróż po ścianie. Najpierw nad krzesłem, na którym położono koc z polaru, później nad stolikiem nocnym, gdzie okulary przeciwsłoneczne leżą tuż obok miski z sercami w czekoladzie, i dalej, dalej. Roy wpatruje się w tę kropkę, a córka próbuje napotkać jego spojrzenie, chce znieść widok tej zniszczonej twarzy, póki jeszcze ma szansę. Czy kiedykolwiek widziała ją tak obnażoną? Może spostrzegłaby coś nowego: linię od ucha do ust, nowe zmarszczki, uformowane na kształt jego życia, poznanych osób, jako najmniejsza wspólna wielokrotność wszystkich wyrazów twarzy, które skierował ku światu w ciągu swojego bezwarunkowego, długiego życia. Zobaczyłaby coś żwawego w pełnej nienawiści

twarży, co nagle pozwoliłoby jej poczuć odrobinę czułości wobec starego ojca, na przykład bliznę po upadku z łóżka, kiedy leżał w kałuży krwi, wołając o pomoc przez ponad godzinę, zanim usłyszała go pielęgniarka na nocnej zmianie i położyła go z powrotem. Wyobrażał sobie, jak następnego ranka zadzwonili do niej z domu starców, bo tak każe chyba prawo, kiedy kroili kapustę razem ze swoją ptasią rodziną, i powiedzieli jej, że *pani ojciec spadł dziś rano z łóżka i został wysłany do ambulatorium*, a ona pewnie odpowiedziała na to coś w stylu *dziękuję za informację*, odłożyłaby słuchawkę, by dalej kroić kapustę pekińską w jeszcze drobniejsze kawałeczki i prędko by o nim zapomniała. Aż zobaczyłaby bliznę. Małą bruzdę na czole, równie niepozorną, co narysowana kredą kreska na szkolnej tablicy po skończonym dniu — zauważa ją i ogarnia ją czułość. Mówi jednak: *ojcze, to jest pożegnanie, już nigdy nie wrócę*. Roy spogląda na nią, po czym znów zwraca się ku radosnej kropce wirującej po ścianie, po zdjęciach rodzinnych, standardowych obrazach zdobiących dom opieki, Miro, Picasso, idyllicznych landszaftach. W międzyczasie Ida wstała i poszła. Roy nie zauważył, że przytknęła swój policzek do jego policzka, że musnęła jego usta, nim zabrała kurtkę i wyszła. Nie czuć radości, nie czuć nienawiści, bo czuć to jak wpuścić strach i bezdomność, ale wstrzymać je, zakopać, obserwować podróż kropki przez pokój, gdy światła gasną, a kropka zaraz zniknie niczym ryba, która wyrwała się z haczyka i wraca połyskliwie w głębinę, z których wypłynęła, on zaś będzie płakał i płakał nad wszystkim, co znika i nigdy, przenigdy nie wraca.

Ida była jednak nadal tylko małym dzieckiem, które zadławiło się kością kurczaka. Roy mówi więc córce, która jest godzina, a ona odpowiada *wiem* i zeskakuje mu z kolan, biegnie do łazienki. Roy wstaje, najpierw skręca kuchenkę, która była cały czas włączona, po czym idzie do łazienki, zamyka za sobą drzwi, przekręca zamek. Ona stoi i czeka na niego. Pochyla ją

102 nad zlewem, puszcza wodę, moczy szmatkę i szoruje jej twarz. W domu starców ona wspomni również o tym, że mył ją zbyt mocno, zbyt szorstko, więc próbuje łagodniejszego dotyku, chce jednak jak najszybciej skończyć i wysłać małą do łóżka. Sama wyciska pastę na szczoteczkę i zaczyna myć zęby. *Wszystko, co teraz widzę, jest moje*, myśli on. *To moja własność*. Jej pupa w kształcie cebuli. W domu starców ona również to skomentuje, powie, że *kiedy stałaś w łazience, czułam, jakbyś gapił się na mnie, na moje ciało, nie rozumiałam, dlaczego, ale kiedy powiedziałeś, że moja pupa przypomina cebulę, nigdy tego nie zapomniałam*, i teraz właśnie to mówi, właśnie teraz, it's realtime; Ida, „twoja pupa przypomina cebulę”. Dalej myje zęby. Patrzy na ojca, jakby go nie słuchała. „Tak wygląda twoja pupa”. Pokazuje kształt w powietrzu. Patrzy na ojca, ale nie dlatego, że jej to nie dotknęło, tylko ponieważ cholernie dobrze potrafi przed nim wszystko ukrywać. Wypluwa pianę do zlewu, jakby już zapomniała. Myje zęby dalej, ostukuje szczoteczkę o krawędź, przepłukuje ją i chłęczce wodę, którą on podaje jej w dłoni. Ma kark po babci. Chce też siku, wydaje jej się, że powinien zaczekać na zewnątrz, ale ojciec tyle rozumie. Staje w korytarzu, jednak trzyma klamkę wciśniętą. Musi wiedzieć, że na nią czeka. Roy słyszy, jak zdejmuje majtki, jak gumka strzela o udo, jak siada. Kot grzebie w żwirku. Usiadła, ale nic się nie dzieje. Kot ciągle grzebie. Nadal ani kropli. Czeka i nasłuchuje, ale wciąż nic. Słyszy, jak prze, po chwili maleńki plusk i szybko dźwięk urywania najpierw jednego, a potem kolejnego listka papieru toaletowego, dźwięk spłuczki. Lekko uchyla drzwi i zagląda do środka. Wstała, a majtki znajdują się, gdzie powinny. Roy prawie pęka z dumy, że tak dobrze sobie radzi, że wszystko odbywa się tak porządnie i bez słowa, że tyle się nauczyła, cieszy się, że nie czuć prawie żadnego zapachu.

Ida biegnie przed ojcem do swojego pokoju. Roy daje jej kawałki łoża, które dziewczynka wkłada do uszu, żeby móc zasnąć, całuje ją w czoło i mówi: „Dobranoc, panienko”.

Roy wychodzi i ledwo zamyka za sobą drzwi, gdy słyszy lekkie skrzypienie łóżka, po chwili zaś Ida się uspokaja. Stoi i przygląda się zdjęciom, które Rita przypięła do tablicy korkowej na korytarzu: karta piłkarska, zaproszenie do udziału w czynie społecznym, jakieś stare kartki z podziękowaniami za uczestnictwo w konfirmacji. Młoda dziewczyna w stroju ludowym z północnej Norwegii, którą Roy ostatnio widział, jak paliła na tylnym siedzeniu jedyne w mieście seledynowego Volvo Amazon i myśli, że pewnie rozchyła nogi za łyk bimbrowo-pomarańczowego samogonem oraz dziesięciopak Marlboro light. Drugi chłopak ubrany jest w prążkowany garnitur i żółty, jedwabny krawat do białej koszuli. Ma cieniutkie włosy i okrągłe okulary, stoi z ręką opartą o świeżo rozkwitłe drzewo, a na gałęzi tuż nad jego głową zawieszono lepki bukiet jastrunów. Roy wyobraża sobie auszpiłki i cienkie plasterki mięsa z łosia ze szparagami oraz riesling znad Mozeli w kieliszkach do szampana. Przypomina sobie, że Aksel też niedługo idzie do konfirmacji, zastanawia się nad tym, próbuje wyobrazić sobie siebie samego w dniu konfirmacji, ale w jego głowie nie pojawiają się żadne obrazy. Całkiem pusty dzień? Wtedy słyszy, jak Rita, jego żona, otwiera drzwi wejściowe i wchodzi na korytarz.

— Halo — woła ona.

— Cii — odpowiada on.

Włosy jej zmokły, i to tylko przez krótką drogę od skrzynki na listy. W siatce, którą odstawiła na ziemię, znajdują się pudełka z lodami waniliowymi.

— No to przyszedł dżem — mówi Rita, w sposób, jakby miało go to ucieszyć. Lubił co prawda dżem żony, ale nie aż tak, żeby okazywać z tego powodu radość. Rita ma na palcach pigment, który przypomina siność pojawiającą się pod skórą trupa.

— Miło spędziliście czas?

— Tak, tak. — Patrzy na jej piersi, ale nie ma dekoltu. Odwraca się i idzie posprzątać w kuchni. Wyrzuca kurczaka. Ustawia

na białej misce z sałatką. Wchodzi do salonu, gdzie od razu kładzie się na kanapie. To niepodobne do Roya, lecz teraz właśnie kładzie się na kanapie, rozkłada się wygodnie w rogu. Chce porozmawiać, ale Rita jest w łazience, czekając chwyta magazyn kobiecy, przerzuca w nim strony. Roy krzyczy, że nie chce, kiedy Rita pyta, czy ma zrobić dla niego więcej kanapek z serem, ale gdy przychodzi z jedzeniem, ma mimo wszystko ochotę i odgryza jedną trzecią jej kanapki, kiedy ona wychodzi po swoją herbatę. Rita spogląda na ślad podobny do ugryzienia rekina na desce surfingowej, woli tego nie komentować, zjada resztę, a okruszki sypią się na talerzyk, który trzyma pod podbródkiem.

Przed pójściem spać Roy postanawia wziąć prysznic. Pralka pracuje cicho w kuchni, białe umyto mleczkiem o zapachu cytryny. Mija sypialnię Idy i idzie dalej dopiero upewniwszy się, że oddycha. Wchodzi do łazienki, odbija mu się sosem curry i kurczakiem, którego zjadł przed wypadkiem, po czym spryskuje się dwa razy należącoymi do Rity perfumami Diora. Jej kule do kąpieli znajdują się w rozwartym pyszczku porcelanowej żabki stojącej na jej półce, obok zardzewiałej pincety. Rozbiera się od pasa w górę i wyrywa parę włosków wokół sutków. Jednym ruchem ściąga spodnie i majtki. Zauważa niedużą erekcję, którą usiłuje zmotywować. Próbuje wyobrazić sobie, jak Rita wchodzi do łazienki, mówiąc *mogę ci trochę pomóc*. Wyobraża sobie, jak kucyka niczym w filmie pornograficznym i wkłada sobie jego członka do ust. Tak głęboko, że prawie wymiotuje. Bardzo chciałby pofantazjować o swojej żonie. Przestaje jednak w tym miejscu, bo widzi tylko złe rzeczy. Znowu wyobraża sobie twarz Idy, widzi, jak odbarwiła się i zsiniała, czuje pełen wysiłku dotyk jej pleców, słyszy odgłosy dławienia. Mimo to nasienie niemrawo wypływa z niego i spoczywa w umywalce, orgazm jest tak słaby, że ledwie da się go zauważyć. Czuje, że większość nadal tkwi w przewodzie moczowym, więc musi wydusić resztę jak remuladę z wyciskarki do sosu. Nasienie jest nieco bardziej szare niż porcelana

umywalki, myśli Roy. Mimo wszystko dziwne wydaje mu się, że ciało nadal produkuje spermę. Przecież nie będzie już miał dzieci.

Sztucznie wchodzi do kabiny prysznicowej i odkręca wodę. Musi przecierpieć zimną, aż po ciele rozejdzie się ociekające ciepło. Żele pod prysznic Rity stoją na osobnej półce, zwisającej ze ściany niczym wenecki balkon. On ma szampon przeciwłupieżowy i niemal całkiem unicestwiony kawałek mydła do rąk w plastikowym pojemniczku zamontowanym na stałe w kabinie. Roy wyobraża sobie dom otoczony przez amerykańskich żołnierzy, którzy za pomocą broni *high definition* odczytują ciepłość ciała mieszkańców, aby zaatakować w jak najbardziej taktyczny sposób. Wyobraża sobie czerwoną wiązkę koło Rity, siedzącej z filiżanką angielskiej herbaty w dłoniach, wyobraża sobie Idę w łóżku, swoje własne, jaśniejsze ciało w kabinie, myśli, jak łatwo byłoby się go pozbyć dobrze wycelowanym strzałem w kark z wytłumionego karabinu maszynowego. Wyobraża sobie kota leżącego na krześle biurowym przed komputerem na piętrze wyżej, choć w słabszym świetle. Wyobraża sobie pułkownika, który siedzi w ukryciu na zboczach, podejmuje ostateczną decyzję i szepcze do radia, *attack*.

Swoista mantra: Roy widzi żonę oficera, która całe przedpołudnie gotowała wywar na kościach, kapuście, kurzych wątróbkach i rzepie, zrobiła cudowną zupę mięsną, posypała ją estragonem, dorzuciła grzanek i sera, a teraz stawia ją parującą na kuchennym stole, kiedy słyszy, jak jego skórzane buty wstępują na klatkę schodową. Dzieci, dwie jasnowłose dziewczynki w warkoczach i sukienkach w kratkę, siedzą jak zwykle przy stole i układają puzzle, ale rzucają się na ojca, gdy tylko widzą go w drzwiach (*Vater, Vater!*) i całują go w oba policzki, bo wiedzą, jak bardzo na to liczy. Matka je motywuje. Tego dnia jednak ojciec je odsuwa, mówi: „Nie dzisiaj, idźcie usiąść”. Żona musiała zauważyć, że dziwnie się zachowuje, że nie okazuje jak zwykle

106 dziewczynkom radości. Pyta go: „Coś nie tak, Joseph?”, na co on spogląda na nią, mówi: „Jedźmy już”. Najpierw Joseph karmi swoje córki, później sam sobie nalewa, widzi, jak mięso z młasnieniem odchodzi od kości, a przed oczami staje mu przestraszona twarz dziecka, które właśnie zapędził kopniakiem do wagonu. Choć na ogół rozkoszuje się zapachami, tym razem się brzydzi, czuje tylko smród zwęglonych ciał i spalonych włosów. Żona dostrzega to i podaje mu przez stół koszyk z chlebem, mówi: „Proszę, Joseph, świeży chleb”. Z dala dobiega ich muzyka orkiestry dętej. Na parapecie gruchające gołębie. Proporce łopoczą na wietrze. Siorbiące zupę usta dziewczynek, kierowanych swoją oczywistą ochotą na życie. Wtedy wyjmuje powoli z kieszeni granat, sprawdza jego ciężar w dłoni, po czym wyciąga zawleczkę palcem wskazującym i wolno upuszcza go na podłogę. Toczy się przez dwie czy trzy sekundy, aż staje. Zdąża obrzucić osoby wokół stołu krótkim spojrzeniem, nagle pragnie je ostrzec, krzyknąć *uciekajcie*, ale granat wybucha i żadne słowo nie dociera do otaczających go twarzy, do kobiet jego życia: szklanki i talerze z zupą roztrzaskują się w proch, szafki rozpadają się w drzazgi, podobnie jak srebra i obrusy, wskazówki zegara lądują na balkonie po drugiej stronie ulicy, niemieckie pejzaże i zmiażdżone kończyny ukochanych dziewczynek fruną obok siebie w powietrzu, a jego żona, która właśnie zdążyła pojąć, co się stanie, ale nie udało jej się ochronić dzieci, zostaje rozerwana na strzępy. Szemrzące szkło na rozgrzanym bruku.

Nie ma smutniejszej rzeczy od wygryzionego przez konkurencję centrum handlowego. Jedno z nich stoi w środku miasta na nogach z odbarwionych cegieł. Wchodząc do środka przez suwane drzwi, nawiązuje się kontakt wzrokowy ze sprzedawcami, którzy kiedyś wierzyli w idee przedsiębiorczości, teraz jednak stoją jak woskowe figury Ivo Caprino, za ladami przykrytymi papierem pakowym, pozwalają sobie posyłać uśmiech mijającym ich ludziom, lecz mimo wszystko na nowo ogarnia ich nuda, gdy klient sunie w stronę monopolowego. Często mężczyźni parkują pod centrum handlowym, na najtańszym parkingu w śródmieściu, żeby na chwilę wstąpić do banku po drugiej stronie ulicy. Zatrzymuje ich jedynie jubiler, który wtacza na hol wysoki na metr stojak z okularami, pełen pilotek w połyskujących oprawkach. Marzenia o Prowansji nie da się jednak sfinansować okularami pilotkami za sto siedemdziesiąt dziewięć dziewięćdziesiąt.

Centrum handlowe aż do Wielkanocy żyje z zakupów bożonarodzeniowych, później jednak robi się trudno. Miejscy planiści upatrywali szansy w takiej lokalizacji centrum, uważali, że wszyscy odwiedzający śródmieście w pewnym momencie będą chcieli tutaj zabłądzić. Wokół stołu mówiono: „Wszystkie drogi prowadzą do Centrum City”. Niestety mieli aż za bardzo rację, tyle że ludzie, którzy faktycznie tu zaglądną, nie należą do najlepiej sytuowanych. Są to dzieciaki, które kupują butelkę wody mineralnej w automacie, bo kosztuje cztery korony mniej niż w siłowni położonej sto metrów dalej przy tej samej ulicy. Są to emeryci i azyłanci, którzy przychodzą tu grać na automatach. Często dochodzi do okrutnych scen, na przykład kiedy palącemu haszysz mężczyźnie z Erytrei nudzi się, że osiemdziesięcioletnia pani od czterdziestu minut okupuje automat z Indianą Jonesem, więc chwytą ją za kołnierz kurtki i wykrzykuje do niej: „My turn!”, na co kobieta, wyćwiczona w upokorzeniach, pluje Afrykaninowi w twarz, on z kolei odpowiada, zrzucając na podłogę jej koszyk na zakupy, pełen konserw i dmuchanego

108 ryżu, a sytuacja uspokaja się dopiero, gdy podbiega do nich facet z monopolowego. Pracownicy obuwniczego odwracają wzrok.

Sklep obuwniczy znajdował się kiedyś w szlachebnym miejscu przy ulicy w centrum, był powszechnie znany ze swoich włoskich butów, sprzedawał parasole za pięćdziesiąt tysięcy rocznie, portfele za dwadzieścia, a jego ekskluzywna atmosfera przyciągała na zakupy eleganckie panie z okolicy. Teraz jednak, po latach, firma informatyczna zajęła lokal sklepu, który został przeniesiony do centrum handlowego, przestał sprowadzać włoskie buty, a zamiast tego zaczął zaopatrywać się w tańsze, wschodnioeuropejskie warianty, jednocześnie zaś mieszkańcy stali się bardziej kosmopolityczni i zaczęli jeździć do pobliskiego dużego miasta, gdzie wybór mimo wszystko jest większy. Na zmianę pracują tam dwie osoby — starsza pani w brązowych sukienkach, która z pewną godnością nadal potrafi sprzedawać emerytkom sznurówki i wkładki na zimę. Drugą ekspedientką jest Ukrainka o gęstych, kręconych włosach, która chętnie sprzedaje kaptcie i kozaczki, a rzadziej ciężkie buty hipsterowi podczas ferii świątecznych, nigdy jednak nie wczuwa się w to bardziej niż podczas otwierania drzwi lodówki. Na palcach jednej ręki policzyć można dobrze prosperujących w tej gminie przedsiębiorców: pięciu wieśniaków skrzyknęło się i wymyśliło sałatkę jajeczną w puszcze, która ponoć przebiła się na rynkach krajów bałtyckich. Przychód: 1, 1 miliona. Wspomniana firma informatyczna, przychód: 500 500. Centrum tańca założone przez zajmującego się nowoczesnymi układami tancerza, który powrócił w rodzinne strony. Przychód 202 200. Wydaje się, jakby szykowało się coś nowego, ale nikt nie potrafi dokładnie określić co. Podstępny kapitalizm, który znalazł nowe kanały i wyczyścił dawne struktury. Nic nie działa tak samo, nikt nie wie dlaczego. Świat odwrócił się tak wolno, że nikt tego nie zauważył. Ale czego? Jak dostrzec zmianę? Czym jest zmiana? Plakaty reklamowe z nagimi ludźmi nie wystarczą, aby mieszkańcy

gminy zaczęli interesować się wschodnioeuropejskimi kozaczkami ze sprzączką. Sprzedaż napoleonek spada. Ładnie ubrane manekiny wystawowe o naturalnych kształtach też nie wystarczą, by włamać się do portfeli młodych dziewczyn. Jakby wszyscy patrzyli na siebie wilkiem. O czym tak myślisz? „Aha, kupiłeś antrykot, ty burżuju”, myślisz i sam na złość kupujesz sobie mielone z dyskontu. Gdzie tu logika?

Tak właśnie można myśleć, stojąc w korku w centrum, gdy mijają się wygryzione przez konkurencję centrum handlowe, gdzie stojaki z okularami wtaczane są z powrotem do sklepów, i firmę audytorską składającą się z bardzo starych mężczyzn i bardzo młodych kobiet, gdy światła tego dnia gasną. Tak samo można też myśleć, widząc organistę, który zamyka za sobą drzwi kościoła, a w ręce trzyma walizkę z setkami starych kantat, których nikt już nie daje rady słuchać. Tak właśnie można pomyśleć, stając w środku skrzyżowania czerwonych świateł i nagle doświadczając bolesnej klaustrofobii, podczas gdy auta trąbią i śmigają za oknem. Nie macha się wtedy do pochylonego nad deską rozdzielczą znajomego, który szmatką próbuje zetrzeć rosę z przedniej szyby, nie, jedzie się dalej naprzód, jak najdalej, gdziekolwiek, byle z dala od tego świata.

Tłumaczenie: Katarzyna Tunkiel



Bil i fjorden
(utdrag)

Det er allereie mørkt ute. Eg ven meg aldri til at det blir så tidleg mørkt. På andre sida av parken som går i ring rundt heile gamlebyen, sig to trikkar etter kvarandre forbi husfasadane. Klokka er fem på fem. Ho blir sikkert sju før eg kan koste på meg ei øl.

Det fyrste Mathias sa då eg kom, var at han allereie hadde skrivne fire sider på det nye stykket. Og dette er same dagen som han har sendt frå seg fyrste utkast av det andre stykket til forlaget. Han liker å skrivne replikkar. Det fell naturleg for han.

Framfor alt har han kome i gang med romanen att. Han har ein plan for romanen, ein tydeleg idé. Ein velbrukt idé, som han sjølv seier: Ein fyr, siste etterkomar av ei grein av ein jødisk familie, reiser rundt og prøver å rekonstruere familiehistoria, som for ein stor del sluttar slike stader som Auschwitz. Mathias seier, nesten orsakande, at sjølv om ideen kanskje er velbrukt, er det ein idé som han trur kjem til å føre fram til ein god roman, sidan forteljingane, episodane frå liva til desse folka som forsvann, er så sterke i seg sjølve.

Telefonen min dirrar i lomma. Eg tek ein kik på klokka i menylinja på maskina att. Det er for seint på dag til at det kan vere ein telefon av det ubehagelege slaget. Eg tek fram telefonen idet han dirrar for andre gong. Kristian, står det. Eg blir sitjande å sjå på namnet medan telefonen dirrar ein gong til, og endå ein.

Til no har det kome to meldingar av den nye boka mi, som eg ikkje har skrive, eller som eg ikkje veit om eg har skrive: to i hovudsak velviljuge og rosande meldingar i to av landets største aviser. Og når meldingane nemner forfattaren av boka, er det med mitt namn.

Presentasjonen av boka på framsida til nettstaden til forlaget er på plass, med lenkje til ein lengre tekst. Både på framsida og i sjølve artikkelen er det ikkje berre bilete av boka, men òg bilete av meg. I tillegg til presentasjonen av boka er der ein kort biografi over forfattaren, som ber mitt namn, og denne biografien samsvarer fullt og heilt med min biografi, med unntak av den siste setninga som seier at denne boka er mi andre bok, for det er ikkje mi bok. Det er ikkje eg som har skrive denne boka, eller eg er i det minste ikkje sikker på om det er eg som har skrive denne boka.

Eg har allereie gjeve to intervju, for faen. Orsak. Eg har late meg intervjuet av to aviser i samband med lanseringa, med bilete og alt. På det eine biletet står eg nede med Breivatnet i Stavanger sentrum i ei vindjakke, og på det andre står eg i troppa ned til bakhagen på Bøker & børst i Stavanger sentrum og ser opp på fotografen, som må stå i døra. Viss ein les desse to intervjuane øye og prøver å få tak i nøyaktig kva det er eg seier om denne nye boka, så vil ein sjå at eg ingen stad seier, og ingen stad gjev inntrykk av, at det er eg som har skrive denne boka. Eg snakkar om skriving, og eg snakkar om tilhøvet mellom biografi og fiksjon og mellom historiske hendingar og fiktive hendingar og mellom historiske personar og fiktive personar, men ingen stad seier eg at det er eg som har skrive denne boka, og journalisten stiller heller ingen spørsmål som uttrykksleg legg til grunn at det er eg som har skrive denne boka, som er mi andre bok.

Og i morgon er det altså radio igjen. NRK P2, med meg i NRK Rogaland sitt studio på Ullandhaug og ei eller anna P2-dame i eit eller anna studio på Marienlyst. Eg kjem til å bli plassert

i eit studio, eit nokså stort eit, og det kjem til å vere lyd i mikken og lyd i headsettet. Teknikaren på andre sida av glasveggen sit vend mot meg heile tida, men etterpå viser det seg at bortsett frå å få lyd i mikk og headsett har han ikkje hatt noko med opp-taket å gjere. Han har site og redigert innslag eller andre opp-tak av noko slag heile tida medan eg har site og snakka med ei dame i eit eller anna studio på Marienlyst om den andre boka mi, som ikkje er mi bok.

Sist eg var her, då fyrsteboka mi kom ut, skulle P2-dama absolutt ha meg til å lese nøyaktig det same utdraget som fleire avismeldarar allereie hadde hengt seg opp i og sitert: ein passasje som handlar om det låttelege i det å dikte opp romanperso-nar og vente at folk skal lese det i fullt alvor. Eg burde sjølv sagt sagt nei og lese noko anna, eit av dei avsnitta eg hadde merka av med gule lappar i eksemplaret eg hadde med meg. Eg hadde kanskje gjort det òg, viss eg hadde site i same studio som P2-da-ma, men det gjorde eg altså ikkje. Ho var berre ei stemme på øy-ret, og eg var åleine i studioet, og eg sa ikkje imot, men las det utdraget som P2-dama ville ha meg til å lese.

Før opptak sa eg noko om at eg skulle prøve å ikkje fikle med pennen, eller kanskje det var boksidene eg sa, og ho belærte meg om at den tida var forbi då ein prøvde å lage stille radio. Eg har no vel for faen site nok timar i radiostudio til å vite det. Eg prøvde berre å vere grei. Ho verka i det heile uinteressert i heile seansen. Etter opptak lét ho ikkje høvet gå frå seg til å få sagt at ho for hennar del syntest at boka mi i det store og det heile var keisam og langdryg, og likeins at ho hadde gjennomskoda at det lengste kapittelet, som eg tenkte på som hovudkapittelet, og som eg framleis er nøydd til å tenkje på som hovudkapittelet, hadde fått den lengda det hadde fått, eine og åleine fordi eg hadde meint at eg måtte gjere ei kort bok lengre med å tvære det heile ut med lange og uleselege topografiske skildringar. Jau, eg takkar for interessa.

Med litt hell er det kanskje ei anna P2-dame eg får på øyret i morgon. Eg kan ikkje tenkje meg at det blir noko opplesing denne gongen. Slik eg hugsar det, var opplesinga noko som hørde med i debutantintervjua slik P2 gjorde dei det året den fyrste boka mi kom ut, altså det året den einaste boka mi så langt kom ut, viss det verkeleg er slik eg trur det er, nemleg at det ikkje er eg som har skrive den andre boka mi, som ikkje er den andre boka mi, men som er nokon andre si bok, utgjeven i mitt namn.

Eg kjem likevel til å ta med meg eit eksemplar av nyeboka, berre i tilfelle. Eg har allereie merka av, med gule lappar, tre passasjar som eg kan tenkje meg å lese. Viss det blir aktuelt, kjem eg til å sjå an kva som passar best i samanhengen. Det fyrste utdraget er opninga av boka, og dei andre to utdraga er litt lenger uti, rundt side seksti eller sytti, begge to. Lenger har eg ikkje kome i lesinga.

Eg kan ikkje ha skrive dette.

Men viss det er nokon andre som har skrive denne boka, så har han, eller ho, gjort skikkeleg arbeid. Både språket og stilen er gjenkjennelege. Stilen er ikkje heilt den same som i fyrsteboka, men det er likt nok, og nokre av passasjane er akkurat slik som eg skriv, eller slik som eg prøver å få til å skrive. Språket er heilt likt. Heilt likt. Å fy faen. Orsak. For eit helvete det blir viss det verkeleg er nokon andre som har skrive dette og det kjem ut. Og det kjem til å kome ut. Viss det er nokon andre som har skrive det, så er det heilt nøydt til å kome ut. Kvifor skulle nokon gjere dette viss dei ikkje hadde baktankar med det? Ein eller annan har skrive denne boka i mitt namn og fått henne utgjeven, og gudane veit korleis det har gått til utan at Kristian har skjønt at noko var gale.

Eg burde sjølvsagt ha lese ferdig heile greia i går då eg var så godt i gang, men eg klarte ikkje å late vere å tenkje på kven det kan vere. I staden for å lese ferdig sette eg opp ei liste over moglege forklaringar og moglege mistenkte. Eg skreiv ikkje opp meg sjølv, men eg burde sjølvsagt òg stå på den lista. Eg kunne ha skrive dette.

Og kven andre? Bente er eigentleg den einaste på lista som verkeleg kunne ha gjort det.

Det einaste motivet eg kan tenkje meg for å gjere noko slikt, er å øydeleggje meg. Før eller seinare kjem ein eller annan, ein mann eller ei dame, ung eller gammal, til å ringje til forlaget eller til avisene og seie at det er han, eller ho, som har skrive denne boka. Og han eller ho kjem til å ha ei av to forklaringar. Anten at han eller ho har gjeve seg ut for å vere meg, og at eg har vore så feig eller dum eller sinnsforvirra at eg ikkje har sagt som sant er: nemleg at det ikkje er eg som har skrive boka, at eg ikkje har sett noko av dette før, og at eg ikkje har fått til å skrive noko som helst sidan fyrsteboka med unntak av ei endelaus rekkje med romanbyrjingar og ei endelaus rekkje med fragment som ikkje har noko med kvarandre å gjere.

Den andre forklaringa han eller ho som har gjort dette, kan kome til å gje, er at eg har rappa alt saman frå vedkomande, og at eg har levert det til forlaget og late forlaget tru at eg har vore opphavsmannen. I det fyrste tilfellet kjem eg for alltid til å sjå ut som ein stakkar eller ein idiot eller eit psykiatrisk tilfelle eller alle tre tinga på ein gong. I det andre tilfellet kjem eg for alltid til å sjå ut som ein stakkar, ein idiot, eit psykiatrisk tilfelle og i tillegg ein svindlar.

Det store spørsmålet for meg her er sjølv sagt kvifor eg ikkje på eit eller anna tidspunkt, sjølv om boka allereie var ute, og same kor vondt det hadde gjort, har ringt Kristian og lagt korta på bordet. Viss eg hadde gjort det, hadde sjølv sagt han sett ut som ein idiot. Forlaget hadde fått ei ripe i lakken, mildast tala. Men det kjem òg til å skje, når dette kjem ut, slik det før eller seinare må. Og då kjem forlaget ikkje til å ha noko val. Ein stad går grensa, òg for lojaliteten eit forlag er forplikta til å oppvise overfor ein forfattar i stallen.

Dei kan ikkje gjere anna enn å slå handa av meg. Viss han eller ho som har skrive dette, påstår at eg har stole teksten, må dei seie:

116 Beklagar, vi har gjort ein stor feil. Vi skulle sjølvsagt oppdaga at dette var eit plagiat, men den stolne teksten har eit språk og ein stil som ikkje er til å skilje frå språket og stilen til vår forfattar, anten årsaka er at den eigentlege opphavsmannen har eit språk og ein stil som er svært like språket og stilen til vår forfattar, eller at vår forfattar har tilpassa språket og stilen til sitt eige språk og sin eigen stil. Vi har sjølvsagt gjeve beskjed til vår forfattar, det vil seie til vår tidlegare forfattar, om at han ikkje lenger er vår forfattar, at vi ikkje lenger vil ha noko å gjere med denne forfattere, og at vi ikkje kjem til å svare på førespurnader frå denne forfattere anten det gjeld utgjevingar av tekstar av denne forfattere på vårt forlag, eller det gjeld oppdrag for vårt forlag som omsetjar, litterær konsulent, språkvaskar eller korrekturlesar.

Og viss den som har gjort dette, fortel, som sant må vere, at han eller ho har gjeve seg ut for å vere meg og levert dette manuset til forlaget i mitt namn, kan forlaget heller ikkje gjere anna enn å seie det som det er: Vi har blitt lurte, og den einaste som kunne avslørt svindelen, nemleg vår tidlegare forfattar, har, av grunnar vi ikkje har føresetnader for å gjere oss spekulasjonar om og heller ikkje ser grunn til å gjere oss spekulasjonar om, unnlate å opplyse om at dette ikkje er hans verk, og ikkje nok med det, han har òg med opne auga late seg intervju om utgjevinga, og dermed har han i praksis gjeve seg ut for å vere forfattere av denne boka.

Som alltid i umoglege situasjonar greier eg ikkje late vere å drøyme om at det skal finnast ein eller annan måte eg kan kome meg ut av det på.

Og det finst ei løysing. Det vil seie: Viss dette hadde vore ein roman og ikkje mitt eige ynkelege forpulte liv, så hadde det funnest ei løysing. Eg kunne spora opp gjerningsmannen eller gjerningskvinna — eller gjerningspersonane! Å i helvete, det har eg ikkje tenkt på i det heile, men sjølvsagt burde eg det. Det er ei reell moglegheit for at meir enn ein person kan stå bak dette. I så tilfelle er eg ferdig ein gong for alle.

Lat oss håpe, lat meg håpe, at det er ein einaste person som står bak dette. Då kan eg spore opp vedkomande og gjere eitt eller anna. Truge? Kva kan eg truge med? Trugsmål hjelper nok ikkje.

Ein eller anna må døy.

Mest truleg eg.

Eg dreg pusten djupt og pustar djupt ut att før eg trykkjer svar og reiser meg med ein forklarande gest til Mathias, som har løfta blikket.

— Hei, Kristian, seier eg. Eg går mot troppa som fører inn i den delen av kafeen som ligg inne i sjølve bygget.

— Hallo, korleis går det? seier han.

— Det går bra.

— Er du på byen?

Eg opnar døra som fører ut til utstillingshallen og toaletta.

— Ja, seier eg, eg er på ein kafé. Eg plar sitje her å jobbe.

— Kor bra då! Det er ikkje alle som får til det der. Eg greier ikkje å skrive e-post på kafé, eingong. Men det kan vere fint å lese manus. Ikkje viss ein skal lese grundig og notere og sånn, men når ein skal lese ting berre for å få eit inntrykk.

— Ja, seier eg.

— Det er vel ikkje mangel på kafear i Kraków, kan eg tenkje meg?

— Nei, seier eg. — Det er valdsamt. Men dei har nettopp innført nye røykjereglar, så vi brukte litt tid på å finne ein ny stamplass.

— Ja, de sit der og røykjer, de ja. Her oppe er det inga bønn. Her er det å ta heisen ned og stå ute og fryse. Det er jævlig kaldt her no.

Eg ser føre meg inngangspartiet til forlaget i den sure oslo-lufta med menn i svarte dressar som krummar ryggen mot kulden og vinden.

— Men no er det vel snart slutt på det gode livet for deg, òg, seier Kristian. — Er det laurdag du kjem til Noreg att?

— Ja, det stemmer.

— Og på måndag er det P2?

— Ja.

— Det kjem til å bli bra. Kjem du til Oslo, eller gjer dei det i Stavanger?

Eg står og ser på eit svart-kvitt bilete frå innsetjinga av Obama.

— Vi gjer det i Stavanger, seier eg. — Eg skal vere der klokka eitt.

— Veit du kven det er du skal snakke med?

— Nei, seier eg. — Det er eg ikkje sikker på. Eg er ikkje heilt sikker på kven det er som er kvar i P2 for tida.

— Det blir bra uansett.

Under det store biletet, der Obama sin svartkledde rygg er midt i, og heile den øvste halvdelan av biletflata er fylt av folkemengda, heng det eit mindre bilete av Bush junior, Laura Bush, Cheney i rullestolen og kona hans. Det er berre dei fire. Ingen av dei ser i kamera. Bush junior ser ut som han strekkjer litt på seg for å sjå etter nokon.

— Ja, seier eg. — Vi får håpe det.

— Men vi må no få deg hit òg.

— Kanskje det? seier eg.

— Korleis ser det ut for deg seinare den veka? Er det då de skal lese på Mono, forresten?

— Ja, seier eg. — Det er på laurdag, så vidt eg hugsar.

Eg veit ikkje kvifor eg seier det siste. Eg veit godt at det er på laurdag.

— Korleis er det, kjem du så pass tidleg at vi får tid til ein prat tidlegare på dagen?

— Ja, det trur eg, seier eg.

Eg har gløymt å kjøpe billett, eller utsett å kjøpe billett, frå Stavanger til Oslo. Med min vanlege flaks eller med mi vanlege dugløyse kjem eg til å ende opp med ein dyr billett eller ingen billett. Eg kan ta nattoget, viss det ikkje er fullt.

— Ja, men då kjem du opp hit då. Så tek vi ein prat her. Og så kan vi jo gå og ta ein matbit før det byrjar på Mono. Var ikkje vi i lag ein gong på den plassen rett opp på sida av Youngstorget, på hjørnet der?

Eg hugsar det godt.

— Ja, der ja, seier eg.

— Vi kan jo gå der. Då er det berre to minutt derifrå og ned på Mono.

— Ja, seier eg. — Glimrande.

— Ja, det er sant, seier han. — Har du fått dagbladintervjuet? Sende eg det til deg?

— Ja, det har eg fått, seier eg. — Takk skal du ha. Veldig bra.

— Fint bilete òg.

Eg veit kva slags bilete han snakkar om. Det er det der eg står i troppa på Bøker & børst.

— Er det det på den uteplassen? seier eg.

— Ja, eller det er teke mot ein slags bakhage eller noko slikt. Det kan godt vere ein uteplass.

— Bøker & børst, seier eg.

— Er det der dei plar ha opplesingar om kvelden under festivalen?

— Ja, det stemmer, seier eg.

— Triveleg stad, seier han.

— Ja, det er ein veldig bra stad.

Det må bli ein slutt på dette snart.

— Men eg skal pakke saman og kome meg ut herifrå, seier han.

— Ja, seier eg.

Ja? Kvifor ja?

— Men vi snakkast iallfall når du kjem hit. Vi får ringjast eller meldast eller eit eller anna. Det blir bra det.

— Det blir veldig bra.

— Vi snakkast!

— Det gjer vi.

— Ha det!

— Ha det bra.

Eg stikk telefonen i lomma og blir ståande og sjå inn i den kvite veggen framføre meg.

*Samochód w fiordzie
(fragment)*

Na zewnątrz jest już ciemno. Nigdy nie przywykłem do tego, jak szybko zapada tu ciemność. Po drugiej stronie parku otaczającego pierścieniem całe miasto suną wzdłuż fasad domów dwa tramwaje, jeden po drugim. Jest za pięć piąta. Zanim będę mógł pozwolić sobie na piwo, na pewno zrobi się siódma.

Pierwsze, co oznajmił mi Mathias, kiedy przyszedłem, to to, że napisał już cztery strony nowej sztuki. W dodatku tego samego dnia, w którym wysłał wydawnictwu pierwszą wersję innej sztuki. Lubi pisać dialogi. Wypada w tym naturalnie.

Swoją drogą, zaczął pisać powieść. Ma już plan, klarowny pomysł. Wyświechtany pomysł, jak sam utrzymuje: jak to pewien facet, ostatni potomek gałęzi żydowskiego rodu, podróżuje po świecie, próbując odtworzyć historię swojej rodziny, która dobiega kresu przeważnie w miejscach takich jak Oświęcim. Mathias mówi, niemal przepraszająco, że chociaż sam pomysł jest może wyświechtany, to wydaje mu się, że narodzi się z niego dobra książka, bo opowieści, epizody z życia tych ludzi, którzy zniknęli, same w sobie są mocne.

Telefon wibruje mi w kieszeni. Spoglądam na zegarek w pasku zadań komputera. Za późno już na telefon nieprzyjemnego rodzaju. Wyciągam z kieszeni komórkę w momencie, gdy wibruje po raz drugi. Kristian, pokazuje wyświetlacz. Siedzę, patrząc na imię, podczas gdy telefon odzywa się jeszcze raz, a potem ponownie.

Jak dotąd opublikowano dwa omówienia mojej nowej książki, której nie napisałem, a raczej o której nie wiem, czy to ja jestem jej autorem: dwie w zasadzie przychylnie, pochwalne recenzje w dwu największych gazetach kraju. Obie podają autora — moje nazwisko.

Na stronie głównej wydawnictwa znajduje się prezentacja książki wraz z linkiem odsyłającym do dłuższego tekstu. Zarówno na stronie głównej, jak i w samym artykule widnieje nie tylko zdjęcie książki, ale też i moje. Do prezentacji dołączona jest krótka biografia pisarza, który nosi moje imię i nazwisko, a jego biografia w pełni zgadza się z moją, wyjąwszy ostatnie zdanie, głoszące, że książka jest drugą w moim dorobku, bo nią nie jest. Nie napisałem jej, a przynajmniej nie jestem pewien, czy to ja ją napisałem.

Udzieliłem już dwóch wywiadów, do kurwy nędzy. Przepraszam. W związku z promocją książki pozwoliłem dwóm gazetom na przeprowadzenie wywiadu, ze zdjęciem i innymi takimi. Na jednym zdjęciu stoję w kurtce przeciwdeszczowej przy Breiavatnet¹ w centrum Stavanger, na drugim zaś stoję na schodach prowadzących w dół do ogrodu na tyłach kawiarni Bøker & Børst, również w centrum Stavanger, i patrzę w górę na fotografa, stojącego najpewniej w drzwiach. Jeśli ktoś uważnie przeczyta te wywiady i spróbuje precyzyjnie uchwycić to, co mówię o nowej książce, zorientuje się, że nigdzie nie stwierdzam, iż to ja ją napisałem, nigdzie nie sprawiam nawet takiego wrażenia. Mówię o pisaniu i o powiązaniach między biografią a fikcją, o powiązaniach między historycznymi a fikcyjnymi wydarzeniami oraz historycznymi a fikcyjnymi postaciami, nigdzie jednak nie mówię, że to ja napisałem tę książkę, dziennikarz nie stawia zaś pytań, które mogą wyraźnie dać do zrozumienia, że to ja ją napisałem, jako drugą w moim dorobku.

¹ Breiavatnet — nazwa jeziora, położonego w centrum Stavanger (przyp. tłum.).

A jutro rano zapowiada się kolejny występ w radio. Kanał NRK P2 — i ja w studio NRK Rogaland, położonym na Ullandhaug, z tą czy inną kobietą w tym czy innym studio na Marienlyst w Oslo. Zamkną mnie w jakimś studio, całkiem zresztą sporym, będzie dźwięk w mikrofonie i dźwięk w słuchawkach. Technik za szklaną ścianą będzie siedział zwrócony ciągle w moją stronę, ale później okaże się, że poza dźwiękiem w mikrofonie i słuchawkach nie miał nic wspólnego z nagraniem. Tak naprawdę to korygował jakiś fragment lub inną rzecz przez cały ten czas, gdy ja rozmawiałem z jakąś kobietą, siedzącą w tym czy innym studio na Marienlyst, o mojej drugiej książce, która bynajmniej nie jest moja.

Ostatnim razem, gdy tu byłem, z okazji ukazania się mojej pierwszej powieści, kobieta z P2 koniecznie chciała, żebym przeczytał ten fragment, na którym uwiesiło się już i który cytowało wielu recenzentów w gazetach: fragment mówiący o tym, jak żalotne jest tworzenie fikcyjnych postaci i oczekiwanie, że ludzie będą to czytać z pełną powagą. Rzecz jasna, powinienem był jej wtedy odmówić i przeczytać coś innego, jeden z tych akapitów, które zaznaczyłem żółtymi karteczkami w egzemplarzu, który wziąłem ze sobą. Zrobiłbym to pewnie, gdybym siedział w tym samym studio, co ona, tak się jednak nie stało. Była tylko głosem w moim uchu, siedziałem sam jeden w studio i nie odmówiłem, ale przeczytałem właśnie ten fragment, o którego przeczytanie mnie prosiła.

Przed nagraniem powiedziałem coś w stylu, że spróbuję nie bawić się długopisem albo może chodziło mi o strony książki, ona zaś pouczyła mnie, że minęły już czasy, w których człowiek starał się o ciszę w studio. Dość już, kurwa, przesiedziałem w studiach radiowych, żeby o tym wiedzieć. Chciałem tylko być miły. Wydawała się ogólnie niezainteresowana całym seansem. Po nagraniu nie omieszkała oświadczyć mi, że jej samej moja książka wydała się przeważnie nudna i rozwlekła oraz że w mig pojęła, iż najdłuższy rozdział, który w moim przekonaniu jest

124 rozdziałem głównym, i o którym wciąż myślę jako o rozdziale głównym, nabrał tej długości, której nabrał, tylko dlatego, że zdawało mi się, iż powinienem poszerzyć krótką książeczkę, pakując w nią długie i nieznośne opisy topograficzne. Taa, dziękuję za zainteresowanie.

Przy odrobinie szczęścia może usłyszę jutro inną babę z P2 w słuchawkach. Nie wyobrażam sobie, żebym tym razem miał coś czytać. Tak jak to pamiętam, czytanie fragmentów przynależy do wywiadów z debiutantami zgodnie z konwencją przyjętą przez P2 w tym roku, kiedy wyszła moja pierwsza książka, czyli w roku, w którym wyszła moja jedyna jak dotąd książka, jeśli naprawdę jest tak, jak zakładałam, czyli że to nie ja napisałam moją drugą książkę, która nie jest moją drugą książką, tylko cudzą książką, wydaną pod moim nazwiskiem.

Tak czy inaczej, na wszelki wypadek wezmę ze sobą egzemplarz nowej książki. Zaznaczyłem już żółtymi karteczkami trzy fragmenty, które mógłbym przeczytać. Jeśli okaże się to aktualne, zobaczę, co będzie najbardziej pasować do konwencji nagrania. Pierwszy fragment jest początkiem książki, a pozostałe dwa znajdują się w nieco dalszej jej części, oba koło strony sześćdziesiątej czy siedemdziesiątej. Dalej nie doczytałem.

Nie mogłem tego napisać.

Jeśli to jednak ktoś inny napisał tę książkę, to odwalił on — albo ona — kawał porządnej roboty. Zarówno styl, jak i język, są rozpoznawalne. Styl nie jest całkiem taki, jak w mojej pierwszej książce, ale całkiem podobny, a niektóre kawałki są dokładnie takie, jak zwykłem pisać, czy raczej, jak próbuję pisać. Język jest zupełnie taki sam. Zupełnie, kurwa, taki sam. Przepraszam. Cóż za piekło rozpęta się, jeśli okaże się, że to faktycznie ktoś inny napisał moją książkę i cała sprawa wyjdzie na jaw. A wyjdzie. Jeśli napisał ją ktoś inny, z całą pewnością to wypłynie. Bo czemu niby ktoś miałby to robić, nie mając w głowie żadnych złowrogich zamysłów? Taka czy inna osoba napisała książkę pod

moim nazwiskiem, po czym wydała ją, i Bóg jeden wie, jak do-
szło do tego, że Kristian nie zorientował się, iż coś jest nie tak.

Powinienem był oczywiście przeczytać całość wczoraj, skoro już tak dobrze mi szło, ale nie potrafiłem uwolnić się od myśli o tym, kto mógł to zrobić. Zamiast czytać dalej, nakreśliłem więc listę możliwych wyjaśnień i podejrzanych. Nie umieściłem na niej siebie, ale ja też powinienem się tam znaleźć, rzecz jasna. Mogłem to jednak napisać.

A jeśli nie ja, to kto inny? Bente jest właściwie jedyną osobą na liście, która naprawdę byłaby w stanie to zrobić.

Jedyną motywacją dla takiego czynu, jaką mogę sobie wyobrazić, jest chęć zniszczenia mnie. Prędzej czy później ten czy inny człowiek, mężczyzna albo kobieta, stary lub młody, zadzwoni do wydawnictwa czy do gazet i powie, że to on — lub ona — napisał książkę. Poda przy tym jedno z dwóch wytłumaczeń. Albo że on — lub ona — podał się za mnie, ja zaś byłem na tyle tchórzliwy, głupi czy skonfundowany, że nie powiedziałem prawdy, czyli że to nie ja napisałem książkę, że na oczy nie widziałem tego tekstu i że od wydania pierwszej powieści nie napisałem niczego poza niekończącym się ciągiem początków i niekończącym się ciągiem fragmentów, niemających ze sobą nic wspólnego.

Drugim wyjaśnieniem, jakie może podać ten — lub ta — który to zrobił, jest że wszystko od niego zerżnąłem, po czym oddałem to wydawnictwu, pozwalając wierzyć ludziom z branży, że to ja jestem twórcą. W pierwszym wypadku raz na zawsze wyjdę na nieudacznika, idiotę, gratkę dla psychiatrów albo wszystkie trzy opcje naraz. W drugim wypadku raz na zawsze wyjdę na nieudacznika, idiotę, gratkę dla psychiatrów, a w dodatku oszusta.

Zasadniczą kwestią jest dla mnie rzecz jasna, dlaczego w tym czy innym momencie, chociaż książka już się ukazała i choć byłoby to bolesne, nie zadzwoniłem do Kristiana i nie wyłożyłem kawy na ławę. Gdybym to zrobił, oczywiście to on wyszedłby na idiotę. Ogłędnie mówiąc, wydawnictwo zaliczyłoby nie lada

126 wpadkę. Ale to tak czy inaczej nastąpi, kiedy sprawa wypłynie — co prędzej czy później musi zajść. A wówczas wydawcy nie będą mieli wyboru. Gdzieś są granice, także lojalności, jaką wydawnictwo zobowiązane jest okazywać pisarzowi ze swoich szeregów.

Nie będą mogli zrobić nic innego, niż mnie odrzącić. Jeśli ten — lub ta — kto to napisał, będzie utrzymywał, że ukradłem tekst, będą zmuszeni powiedzieć: Przepraszamy, popełniliśmy wielki błąd. Powinniśmy oczywiście odkryć, że był to plagiat, ale stylu i języka skradzionego tekstu nie da się odróżnić od stylu i języka naszego pisarza, co wynika albo z faktu, że prawowity właściciel posługuje się stylem i językiem, który łudząco przypomina styl i język naszego pisarza, albo że nasz pisarz dostosował styl i język prawowitego właściciela do własnego stylu i języka. Naturalnie powiadomiliśmy naszego pisarza, to znaczy naszego byłego pisarza, że przestał być naszym pisarzem, że nie chcemy dłużej mieć z nim nic wspólnego i że nie będziemy odpowiadać na jego zgłoszenia, ani w kwestii wydawania jego tekstów w naszym wydawnictwie, ani usług, jakie mógłby nam zaoferować w roli tłumacza, konsultanta literackiego, redaktora albo korektora.

Jeśli zaś ten, kto to zrobił, opowie, zgodnie z prawdą, że podał się za mnie i pod moim nazwiskiem wysłał maszynopis do wydawnictwa, to jego pracownicy znów nie będą mogli zrobić nic innego, niż oświadczyć, co następuje: Oszukano nas, a jedyny, który mógł ujawnić oszustwo, czyli nasz były pisarz, z powodów, co do których nie będziemy spekulować — nie widziemy też podstaw do takich spekulacji — nie poinformował nas, że nie było to jego dzieło, nie dość na tym, z pełną świadomością udzielał wywiadów na temat wydania, co w praktyce oznaczało podawanie się za autora książki.

Jak zawsze w niemożliwych sytuacjach nie potrafię uwolnić się od marzeń o tym, że znajdzie się dla mnie taka czy inna droga wyjścia.

Istnieje rozwiązanie. To znaczy, gdyby to była powieść, a nie

moje nędzne, pierdolone życie, istniałoby jakieś rozwiązanie. Mógłbym na przykład wysledzić sprawcę lub sprawczynię — a może nawet sprawców! O, do jasnej cholery, to ostatnie nawet nie przeszło mi przez myśl, a rzecz jasna powinno. Istnieje realna możliwość, że stoi za tym więcej niż jedna osoba. W takim wypadku jestem raz na zawsze skończony.

Miejmy nadzieję, pozwólcie mi wierzyć, że kryje się za tym tylko jeden człowiek. Mógłbym go wtedy wysledzić i zrobić z nim to czy owo. Zagrozić mu? Ale czym ja bym mógł mu zagrozić? Groźby nie pomagają.

Ktoś musi zginąć.

Przypuszczalnie ja.

Biorę głęboki oddech, raz i drugi, zanim wciskam przycisk odbioru, a wstając, przesyłam porozumiewawczy gest do Mathiasa, który podniósł wzrok.

— Cześć, Kristian — mówię. Kieruję się w stronę schodów, prowadzących do tej części kawiarni, która leży w głębi budynku.

— Halo, jak leci? — pyta.

— Dobrze.

— Jesteś na mieście?

Otwieram drzwi do sali wystawowej i toalet.

— Tak — mówię — jestem w kawiarni. Zwykle siedzę tu i pracuję.

— Wspaniale! Nie wszystkim się to udaje. Ja nawet jednego maila nie umiem napisać w kawiarni. Daje się tam za to czytać przysyłane teksty. Niekiedy trzeba czytać je dokładnie i sporządzać notatki, ale jeśli czyta się je tylko dla ogólnego wrażenia...

Zgadzam się.

— Nie brak chyba kawiarni w Krakowie, no nie?

— Skąd — mówię. — Pełno tu ich. Ale wprowadzili właśnie nowe reguły dla palaczy, więc trochę czasu zeszło nam na znalezienie stałego lokum.

— Aha, siedzicie tam i palicie, no tak. Tutaj nie ma przeprosić. Tu trzeba brać windę i marznąć na dworze. Cholernie tu teraz zimno.

Oczami duszy widzę wejście do wydawnictwa, przed którym mężczyźni w czarnych garniturach kulą się z zimna, zwróceni plecami do wiatru w nieprzyjemnej aurze Oslo.

— Ale tobie też się nie upieczą — mówi Kristian. — Wracasz do Norwegii w sobotę?

— Tak, właśnie.

— A w poniedziałek idziesz do p2?

— Tak.

— Na pewno dobrze ci pójdzie. Jedziesz do Oslo, czy będziesz w Stavanger?

Stoję, wpatrując się w czarno-białe zdjęcie zaprzysiężenia Obamy.

— Zrobimy to w Stavanger — mówię. — Będę tam o pierwszej.

— Wiesz, z kim będziesz rozmawiał?

— Nie — odpowiadam — nie jestem pewien. Nie wiem do końca, kto jest teraz kim w p2.

— I tak będzie dobrze.

Pod wielkim zdjęciem, którego środek zajmują plecy Obamy w czerni, a całą górną część fotografii wypełnia tłum ludzi, wi- si mniejsze zdjęcie Busha juniora, Laury Bush, Cheney'a na wózku inwalidzkim i jego żony. Tylko ich czworga. Żadne z nich nie spogląda w obiektyw. Bush wygląda tak, jakby wyciągał szyję, żeby kogoś wypatrzeć.

— Tak — mówię. — Miejmy nadzieję.

— Ale musimy też sprowadzić cię tutaj.

— Pewnie tak...

— Jak wygląda dalsza część twojego tygodnia? To wtedy będzie odczyt w Mono?

— Tak — mówię. — W sobotę, z tego co pamiętam.

Nie wiem, dlaczego dodaję ostatnie słowa. Dobrze wiem, że odczyt wypada w sobotę.

— Jak to będzie, przyjedziesz na tyle wcześniej, żebyśmy zdążyli pogadać w ciągu dnia?

— Tak sądzę.

Zapomniałem kupić bilet ze Stavanger do Oslo, a może odłożyłem jego kupno na później. Z moim szczęściem albo z moim zwykłym niewydarzeniem skończy się na droгим bilecie lub też jego braku. Mogę zresztą pojechać nocnym pociągiem, jeśli nie będzie tłoku.

— Aha, no to tu podejdiesz. Utniemy sobie pogawędkę. No i możemy coś przekąsić, zanim zaczniesz w Mono. Czy nie byliśmy kiedyś razem w jednym miejscu zaraz koło Youngstorget, tam na rogu?

Pamiętam to dobrze.

— A tak, tam — mówię.

— Możemy się tam wybrać. Idzie się stamtąd tylko dwie minuty w dół do Mono.

— Pewnie — mówię. — Fantastycznie.

— To prawda — on na to. — Dostałeś już tekst wywiadu z Dagbladet? Wysłałem ci go?

— Tak, dostałem — mówię. — Dziękuję. Bardzo dobry.

— No, i jakie fajne zdjęcie.

Wiem, które zdjęcie ma na myśli. To, na którym stoję na schodach przed Bøker og børst.

— Chodzi o to przed pubem?

— Tak, ale przy wyjściu do jakiegoś ogrodu na tyłach czy czegoś w tym stylu. Może i przed pubem.

— Bøker og børst — podsuwam.

— Czy to nie tam urządzają odczyty wieczorami podczas festiwalu?

— Zgadza się.

— Zaczynają tam — mówi.

— Tak, to świetne miejsce.

Kiedy się to wreszcie skończy?

— Pakuję się zaraz i wybywam stąd — mówi.

— Tak.

Tak? Dlaczego tak?

— Musimy w każdym razie pogadać, kiedy tu przyjedziesz. Zdzwonimy się, wyślemy smsa, czy co tam. Dobrze będzie.

— Bardzo dobrze.

— No to do usłyszenia!

— Do usłyszenia.

— Trzymaj się!

— Nawzajem.

Wsadzam telefon do kieszeni i stoję, gapiąc się w białą ścianę naprzeciw.

Tłumaczenie: Dorota Polska



Dzisiaj pękło niebo

Martina była jak strzała, jak błyskawica, jak światłość, jak anielica zesłana, bo miała taki rower, co to nic nie ważył. Rower ten zrobiony był z przedziwnych materiałów, z jakich konstruuje się statki kosmiczne. Martina mieszkała w drugiej dzielnicy, obok kanału. Choć stać ją było na własne mieszkanie, wolała dzielić się łazienką i ubikacją z innymi. Ot tak, z przyzwyczajenia, bo ciągle czuła się studentką, choć już dawno temu ukończyła Wydział Rzeźby na Akademii Sztuk Stosowanych im. Oskara Kokoschki. Dwóch pozostałych lokatorów pochodziło z Bawarii. Bawarczycy ci żyli z seryjnego wyrobu drewnianych figurek malowanych pstrymi temperami. Rzeźbili je w mieszkaniu i dużo przy tym palili. Wszystkie pokoje udekorowane były wielką ilością doniczek, z których wyrastały roślinki szczęścia. W pewnej chwili mieli już takie zapasy, że nie byli w stanie ich przerobić, więc zaczęli je sprzedawać, zwłaszcza że z figurkami się urwało. A Martina dalej uprawiała kult błyskawicy o czerwonej ramie, która wisiała nad jej pościelą niczym święty obraz. Kiedy przychodził wieczór, patrzyła na swojego rumaka i obmyślała nowe trasy. Czasami w tych rozmyślaniach przeszkadzał jej sąsiad z naprzeciwka. Robił striptiz każdego dnia około dziewiętnastej, a kiedy nadchodziło lato, opalał się nagi, wypinając tyłek w stronę jej pokoju. Wtedy ściągała rower ze ściany i ruszała w drogę. Żeby zabić w sobie żądze, potrafiła pedałować po pięćdziesiąt kilometrów w jedną stronę. Miała nie tylko kosmiczny

rower, ale też kosmiczne ubrania. Srebrne spodenki, dokładnie przylegające do ud, robiły wrażenie drugiej skóry. Koszulka, też przylegająca i też srebrna, zaopatrzona była w dwie kieszonki na plecach, do których wkładała małą puszkę red bulla i drop-sy z cukru winogronowego. Buty, których używała, miały w podszewkach dwa otworki i idealnie wpasowywały się w dwa wystające ząbki wychodzące z pedałów. Rękawiczki zapinane na rzepy idealnie przylegały do dłoni i wyśmienicie czuły kierownicę. A już kask Martiny był istnym cudem techniki. Wyglądała w nim jak postać z *Gwiezdnych wojen*, bo był srebrny i tak wyprofilowany, tak aerodynamiczny, że wszyscy się za nią oglądali, kiedy hamowała na czerwonym świetle. Martina tworzyła z rowerem jedność. Czasami czuła wręcz, że rower to ona, a ona to rower. Utrzymywała się z konserwacji zabytków, a konkretnie z konserwacji rzeźb. Kilka razy w roku otrzymywała zlecenia od pewnej firmy renowacyjnej. Cały Wiedeń to jedno wielkie muzeum, więc brała te najkrótsze i najwyżej płatne prace. A któregoś dnia przyjęła ofertę z czternastej dzielnicy. W znajdującym się tam domu wariatów trzeba było odnowić kilka kamiennych figur. Dom wariatów usytuowany był w dużym parku, dzięki czemu pacjenci mieli wrażenie, że nie są zamknięci, a przebywają na wolności. Martina wspięła się na rusztowania i przyjrzała podniszczonym rzeźbom. Miały poddrywane nosy i palce. Kiedy wystawiano jej kartę identyfikacyjną, dowiedziała się, że jeden z podopiecznych wyszedł przez okno z korytarza i po szerokim gzymsie dotarł do posągów. Rzeźby przypominały mu zwielokrotnienie matki, której nienawidził i która rzekomo doprowadziła go do obłądki swoją nadopiekuńczością. Zniszczył więc im nosy, pourywał palce i pomalował sprejami. Martina podpisała kontrakt i każdego dnia w kasku, srebrnych spodenkach, srebrnej koszulce, wspaniałych rękawiczkach, butach z otworami, aerodynamicznym plecakiem, w którym miała ubrania robocze, pokonywała odległość pomiędzy drugą a czternastą

dzielnicą na swoim kosmicznym rowerze. Tuż obok wejścia był sklep spożywczy Billa, a przed nim stała ławeczka. Na niej Martina się przebierała. Nie chciała wchodzić na teren obiektu w rowerowym ubraniu, ponieważ obawiała się, że któryś z pacjentów mógłby się na nią rzucić. Zapinała dwa kółka za pomocą superbezpiecznego zamka na tyłach sklepu i szła do pracy. Stojąc na rusztowaniach, widziała wariatów chowających się między drzewami, uprawiających seks w krzakach, ale nadal spokojnie oddawała się swoim zajęciom. O godzinie dwunastej schodziła na dół i szła do Billi po kanapki i mrożoną kawę.

Tamtego popołudnia strasznie lało i pomimo deszczu sąsiad z naprzeciwka zrobił znowu striptiz, ale tym razem Martina już nie myślała o stu kilometrach w jedną stronę. Na białym kartonie napisała wielkimi cyframi numer swojej komórki i wystawiła go przez okno. Po chwili zadzwonił telefon. Rzuciła karton na podłogę. — Halo, tu Martina. — Halo — odpowiedział sąsiad. — Przycisk numer 4, drugie piętro. Drzwi po lewej stronie.

Martina jechała do pracy lekka i szczęśliwa. To rower tego dnia pedałował za nią. A gdy zapięła rumaka przy Billi i pięknie pozdrowiła kierownika sklepu, przebrała się i wskoczyła na rusztowania, wyjęła telefon i zadzwoniła do firmy, oznajmiając, że połowa pracy jest już wykonana i że czeka na zaliczkę, która miała być wpłacona tydzień wcześniej. Szefem firmy był jej kolega ze studiów, ale ponieważ cierpiał na nieustanną depresję, biznesem kierowała jego siedemdziesięcioletnia matka. To właśnie ona odebrała telefon i przeprosiła, że przelew nie został jeszcze wykonany. Kiedy Martina skończyła trzy czwarte zamówienia, a pieniędzy dalej nie było, zaczęła się poważnie niepokoić i wydzwaniać w kółko do firmy. Telefon milczał. Pewnego dnia nie pojechała do pracy. Pojechała do firmy. Czekala cztery godziny, aż w południe pojawił się właściciel. — Słuchaj, ja już prawie kończę, a pieniędzy na koncie nie widać. Co się dzieje? — zapytała. — Martino, kiedyś myślałem, że mam depresję

136 sukcesu. Czego się nie tknąłem, to wychodziło, zresztą znasz sprawę. Opowiadałem ci o tej jednostce chorobowej. Jednak zawsze zazdrościłem ci tego rowerowego świra, i nawet tego, że choć przecież masz kasę i mogłabyś się inaczej ustawić, kupić własne mieszkanie, dalej dzielisz to wynajęte z tymi narkomanami.

Dokończył papierosa, otworzył okno, wyrzucił niedopałek. — A kilka dni temu dowiedziałem się, że ta cała moja depresja sukcesu została mylnie zdiagnozowana, dlatego pozwałem do sądu mojego psychiatrę. Słyszałaś o goryczy słodkiego życia? Ano, cukrzyk żyje ze świadomością, że jego leczenie w ogromnym stopniu zależy od niego samego. Świetny lekarz, dostęp do najlepszych leków nie pomogą, jeśli sam nie będzie się kontrolował. Dlatego cukrzyca jest chorobą bardzo obciążającą psychicznie. U takich jak ja depresja występuje trzy razy częściej niż u innych chorych. Tak, mam od wielu lat cukrzycę, to żadna depresja sukcesu. Wygram proces i doprowadzę tego drania do ruiny.

Wstał i podał jej rękę na pożegnanie. — Dzięki, że wpadłaś, dobrze cię było znowu widzieć, jak będziesz miała czas, to wpadaj częściej. — A moje pieniądze? — zapytała. — Ach, tak. Nie martw się, pod koniec tygodnia będą w banku. Poklepał ją po plecach na pożegnanie i zamknął drzwi.

Praca konserwatorska dobiegała końca, a Martina dalej nie zaobserwowała żadnych wpływów na swoim koncie. Coraz bardziej zdenerwowana jeździła na swoim kosmicznym rumaku i coraz bardziej nerwowo uprawiała seks, aż pewnego dnia po tym, jak znowu nie osiągnęła orgazmu, powiedziała sobie, że już dalej nie da się oszukiwać temu, który teraz zaczął udawać cukrzyka. Nie zjadłszy śniadania, nie wypiwszy kawy i nie pocałowawszy sąsiada na odjezdne, ubrała się w srebrne spodenki, założyła srebrną koszulkę, rękawiczki, buty i aerodynamiczny plecaczek. Wsiadła na rower i pognąła w stronę domu wariatów. Obiecała sobie, że jeżeli dzisiaj rzekomy cukrzyk albo jego matka nie przywiozą gotówki, to zniszczy wszystko, co naprawiła.

Poodrywa nosy i palce, a na koniec okrasza rzeźby sprejami. Ijechała Martina z takim zamiarem, i złość się w niej kłębiła i chmury nad głową też. Miała wrażenie, że dzisiaj pęknie niebo. I głód ogromny wzbierał w Martinie, bo zapomniała w domu zjeść śniadania. Więc gdy dojechała na miejsce, zeszła z roweru, zdjęła rękawiczki i zawiesiła je na rączkach kierownicy. Wbiegła do Billi, chwyciła kanapkę z jajkiem oraz mrożoną kawę i już po chwili była na zewnątrz przy swoim rowerze. Chciała założyć kask, pojechać ulicę dalej, kupić kolorowe spreje, lecz przeraziła się, zamarła w bezruchu. — Mój kask — wyszeptwała nerwowo. — Ty draniu, nie dam się, dorwę cię i nogi z dupy powyrzynam, nie dam się już więcej okradać. Najpierw ten z cukrzycą, a teraz ty. Złapię cię, nie mogłeś uciec daleko — krzyczała Martina sama do siebie. W straszliwej złości wsiadła na rower, zostawiając kanapkę i kawę na ławce. Gnała jak najszybciej potrafiła, bo wiedziała, że liczą się sekundy. Czuła, że dogoni złodzieja. Jak robot z gier komputerowych identyfikowała kaski przejeżdżających, ale czerwona lampka umieszczona w jej głowie pikała na nie. Kiedy już zaczęła tracić nadzieję, lampka rozbłysła na zielono. Dogoniła złodzieja. Zajechała mu drogę, zdarła kask z głowy, na koniec wyprowadzając silnego kopniaka. Tamten, wystraszony, zniknął bez słowa. Martina z dumą założyła kask i odjechała. Tego dnia zapomniała się przebrać. Weszła na rusztowania i wyjęła z kieszeni komórkę. Telefon odpowiedział i usłyszała w nim głos matki farbowanego cukrzyka. Martina podkrecona wcześniejszym zajściem krzyczała. — Jeśli nie przywiezie mi pani za chwilę gotówki, to jak Boga kocham, pourynam wszystkie nosy rzeźbom, wyłamię im paluchy i zamaluję sprejami!!! Rozumie pani? Ja nie żartuję. Czekam pół godziny i zaczynam rozwałać!!!

Gdy tak wrzeszczała w tym swoim ubranku i kasku na głowie, z okien budynku wychyliły się dwie głowy, a potem szybko znikły. Potem znowu się pojawiły, bo Martina zaczęła ciągnąć

138 jedną z figur za nos, nie przestając się wydzierać. — Jak nie przywiezie kasy, to ci ten nos oberwę!!! Rozumiesz, suko kamienna!!! Oberwę, a potem zetrę w pył!!!

I tak darła się do tych kamiennych postaci, aż usłyszała: — Martino, Martino, przywiozłam ci pieniądze, nie ruszaj się, wejść do ciebie na górę. To była matka cukrzyka, dziarska pani po siedemdziesiątce w chustce na głowie. A gdy wdrapała się po rusztowaniach i wyjęła z torebki białą pękatą kopertę, usłyszały głos z dołu. — Nic wam nie grozi! Tylko spokojnie! Nic wam nie grozi! Usiądźcie na deskach i nie wykonujcie nagłych ruchów! Jesteście bezpieczne. Za chwilę otrzymacie pomoc! Nie ruszajcie się z miejsca.

Usiadły, myśląc, że gdzieś się pali i szpital zarządził ewakuację. Po chwili stało przy nich dwóch mężczyzn i Martina rozpoznała w nich twarze, które wychyliły się przez okno i szybko znikły. — Jak się siedzi na rusztowaniach? Fajnie, nie?! Z którego oddziału zrobiliśmy sobie wycieczkę podniebną? — zapytał ten wyższy. — Panowie, spokojnie, to jakaś kosmiczna pomyłka — powiedziała Martina. — Ja jestem konserwatorem zabytków, a to jest moja szefowa, przywiozła mi właśnie zaległą wypłatę. Panowie, dajcie spokój, ja nie mam dziś ochoty na głupie zabawy. — Tak, tak powiedział tamten drugi. Kosmos, wypłata, pomyłka. My to wszystko rozumiemy. A pani to nawet jest odpowiednio ubrana do lotu na Marsa — dodał i uśmiechnął się pod nosem. — Jednak zanim gdzieś wylecicie, bardzo was prosimy o zejście na dół do bazy głównej. Nigdzie z wami nie pojedę i pani też zakazuję — powiedziała Martina. — To mistyfikacja, to są pacjenci i udają pielęgniarzy. Nie dajmy się zwariować.

Ten dobrze umięśniony i wysoki spojrział na nie w taki sposób, że bez słowa zaczęły schodzić. Gdy wszyscy znaleźli się na dole, Martina przypomniała sobie, że w kieszonce koszulki trzymała kartę identyfikacyjną, której nigdy nie używała. Wyjęła ją. Tamci pobledli, przeprosili i momentalnie znikli. Wtedy rzeczywiście

pękło niebo, bo zaczęło grzmieć, błyskać, a potem lać. Szefowa 139
zapropozowała miejsce w swoim samochodzie, jednak Martina
podziękowała i wsiadła na rower. Kompletnie przemoczona zapu-
kała do drzwi sąsiada. Gdy zdejmowała z głowy kask, cicho zapy-
tał, dlaczego kupiła sobie nowy. Nie zrozumiała pytania. Wtedy
wskazał jej dłonią ten pierwszy leżący na krześle w przedpokoju.

I dag revnet himmelen

Martina var som en lysende pil, et lyn, eller en utsendt engel, for hun eide en vektløs sykkel. Sykkelen var laget av det samme underlige material som man konstruerer romskip med. Martina bodde i 2. distrikt, ved kanalen. Selv om hun hadde råd til egen leilighet, foretrakk hun fremdeles å ha noen å dele bad og toalett med. Først og fremst av gammel vane, for hun følte seg fortsatt som en student, selv om det var lenge siden hun hadde fullført skulpturavdelingen på Oskar Kokoschka Kunsthandverkkademi. De to andre leieboerne kom fra Bayern. Bayrerne levde av å serieprodusere trefigurer malte i brokete temperafarger. De skjærte dem ut i leiligheten, mens de nirøkte. Rommene var fylte med et utall blomsterpotter med lykkeplanter i. På et tidspunkt hadde de et så stort forråd at de ikke var i stand til å røyke alt selv, så de begynte å selge, særlig siden det tok slutt på figurene. Og Martina dyrket fortsatt lynet med rød ramme som hang over sengen hennes som et hellig bilde. Når kvelden kom så hun på hesten sin og planla nye ruter. Av og til ble tankene hennes distraheret av naboen som bodde vis-à-vis. Klokken syv hver kveld strippet han, og om sommeren lå han naken under sola, med rumpa rettet mot rommet hennes. Da tok hun sykkelene ned fra veggen og dro av gårde. For å drepe begjæret som vokste frem i henne kunne hun sykle femti kilometer én vei. Ikke bare hadde hun en kosmisk sykkel, hun hadde også kosmiske klær. Den sølvfargede sykkelshortsen satt tett rundt lårene og

142 følte som et ekstra hudlag. T-skjorten, som også var tettsittende og sølvfarget, hadde to lommer på ryggen, der hun hadde en boks Red Bull og druesukkerdrops. Skoene hadde to åpninger i sålene og passet perfekt inn i de to sporene som stakk ut av pedalene. Hanskene, som hadde borrelås, lå perfekt på hånden og gav henne et godt grep om rattet. Og når det kom til Martinas hjelm, var den et sant teknisk mirakel. Hun så ut som en person fra *Star Wars*, for den var sølvfarget og så aerodynamisk at alle snudde seg etter henne når hun bremsset på rødt lys. Martina og sykkelen var ett. Av og til følte hun rett og slett at sykkelen var henne, og at hun var sykkelen.

Hun levde av å restaurere antikviteter, eller mer nøyaktig, av å restaurere skulpturer. Et par ganger i året fikk hun oppdrag fra et restaureringsfirma. Hele Wien er et stort museum, så hun kunne velge de korteste og best betalte jobbene. En dag tok hun et oppdrag i 14. distrikt. Det var et par steinfigurer som skulle restaureres på et galehus. Galehuset lå i en stor park, slik at pasientene skulle føle at de var ute i det fri. Martina klatret opp på stillaset og undersøkte de slitte skulpturene. Noser og fingrer var revet av. Da hun fikk identifikasjonskort fortalte de ansatte henne at en av de innlagte hadde gått ut gjennom vinduet i korridoren og spasert bortover gesimsen for å komme til statuene. Grunnen var at skulpturene minnet ham om moren hans, bare fordoblet, som han hatet, fordi hun hadde drevet ham ut i galenskapen ved å være alt for overbeskyttende. Derfor ødela han nesene, rev av fingrene og sprayet dem med maling. Martina skrev under kontrakten, og hver dag — iført hjelm, søvfargede bukser, sølvfarget t-skjorte, praktfulle hansker, sko med åpninger, og en aerodynamisk sekk der hun hadde arbeidsklærne — tilbakela hun avstanden mellom 2. og 14. distrikt på den kosmiske sykkelen sin.

Rett ved inngangen lå matbutikken Billa, og foran den stod det en benk. Martina skiftet på benken. Hun ville ikke gå inn

i sykkelklærne sine, for hun fryktet at en av pasientene ville angripe henne. Hun låste hjulene med en sterk lås og gikk på jobb. Når hun stod på stillaset kunne hun se gærningene gjemme seg mellom trærne og ha sex i buskene, men hun holdt fokuset på sitt eget arbeid. Klokken tolv klatret hun ned og gikk til Billa for å kjøpe smørbrød og iskaffe.

Den ettermiddagen høljete det ned. Naboen som bodde vis-à-vis strippet på tross av regnværet, men denne gangen tenkte Martina ikke på å sykle hundre kilometer én vei. Hun skrev mobilnummeret sitt på et hvitt ark, og stakk det ut gjennom vinduet. Om en liten stund ringte telefonen. Hun kastet arket på gulvet.

— Hallo, dette er Martina. — Hallo — svarte naboen. — Ringeklokke nummer 4, andre etasje. Døren på venstre side.

Martina syklet til jobb lett og lykkelig. I dag var det sykkelens som tråkket for henne. Og når hun hadde låst fast hesten ved Billa, hilst fint på butikksjefen, skiftet og hoppet opp på stillaset, tok hun ut telefonen, ringte til firmaet og erklærte at halve jobben var utført og at hun ventet på forskuddet som skulle ha blitt utbetalt en uke tidligere. Sjefen for firmaet var en studiekamerat av henne, men han led av vedvarende depresjon, og forretningen ble for det meste styrt av hans sytti år gamle mor. Det var hun som tok telefonen og beklaget at transaksjonen ikke hadde funnet sted ennå. Når Martina var ferdig med tre fjerdedeler av bestillingen og pengene fortsatt manglet, begynte hun virkelig å uroe seg. Telefonen var taus. En dag dro hun ikke på jobb. Hun dro til firmaet. Hun ventet i fire timer, helt til eieren dukket opp. — Hør her, jeg er nesten ferdig, og det er fortsatt ikke tegn til penger på kontoen. Hva skjer? — spurte hun. — Martina, jeg trodde en gang at jeg hadde suksessdepresjon. Alt jeg foretok meg ble vellykket, du kjenner jo til saken. Jeg fortalte deg om den lidelsen. Men jeg har alltid misunt deg den sykkel-dillaen og til og med det at du, selv om du har penger og kunne kjøpt deg egen leilighet, fortsatt bor med de narkomane.

Han røyket ferdig, åpnet vinduet, kastet ut sneipen. — Og for et par dager siden fant jeg ut at hele suksessdepresjonen min var feildiagnostisert, og derfor saksøkte jeg psykiateren min. Har du hørt om bitterheten i det søte liv? Altså, en diabetiker lever med vissheten om at behandlingen hans i stor grad avhenger av ham selv. En fremragende lege og tilgang på de beste medisinene hjelper ingenting dersom han ikke klarer å kontrollere seg selv. Derfor er sukkersyke en sykdom som er veldig psykisk belastende. Hos sånne som meg forekommer depresjon tre ganger oftere enn hos andre syke. Ja, jeg har hatt sukkersyke i mange år, det var ikke noe suksessdepresjon. Jeg skal vinne rettsaken og ruinere den kjeltringen. Han stod opp og strakk ut hånden til avskjed. — Takk for at du kom innom, det var godt å se deg igjen, kom innom oftere hvis du får tid. — Og pengene mine? — spurte hun. — Å ja. Ikke vær redd, de skal være i banken mot slutten av uken. Han klappet henne på ryggen til avskjed og lukket døren.

Restaureringsarbeidet gikk mot slutten, og Martina hadde fortsatt ikke fått penger. Stadig mer stresset syklet hun på sin kosmiske hest og stadig mer stresset hadde hun sex, helt til hun en dag, når hun igjen ikke fikk orgasme, sa til seg selv at hun ikke lenger orket å la seg lure av ham som hadde begynt å late som om han var diabetiker. Uten å spise frokost, uten å drikke kaffe, og uten å kysse naboen til avskjed, kledde hun seg i de sølvfargede buksene, tok på den sølvfargede t-skjorten, hanskene, skoene og den aerodynamiske sekken, satte seg på sykkel og hastet av gårde mot galehuset. Hun lovet seg selv at hvis ikke den såkalte diabetikeren eller moren hans kom med kontanter i dag, skulle hun ødelegge alt hun hadde reparert. Hun skulle rive av nesene og fingrene, og til slutt skulle hun spraymale skulpturene. Og Martina tenkte på dette mens hun syklet, og hun var full av harme, og himmelen var dekt av mørke skyer. Hun hadde en følelse av at den ville revne. Og så kjente hun

sulten rive i magen, for hun hadde glemt å spise frokost. Når hun kom frem gikk hun av sykkelen, tok av hanskene og hengte de på sykkelstyret. Hun sprang inn på Billa, plukket opp et smørbrød med egg og en iskaffe, men var raskt ute ved sykkelen igjen. Hun ville ta på hjelmen, sykle en gate lenger bort, kjøpe spraymaling i mange farger, men hun ble redd, stanset som lamslått.

— Hjelmen min — hvisket hun nervøst. — Din drittsekk, jeg gir meg ikke så lett, jeg skal få fatt i deg og slå deg helseløs, ingen får lov å stjele fra meg lenger. Først han med sukkersyke, og så du! Jeg skal nok få fatt i deg, du kan ikke ha kommet langt — ropte Martina til seg selv. I et forferdelig sinne satte hun seg på sykkelen, smørbrødet og kaffen forlot hun på benken. Hun syklet så fort hun kunne, for hvert sekund telte. Hun var overbevist om at hun kom til å ta igjen tyven. Som en robot fra et dataspill identifiserte hun hjelmene til de som syklet forbi, men den røde lampen som var installert i hodet hennes blinket *nei*. Da hun var i ferd med å miste håpet begynte lampen å blinke grønt. Hun hadde tatt igjen tyven. Hun blokkerte veien for ham, rev hjelmen av hodet hans, og til slutt sparket hun hardt til ham. Han forsvant forskrekket og uten et ord. Martina tok stolt på hjelmen og syklet vekk. Den dagen glemt hun å skifte. Hun gikk opp på stillaset og tok ut mobilen fra lommen. Telefonen svarte og hun hørte stemmen til liksomdiabetikerens mor. Opphisset av den tidligere hendelsen skrek Martina. — Hvis ikke du kommer hit med kontanter straks, så skal jeg, sann mine ord, rive av alle nesene på skulpturene, jeg skal knekke fingrene deres og spraymale de!!! Skjønner du? Jeg tuller ikke. Jeg venter en halvtime og så begynner jeg knusingen!!!

Når hun stod slik og ropte i klærne sine og med hjelmen på hodet, dukket det opp to hoder i et av vinduene, men de forsvant like etterpå. Så dukket de opp igjen, for Martina begynte å trekke i nesen på en av figurene, mens hun fortsatt hylte.

— Hvis ikke hun kommer med pengene, så skal jeg rive av nesen din!!! Skjønner du, din steinhurpe!!! Jeg skal rive den av, og etterpå skal jeg knuse den til støv!!!

Og sånn ropte hun til steinskikkelsene, helt til hun hørte: — Martina, Martina, jeg er her med pengene, ikke gå noe sted, jeg kommer. Det var moren til diabetikeren, en sprek dame på over sytti med et tørkle over håret. Og når hun hadde klatret opp på stillaset og tatt ut en tykk hvit konvolutt fra vesken, hørte de en stemme nedenfra. — Dere er ikke i fare! Bare vær rolig! Dere er ikke i fare! Bare sett dere ned og unngå brå bevegelser! Dere er trygge. Dere får hjelp straks! Ikke beveg dere.

De satte seg ned, og tenkte at det var brann et sted og at sykehuset ble evakuert. Om en liten stund stod det to menn ved siden av dem, og Martina gjenkjente ansiktene til de som hadde lent seg ut gjennom vinduet. — Hvordan er det å sitte på stillaset? Bra, ikke sant?! Fra hvilken avdeling har dere tatt denne himmelturen? — spurte den høyeste av dem.

— Mine herrer, ta det rolig, dette er en kosmisk feil — sa Martina. Jeg restaurerer antikviteter, og dette er sjefen min, hun har akkurat kommet med en forsinket utbetaling. Mine herrer, slapp av, jeg er ikke i humør til sånt tull. — Jada, sa han andre. Kosmos, utbetaling, feil. Vi skjønner. Og du er til og med riktig kledd for en flytur til Mars — la han til og smilte i skjegget. — Men før dere flyr noe sted vil vi gjerne at dere skal komme ned til hovedbasen. — Jeg skal ikke gå noe sted, og du får heller ikke lov å gå — sa Martina. — Det er bedrageri, dette er pasienter som later som om de er sykepleiere. Vi må ikke la oss lure.

Måten den muskuløse mannen så på dem, fikk dem til å klatre ned uten et ord. Da de var nede kom Martina på at hun hadde identifikasjonskortet, som hun ellers aldri brukte, i skjortelommen. Hun tok det ut. De andre bleknet, beklaget og forsvant øyeblikkelig. Da revnet himmelen virkelig, for det begynte å tordne, lyne og deretter striregne. Sjefen tilbød henne en plass i bilen

sin, men Martina takket og satte seg på sykkelen. Klissvåt banket hun på naboens dør. Da hun tok av hjelmen spurte han stille hvorfor hun hadde kjøpt seg en ny. Hun forstod ikke spørsmålet. Da pekte han på den første som lå på en stol i gangen. 147

Oversatt av Agnes Banach



Call Center

Dzwonię.

Znów nie odbiera. Odbierz. No odbierz. Ile razy mam się do ciebie dobijać? Z piątkowych recordów zostałeś mi tylko ty. Za chwilę siedemnasta, kończę pracę. A, jeszcze mam rozmowę z supervisorem. Pół godzinki najwyżej, a potem I am free!

Łączenie. Dwie sekwencje, trzy, pięć. Odbierz. To nic nie kosztuje. Może potem. Ale na początku nic. Zresztą chodzi wyłącznie o twoją korzyść. Będę dla ciebie miły. Odbierz. Przedstawię ci coś, co na pewno cię zadowoli przy tym ogólnym niezadowoleniu, w którym trwamy od urodzenia, rozumiesz?

Siedem.

— Słucham? — Uf, odebrał!

— Czy mam przyjemność rozmawiać z panem...?

— Tak, to ja! Słucham — nie pozwala mi dokończyć.

— Tu Marcin Tarkowski. Dzwonię w imieniu banku — tu podaję, po stosownej pauzie, jego nazwę — który przygotował dla pana atrakcyjną ofertę kredytową. Teraz może pan skorzystać ze specjalnej linii kredytowej...

— Pan wybacz, nie mam czasu. Poza tym nie bawi mnie ciągnięcie długu, który i tak później muszę spłacić. — Zaciął się, nabrał powietrza niczym astmatyk. — I to z nawiązką! — dodał pełen oburzenia.

— Rozumiem — odpowiadam spokojnie. Pełen profesjonalizm. Nie rugać. Nie wypominać. Nie wprowadzać w kompleksy,

150 że ma się do czynienia z niezamożnym, który nie chce się do tego przyznać. — W takim razie przedstawię panu inną, jeszcze lepszą ofertę. Otóż zgodnie z formularzem, który pan wypełnił dla Home Brokera, zainteresowany jest pan kredytem hipotecznym. Oczywiście, na korzystnych warunkach.

— Faktycznie. Przyznaję. No słucham! — Nieco się uspokoił; zainteresowanie zwyciężyło nad domniemanym brakiem czasu. — Tylko krótko, bo nie lubię wciskania kitu.

Kitu? Przepraszam, ja nigdy nie wciskam kitu! Jestem tylko przekąźnikiem różnych ofert. Odpowiedzialność za ich konstrukcję marketingową oraz rzetelność ponoszą oferenci, nie ja. Ale nie powiem mu tego. To nie jego sprawa. Jego interesuje konkretnie. Dobrze, zatem proszę:

— W papierach zaznaczył pan, że docelowo zamierza pan kupić trzypokojowe mieszkanie dla siebie, żony i państwa dziecka.

— Lub dzieci, lub dzieci — poprawił mnie.

— Jak najbardziej, jak najbardziej — poprawiłem się i ja. — Otóż jeśli się pan zdecyduje do trzydziestego dnia bieżącego miesiąca, skorzysta pan z prowizji 0%, marża wyniesie tylko 0,99%, a sam kredyt bank finansuje nawet do 100% wartości nieruchomości!

— Interesujące.

— Bardzo interesujące. Na kiedy chce się pan umówić z konsultantem?

— Z kim?

— Z konsultantem. Przedstawi panu wyczerpująco wszystkie szczegóły dotyczące oferty oraz poinformuje, jakie dokumenty trzeba przygotować w celu uzyskania kredytu.

— Zaraz, zaraz. Jakie dokumenty? Czy ja powiedziałem, że chcę ten kredyt?

— Nie. Ale wyraził pan zainteresowanie.

— Doprawdy?

— Jak najbardziej. Rozmawiamy o nim, więc jest pan zdecydowany.

— Aha, czyli jak jestem piękną dziewczyną i odpowiem na pana spojrzenie, to zaraz pan myśli, że pójdę z panem do łóżka?

Co on bredzi?

A może nie bredzi.

Broni się. Jak każdy inny. I do tego mnie wypunktował.

I prawdę mówił. Co odpowiedzieć? Co odpowiedzieć, by go nie stracić? Niech da się przynajmniej namówić na przesłanie ulotek promocyjnych. Proszę. Bardzo cię proszę, człowieku na linii. Rozmawiamy już trochę, szkoda tych słów, które wypowiedziałem; tu słowa naprawdę kosztują, bo są i na początku, i na końcu.

— Jest pan tam? — to do mnie.

— Jestem — odpowiadam, nie rozumiejąc, czemu sam poddałem się pauzie.

— Pan wybaczy, dziękuję za rozmowę.

— Ale...

Bach! Rozłączył się. A z nim rozłączyło się moje...

— ...10 punktów! Marcin, tyle ci zabrakło do wyniku, który sobie wyznaczaliśmy. Nie możemy być w tym przypadku elastyczni. Przykro mi. Wiem, że się starasz. Dzwonisz nawet w przerwie na kawę. Zależy ci na sukcesie, w pełni to rozumiem i popieram.

Pewnie, że mi zależy. Mam kobietę, pięciomiesięcznego dziecka, planujemy skromny ślub, potem kupno mieszkania, mniej więcej o podobnym metrażu co ten uparty dupek, z którym przed chwilą rozmawiałem. Wyższe stanowisko gwarantuje mi pozytywne rozpatrzenie wniosku o kredytowanie w banku. Wystarczy je mieć. Jeszcze dwieście osiemdziesiąt sześć tysięcy dwieście czterdzieści osiem telefonów i proszę, pagony, odznaki, trofea.

— Marcin, procedury to procedury, musimy się ich trzymać, inaczej centrala zrobi z nami porządek, jak audyt wykaże, że coś nie tak. W bilansie półrocznym, jeśli chcesz skoczyć wyżej, musisz wyrobić setkę plus punkty dodatkowe. One przesądzą o przejściu. Dodatkowo opinia przełożonego, z mojej strony

152 rekomendująca twój awans — supervisor puścił do mnie przyjaźnie oko zza swojego biurka — i nie tylko masz zespół pod sobą, ale dochodzi do tego podwyżka o prawie tysiąc netto i jeszcze...

Wizja rajy tu i teraz, w tym call center. Aż chce się w nią wierzyć, inaczej zjadłbym na drugie śniadanie słuchawki z mikrofonem. Lub odgryzł ucho. Sobie albo komuś, to bez znaczenia. Nikt by nie poczuł, zajęty telefonowaniem i przekonywaniem potencjalnych klientów do skorzystania z wyjątkowych ofert.

— I jeszcze premia uznaniowa za wyniki kwartalne.

Dziękuję, szefie, za pokrzepiające słowa. Za wiarę, miłość i zaufanie. Nie żebym ironizował. Idzie mi dobrze, kiedy na zewnątrz minus piętnaście stopni, tutaj zawsze dwadzieścia cztery, kiedy na zewnątrz plus trzydzieści sześć, tutaj zawsze dwadzieścia cztery. Nie muszę nigdzie biegać, mam tylko mówić.

Mówić. Mówić. Mówić.

Jedni to lubią, drudzy nie. Mogłem zostać, no właśnie kim, żeby tyle nie gadać? Jedynie mojej kobiecie to się nie podoba, bo kiedy wracam, to w ogóle nie chce mi się otwierać ust, najchętniej ukryłbym je gdzieś w głowie, rozłączył się i poszedł spać. Co też robię. I gdyby nie dzieciak, plany matrymonialne i mieszkanie, pewnie byśmy się rozeszli. Kobiety nie lubią ani milczków, ani gaduł, kobiety lubią takich na wpół wygadanych, przepraszam, co ja poradzę, że nie mam siły?

— I w efekcie masz dużo, dużo więcej, Marcin!

Na razie nie mam nic, czyli to, co mam.

— Nie moja wina, że się rozłączył. Byłem bliski sfinalizowania sprawy. Może pan odsłuchać.

— Wierzę ci. Jednak nie wyrobiłeś kwartału. Zaczynamy od zera. Reseting, tak? Inaczej wielu z nas osiadłoby na laurach, a wyniki momentalnie by spadły, czego nikomu nie życzę, Marcin. — Supervisor wstał, podał mi rękę na pożegnanie.

— W pełni cię popieram. Pamiętaj, zawsze możesz na mnie liczyć. I powodzenia w poniedziałek. Zacznesz z nową energią,

bez dwóch zdań. Nabijesz tyle punktów, że twój awans będzie pewny jak... — zabrakło mu fantazji na podanie metafory. Machnął na nią ręką, odejść, nie rozpraszać mnie. To było skierowane przy okazji i do mnie. Byłego przodownika telemarketingu. — Miłego weekendu. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Niedobrze! Tak właśnie będzie. Nasza branża powoli, lecz systematycznie staje się nieefektywna. Klienci częściej dokonują wyborów poprzez sieć, konwersacja z żywą istotą, czyli konsultantem, po prostu ich drażni. Trzeba na poczekaniu albo kłamać, że nie ma się czasu na dłuższą rozmowę, albo zdecydować się. Zawsze pod wpływem emocji! Później wypominają sobie: jak mogłem dać się tak podejść, skoro wcale mi nie zależało? Nie chciałem urazić konsultanta? O niedoczekanie, krętaczu! Następnym razem, jak zadzwonisz, zniszczę cię przez tę słuchawkę, zniszczę na amen, handlarczyku!

W sumie nawet ja nie miałbym ochoty na dłuższą rozmowę ze mną samym.

Ale te 10 punktów!

Co ja teraz powiem mojej kobiecie? Szampan, przepraszam, wino musujące chłodzi się od dwóch dni w lodówce na okoliczność mojego awansu. Który właśnie dzisiaj miałem sobie wydzwonić. Wypiłaby jedynie kieliszek, bo karmi, ale wypiłaby, bidula. Ona przyklaskuje mojej ciężkiej pracy, angażującej intelekt i nerwy, i wie, że chcę dla nas jak najlepiej. Jest na macierzyńskim, potem wraca na posadę kierowniczkę w PKP, stresujący job, nie dość, że narzekają dyrektorzy, to narzeka jeszcze cały kraj, gdy w zimie pociągi spóźniają się z powodu pękniętych od mrozu torów, zasp, zawiei i zamieci, i gdy w lecie pociągi spóźniają się z powodu pękniętych od przegrzania torów, deszczu, gradu i sikających na nasypach pijanych małolatów.

Wino musujące. Wino musujące, a nie szampan. Od zakupu którego jakąś godzinę temu dzieliło mnie zaledwie 10 punktów.

154 Miałbym co oblewać z godnością i z gestem, tak, z gestem! Teraz kanceling, panie Marcinie, dzwoń od początku, nabijaj rekordy, bij rekordy, notowania, cele, osiągnięcia, notowania, cele, osiągnięcia, notowania.

Zapiłem delikatnie w drodze do domu, skręcając mimowolnie do mojego ulubionego baru w centrum, Mety na ulicy Foksal. Zapiłem delikatnie w drodze do domu, przepraszam, wynajmowanej klitki, której nie znosimy i niczego tak nie pragniemy, jak przeprowadzki do nowego M-3 w zielonej Białolece. „Zielonej Białolece”, pamiętam ten inspirujący zwrot z jednej z ofert, zazdroszcząc wszystkim, którzy wyrazili zgodę na przesłanie ulotek i spotkanie z agentem nieruchomości. Zamówiłem porcję nóżek w galarecie i pięćdziesiątkę, przepraszam, dwie. Tylko one, mocno schłodzone, ratują moje usta przed ucieczką w głąb głowy. Rozszerzają je, rozciągają, wprowadzają ponownie w ruch i kiedy, po przeżuciu kilku miętówek, wracam w końcu, moja kobieta nic nie czuje, za to słyszy, że jakimś cudem mówię do niej po ośmiu godzinach nieprzerwanego nadawania do obcych, i wtedy traktuje mnie jak bohatera, kolację robi, miłuje spojrzeniem, kokietuje głosem, jest czuła i wzruszona moim poświęceniem.

Faktycznie, upicie się dla upicia ma coś z poświęcenia.

Siedzę więc przy stoliczku w Mecie, maleńkim lokalu, wypełnionym hitami z dawnych lat, kiedy nie tylko nikt nie miał pojęcia o call centrach, ale w ogóle mało kto miał swój własny telefon. Nóżki zjedzone. Dokoła sporo rozgadanych klientów. Jedni po pracy, drudzy przed. Jak ja im zazdroszczę tego paplania, mnie to się słowa nie chce wypowiedzieć. Ani sylaby. Ani głoski. W naszym call center są pracownicy dzienni i pracownicy nocni. Niektórzy potrafią chlupnąć sobie w skrytości, by rozwiązać język. Często tak, że nim mlaskają, ślina kapie na klawiaturę komputera, monolog zamienia się w bełkot, delikwent zwykle po kwartale i dwóch ostrzeżeniach wylatuje dyscyplinarnie za picie w miejscu pracy. Do niedawna brałem nocne, lepiej

płatne dyżury. Skończyły się wraz z pojawieniem się dzieciaka. Wracam i pomagam mojej kobiecie w kąpaniu dzieciaka, oporządzaniu go przed snem, buziaki, chichotki, oliwki, pudry, te wszystkie smykowe bajery, bez których dzieciak podobno cierpi bardziej niż hospitalizowani narkomani w dwudziestym dniu przymusowego odwyku.

O, jak oni gadają, gaduły gadatliwe. Dobrze, że milczę. I sobie kulturalnie piję, rozmyślając w ramach odstresowania. Mój dzieciak, jaki dokładnie dzieciak? Nieważna płeć, dzieciak jak to dzieciak, dopiero po jakimś czasie okaże się pełnokrwistą dziewczynką lub chłopczykiem, wyrośnie na kobietę lub mężczyznę, przepraszam, żadnego szczególnego zaskoczenia, jak choćby to, że teraz marża wynosi 0,99%, to jest dopiero zaskoczenie! Bo co ma być, to będzie, łącznie z 10 punktami, których pozbawił mnie ten krnąbrny dupek. Wystarczyło, gdyby powiedział „tak” i teraz piłbym z radości, a nie z kurwicy. Nie miał empatii. Nie groziłem mu. Nie szantażowałem. Nie stosowałem sztuczek marketingowych. Uczciwie jak nigdy. A on nie miał empatii! No to chlup, trzecia pięćdziesiątka kojąca złe myśli.

O jak oni gadają, gaduły gadatliwe. O jak dobrze, że milczę. Za to myślę w przeciwieństwie do tych, co gadają, gaduły gadatliwe!

Patrzę na swoje zwielokrotnione odbicie w lustrach na ścianach, fundujących samotnikom milczących kumpli do picia. Patrzę na to swoje odbicie i jest mi błogo, nie wiem, czy to wódka, czy zmęczenie. Patrzę i mam ochotę zadzwonić do siebie i przedstawić sobie ten kredyt z marżą 0,99%. Popijam czwartą pięćdziesiątkę oranżadą i tak sobie myślę, że miałem pecha.

Że mam pecha!

To nie wina supervisor. W naszym call center są jasne i przejrzyste jak bielizna erotyczna reguły osiągnięcia bonusów oraz wszelkich gratyfikacji. Rezultaty widać natychmiast, tzn. są albo ich nie ma. 10 punktów mi, kurwa, zabrakło do awansu, taka jest prawda!

Ten koleś, przepraszam, ten dupek. Piąta! Wystarczyło, żeby mnie nie wkręcał rzekomym zainteresowaniem. Nadużył zaufania. Gdyby powiedział „nie, dziękuję”, na pewno bym się jeszcze wyrobił i połączył z kimś innym, sensowniejszym, bardziej podatnym na propozycje, przynęty i pokusy. Szósta pięćdziesiątka. Poświęciłem mu tyle czasu, produkowałem się, on zaś niewzruszony wzruszył ramionami, nie widziałem tego, ale wiem, że to zrobił, wzruszył i podziękował, tylko że nie podziękował w rzeczy samej, kazał mi się najzwyczajniej w świecie od siebie odpiardolić! Przydałaby się nowa przekąska. Nie stać mnie, przepraszam, stać, ale nie zasługuję na nią. Wlałem w siebie siódmą na czyściocha, aż westchnął mi żołądek.

Wyszedłem. Koniec rozmów na odległość. Musisz zrozumieć, że to, co jest dobre dla ciebie, takie właśnie jest i jeśli jeszcze o tym nie wiesz, to teraz się dowiesz. Dzięki mnie, rozumiesz? Czas przybliżyć ci promocję w cztery oczy.

Oczywiście w domu awantura. Dzieciak w płacz, kobieta w nerwy, ja w doła.

— Jak mogłeś tak się skuć?!

— Przepraszam.

— Ty zawsze przepraszasz.

— Proszę!

— Nie — zbliżyła się do mnie, czułem jej oddech, jadła pasztetówkę. — Wynocha!

— Co wynocha?! Co wynocha?! Ja tu mieszkam.

— O tak, tu... Świetna miejscówka, ten barłóg. Gadasz tyle o tej Białołęce. Zielonej i zieleńskiej. Ty w ogóle gadasz. Do mnie, jak się napijesz, i do mikrofonu, na trzeźwo. Gadasz i gadasz!

Nie sprawdził się patent z miętówkami! Udawała, że nie czuje. A czuła. Kobiety, fałszywe, pokrętne, wielolicowe!

— Marcin, zalałeś się, jedynie to potrafisz? — zapytała ze spokojem, który podsumowała ironicznym spojrzeniem. Pogłaskała

główkę dzieciaka, którego trzymała na rękach. Dzieciak zakwilił. — Odstawiasz po pracy żulerkę, co, chcesz pokazać, jakiś twardy?

Zamachnąłem się, aby odeprzeć jej cierpkie słowa pod moim adresem. W ostatniej chwili zamiast w policzek trzasnąłem przelatującą muchę. Niewidzialną. Ale, powiedzmy, muchę. Kobieto, rodzicielko mojego potomka, wybaczam ci. Nie masz pojęcia o niuansach zaawansowanych konwersacji. Z innymi, którym chce się coś sprzedać.

Pokręciła głową. Wróciła do kuchni, położyła dzieciaka na stole, ten zaczął wrzeszczeć spragniony jej cyca. Podniosła go, westchnęła, usiadła na krześle, położyła sobie na kolanach, podwinęła koszulkę, a ten wżarł się jej w sutek. Nie powstrzymała łez. Nie przez dzieciaka. No nie.

Poczułem się tak, że nic nie czułem. Pustka, bezwład, zniechęcenie. Co mogę zaproponować mojemu dzieciakowi? Piersi nie mam. Jedynie pensję. Więc wikt i opierunek. Lepsze mieszkanie. Lepsze życie. Albo się sprawdzam, albo, tak, ona ma rację, wynocha. Bo co ze mnie? Człowiek-nieużytek. Pasożyt, nie żywiciel. A kobiety i dzieciaki potrzebują konkretnych, że tak powiem, ofert. Pójdę do niej, przeproszę, obiecuję poprawę.

Nie dałem rady. Zwymiotowałem się na ikeowski, pasiasty dywanik w korytarzu. Usnąłem na nim, wygięty w łyżeczkę. Śniący we własnych rzygach. Żalodne. Przez żalonych 10 punktów, które mi zabrał.

Ale wkrótce odda. Wiem o nim dużo więcej, niż mu się wydaje. Zanim zadzwoniłem, miałem wgląd w jego dane, zapewne podał je w jakimś wniosku o kredyt, którego mu nie przyznali. Cieniasowi! Obudziłem się z tą myślą około drugiej czterdzięści pięć nad ranem. I już nie usnąłem. Nadal leżałem na dywaniku. Kobieta przykryła mnie jakimś kocem, teraz upapranym w mojej cuchnącej hańbie po siedmiu pięćdziesiątkach, które namieszały mi w głowie. I w duszy, choć z wiekiem coraz

158 trudniej mi w nią wierzyć. Sprowadziły za to natchnienie i zdecydowanie.

Sobotni poranek. Zjadłem na śniadanie serek, wędlinę, kromkę chleba i świeży wkurw. Wyszedłem, krążyłem dwie godziny po okolicy. Według wszystkich danych ten żartowniś mieszkał w mojej dzielnicy. Miasto niby duże, a takie małe, jak co do czego. Niech wyjdzie na zakupy. Albo do kawiarni. Ze swoim dzieciakiem na lody czy cokolwiek. Podejdę. Podejdę i powiem. Co powiem? Powiem na spokojnie, twarzą w twarz, a nie przez łącza, powiem, uprzednio się przedstawiając, że zrobimy taki myk, pod koniec następnego kwartału, kiedy nabiję sobie nowe wyniki, zadzwonię do niego, a on bez wahania zgodzi się na przesłanie oferty i rozmowę z przedstawicielem banku. Automatycznie przyznają mi punkty. A jeśli odmówi?

Lepiej, by się nie odważył.

Sprawdziłem jeszcze raz wszystkie dane lokalizacyjne. Tak, to ta syfiasta kamienica dla plebsu na dorobku. Przynajmniej czynsz jako taki. Więc ujdzie. Nie ujdą za to degeneraci, co srają w windach. Ich dzieciarnia rujnuje ściany, podpała skrzynki pocztowe. Skąd takie coś się bierze? O, byle z dala stąd, do zielonej Białogłki, gdzie zimą w otulinie śniegu sarnę można zobaczyć, a i dzika, zająca, lokalne zoo po prostu. A ten tu, w tej syfiastej kamienicy. Trzecie piętro. Podobnie jak my. Zawsze trzecie piętro, bez windy, trzeba dreptać, pocić się okrutnie. No nic, pokrażyłem, pokrażyłem, wyszedłem. Nie zadzwonię do domofonu, nie tak to należy rozegrać. Stałem naprzeciwko kamienicy. Jak jakiś agent wywiadu. Przypętał się przygarbiony przez niefart życiowy żulek, spokój mój na chwilę zmacił. Że to, że tamto, tragedia, kopsnij pan co nieco, co? Panie, odpowiadam, ja sam jestem tragedia, a powiedziałem ostro, ostrzej niż ostro, skubany wyczuł nastrój i przepaszając oddalił się na bezpieczną odległość.

Do nocy czekałem. Światło w mieszkaniu sobie upatrzyłem. Zgąsło około dwudziestej drugiej. Otworzyły się drzwi wejściowe

do kamienicy, wyszedł, to pewne, on i jego kobieta. Gdzieś szli. Więc ja za nimi. Zaczął padać deszcz. Mieli parasolki. Ja nie. Wróciłem przemoknięty, ale zadowolony.

Po powrocie szczerze przeprosiłem moją kobietę za wczorajsze zachowanie. Podłość z mojej strony. Wina po mojej stronie. Wódka też. Wybaczysz? Kiwnęła głową. Czyli nie. Ma rację. Ostatnio odstawiałem za dużo różnych akcji. Wybaczylaaby, gdybym przyszedł i powiedział: „Kochanie, mamy wreszcie zdolność kredytową, szukamy mieszkanek, a tymczasem jedźmy po nowe meble, nowe sztuczce, nowe lampy, nowe stoliki, nowe życie, no nowe wszystko!”. Ucieszyłaaby się bardziej niż autentycznie. Dobra z niej kobieta. Dobra matka mojego dzieciaka. Zyskałbym należny mi szacunek. Mogą pitolić o emancypacji, ale kiedy facet przynosi regularnie kasę, to ma poważanie. U swojej kobiety, u innych kobiet, czy co tam preferuje. Wtedy łatwiej mu tak ogólnie, nie wspominając o sypialni.

I kościele. Niedzielna msza o jedenastej dłużyła się jak nigdy. Z trzy godziny trwała, jakbym *Braveheart* oglądał, a nie krzyże i obrazy świętych. Nie mogłem się modlić, tak intensywnie myślałem o przydybaniu tego, co sobie ze mnie zakpił. Nie wiedząc, o jaką stawkę walczę. Ksiądz coś tam o bliźnich, co powinni wybaczać, ja zaś o bliźnim, któremu — niekoniecznie. Wierni klękają. Ciekawe, z którymi z nich rozmawiałem przez telefon. Którzy w ramach miłości bliźniego wysłali mnie na drzewo. Którzy zamiast z pokorą nadstawić drugie ucho i wsłuchać się w polecana przez mnie ofertę, rzekli zaprawdę, bym się odpierdolił i tyle. Amen.

— Przekażcie sobie znak pokoju.

Odwracam głowę w lewo do mojej kobiety i gaworzącego dzieciaka. Odwracam głowę w prawo. Patrzy na mnie, nie widząc mnie. To on. Ale przypadek! Takiś miłujący?

Po mszy idę za nim. Miesza się z wychodzącym tłumem. Czuję czyjaś rękę na moim ramieniu. Odwracam się, to moja kobieta.

— Marcin, co ty robisz?! — krzyczy, przedzierając się przez końcówkę pieśni religijnej.

Daję znać gestem, mam sprawę. Ona mnie szarpie. Jakoś tak odruchowo uderzam ją w policzek, kiedy mówi, żebym się opanował i wrócił z nią do domu. Nie mamy domu, mamy klitkę, w której zaczyna nam brakować powietrza. Ktoś na mnie złorzeczy, co ja wyczyniam. Odpuszczam sprzeczkę i podążam za nim, zaraz mu powiem, co myślę o takich, jak on. Beztraskich sukinyń, którzy nie szanują mojego call center. Jest bez swojej kobiety. Wierny się znalazł. Solówki mszalne odstawia. Idę za nim. Zaraz usłyszysz moje słowa. Serce mi bije. Nogi zaplątują się o siebie. Nic, idę dalej. Dochodzi pod swoją kamienicę. Wchodzi, wspina się po schodach. Ja za nim. Jest już przy drzwiach, ja za nim.

— Hej, ty! — wołam groźnie.

Odwraca się. Widzę go wreszcie na spokojnie. Nikt nam nie przeszkadza. Wzrusza ramionami, wyjmuje klucze, majstruje przy zamku.

— Stój, mam do ciebie sprawę! Nie słyszysz!?! Znów mnie wra-
biasz, co? Za kogo ty się masz? Kim ja jestem dla ciebie?!

Znów się odwraca. Patrzy na mnie, jakby mnie nie dostrze-
gał, taki jestem daleki, zza słuchawki.

Otwierają się drzwi sąsiedniego mieszkania.

— Panie Marcinie, co się pan tak drze, za przeproszeniem? —
mówi do mnie człowiek.

Przyglądam się człowiekowi, który okazuje się sąsiadem. Tym-
czasem tamten wszedł do środka.

— Panie Marcinie, co pan się tak gapi na mnie? Nie goliłem
się od dwóch dni, przyznaję, ale bez przesady. I dlaczego pan stoi
przed swoim mieszkaniem, zamiast do niego wejść?

— Ja za tym, co wszedł.

— Kto?

— Do mnie. No, do... mnie. Nie widział pan? — wyciągam rę-
kę i pokazuję wszystkimi palcami.

— Oj, coś pan kręci — sąsiad pokręcił głową. — Jak pan chce, 161
proszę sobie tak stać, tylko bez wydzierania się, proszę.
Zamknął drzwi. Zostałem sam na klatce.

Call Center

Jeg ringer.

Han tar fortsatt ikke telefonen. Ta den. Kom igjen, ta den. Hvor mange ganger må jeg ringe deg? Jeg har bare deg igjen på listen over de jeg skal ringe fredag. Klokken er nesten fem, jeg er snart ferdig på jobb. Forresten, jeg har en samtale med sjefen i dag. Toppen en halvtime, og etterpå I am free!

Det ringer. To ganger, tre, fem. Ta den. Det koster deg ingenting. Kanskje etterpå. Men først koster det ingenting. Forresten så handler det utelukkende om å tilfredsstille deg. Jeg skal være hyggelig mot deg. Ta den. Jeg skal presentere noe som helt sikkert kommer til å behage deg midt i dette ubehaget vi befinner oss i fra fødselen av. Henger du med?

Syv.

— Hallo? — Uff, han tok den!

— Snakker jeg med...?

— Ja, det er meg! Hva gjelder det — han lar meg ikke fullføre.

— Dette er Marcin Tarkowski. Jeg ringer på vegne av — her oppgir jeg, etter en passende pause, navnet på banken — som kan tilby deg en interessant kredittavtale. Nå kan du benytte deg av en kreditt...

— Beklager, jeg har ikke tid. Dessuten er jeg ikke interessert i pådra meg gjeld som jeg uansett må betale tilbake senere. — Han stoppet litt opp, trakk inn luft som en astmatiker. — Og det med renter! — la han forarget til.

— Jeg forstår — svarer jeg rolig. Veldig profesjonelt. Ikke kjefte. Ikke bebreide. Ikke gi ham komplekser, få ham til å forstå at jeg vet at jeg har å gjøre med en med begrensede midler, og som ikke vil innrømme det. — Da vil jeg gi deg et annet, enda bedre tilbud. I følge skjemaet du har fylt ut for Home Broker er du interessert i pantelån. Selvfølgelig med gunstige vilkår.

— Det er faktisk riktig, det innrømmer jeg. Fortsett. — Han har roet seg litt ned; interessen har overvunnet den påståtte mangelen på tid. — Men vær kort, for jeg liker ikke når folk prater tull.

Tull? Hva behager, jeg prater aldri tull! Jeg er bare en formidler av forskjellige tilbud. Det er ikke *jeg*, men *de* som gir tilbudet som skal holdes ansvarlige for markedsføringen og redeligheten. Men det kan jeg ikke si til ham. Det er ikke hans sak. Han er interessert i det konkrete tilbudet. Greit, her kommer det:

— I papirene har du krysset av at du på sikt planlegger å kjøpe en treroms leilighet for deg, din kone og barnet deres.

— Eller barna — rettet han på meg.

— Absolutt, absolutt — rettet jeg meg selv. — Altså, hvis du bestemmer deg innen tredevte denne måneden, kan du benytte deg av prosentsatsen på 0%, fortjenestemarginen utgjør bare 0,99%, og banken finansierer selve kreditten helt opp til 100% av eiendomsverdien!

— Interessant.

— Det er veldig interessant. Når skal jeg avtale et møte med en konsulent?

— Med hvem?

— Med en konsulent. Han vil gi deg en utførlig presentasjon av alle detaljene i tilbudet og gi deg informasjon om dokumentene som må klargjøres for å få kreditt.

— Vent nå litt. Hva slags dokumenter? Har jeg sagt at jeg vil ha kreditt?

— Nei. Men du uttrykte interesse.

— Jaså?

— Absolutt. Vi snakker om det, så du har altså bestemt deg.

— Jaha, så hvis jeg er en vakker kvinne og gjengjelder blikket ditt, så tenker du med en gang at jeg vil gå til sengs med deg?

Hva er det slags vrøvl?

Eller kanskje det ikke er vrøvl.

Han forsvarer seg. Som alle andre. Og i tillegg angriper han meg.

Og han snakker sant. Hva skal jeg svare? Hva skal jeg svare for å ikke miste ham? Hvis han bare kan la seg overtale til å få noen reklamebrosjyrer tilsendt. Vær så snill. Vil du være så snill, menneske på tråden. Vi har allerede snakket litt, la det ikke være bortkastet; her koster ordene virkelig, for Ordet var ikke bare i begynnelsen, det er også på slutten.

— Er du der? — det var til meg.

— Ja — svarer jeg, og forstår ikke selv hvorfor jeg tillot meg en pause.

— Beklaget, takk for samtalen.

— Men...

Klask! Jeg har mistet ham. Og med ham har jeg mistet mine...

— ...10 poeng! Marcin, det var bare det du manglet for å oppnå resultatet vi satte oss som mål. I dette tilfellet kan vi ikke være fleksible. Jeg er lei for det. Jeg vet at du prøver hardt. Du ringer til og med i kaffepausen. Du vil gjerne lykkes, det forstår jeg og støtter deg fullt ut på.

Selvfølgelig vil jeg gjerne lykkes. Jeg har en dame, en unge på fem måneder, vi planlegger et enkelt bryllup, og deretter kjøp av leilighet på omtrent samme størrelse som den sta drittsekken jeg snakket med for et øyeblikk siden. En bedre stilling er en garanti for et positivt svar på min kredittsøknad i banken. Jeg *må* bare få en bedre stilling. Bare to hundre og åttiseks tusen to hundre og førtiåtte telefoner til og vær så god, epåletter, hederstegn, trofeer.

— Marcin, prosedyrer er prosedyrer, og vi må holde oss til dem, hvis revisjonen viser at noe ikke stemmer blir det bråk fra

166 sentralkontoret. Hvis du vil rykke opp må du klare hundre poeng i halvårsbalansen, pluss ekstrapoeng. Det er ekstrapoengene som avgjør opprykket. I tillegg kommer vurderingen fra en overordnet, der jeg fra min side anbefaler forfremmelsen din — sjefen blunket vennlig til meg fra bak skrivebordet — og ikke bare får du et team under deg, men også lønnsforhøyelse på nesten ett tusen netto og i tillegg...

En åpenbaring av paradiset her og nå, på vårt call center. Og den åpenbaringen vil man tro på, hvis ikke hadde jeg spist headsettet og telefonen til lunsj. Eller bitt av øret til en eller annen. Mitt eget eller andres, det spiller ingen rolle. Ingen hadde kjent det, opptatt som de er med å ringe og å overtale de potensielle kundene til å benytte seg av de unike tilbudene.

— Og i tillegg kommer premien for kvartalsresultatet.

Takk for de styrkende ordene, sjef. For troen, kjærligheten og tilliten. Ikke det at jeg ironiserer. Jeg gjør det bra: selv om det er femten kuldegrader ute, er det alltid tjuefire grader her inne, selv om det er trettiseks varmegrader ute, er det alltid tjuefire grader her inne. Jeg trenger ikke gå noe sted, jeg skal bare snakke.

Snakke. Snakke. Snakke.

Noen liker det, andre liker det ikke. Jeg kunne ha blitt, ja, hva kunne jeg egentlig ha blitt for å slippe å snakke så mye? Det bare dama mi som ikke liker det, for når jeg kommer hjem orker jeg nesten ikke å åpne munnen, helst skulle jeg gjemt den, lagt på, og gått og lagt meg. Noe jeg gjør. Og hvis det ikke hadde vært for ungen, bryllupsplanene og leiligheten, hadde vi sikkert gått fra hverandre. Kvinner liker verken menn av få ord eller pratmakere, kvinner liker sånne som snakker litt, beklager, jeg kan ikke noe for at jeg ikke har lyst.

— Og dermed har du mye, mye mer, Marcin!

Foreløpig har jeg ingenting, det vil si det er alt jeg har.

— Det er ikke min feil at han la på. Det var like før vi inngikk en avtale. Du kan høre på samtalen.

— Jeg tror deg. Men du nådde ikke kvartalsmålet. Vi begynner fra null. Reset, ikke sant? Ellers ville mange av oss hvilt på laurbærene, og resultatene hadde falt øyeblikkelig, noe jeg ikke ønsker min verste fiende. Marcin. — Sjefen reiste seg, gav meg hånden til avskjed.

— Jeg støtter deg fullstendig. Husk, du kan alltid stole på meg. Og lykke til på mandag. Du kommer til å sette i gang med ny giv, ingen tvil om det. Du vil sanke så mange poeng at forfremmelsen din er like sikker som... — han gikk tom for fantasi før han kom med en metafor. Han droppet den: gå vekk, ikke forstyrr. Det var også rettet mot meg. Den forhenværende lederen av telefonsalg. — God helg. Du skal se at alt kommer til å ordne seg.

Ingenting! Ingenting kommer til å ordne seg. Bransjen vår er sakte, men systematisk i ferd med å bli ineffektiv. Kundene gjør oftere valgene sine på nettet, en samtale med en levende person, altså en konsulent, virker rett og slett irriterende. Man må enten lyve på flekken og si at man ikke har tid til en lengre samtale, eller si ja. Alltid under påvirkning av følelser! Etterpå klandrer de seg selv: hvordan kunne jeg la meg lure, når jeg ikke hadde lyst i det hele tatt? Ville jeg la være å såre konsulenten? Bare vent, din sleiping! Neste gang du ringer skal jeg ta deg, jeg skal knuse deg, din kremmer!

Når alt kommer til alt ville ikke engang jeg hatt en lengre samtale med meg selv.

Men de 10 poengene!

Hva skal jeg si til dama mi nå? Champagnen, eller rettere sagt, den musserende vinen har ligget til avkjøling i kjøleskapet i to dager i anledning min forfremmelse. Som skulle ha vært i boks etter dagens oppringinger. Hun ville bare ha drukket ett glass, for hun ammer, men hun ville ha drukket, stakkar. Hun berømmer meg for den harde jobben min, for alt hva den krever av intellekt og nerver, og hun vet at jeg bare vil vårt beste.

168 Hun har mammapermisjon, etterpå skal hun tilbake i ledertillingen i jernbaneverket, en stressende jobb, ikke nok med at direktørene klager, men i tillegg klager hele landet: om vinteren når togene er forsinket på grunn av kuldesprengte skinner, snøfonner, snødrev og snøstormer; og om sommeren når togene er forsinket på grunn av overopphetede skinner, regn, sludd og fulle tenåringer som tisser på jordvollene.

Musserende vin. Musserende vin og ikke champagne. Det var bare 10 poeng som stod mellom meg og champagnen. Jeg hadde hatt noe å feire med verdighet og sjenerøsitet, ja, *sjenerøsitet!* Nå er alt kansellert, Marcin, begynn ringingen på nytt, sank poeng, sett rekorder; rekorder, mål, prestasjoner, rekorder, mål, prestasjoner, rekorder.

Jeg drakk en smule på vei hjem, jeg svingte uvilkårlig innom yndlingsbaren min i sentrum, Mål i Foksal-gaten. Jeg drakk en smule på vei hjem, eller rettere sagt, på vei til kottet vi leier og hater, og det er ikke noe vi heller vil enn å flytte til en ny tre-roms i Białołęka. "Den grønne Białołęka", jeg minnes den inspirerende frasen på en av annonsene, og jeg misunner alle som har gått med på å få tilsendt brosjyrer og har avtalt et møte med eiendomsmegleren. Jeg har bestilt kyllinglår i aspik og en dobbel vodka, eller rettere sagt, to vodkaer. Det er kun de godt avkjølte vodkaene som redder munnen min fra å gjemme seg et sted i hodet. De utvider den, strekker den ut, får den i bevegelse igjen, og når jeg, etter å ha spist et par mintdrops, endelig kommer hjem, kjenner ikke dama mi noe, men hun hører til gjengjeld at jeg, som ved et under, snakker til henne etter åtte timer med uavbrutt babling til fremmede, og da behandler hun meg som en helt, lager kveldsmat, sender kjærlige blikk, koketterer med stemmen, er øm og rørt av min oppofrelse.

Det å drikke seg full for å drikke seg full er faktisk en slags oppofrelse.

Jeg sitter altså ved et bord på Mål, et bittelite lokale, fylt med

hits fra gamledager, da ikke bare få visste hva et call center var, men da de færreste hadde egen telefon. Kyllinglårerne er spist opp. Rundt meg sitter mange pratsomme gjester. Noen er her etter jobb, andre før. Jeg misunner dem den plapringen, jeg orker ikke å si et ord. Ikke en stavelse. Ikke en lyd. På vårt call center jobber folk dagskift og nattskift. Noen tar seg en støyt i skjul for å få tungen til å gli bedre. Ofte så stor at de smatter, spyttet drypper på tastaturet, monologen blir til mumling, etter ett kvartal og to advarsler blir synderen vanligvis disiplinært kastet ut for drikking på arbeidsplassen. Inntil nylig tok jeg de bedre betalte nattevaktene. Det tok slutt når ungen kom. Jeg går hjem og hjelper dama mi med bading av ungen, nattstell, kyss, kiling, olje, pudder, alt lureriet som barnet visstnok må ha for å ikke lide like mye som innlagte narkomane på den tyvende dagen med tvangsavvenning.

Å som de prater, pratsomme pratmakere. Det er bra at jeg er taus. Og drikker kultivert, og funderer for å stresse ned. Ungen min, hva slags unge er det egentlig? Kjønnen er ikke viktig, en unge som andre unger, først etter en viss tid blir den en fullblods jente eller gutt, vokser opp til å bli en kvinne eller en mann, unnskyld meg, det er vel ikke spesielt overraskende, for eksempel ikke så overraskende som at fortjenestemarginen bare utgjør 0,99%, det er virkelig overraskende! Komme hva som komme vil, inkludert de 10 poengene den sta drittsekken tok fra meg. Det hadde holdt at han hadde sagt "ja", og da ville jeg drukket av glede, og ikke som nå, av raseri. Han var ikke empatisk. Jeg truet ham ikke. Jeg presset ham ikke. Jeg brukte ikke skitne markedsføringstriks. Jeg var hederlig som aldri før. Og han var allikevel ikke empatisk! Skål, den tredje vodkaen lindrer de vonde tankene.

Å, som de prater, pratsomme pratmakere. Å, like greit at jeg er taus. Jeg tenker, i motsetning til de som prater, de pratsomme pratmakerne!

Jeg ser på mitt eget speilbilde duplisert i speilene på veggene, som gir de ensomme ulvene tause drikkekamerater. Jeg ser på speilbildet mitt og føler meg salig, jeg vet ikke om det er vodkaen eller trettheten. Jeg ser og jeg har lyst å ringe til meg selv og gi meg selv tilbudet om kreditt med fortjenestemargin på 0,99%. Jeg skyller ned den fjerde vodkaen med brus og tenker at jeg har hatt uflaks.

At jeg har uflaks!

Det er ikke sjefens skyld. Reglene for å oppnå bonus og alle slags premier er klare og like gjennomsluktige som erotisk undertøy. Resultatene er synlige øyeblikkelig, det vil si at enten har man det, eller så har man det ikke. Jeg manglet bare helvetes 10 poeng til forfremmelse, det er det som er sannheten!

Den fyren, eller rettere sagt, den drittsekken. Den femte vodkaen! Det hadde føltes bedre om han ikke hadde forledet meg til å tro at han faktisk var interessert. Han misbrukte tilliten min. Hvis han hadde sagt "nei takk" ville jeg sikkert ha rukket å ringe noen andre, noen mer fornuftige, mer mottagelige for forslag, lokkemidler og fristelser. Den sjette vodkaen. Jeg brukte så mye tid på ham, anstrengte meg, mens han bare uberørt trakk på skuldrene, jeg så det ikke, men jeg vet at han gjorde det, trakk på skuldrene og takket nei, det var bare det at han egentlig ikke takket, han ba meg rett og slett om å dra til helvete! Jeg skulle ha hatt en matbit til. Jeg har ikke råd til det, eller rettere sagt, jeg har råd, men jeg fortjener det ikke. Jeg helte i meg den syvende vodkaen bar, det gikk et sukk gjennom magesekken.

Jeg gikk ut. Slutt på avstandssamtaler. Du må forstå hva som er bra for deg, og hvis du ikke har skjønt det ennå, så vil du finne det ut nå. Takket være meg, skjønner du? Det er på tide å gi deg tilbudet under fire øyne.

Hjemme blir det selvfølgelig bråk. Ungen skriker, dama stresser, jeg depper.

— Hvordan kunne du bli så dritings?!

— Jeg er lei for det.

— Du er alltid lei for det.

— Vær så snill!

— Nei — hun kom nærmere, jeg kjente pusten hennes, hun har spist leverpostei. — Kom deg ut!

— Kom deg ut?! Hva mener du med “kom deg ut”?! Jeg bor her.

— Jada, her... Det er litt av et sted, dette hølet. Du snakker så mye om den der Białołęka. Grønn og grønnere. Du kan virkelig snakke. Til meg når du har drukket, og i mikrofonen når du er edru. Du snakker og snakker!

Triksset med mintdropsene funket ikke! Hun lot som om hun ikke kjente det. Men hun kjente det. Kvinner, falske, løgnaktige, hyklerske!

— Marcin, du har drukket deg kanon, er det alt du kan? — spurte hun rolig, en ro hun oppsummerte med et ironisk blikk. Hun klappet ungen hun holdt i armene på hodet. Ungen klynket. — Går du på fylla etter jobb, hæ, vil du vise hvor tøff du er?

Jeg slo ut med armen for å støte bort de skarpe ordene hun rettet mot meg. I siste liten klasket jeg til en flue som fløy forbi i stedet for kinnene hennes. En usynlig flue. Men la oss si at det var en flue. Kvinne, mor til min etterkommer, jeg tilgir deg. Du har ingen anelse om nyansene i avanserte samtaler. Med de man vil selge noe til.

Hun ristet på hodet. Gikk tilbake på kjøkkenet, la ungen på bordet, den begynte å grine etter puppen hennes. Hun løftet den opp, sukket, satte seg på stolen, la den på fanget, brettet opp skjorten, og den bet seg fast i brystvorten hennes. Hun klarte ikke å holde tårene tilbake. Ikke på grunn av ungen. Å nei. Jeg følte ingenting. Tomhet, sløvhet, motløshet. Hva kan jeg tilby ungen min? Pupper har jeg ikke. Bare lønn. Altså kost og losji. En bedre leilighet. Et bedre liv. Enten klarer jeg det, og hvis ikke så har hun rett, kom deg ut. For hva er jeg. Et udugelig menneske. En parasitt, ikke en forsørger. Og kvinner og barn trenger

172 konkrete, for å si det sånn, tilbud. Jeg skal gå til henne, beklage, love forbedring.

Jeg klarte det ikke. Jeg spydde på det stripete Ikea-teppet i gangen. Jeg sovnet på det, i fosterstilling. Drømmende i mitt eget spy. Ynkelig. På grunn av de ynkelige 10 poengene han tok fra meg.

Men han skal snart gi de tilbake. Jeg vet mer om ham enn han tror. Før jeg ringte fikk jeg innsyn i hans personlige opplysninger, han oppgav de sikkert i en søknad om kreditt han fikk avslag på. Den taperen! Det var tanken jeg våknet med rundt klokken kvart på tre om morgenen. Og jeg sovnet ikke igjen. Jeg lå fortsatt på teppet. Hun hadde dekket meg til med et eller annet teppe, som nå var tilgriset av min stinkende skam etter de syv vodkaene, som hadde gått meg til hodet. Og til sjelen, selv om jeg med alderen finner det stadig vanskeligere å tro på den. Men de gav meg til gjengjeld inspirasjon og beslutsomhet.

Lørdagsmorgen. Til frokost spiste jeg ost, skinke, en brødskeive og ferskt raseri. Jeg gikk ut, kretset rundt i området i to timer. I følge alle opplysningene bodde spøkefuglen i bydelen min. Byen er liksom så stor, og likevel så liten når alt kommer til alt. Bare han går ut for å handle. Eller på kafé. Eller tar med ungen sin for å spise is, eller hva som helst. Jeg skal gå bort til ham. Jeg skal gå bort til ham og si det. Hva skal jeg si? Jeg skal rolig si, ansikt til ansikt, og ikke på telefonen, jeg skal si, etter å ha introdusert meg, at vi gjør en deal, mot slutten av neste kvartal, når jeg har samlet nye poeng, ringer jeg ham, og han går uten å nøle med på at jeg sender tilbudet og at vi avtaler et møte med en representant fra banken. De gir meg poengene automatisk. Og hvis han avslår?

Han bør ikke våge å avslå.

Jeg sjekket alle stedsopplysningene en gang til. Ja, det er den ekle bygården for streberne som holder på å slå seg opp. Leien er i alle fall ikke så verst. Så det går. Men det som ikke går er de

degenererte menneskene som driter i heisene. Ungene deres ødelegger veggene, setter fyr på postkassene. Hvor kommer sånne fra? Nei, man må komme seg vekk herfra, til den grønne Białołęka, hvor man om vinteren kan se et snøkledd dådyr, og til og med et villsvin, en hare, en lokal dyrehage rett og slett. Og han er her, i den ekle bygården. Tredje etasje. Sånn som vi. Alltid tredje etasje, uten heis, man må gå, svette forferdelig. Jaja, jeg kretset litt rundt, gikk ut. Jeg skal ikke ringe på hustelefonen, det er ikke sånn dette skal gjennomføres. Jeg stod rett overfor bygården. Som en etterretningsagent. Det kom en slask bort, han var krumbøyd av uflaks, hang der litt, forstyrret meg. Sa ditt og datt, en tragedie, sleng hit et eller annet, hæ? Du, svarer jeg, jeg er selv en tragedie, og jeg sa det skarpt, skarpere enn skarpt, luringen fornemmet stemningen, beklaget og kom seg på trygg avstand.

Jeg ventet til det ble natt. Jeg så lyset i leiligheten. Det ble slukket rundt klokken ti. Inngangsdøren til bygården åpnet seg, han kom ut, det var helt sikkert han, han og dama hans. De gikk og jeg gikk etter dem. Det begynte å regne. De hadde paraplyer. Det hadde ikke jeg. Jeg kom tilbake gjennomvåt, men fornøyd.

Etter at jeg kom hjem gav jeg dama mi en oppriktig unnskyldning for gårsdagens oppførsel. Det var smålig fra min side. Skylden var på min side. Vodkaen også. Tilgir du? Hun nikket. Alt så nei. Hun har rett. I det siste har det vært mye styr med meg. Hun hadde tilgitt hvis jeg hadde kommet og sagt: "Kjære, vi har endelig betalingsevne, vi kan lete etter leilighet, og i mellomtiden la oss dra og kjøpe nye møbler, nytt bestikk, nye lamper, nye bord, et nytt liv, ja, et nytt alt!". Om så hadde vært tilfellet ville hun blitt glad av hele sitt hjerte. Hun er en god kvinne. Hun er en god mor for barnet mitt. Jeg hadde fått respekten jeg fortjener. De kan mase om frigjøring, men kun når mannen håver inn penger oppnår han respekt. Hos dama si, hos andre damer eller hva han nå foretrekker. Da går alt mye lettere, for å ikke snakke om på soverommet.

I kirken. Søndagsgudstjenesten klokken elleve trakk ut som aldri før. Den varte nærmere tre timer, som om jeg satt og så på *Braveheart*, og ikke på kors og helgenmalerier. Jeg klarte ikke å be, for jeg tenkte så intenst på å ta ham som hadde hånet meg. Uten å vite hva slags pris jeg kjempet for. Presten sier noe om at du burde tilgi din neste, og jeg tenker på min neste, men jeg vil egentlig helst ikke tilgi. De troende kneler. Lurer på hvem av dem jeg har snakket med på telefonen. Hvem av dem som i tråd med nestekjærligheten sendte meg til korset. Som i stedet for ydmykt å vende det andre øret til og lytte til tilbudet jeg anbefalte dem, i sannhet sa at jeg skulle dra til helvete. Ferdig med det. Amen.

— Gi hverandre fredens tegn.

Jeg snur hodet til venstre mot dama mi og den pludrende ungen. Jeg ser til høyre. Han ser på meg, uten å se meg. Det er han. For en tilfeldighet! Er du så barmhjertig?

Etter gudstjenesten går jeg etter ham. Han blander seg med folkemengden som går ut. Jeg kjenner en hånd på skulderen. Jeg snur meg, det er dama mi.

— Marcin, hva er det du holder på med?! — roper hun, stemmen trenger igjennom avslutningen på salmen.

Jeg gjør tegn til henne, jeg har noe jeg må ordne. Hun drar i meg. Jeg slår henne litt sånn uvilkarlig på kinnet når hun sier at jeg skal roe meg ned og bli med henne hjem. Vi har ikke et hjem, men et kott som holder på å suges tomt for luft. Noen begynner å skjelle meg ut, hva er det jeg holder på med. Jeg forlater krangelen og følger etter ham, jeg skal snart fortelle ham hva jeg synes om sånne som han. Sorgløse jævlere som ikke respekterer mitt call center. Han er uten dama si. En troende, du liksom. Gjør soloopptredener på gudstjenester. Jeg går etter ham. Snart vil du høre ordene mine. Hjertet mitt banker. Beina vikler seg inn i hverandre. Jeg bryr meg ikke og går videre. Han kommer til bygården sin. Går inn, går opp trappen. Jeg er rett bak. Han er ved døren, jeg er rett bak.

— Hei, du! — roper jeg truende.

Han snur seg. Endelig ser jeg ham ordentlig. Det er ingen som forstyrrer oss. Han trekker på skuldrene, tar ut nøklene, fikler med låsen.

— Stopp, jeg har noe uoppgjort med deg! Hører du ikke!? Du prøver å lure meg igjen, hæ? Hvem tror du at du er? Hvem er jeg for deg?!

Han snur seg igjen. Han ser på meg som om han ikke ser meg, jeg er så langt unna, på den andre siden av telefonrøret.

Døren til naboeliligheten åpnes.

— Marcin, hvorfor bråker du sånn, om jeg tør spørre? — si-er en mann til meg.

Jeg ser på mannen, som viser seg å være naboen min. I mellomtiden har han andre gått inn.

— Marcin, hvorfor stirrer du sånn på meg? Jeg har ikke barbert meg på to dager, det innrømmer jeg, men du trenger ikke å overdrive. Og hvorfor står du utenfor leiligheten din, i stedet for å gå inn?

— Jeg fulgte etter ham som gikk inn.

— Hvem?

— Til meg. Ja, til... meg. Så du ikke det? — jeg strekker ut hånden og peker med alle fingrene.

— Nei, nå snakker du tull — naboen ristet på hodet. — Hvis du vil, så kan du bare stå der, men ikke rop sånn, er du snill.

Han lukket døren. Jeg var alene i oppgangen.

Oversatt av Agnes Banach



The chronicles of the kanaries / kanariekrønikene
(utdrag fra bok under arbeid)

man er beskyttende overfor nye familiemedlemmer fordi man innser at om noe skulle skje dem ville det ødelegge hele ditt liv.

They are the engineers of our exhaustion.

ALUCARDA: MADRID MAI 1918

(Tiden er alltid bare nå, selv om vi snakker Spania på den tiden da franskesyken, som spanskesyken ble kalt i Spania, skyllet over landet og kontinentene. I dens kjølvann fulgte også sovesyken som transporterte mange liv i kokonger til andre hule verdener med salat og gnomer i strie strømmer. Tiden er alltid bare nå, selv om det er 1918 og verden er ute av synk, tiden virker ikke som den skal og slenger oss veggimellom i kjente omgivelser omgitt av hendelser og ting som umulig kan finnes der, aldri tidsriktig.

Blue Motell, stedet ved verdens ende, har begynt å lokke på oss fra bak sløret der alt vi ikke vil se, bor, alt vi ikke vil vite om oss selv som vår nattlampe Apollon holder borte. Vi holder hendene varsomt over øynene våre når filmen blir for skummel, holder selv for ørene, og mangler bare den siste stumme apestatuen for å forsvinne fullstendig inn i lysets blinde rike. Blue Motell har begynt å lokke drømmere over

stupet igjen. På samme måte som Duracellkaniner trenger batterier, behøver Blue Motell blod til verdens hjerte. Den strekker seg ut med alle sine bier til alle tider og steder. Blue Motell ligger utenfor tiden, ikke foran og ikke etter, men akkurat nå, så alle nåtider rommes i en enkelt. En utopi som man verken kan mimre om eller lengte til, den løper parallelt med dine innerste behov, for den mates av dem.

Vi skal ut og fiske flere sjeler med Blue Motells bier i løpet av denne historien. Den første som biter på aluminiumsfiskene motellet har slengt ut er Alucarda fra begynnelsen av forrige århundre, en spansktalende husmor gift med en meksikansk universitetsprofessor, mor til tre barn, som hun ikke lenger bryr seg om. Mindre og mindre bryr hun seg.

Hun er Honning-grevlingen som gir faen.

Grunnen til at biene velger henne er fordi hun har et stort potensial. Hun er en nådeløs kriger. En spirende sjaman. Autistisk som en ørn. Hun kan kutte alle forbindelser og likevel vil hjertet fortsette å slå i løse luften. Hun er en champion. En ridder av en nyslått bjørn. Hun hjemsøkes av veiviseren i drømmer, og av ånder som gir seg ut for å være slekt, som vil kappe henne opp, koke knoklene rene og gjøre henne om på nytt, til en renere form for vesen med innvoller av bergkrystaller som sprenger seg ut gjennom huden ved vilje.

Mer om dette siden. Nå hopper vi rett inn i 1918, i en tidforskjøvet tid der Alucarda sover og drømmer om skogen hun befinner seg i, i midten av sitt liv fortapt, fortapt. Man må alltid ta kallet, ellers dreper det deg, det er en gave full av blod som eksploderer i ansiktet.)

Det er slik det alltid begynner.

Det er ingen lyder. Grenene pisker meg i ansiktet, lydløst løper føttene gjennom en skog. For livet. Selv om det ikke er noen bak meg vet jeg at beina ikke kan slutte å bære. Dette Noe

eller Noen som jeg løper fra vil ta meg igjen, i en tett skog. Der jeg springer griper de nye skuddene ivrig gummiaktige, og de gamle nålene skrubber huden på armene og halsen. Jeg forsøker å skyve vekk grenene i fart, dette er viktig av en grunn jeg ikke har tid til å undersøke, for ikke å rispes i filler. På bakken under meg gror røttene i intrikate feller for de gule joggeskoene som trekker inn vann. Himmelen over meg er nydelig tung, men grå som et slør. Bakken sleip. Sporene graver seg ned i gjørma og sklir ut til siden. En sti males ut for forfølgere. Det begynner å regne igjen, kraftig. Jeg blunker vannet unna, vann siler ned gjennom håret, klærne. Nakken. Det damper av kroppen og de varme klærne blander seg med disen mellom de sleipe tre-stammene. Jeg løper. Vanligvis våkner jeg mens jeg løper. Denne gangen er det annerledes.

Bråstopp. Hiver etter pusten. I stumfilm ser jeg den gispende skikkelsen, som jeg tror er meg, i en lysning i skogen. Synet i denne sirkelen av trær, som har trukket seg tilbake fra åstedet, får håret til å reise seg på armene, og magen kaster seg rundt som en deigblander. Lukta av døde rotter og røkelse. Søtlig trenger den seg inn i neseborene. Lyden slår seg på. Lyden av regnet som treffer kroppsdeler spaltes slapt. Hele lysingen full av avhugde kroppsdeler. Dekt av et levende teppe bølgende hvite rottekropper med lysende røde øyne. Noen deler ser ut som om de kommer fra barn, andre hvitere, voksne, en fargerik verden av lemmer. Hauger av buktende. Som nudister i skogholt slanger seg i sola i en enorm uigjenspadd massegrav. Ormegården. Jeg har blod i munnviken. Jeg kan se det på hendene mine som prøver å tørke vekk den tunge pusten. Nydelig kirsebærrødt og nytt. Plutselig treffer redselen meg som et lyn gjennom den venstre siden av kroppen, vrir seg som kniver rundt og rundt i en rettvisklet linje og bøyer meg som en sørgepil. Hva om jeg har tatt feil? Hva om jeg løper mot, og ikke fra?

Jeg aner konturene av noe mellom trestammene. Noe som blinker. Små lys, små kuler av svevende lys og en dyp brumming, surring, summing, som man av og til hører i ørkenen, og som man får syner av. Jeg er så sliten at jeg har glemt hva jeg heter og hvor jeg kommer fra, men jeg vet jeg ikke kan bli. Støtter meg mot en våt knudrete stamme. Kvalmen gjør meg svimmel. Lyden av regnet vokser. Kinesisk vanntortur. Jeg må klare å løfte beina. Jeg orker ikke. I drømmen begynner jeg å skrike til meg selv at jeg må løpe. Men skikkelsen segner om ved en avkappet arm, skjært over ved albuen, som fremdeles holder krampaktig om et par solbriller, og plutselig er jeg ikke utenfor scenen lenger, jeg er inne i denne kroppens fengsel. I brillenes speiloverflate ser jeg i korte glimt; lysebrunt hår og grønne øyne. Nei. Ett blått øye, ett grønt. Ansiktet rammes inn av en slags kort rød kappehette. Klør. Lukta av våt ull. Og fortvilelse.

Jeg hadde denne vrangforestillingen; at noe kunne redde meg.

Alucarda våkner med et rykk. Rundt henne er natten fortsatt stille og lilla. Horatio sover tungt og mykt. Pusten visler frem og tilbake mellom tennene. Lukt av innestengt natt. Alucarda slenger elegant og stille beina ut av senga, fisker tak i den gamle slå-broken etter sin far mellom foldene i sengeteppe, og går ut på balkongen. Fra lomma med brodererte initialer trekker hun ut en pakke mentolsigaretter. Blir alltid i så godt humør av mentolsigaretter, det er deilig feil at noe så lummert kan føles så friskt. Den lange tynne sigaretten virker hvitere enn vanlig i lyset fra skiltet hos apoteket under. Hun flikker lokket av lighteren og sigaretten knitrer velvillig idet hun trekker flammene inn i lungene, fyller natten og balkongen. Strekkes ut i verden. Alucarda veier drømmene. De kommer oftere. Noen ganger flere hver natt. Alltid de samme stedene, landskap hun aldri har sett. Før har det alltid oppstått et nytt for hvert sted hun flyttet til, men

dette landskapet virker drevet inn mot stranda av seg selv, som en rømling løsrevet fra en ferieøy. Hver natt drømmer hun om et monumentalt () hotell, en steinblokk med vinduer uten dekorasjoner eller spor av individualitet, et østblokkhotell med omkringliggende ørken, eller hun drømmer om skogen hun vet er en del av det samme. Hun snur seg, krøker seg ned og lener seg med ryggen til smijernsrekkverket. I den mørke glassdøra mot stua ser hun skyggen sin utydelig. Tynn hengslete, med sigaretten i høyre hånd, hevet mot leppene, støttet i den venstre albuen. Det lange brune håret faller som et sceneteppe av strieseker, rett ned. De mørke øynene er tomme svarte huler.

Noen ganger skulle hun ønske hun var blind så hun slapp å se.

Speilbildet kan være en venn som du ikke kjenner godt, som står og ser på deg gjennom glasspanelet i døra mens du sovner med en kniv i hånda.

Jaget av kvinneskikkelser med blå innovervendte føtter. I drømmene dukker de samme skikkelsene opp natt etter natt, gamle arkaiske og lokkende. Altfor mange tenner i smilet til å virke menneskelige. Annerledes enn Alucarda husker dem fra bøkene, mer kompliserte og nådeløse, uinteressert i andre enn seg selv, tjener ingen.

Spesielt en nådeløs skikkelse kommer for ofte disse nettene, som Guds gjøgler, en svevende gestalt lyssatt bakfra med barokke tøyfolder som flyter som et opprørt hav. Ansiktet ligger alltid i dype skygger, men fra hendene drypper ustanselig honning ned på Alucarda, som om De forsøkte å dekke henne, eller drukne henne, eller lokke henne inn i noe som skulle kunne bli krystallklart om det bare fikk tid til å stivne.

182 Alucarda blir stående i den kjølige brisen på balkongen. Det er for varmt til natt å være, og hun vil ikke inn i huset igjen. Sarkofagen. Den kjøttetende. Mindre og mindre vil hun inn i noe som helst hun har vært med på før. Igjen.

Alucarda tenker tilbake på spåkona i New York i 1909, da hun som ung drone var på gjennomreise mot Mexico for å treffe morens slektninger, som tok hendene hennes og bladleste, og som hun ikke tok alvorlig. Dios mio, Big Mama! Hun så ut som en ekstrem versjon av spåkoneklisjeen. Tung. Hårete og sjal overalt. Gulløreringer. Gulltenner. Fra frisøren over gata hadde hun fått vite at Mama's sannsynligvis var en front for Hells Angels eller en annen motorsykelklubb. Kriminelt foretaksom. Hele tiden bar store tatoverte menn i skinnklær tunge bokser inn og ut av huset hennes.

Spåkona bladleste hånda mi. Hva var det hun hadde sagt?

”Gå og kom tilbake. Gå og kom tilbake. Du er ikke skapt til å bli meksikansk husmor. Du kommer til å forvitre. For all del ikke bli forfalska. Ikke bli gravid. Da går karrieren i vasken. Du er god på det du gjør. Gjør det. Du har alltid vært alene. Ingen har noensinne hjulpet deg, og ingen kommer noensinne til å gjøre det.

Du er forvirra. Du står i en korsvei. Jeg ser det på deg. Dra, men kom tilbake. Ikke la dem fortelle deg hva du skal gjøre.

Du er født heldig. Han er ikke det du leter etter, ei heller Mexico, hold avstand, for guds skyld ikke bli involvert. Lengst ikke når du kommer hjem. Rent kutt. Omstart. Ofremfor alt, ingen vil deg godt så ta ikke imot råd. Ikke avslør deg selv. Du er alene så vær alene. Ta bare imot spådommer fra profesjonelle.

Jeg har så lyst til å gi deg en gave, men det kan ikke være en gave, for da virker den ikke. Hvor mye har du? Egentlig koster denne krystallen tusen kroner, men siden det er deg, legg krystallen

i en kopp saltvann over natta for å lade den opp, ha den alltid med deg i sekken og når du tviler, ta den opp og kjenn på den. Det blir 70 dollar for lesing av håndflate, tarotspådommer og krystallen. Kom tilbake når som helst, du vet nå hvor jeg finnes.”

Er vi så pinlige at vi lengter etter akkurat de samme ordene?

Gi meg en vegg som kan høre på meg uten å komme med gode råd.

Sminkesett for mordere

Alucarda får en uhyggelig følelse av å være i den velstelte hagen til Nightmare on Elm Street der hun står og trykker krystallen inn i håndbaken. Tiden virker ikke som den skal. Objekter og hendelser svever inn og ut på en brutt tidslinje. En opprevet dialog.

Jeg er en fryktelig mor. En fryktelig spansktalende husmor. En død manns dingo. Jeg fant noe jeg ikke visste jeg ville ha der i Mexico, med et lass av demoner i slepetog som ventet på å kroppsliggjøres. Jeg visste jeg ville bli bitter. Ingen vits i å prøve å skjule det, blir ikke mindre bitter av den grunn.

Men etter at drømmene dukket opp, hadde det blitt bedre. Hun hadde en følelse av at det var viktig. At noe var i gjære. Rastløsheten satte inn med full styrke. En følelse av å trekkes mot noe eller noen, et flakkende lys, bygget seg opp i en bristeferdig demning. Little Dutch Boy trekker sakte fingeren ut av veggen.

En kriger velger ikke, men velges

Duskregnet faller som knappenåler i stillheten, over biltakene under balkongen. Alucarda legger armene beskyttende over brystet, roer seg ned, fortsatt knuger hun krystallen i en lukket

184 neve, tar rolige drag av sigaretten. Suger røyken ned i avgrunnen. Røyken blåner idet den blander seg i lyset fra apotekskillet. Blåskimrende beroligende natt. Ingenting skal gjøres, alle sover, alt er rolig og fylt av løfter om gull og grønne skoger. Rolig, rolig. Det er ikke deg det er noe galt med, det er drømmene. Og de utstukne øynene på en tallerken som forsvinner inn i hodet igjen når du ser opp.

Inne i leiligheten sover de, trygge og mette. De tre små grisene. Oftere og oftere får Alucarda, ridd av marer, alle disse uønskede barna, som kull på kull av kattunger, og alt hun vil er å slå dem i hjel uten å bli tatt for det. Disse marerittene er som oftest opp-takten til større drømmer der hun blir klar over at hun sover og kan gå rundt og få ting til å skje i ødemarken, stukket av spisse pinner, ligger blødende i sanden som er så ren og finkornet at den glitrer som snø. Prikkpunktert av hennes egne barn med tusenvis av små nålestikk. Hun hadde prøvd å gjemme seg, ta en annen vei, men de ser alt, de små sugekoppene. Som kjeruber ovenfra og ned. Et eneste stort sanseapparat. Trekker ut all essens for å bade i den og holde seg unge; Peter Pan, hans forpuppede følgesvenner og den forbannede skyggen hans.

Ulven huffpuffer stråhytta og vinden øker plutselig, slik den gjør før tordenvær, teglstein regner ned fra bygårdstakene, og skjerper sansene. Nok en våkenatt med lyden av lett regn og bakt brød, tenker Alucarda, og er ikke redd for å våke. Det finnes ingenting å stå opp til, hun kan gå og legge seg igjen til alle døgnets tider om hun så vil. Ingen fare for søvnmangel.

Alucarda smaker på vinden som slår innover byens gater som bølger av tungsinnet veldig fint ord...som rom sjø eller stormsjø...tung-sinn får meg til å tenke på den trykkende stemningen rett før

torden når du kan se skyene rulle inn, og det første vindkastet som kommer før regnet 185

høres russisk-fransk ut, litt sånn brunt, og roman som lukter gammelt

tordenen ruller inn og man står med en bok i hånda som lukter gammelt i det første vindkastet før regnet

det er tungsinn det

tungsinn er en gren innen melankoli

svartsinn er og et fint ord..

mer alvorlig...mer Black Metal og skog

svart i hugen

grim i hu

Hva mer kan påvirke en stemning?

Hva annet kan jeg gjøre for å glemme hva jeg driver med?

Alle disse som bor i leiligheten, har falt så dypt og blitt så knyttet. Alucarda fantaserer om å kunne falle. Frasi seg ansvaret. Abdisere fra den skarlagensrøde tronen. Falle som en stein, uten at de ikke blir redde. Den gale morens flagg. Få ting er så skremmende som en ustabil mor. Ifølge populærvitenskapen på tannlegekontorene, gjør jeg mine barns fremtidige kjæresten en bjørnetjeneste.

Og jeg elsket dem virkelig, jeg elsket dem alle, men forhekselsen gikk over, og de ble bare mennesker som bodde i huset mitt. Tetris-klosser som sov, spiste, lo, skrek, eksisterte. Overrasket over å se dem hver dag på samme plass i sofaen rundt bordet på badet bevege seg i samme rytme og mønster, nesten synlige på parketten der de sleper seg rundt som digre skogssnegler, slitne, hjemme. Sklir som ormer over gulvet. Vi er som Forest Family, små plysjtrukne dyr i en pappskog, skjulte hender flytter rundt på oss.

Men i drømmene dukker den opp. Linjen. Verken skremmende eller behagelig. Savner at ting har mening på en linje som strekker seg fra dag til dag.

Er dette et sted for barn? Denne sinnstilstanden.

Den innerste kjernen, det ytterste mørket.

Jeg er privilegert som faen, alt tatt i betraktning, er sunn og frisk og har sex mat og pengeraldri nok...sex og penger. Men uansett.

Ble jeg akutt dystert, hvorfor skulle jeg ville bringe nok et barn inn i så mye panisk kveg.

Mine drømmer fantaserer om hevnerer, ravner og at blodet skal flyte i strie strømmer. I det enorme svarte treet sitter jeg, høygravid, river hodene av svarte kaklende fugler med tennene og hendene og blodet flyter seigt fra dem gjennom meg inn i tre stammen. Trekker inn i barken og høstmørket som virvler de tørre knitrende bladene rundt i spiraler, skyter rødlilla blomster ut fra vridde grener som drypper av innsiden av fugler, og en lyd som av skingrende skrikende klokker, flådde barn, bjeller sirener, vekkerklokker og jeg våkner. Klokka er alltid sju og jeg går i dvale i ni min til. Stiller om gjøkuret. Liten luksus før dagen tar meg, det er alltid den samme dagen. Barna mates, kles på, protesterer. Følges. Hit, hentes siden. Maten. Alle sultne og gretne. Kollapser i sofaen foran den store treradioen. Familiens stolthet. Anskaffet for en formue. Og jeg sørgmodig. Ut av mine egne øyne. Stirrer.

Ønsker meg vekk, til før alle disse valgene tilsynelatende ble tatt. Av ingen andre enn meg selv. Virket som gode ideer. På den tiden. Men det er snikende død. Jeg ikke er bygd for. Ubeskyttet. Tar inn alt, som en lekk skute eller lamt kamskjell. Jeg lekker liv. En spåkone i New York tok hånden min for lenge siden, før jeg reiste til Mexico og møtte Horatio.

“Go and return. You are not cut out to be a mexican housewife you would die. Don’t get pregnant,your life your career. It will be hard for you. Down the drain. You can only do what you are good at. Stick to it. You are good at running.”

Det verker i leggene etter å forsvinne. Spy alt opp. Bli ren. Kapsles inn. Gitter av glass.

Non monsieur, il y a des hommes qui vivent tout seuls dans leur robes de nuit.

DE er fremmede for meg. Jeg har ikke engang dårlig samvittighet.

Jeg trodde at å bygge familie ville medføre automatisk forståelse, en sammenheng, noe uforklarlig. Men det fins ingen bånd. De er fremmede for meg. Jeg kan ikke forstå at det kan bli sånn. At denne kroppen bare er en maskin. At ikke ånden reproduseres i barna. Men den gjør ikke det! En familie av fremmede ånder. Jeg hjemsøkes. Av lyslengsel. Ønsker tid. Alene. Til å betrakte lyset. Suge solen inn gjennom huden og håret. Øyeblikk som hever seg sterkere og sterkere. Der alltid. Ikke gjemme seg og aldri mer avstumpes og amputere armer og bein så de ikke skal synes du er for skremmende.

Lengter etter å se uglene lette i skumringen. Subtile tegn og en magisk verden. Et årenett like under virkeligheten som forbinder alt. En forbindelse som er umiddelbar. Uberørt av tiden og rommets begrensninger.

Jeg lukker øynene og øyelokkene lyses opp innenfra. Jeg ser årer i det rosa. Jeg pulserer. Hjertet slår ennå. Så lenge skuta kan gå.

Når jeg lukker øynene stiger den sterke summingen fra drømmenes golde landskap til overflaten av bevissthet, et gyllent lys flyter bak øyenlokkene og lokker meg. Hestehalet. Øyne som drypper av lys og honning i en ørken av skjeletter. Tydeligere

188 enn før trer bildet frem ettersom dagene forsvinner ned i sine skinnende svarte hull for aldri å komme tilbake.

Er det jeg eller dagene som ikke strekker til?

Jeg hater lukkede kister. Før eller siden blir jeg borte for dem. Det kan like gjerne være nå. Et nytt liv for oss alle. Uten. Mistenksomheten og mistroen. De knirkende sammenføyningene. Eføyen som borer seg inn i huset og spiser oss utenfra. Når jeg ikke har noe annet å gjøre betrakter jeg lyset gjennom eføyen i kjøkkenvinduet mot bakgården i evigheter. De grønne øyeblikkene opphever tiden. Den står ikke stille men utvides og rommer mer. Av det gode. Suget. Etter livet. Jeg som en potetspire i en kjeller.

Horatio så forskende på meg over frokostbordet. ”Jeg har tenkt over det, verken du eller jeg mister egentlig hverandre.”

”Nei, du mister ikke kroppen min”

”Den er jeg ikke interessert i.” Fornærmet, parerte jeg med “Det er jo løgn at du ikke mister noe. Du mister alt. Du mister NOE. Mye. MYE Mister. “

Jeg drømmer om å gå på et tog og aldri komme tilbake.

(Neste gang stopp meg.)

En katt kveiler seg rundt hjertet mitt. Gnager på røttene til verdens ende. Ikke annet enn murringen fra den vekselvarme kroppen trenger igjennom. Alle her er reptiler. Varmer seg på andre svakere valpefettkokonger. Importerer snegler og infiserer nabolaget med apatisk oppførsel, som å ikke åpne døra for å hilse på nykomlinger. Føler meg flytende

Melankolia uvitenhetens datter.

En nådeløs og skamløs kriger, ubeveget av samvittighet eller følelse, drømmer om toget som har kommet for å trekke Europa ut av sumpen og inn i fremtiden

og der har du meg, enten jeg er en svart eller hvit fitte går jeg alltid ut på balkongen. Perdita Durango Lucie Pil Angelica.

Jeg er en tiger som kommer i natten for å kjøre
Ødelegge alt jeg hater og drikke blodet

Hver dag skal ikke bli en tømmerstokk som lempes over meg.

Noen trenger ikke tanker for å fylle ut øyeblikket. De er fornøyde her og nå. Kronisk ukrevende.

Men jeg blir et rovdyr, som skvalper over av krokodilletårer, man kan se rett gjennom mine blå øyne rett gjennom hodet til baksiden av havet, kjenner knoklene kneppe til og strekke seg under vekten av ny benstruktur, brystkassa fylles av klør og varm tyktflytende styrke. Ikke ufrivillig. Noen ting. Aldri.

Aldri redd for mørkets makt.

Små lys vasker veggene i miniatyr-rom. Lommelykter i dukkehus og billykter i krypinn.

Blir jeg sakte så stygg at ikke engang satan vil ha sjela mi?

Noe nær en oppvåkning

Jeg er så full, det er som kniver gjennom ørene

mer insekt enn menneske, trekkes jeg mot ødemarkene, den intense summingen i ørkenen om natten når lysene danser gjennom tomrommet. Intethet. føler ingenting lengre. Jeg er en hummer.

190 Nummen. Stemmene hvisker gjennom eteren, presser seg tregt forbi de dypeste tonene som rister gjennom brystkassa.

”Vi kommer og tar deg. Vi kommer og koker deg. Renere enn nyraste fjellsider. Vi kommer og barberer av deg alt håret og presser deg ned i madrassen og fratar deg, for et stykke tid, alt ansvar, akkurat som i romantikk, bare renere.” Åndene gir seg ut for å være forfedre men jeg vet ikke, de forsvinner om jeg drikker nok rom, nok rom sjø og saltvann med flamingoer i. Åndene kommer til å komme tilbake for å steppe mer, når tolv timer har gått, så vær ikke redd for å danse bort natten. DNAS DNAS DNAS på bordene.

Veiviseren glimrer i sitt nærvær, veiviseren spør meg

”Snart st. Hans. Hvem skal vi brenne?”

Det er ikke et spørsmål.

Det er et privilegium å møte alle de som lever akkurat nå og vite at en dag vil vi alle falle i søvn og ikke våkne. Flammen blaffer. Lukket klo. Djevlerokke. SATAN SAYONARA kjøper seng og suger inn vann. Laminert drivved.

en kveld på fylla ville holde, være nok.

sove, ete

kanskje hva som helst

nesten som en mamma

enda bedre enn en mor

En polfarer drar på polet for andres skyld, det som vanligvis er effektivt virker ikke lenger. Stilner ikke stemmene. Føler meg flytende.

Alucarda lister seg stille ut og i det hun går, åpner hun alle gass-ovnens sluser. Lyden av den sivende gassen er svak og snikende.

Plutselig er det en tomhet som suger Alucarda ut på gata og ned i ølglasset og ut i det sosialt øredøvende ståket fra søkende mennesker. Rotløshet i fri flyt og vill panikk bak blankslipte skaller.

YES SIR I CAN BOOGIE

Dro til en fest der folk dansa. Stille. Til hver sin musikk. Soloppgangen og Alucarda setter seg på trappa for å få igjen pussten, Vinden skaker strå.

Galaksen har tørket inn. Ny uten nåde. Røttene til verdenstreet griper utarmede etter næring, jeg kan se de lange tynne pekefingerne komme mot meg fra den lysende horisonten. Kornmo langt borte, over en slette. "Ingen fanger, ingen overlevende", hvisker veiviseren. Føler meg helt innsmurt av bivoks og ekto-plasma. Kongen befaler.

Når Alucarda kommer tilbake til huset senere er hun ikke i nærheten så bedøvet som hun skulle ønske. Mer tid og mer plass til abstinenser. Hun går inn i leiligheten. Låsen knepper, men ingen våkner. Hun setter seg i sofaen.

Tenker på sin egen mor stivnet i en grimase, en maske av kramper. Ikke at hennes mor var en forferdelig mor, men at barnet viste seg å være et forferdelig barn, og det er vanskelig å puste i puter, man våkner, kan ikke røre seg og kveles i barmhjertig crescendo og ser ingenting men vet alt.

Helvete heller, hvordan kan de stole på meg, ikke stol på meg. Jeg vinner så mye ufortjent tillit, før det er for sent og det smeller, hjernemassen renner ut av bakebollen. Ligger som krigshjelmer på stranda og er forhistoriske dyr som nettopp døde etter endt egglegging i strandsonen.

Denne dagen er nådeløs. Veiviseren slipper ikke taket.

192 "Er du klar?"

"Ja jeg er klar."

"Lar du deg vippe av pinnen."

"Nei jeg er fast som et fjell."

"Ditt kaos er eldgammelt. Gjennom flerfoldige liv har du svevet i kaos. Det er tykt og tett. Det er nesten et univers i seg selv. Så når du, med din minimale kapasitet, trer inn i det, er det selvfølgelig farefylt."

Dette kommer til å gå bra av en eller annen grunn og den absurde genetiske dårlige samvittigheten ved seier vil passere i ukene som kommer og etterlate en glatt skrammefri flate.

Får alt jeg peker på.

Hvor er hevnengelen som skal styrte meg ned i helvete? Det fins ingen hevnende engel
jeg har kaldsvetta i hele natt.

Alucarda går ut på den lille balkongen og lukker døra fort bak seg, så ikke gassen skal unnsnippe. Tenner en sigarett. Suger røyken ned i lungene. Morgenen fylles av fugler, lav sol og lørdag. Suger hver trevl av tobakken i det hvite brennende papiret til seg som nektar.

Lukker halvt øynene et øyeblikk av stillstand. Der inne sover de uskyldigste sin vanskapte søvn.

Vandrer ustø gjennom døren til de tiltrekkende inkvisitørene med Jesusbarnet revet fra alterstatuen i armene etter å ha danset opp ned i taket og skjelt som hunder i flere uker. Brenn meg. Få en slutt på det. Ser du ikke at jeg er besatt. Djevelen står rett bak meg, desperat etter klosterlivet. Hysterikeren påstår ofte at celebre herrer kommer inn til henne gjennom veggen og slynger

salt i demonens øyne. Alucarda gjør i sin tåkete tilstand det hun 193
er mest redd for. Som en djevilbesatt nonne

alt skjer i løpet av et par setninger

kaster Alucarda den brennende stumpen inn i stua, og glassdøra eksploderer inn i henne og slår pusten ut idet hun treffer rekkverket og blir hengende med armene i smijernsmønsteret.

Ødsel.

Det svir i ansiktet og de nakne armene der stoffet har flambert av. En dyp stikkende smerte eser ut i siden. En stor glassplint trenger ut fra kjøttet, utydelig, like under ribbeina. Alucarda skulle ønske hun kunne besvime. Lyden av nakkevirkler som knuser holder henne våken. Det er en lyd som er så svak at man ikke kan la være å lytte etter den. Som tikkingen på en vekkerklokke klokken tre om natten.

Og knitringen fra bålet, varmen og de manglende skrikene. De er ved liv så lenge de skriker.

Det synes meg at ørn flyr over og at den trekker meg med sine kraftige klør opp og bort fra ødeleggelse. Borer klørne i nakkeskinnet, i sideflesket, langt inn i øyenhulene. Det blinker i spyd og i brønner fulle av øyne i et annet landskap, der eventyrene bor, som jeg er på vei mot. Jeg er oppstanden. Min gud Hun er så fast en borg.

Alucarda savner dem allerede, men angrer ikke. Anger er for syndere, ikke rovdyr.

Krokodilletårer lindrer de svidde kinnene. Autistisk som en ørn.

Å tro at jeg ikke har følelser ville vært et kompliment.

*Kroniki kanaryjskie
(fragment książki w przygotowaniu)*

Nowych członków rodziny chroni się, rozumiejąc, że jeśli coś im się stanie, zniszczy to całe nasze życie.

Są inżynierami naszego zmęczenia.

ALUCARDA: Madryt, maj 1918 roku

(Zawsze po prostu jest teraz, mimo że mowa tu o Hiszpanii w okresie, gdy francuzka, którą hiszpanką zwano w Hiszpanii, przetaczała się przez kraj i kontynenty, w ślad zaś za nią sunęła śpiączka, która rwącymi rzekami przeniosła wiele żyć w kokonach na inne pustkowia, z sałatą i gnomami. Zawsze po prostu jest teraz, mimo że rok mamy 1918 i świat wypadł z rytmu, czas nie działa, jak powinien, i ciska nas to tu, to tam w znanym nam otoczeniu, ujętych w zdarzenia i rzeczy, które nie mogą się tu znajdować, zawsze anachroniczne.

Blue Motell, miejsce na krańcu świata, zaczął wabić nas zza przesłony, za którą tkwi wszystko, czego nie widzimy, wszystko, czego nie chcemy wiedzieć o nas samych. Naszą lampę nocną Apollo trzyma z dala od nas. Opiekuńczo zakryje nam oczy, gdy film stanie się nazbyt przykry, my sami trzymamy się za uszy, brakuje tylko trzeciego, niemego posągu małpy, aby doszczętnie zniknąć w ślepych królestwie

światła. Blue Motell znów zaczął wabić śniących nad przepaść. Tak jak króliki Duracell potrzebują baterii, Blue Motell wymaga krwi, aby pompować ją do serca świata. Zarzuca wszystkie swoje przynęty we wszelkie miejsca i czasy świata. Blue Motell leży poza czasem, nie przed nim i nie za nim, ale właśnie teraz, tak że wszystkie teraźniejszości mieszczą się w jednej jedynej. Utopia, której nie można naśladować, za którą nie można tęsknić, która przebiega równoległe do twoich najskrytszych potrzeb, bo się nimi żywi.

W ciągu tej opowieści wyjdziemy łowić więcej dusz wędkami Blue Motellu, ale pierwszą, która chwyta jedną z aluminiowych rybek, jakie motel zarzuca, jest Alucarda z początku zeszłego wieku, hiszpańskojęzyczna gospodyni domowa, żona meksykańskiego profesora uniwersyteckiego i matka trojga dzieci, które przestały ją obchodzić. Obchodzi ją wciąż mniej i mniej.

Jest borsukiem-miodożercą, który ma wszystko gdzieś.

Powodem, z którego lgną do niej przynęty, jest fakt, że ma ona w sobie wielki potencjał. Jest bezlitosną wojowniczką. Kiełkuje w niej szaman. Jest autystyczna jak orzeł. Może zerwać wszystkie więzi, a mimo to jej serce wciąż będzie biło w powietrzu. Jest czempionką, posiadającą świeżo ustrzelonego niedźwiedzia. W snach nawiedza ją Przewodnik oraz duchy, które podają się za jej krewnych, chcą ją poćwiartować, wygotować jej kostki do czysta i stworzyć ją na nowo, czyniąc z niej czystsza istotę, z kryształami górskimi zamiast wnętrzości, które umyślnie przebiją się przez jej skórę.

Więcej o tym usłyszycie później. Teraz zaś wskakujemy wprost w rok 1918 i chwilowo przesunięty czas, w którym Alucarda śpi i śni jej się, że znajduje się w lesie, w samym środku życia zgubiona, zgubiona — bo zawsze powinno się iść za powołaniem, inaczej cię ono zabije, to prezent pełen krwi, która eksploduje ci w twarz.)

Zawsze się tak zaczyna.

Żadnych dźwięków. Gałązki smagają mnie po twarzy, stopy bezdźwięcznie biegną przez las. Na śmierć i życie. Choć nie ma za mną nikogo, wiem, że nogi nie przestaną mnie nieść. To Coś lub ten Ktoś, przed kim uciekam, znów mnie pochwyci, w gęstym lesie. Kiedy biegnę, młode, gumowate pędy próbują mnie złapać, a stare igły drapią skórę ramion i szyi. Pędząc, usiłuję odsunąć gałęzie na bok, z przyczyn, których nie mam czasu zbadać, ważne jest, żeby ubrania się nie podarły. Korzenie, które pokrywają ziemię, zastawiają zawile pułapki na moje nabiegające wodą, żółte buty joggingowe. Niebo nade mną jest przyjemnie ciężkie, ale szare jak przesłona. Ziemia śliska. Stopy zatapiają się w błocie, a ślady rozlewają się na boki. Powstaje ścieżka dla prześladowców. Znowu zaczyna padać, mocno. Mrugam, by odpędzić deszcz, woda ścieka mi po włosach i pod ubraniami. Po szyi. Ciało i ciepłe ubrania parują, a para miesza się z mgłą między oślizłymi pniami drzew. Biegnę. Zazwyczaj budzę się, biegnąc. Tym razem jest jednak inaczej.

Zatrzymuję się gwałtownie. Z trudem chwytam oddech. Jak w niemym filmie widzę na leśnej polanie dyszącą postać, w której rozpoznaję samą siebie. Widok, jaki roztacza się w tym kręgu drzew, które jakby odsunęły się od miejsca zbrodni, sprawia, że włosy stają mi dęba na ramionach, a żołądek szaleje jak ciasto w blenderze. Odór martwych szczurów i kadzidla. Wdziera się słodka wo do nozdrzy. Dołącza do tego dźwięk. Wyróżniają się nikłe dźwięki deszczu uderzającego w kawałki ciał. Cała polana usłana jest porąbanymi kawałkami ciał. Pokrywa je żywy, kłębiący się dywan białych szczurów o czerwonych oczkach. Niektóre kawałki wydają się pochodzić z ciał dzieci, inne są bielsze, bardziej dorosłe: barwne bogactwo rozczłonkowanych ciał. Drgające stopy. Jak nudyści w zagajniku wiją się w słońcu na wielgachnym, nieogarniętym grobie masowym. Wężowisko. Mam krew

198 w kąćku ust. Spostrzegam jej ślad na moich rękach, które usiłują wysuszyć ciężki oddech. Krew jest barwy cudownie wiśniowej i świeża. Naraz lewą połowę ciała trafia strach jak piorun, setkami noży wkręcając się we mnie po prawoskrętnej linii i zginając mnie jak wierzbę płaczącą. Co jeśli zrobiłam błąd? Co jeśli biegnę ku, a nie od?

Dostrzegam zarysy czegoś między drzewami. Czegoś, co mru-ga. Światełka, unoszące się w powietrzu kuleczki światła i donośne warkoty, bzykoty, szумы, które czasem słyszy się na pu-styniach i od których czasami doznaje się halucynacji. Jestem tak zmęczona, że zapomniałam już, jak się nazywam i skąd pochodzę, wiem jednak, że nie mogę tu zostać. Opieram się o mokrą, węzłowatą korę. Od mdłości kręci mi się w głowie. Dźwięk deszczu narasta. Chińska tortura wodna. Muszę zdołać podnieść nogi. Nie mam siły. We śnie zaczynam krzyczeć do siebie, przekonując się, że muszę uciekać. Ale postać osuwa się na ziemię, tuż obok odciętej ręki, która wciąż kurczowo ściska parę okularów przeciwsłonecznych: i nagle nie jestem już poza sceną, jestem więźniem bezsilnego ciała. W lustrzanej powierzchni okularów widzę przez mgnienie jasnobrażowe włosy i zielone oczy. Nie. Jedno oko niebieskie, drugie zielone. Twarz obramowana jest rodzajem czerwonej peleryny. Swędzenie. Zapach mokrej wełny. I rozpacz.

Miałam to mylne wrażenie, że ktoś może mnie uratować. Ale tak być nie mogło.

Alucarda budzi się z dreszczem. Wokół niej cicha noc wciąż nosi liliową barwę. Horatio śpi ciężko i miękko. Jego oddech świszczy między zębami. Zapach zamkniętej w pokoju nocy. Alucarda cichym, eleganckim ruchem spuszcza nogi za łóżko, łapie stary szlafrok po ojcu, leżący w fałdach koca, i wychodzi na balkon. Z kieszeni ozdobionej wyszytymi inicjałami wyciąga

paczkę papierosów mentolowych. Mentole zawsze poprawiają jej nastrój, cóż za rozkoszny błąd, że coś tak duszącego może wydawać się tak świeże. W blasku szyldu apteki poniżej długi, cienki papieros wydaje się bielszy niż zwykle. Alucarda pstryknięciem podnosi wieko zapalniczki, a papieros trzeszczy wielokodusznie, kiedy wciąga płomień do płuc, wypełnia dymem noc i balkon. Dym wylewa się w świat.

Alucarda rozpamiętuje swoje sny. Przychodzą coraz częściej. Czasem ma ich kilka w ciągu nocy. Zawsze te same miejsca, krajobraz, którego nie zna. Dotąd z każdym nowym miejscem, do którego się przenosiła, rodził się w niej nowy krajobraz — ten jednak wydaje się jakby z własnej woli wymywany na ląd, nawracający, jest jak uciekinier z wyspy odosobnienia. Co noc śni jej się monumentalny hotel, kamienny blok z oknami, bez ozdób, bez śladu indywidualności, hotel jak z bloku wschodniego wraz z otaczającą go pustynią. Innym razem śni jej się las, który — jak wie — jest częścią tej samej scenerii. Obraca się, kuca i kuląc się, przywiera plecami do balustrady z kutego żelaza. W mroku szklanych drzwi, prowadzących z balkonu do pokoju dziennego, widzi niewyraźnie swój cień. Cienki, niezgrabny, z papierosem w prawej ręce, uniesionej do ust, podtrzymywanej w łokciu przez lewą rękę. Długie, brązowe włosy opadają jak płócienna kurtyna. Ciemne oczy są dwoma czarnymi otworami.

Czasami wolałaby być niewidoma, tak by nie musieć niczego oglądać.

Odbicie może być przyjacielem, którego nie znasz zbyt dobrze, przyglądającym ci się przez szybkę w drzwiach, kiedy zasypiasz z nożem w ręku.

Prześladowana przez kobiece postaci z sinymi, obróconymi do wewnątrz stopami. W jej snach pojawiają się wciąż te same sylwetki,

200 noc w noc, stare, archaiczne i kuszące. Zbyt wiele mają zębów w ustach, żeby mogły udawać ludzi. Są inne niż te, które Alucarda pamięta z książek, dużo bardziej skomplikowane i bezlitosne, niezainteresowane nikim prócz siebie, nikomu nie służą. Zwłaszcza jedna bezlitosna postać aż nazbyt często pojawia się nocami, jak zongler boga, oświetlona od tyłu, szybująca sylweta z barokowymi fałdami szaty, które przemieszczają się jak wzburzone morze. Twarz kryje się zawsze w głębokim cieniu, ale z dłoni wciąż kapie miód na Alucardę, tak jakby postać próbowała ją przykryć, utopić lub zwabić do czegoś, co stanie się zrozumiałe, jeśli tylko da mu się dość czasu, by się skrzystalizowało.

Alucarda stoi w chłodnym powiewie na balkonie. Jest za ciepło jak na porę nocną i nie chce jeszcze wracać do domu. Do sarkofagu. Mięsożernego. Wciąż ubywa jej ochoty, aby przystawać na cokolwiek, na co godziła się wcześniej. Znowu.

Alucarda wraca pamięcią do wróżbitki, którą spotkała w Nowym Jorku w roku 1909, przez który, będąc młodką, przejeżdżała w drodze do Meksyku, by spotkać krewnych matki. Wróżbitka ujęła jej ręce w swoje i czytała jej z dłoni. Alucarda nie brała jej na poważnie. Dios Mio, Big Mama! Wyglądała jak ekstremalna wersja typowej wróżbitki. Ciężka. Owłosiona, okutana w szale. Złote kolczyki. Złote zęby. Od fryzjera naprzeciw dowiedziała się, że Mama's były przypuszczalnie frontem Hells Angels lub innego klubu motocyklistów. Przestępczo przedsiębiorczych. Wielcy, wytatuowani mężczyźni w skórze przez cały czas wynosili z jej domu i wnosili do niego jakieś ciężkie skrzynki.

Wróżbitka czytała mi z dłoni. Co takiego wtedy powiedziała?

„Pojeżdż i wróć. Pojeżdż i wróć. Nie jesteś stworzona do bycia meksykańską kurą domową. Zatracisz się. Ani myśl się zakochiwać.

Nie zachodź w ciążę. Twoja kariera legnie wtedy w błocie. A jesteś dobra w tym, co robisz. Rób to dalej! Zawsze byłaś sama. Nikt ci nie pomógł i nikt nigdy nie będzie ci pomógł.

Jesteś zagubiona. Stoisz na rozdrożu. Widzę to po tobie. Pojeżdż, ale wróć stamtąd. Nie pozwalaj, by mówili ci, co masz w życiu robić.

Urodziłaś się pod szczęśliwą gwiazdą, a on nie jest tym, kogo szukasz, Meksyk zresztą też nie, trzymaj się od tego wszystkiego z daleka, nie angażuj się, na Boga! Nie tęsknij, gdy wrócisz do domu. Po prostu zapomnij. Zacznij na nowo. I, przede wszystkim, nikt nie chce twojego dobra, więc nie przyjmuj rad. Nie odsłaniaj się. Jesteś samotna, więc taka pozostań. Przyjmuj tylko wróżby od profesjonalistów.

Mam taką ochotę dać ci jakiś prezent, ale to nie może być prezent, bo wtedy by nie zadziałał. Ile pieniędzy masz przy sobie? Ten kryształ kosztuje właściwie tysiąc koron, ale ponieważ o ciebie chodzi, wkładaj go na noc do filiżanki osolonej wody, by się naładował, miej go zawsze przy sobie w torebce, a gdy ogarnie cię zwątpienie, wyjmij go i dotknij. Będzie razem siedemdziesiąt dolarów za wróżenie z dłoni, tarota i kryształ. Wróć, kiedy tylko będziesz chciała, teraz już wiesz, gdzie jestem.

Czy to żenujące, że wszyscy tęsknimy za tymi samymi słowami?

Dajcie mi ścianę, która może mnie wysłuchać, nie udzielając mi dobrych rad.

Zestaw do malowania dla mordercy

Podczas gdy Alucarda ściska w ręku kryształ, ogarnia ją nieprzyjemne wrażenie, że znajduje się w zadbanym ogrodzie z Koszmaru z Ulicy Wiązów. Czas nie działa tak, jak powinien. Obiekty i zdarzenia wlatują i wylatują po złamanej linii. Zerwany dialog.

202 Jestem okropną matką. Okropną, hiszpańskojęzyczną kurą domową. Psem dingo martwego mężczyzny. Tu w Meksyku znalazłam coś, co do czego nie byłam pewna, czy je chcę, z ładunkiem demonów na holu, czekających na ucieleśnienie. Wiedziałam, że zrobię się zgorzkniała. Nie ma sensu udawać, nie stanę się przez to ani trochę mniej rozgoryczona.

Jednak kiedy pojawiły się sny, stało się lepiej. Miała wrażenie, że były ważne. Że coś wisiało w powietrzu. Ogarną ją niepohamowany niepokój. Poczucie, że ktoś lub coś ją przyzywa, migoczące światło, narosło w kruchą tamę. Mały Holender¹ z wolną wyciąga palec ze ściany.

Wojownik nie wybiera, lecz jest wybierany

Mżawka pada w ciszy jak szpilki, uderzając w dachy samochodów pod balkonem. Alucarda ochronnie krzyżuje ramiona na pierśsiach, uspokaja się, wciąż ściskając kryształ w pięści, spokojnie zaciąga się papierosem. Wciąga dym do przepaści. Dym niebieszczeje, mieszając się z blaskiem aptecznego szyldu. Niebieskawo połyskująca noc. Alucarda nie ma nic do zrobienia, wszyscy śpią, wszystko przepełnia spokój i obietnice złota i zielonych lasów. Spokojnie, spokojnie. To nie z tobą jest coś nie w porządku, tylko z twoimi snami. I z wyklutymi oczami na talerzu, które znikają w głowie, gdy podnosisz wzrok.

W mieszkaniu wszyscy śpią, syci i bezpieczni. Trzy małe świnki. Coraz częściej Alucarda, dręczona koszmarami, rodzi te niechciane dzieci, jak miot za miotem kociąt, a jedyne, czego chce, to zabić je i nie zostać na tym przyłapaną. Te koszmary są najczęściej

¹ Mały Holender (lub mały holenderski chłopiec) — postać z jednej z holenderskich legend (przyp. tłum.).

preludium do wielkich snów, w trakcie których towarzyszy jej świadomość, że śpi i może chodzić i powodować dzieła się różnych rzeczy na pustkowiu, zakłuta szpikulcami, wykrwawia się na piasku, tak czystym i drobnoziarnistym, że połyskuje jak śnieg. Pokłuta przez własne dzieci tysiącami igieł. Próbowwała się ukryć, uciec inną drogą, ale widzą wszystko, te małe ssawki. Jak cherubiny opadają ją z góry i z dołu. Stanowią jeden wielki aparat czucia. Wyszysają z niej całą esencję, aby się w niej pławić i zachować młodość; Piotruś Pan, jego przepoczwarzeni naśladowcy i przeklęty cień.

Wilk zdmuchuje słomiany dom i naraz wiatr się nasila, tak jak to bywa przed burzą, dachówki spadają deszczem z dachów kamienic, wyostrzają się zmysły. Jeszcze jedna bezsenna noc, wypełniona lekkim deszczem i zapachem pieczonego chleba, myśli Alucarda, i nie boi się czuwać, bo nie ma do czego się budzić. Jeśli się jej zechce, może się położyć o każdej porze doby. Niedomiar snu jej nie grozi.

Alucarda smakuje wiatr, który uderza w uliczkach miasta falami ciężkich myśli

bardzo fajne wyrażenie... jak cisza morska lub wzburzone morze... ciężkie myśli przypominają mi

ciężar powietrza tuż przed grzmotem, gdy widzisz, jak nasuwają się chmury, i to pierwsze

uderzenie wiatru przed deszczem

brzmi trochę brunatnie, jak powieść, pachnąca starością

przetacza się grzmot

to właśnie są ciężkie myśli

gałąź melancholii

czarne myśli to też fajne wyrażenie

poważniejsze... bardziej blackmetalowe i leśne

czern w głowie

czarnogłowie

Co innego mogę zrobić, by zapamiętać, czym się zajmuję?

Wszyscy ci, co zajmują mieszkanie, upadli tak nisko i tak bardzo się ze sobą związali. Alucarda fantazjuje o upadku. O zrzeniu się odpowiedzialności. Abdykacji ze szkarłatnego tronu. O tym, by spaść jak kamień, i to nie bez ich przestachu. Pod banderą złej matki. Niewiele rzeczy może być tak przerażające, jak niestabilna matka. Według nauki popularnej z gabinetów dentystrycznych zrobię w ten sposób niedźwiedzią przysługę przysłym partnerom moich dzieci.

A kochałam je naprawdę, kochałam je wszystkie, ale oczarowanie minęło i stały się tylko ludźmi, mieszkającymi w moim domu. Cegiełkami Tetris, które spały jadły śmiały się wrzeszczały istniały. Jestem zaskoczona, co dzień odnajdując je w tych samych miejscach na sofie wokół stołu w łazience, ruszające się w tym samym rytmie, według tego samego wzoru niemal dostrzegalnego na parkiecie, po którym wloką się, jak znużone, tłuste leśne ślimaki. Wiją się po podłodze jak węże. Jesteśmy jak Forest Family — małe, pluszowe zwierzaki w tekturowym lesie, przedstawiane przez niewidzialne ręce.

Ale w snach się pojawia. Linia. Ani straszna, ani też przyjemna. Brakuje mi tego, aby zjawiska miały sens, rozpięty wzdłuż linii przewieszanej między kolejnymi dniami.

Czy to miejsce dla dzieci? Ten stan umysłu?

Najwewnętrzniejsze jądro, najzewewnętrzniejszy mrok.

Biorąc wszystko pod uwagę, jestem uprzywilejowana jak cholera, jestem zdrowa uprawiam seks mam co jeść pieniądze... chociaż nigdy dość... seksu i pieniędzy. Ale jednak.

Skoro dopada mnie nagły defetyzm, dlaczego miałabym wprowadzać jeszcze jedno dziecko w to paniczne stado bydła?

Moje sny mówią o krukach mścicielach i o krwi, płynącej rwącymi strugami. Na olbrzymim, czarnym drzewie siedzę w zaawansowanej ciąży, zębami i rękami odrywam głowy czarnym, kraczącym ptaszyskom, a ich krew żywo ścieka przeze mnie w głąb pnia. Dzwonią syreny, budzik i podrywam się. Jest zawsze siódma i zapadam w drzemkę na kolejne dziewięć minut. Przystawiam zegar z kukułką. Pozwalam sobie na odrobinę luksusu, zanim dzień, zawsze ten sam, wciągnie mnie w swój wir. Dzieci karmi się ubiera się protestują. Odprowadza się je. Tutaj — do odebrania później. Jedzenie. Wszyscy głodni i skwaszeni. Zapadają się w sofie przed wielkim, drewnianym radio. Dumą rodziny. Nabytym za cały majątek. A ja przybita. Precz z moich oczu. Gapią się.

Chciałabym, żeby mnie tu nie było, chciałabym wrócić do czasu, w którym wszystkie decyzje z pozoru jeszcze nie zostały podjęte. Przez nikogo oprócz mnie samej. Wydawały się dobre. W tamtym czasie. Ale to pełzająca śmierć. Do której nie zostałam stworzona. Niechroniona. Przyjmuję wszystko, jak nieszczęlna łódź, jak sparaliżowany małż. Bawię się w życie. Na długo przed tym, jak wyjechałam do Meksyku i spotkałam Horatio, wróżka z Nowego Jorku wzięła mnie za rękę.

Go and return. You are not cut out to be a Mexican housewife, you would die. Don't get pregnant your life your career. It will be hard for you. Down the drain. You can only do what you are good at. Stick to it. You are good at running².

2 „Pojeźdź i wróć. Nie jesteś stworzona do roli meksykańskiej gospodyni domowej, zginiesz. Nie zachodź w ciążę, co z życiem, z karierą. Będzie ci ciężko. Spłyniesz w dół rynsztoka. Możesz robić tylko to, w czym jesteś dobra. Rób to! Jesteś dobra w biegu” (przypp. tłum.).

W nogach aż śwędzi, by zniknąć. Zwymiotować całą rzeczywistość. Oczyszczyć się. Złapana. Szklane kraty.

*Non monsieur, il y a des hommes qui vivent tout seuls dans leur robes de nuit*³.

ONI są dla mnie obcy. Nawet nie mam wyrzutów sumienia.

Myślałam, że założenie rodziny przyniesie automatyczne zrozumienie, wprowadzi kontekst, coś niewytłumaczalnego. Ale żadna więź nie istnieje. Oni są dla mnie obcy. Nie mogę pojąć, że tak może być. Że to ciało jest tylko maszyną. Że duch nie odnawia się w dzieciach. Nie, tak nie jest! Rodzina obcych dusz. Nawiedza mnie. Tęsknota za światłem. Chcę czasu. W samotności. By oglądać światło. Wdychać słońce przez skórę i włosy. Chcę momentów, które wzmagają się w swej intensywności. Zawsze tam. Nie ukrywać się. Nigdy już nie dać się zgasić i nigdy już nie amputować rąk i nóg, aby nie sądzili, że jesteś przerażająca.

Tęsknię za tym, by zobaczyć lekkie sowy w powietrzu po zmroku. Subtelne znaki i magiczny świat. Łączącą wszystko sieć naczyń krwionośnych, leżącą tuż pod rzeczywistością. Natychmiastowe połączenie. Nienaruszone przez czas i ograniczenia przestrzenne.

Zamykam oczy i powieki rozświetlają się od wewnątrz. Widzę żyły w różu. Pulsują. Serce wciąż bije. Łódź płynie dalej.

Kiedy zamykam oczy, ze złotego krajobrazu snów silny szum wynurza się na powierzchnię świadomości, za powiekami przesuwają się złote światło i kusi mnie. Koński ogon światła. Ociekające światłem i miodem oczy na pustyni szkieletów. Wyraźniej niż

³ Nie, proszę pana, są ludzie, którzy żyją całkiem sami w swoich koszulach nocnych (przyp. tłum.).

dotąd obraz wypływa naprzód, w miarę, jak dni znikają w swoich świecących czarnych dziurach, aby nigdy nie wrócić. 207

Czy to ja nie nadążam, czy dni?

Nie znoszę zamkniętych skrzyń. Prędzej czy później zniknę z ich świata. To może się stać nawet teraz. Nowe życie dla nas wszystkich. Bez. Podejrzliwość i niedowierzenie. Trzaskające więzi. Wgryzający się w budynek bluszcz, który pożera nas od zewnątrz. Kiedy nie mam nic innego do roboty, w nieskończoność wyglądam przez prześwity w bluszczu na oknie kuchennym, wychodzącym na podwórze. Zielone momenty rozpraszają czas. Nie stoi on w miejscu, ale rozszerza się, tak że jest w stanie pomieścić więcej. Więcej dobrych rzeczy. Ssanie w brzuchu. Głód życia. Jestem jak pęd ziemniaka w piwnicy.

Przy śniadaniu Horatio spojrział na mnie badawczo. „Myślałem o tym, ani ty, ani ja nie tracimy siebie nawzajem”.

„Nie, mojego ciała nie stracisz”.

„Nim nie jestem zainteresowany”. Urażona, odparowałam: „Nieprawda, że nic nie stracisz. Stracisz wszystko. Stracisz coś. Wiele. WIELE stracisz”.

Marzę o tym, aby wsiąść w pociąg i nigdy nie wrócić.

(Następnym razem mnie zatrzymaj).

Wokół mojego serca kot zwija się w kłębek. Gryzie korzenie końca świata. Nie słyhać nic poza burczeniem na przemian ciepłego i zimnego ciała. Wszyscy są tu płazami. Ogrzewam się od innych, słabszych kokonów szczenięcego tłuszczu. Importuję ślimaki i zatruwam okolicę apatycznym zachowaniem, na przykład nie otwierając drzwi, żeby przywitać nowo przybyłych. Czuję, że się unoszę.

Bezlitosna i bezwstydną wojowniczką, niewzruszona przez odruchy sumienia lub uczucia, marzy o pociagu, który przyjedzie, aby wyrwać Europę z bagna i wprowadzić ją w przyszłość i tu mnie masz, czy jestem czarną, czy białą pizdą, zawsze wychodzę na balkon

Perdita Durango Lucie Pil Angelica.

Jestem tygrysem, który przychodzi w nocy, by działać

Niszczę wszystko, czego nienawidzę, i pić krew

Tak by dzień nie stał się belką drewnianą, która mnie zmiażdży

Niektórzy nie potrzebują myśli, aby wypełniać chwile. Są zadowoleni, tu i teraz. Chronicznie niewymagający. Ale ja zamieniam się w dzikie zwierzę, które przelewa krokodyle łzy, przez moje niebieskie oczy można zajrzeć w głąb głowy aż po potylicę morza, czuję, jak kostki trzeszczą i wyciągają się pod ciężarem nowej struktury kostnej, klatka piersiowa wypełnia się swędzeniem i ciepłą, gęstą siłą. Nic bez mojej woli. Nic. Nigdy.

Żadnego strachu przed władzą mroku.

Małe światełka omywają ściany miniaturowego pokoju. Lataрки w domku dla lalek i światła samochodów w schowku na buty.

Czy z wolna staję się tak brzydka, że nawet szatan nie zechce mojej duszy?

Coś zbliżonego do przebudzenia

Jestem tak pijana, jak noże przez uszy

Bardziej owad, niż człowiek, przyciągają mnie pustkowia, intensywny szum pustyni nocą, gdy światła tańczą w pustce. Nicość.

Nic już nie czuję. Jestem homarem. Nieczułym. Głosy szepczą w eterze, przeciskają się wolno obok najgłębszych tonów, szarpiących klatkę piersiową.

„Przyjdziemy cię zabrać. Przyjdziemy cię ugotować. Będziesz czystsza niż świeże rumowiska. Przyjdziemy i zgolimy ci wszystkie włosy, przyciśniemy cię do materaca i odbierzemy ci, na jakiś czas, całą odpowiedzialność, całkiem tak, jak w romantycznym przypływie, tyle że czyściej”. Duchy podają się za moich przodków, ale sama nie wiem, znikają, jeśli wypiję dość rumu, całe jego morze, słonowodne i pełne flamingów. Duchy wrócą, by stepować więcej, za dwanaście godzin, więc nie obawiaj się przetańczyć całej nocy. DNA DNA DNA na stołach.

Przewodnik błyszczący w swojej obecności, Przewodnik pyta mnie:

„Wkrótce noc świętojańska. Kogo spalimy?”

I to nie jest pytanie.

Jest przywilejem móc spotkać wszystkich tych, którzy żyją właśnie teraz, i wiedzieć, że pewnego dnia wszyscy zapadniemy w sen, z którego się nie obudzimy. Płomień się chwieje. Schowany pazur. Diabeł morski. SATAN SAYONARA kupuje łóżko i absorbuje wodę. Obłą, dryfujące drewno.

jeden pijacki wieczór da radę, wystarczy.

spać jeść

może cokolwiek

prawie jak mama

jeszcze lepiej, niż matka

Polarnik wyrusza na biegun dla innych, to, co zwykle jest efektywne, nie działa dłużej. Głosy nie milkną. Czuję, że się unoszę.

210 Alucarda wymyka się cicho, a w drodze odkręca wszystkie kurki kuchenki gazowej. Dźwięk ulatniającego się gazu wkrada się słabo w ciszę.

I nagle otwiera się proźnia, która zasysa Alucardę na ulicę, na dno szklanki z piwem, do ogłuszającego hałasu poszukujących ludzi. Bez korzeni, na wolności, a za znoszonymi czerepami gęstwi się dzika panika.

YES SIR, I CAN BOOGIE

Wybrała się na imprezę, gdzie tańczyli ludzie. Cicho. Każdy w takt swojej muzyki. Wschód słońca, Alucarda siada na schodach, aby złapać oddech. Wiatr porusza kosmykami włosów.

Galatyka stężała. Nowa i bezlitosna. Korzenie drzewa świata wyciągają się po pożywienie, widzę, jak długie, cienkie palce wskazujące zbliżają się ku mnie od strony horyzontu. Błyskawice daleko nad równiną. „Nie brać jeńców, nikt ma nie zostać przy życiu”, szepcze Przewodnik. Czuję się nasmarowana pszczelim woskiem i ektoplazmą. Król rozkazuje.

Gdy już Alucarda wraca do domu, nie jest ani trochę tak wstawiona, jak by chciała. Więcej czasu i więcej miejsca dla abstenencji. Wchodzi do mieszkania. Zamek trzeszczy, ale nikt się nie budzi. Alucarda siada na sofie.

Myśli o własnej matce zeszywniałej w grymasie, w masce skurczów. Nie znowu, żeby jej matka była okropną jędzą, to dziecko okazało się raczej okropne: trudno jest oddychać pod poduszką, człowiek się budzi, nie może się poruszyć i dusi się w litościwym crescendo, a choć nie widzi niczego, wie wszystko.

Cholera no, jak oni mogą mi ufać, nie ufajcie mi. Zaskarwiam sobie tak wiele niezасłużonych względów, po czym nagle robi się za późno i wszystko ginie w huk, masa mózgowa wycieka z miśy do ciasta. Leżą na wybrzeżu jak hełmy wojskowe i są przedhistorycznymi zwierzętami, które właśnie zdechły po złożeniu jaj w strefie brzegowej.

Ten dzień jest bezlitosny. Przewodnik nie daje za wygraną.

„Jesteś gotowa?”

„Tak, jestem gotowa”.

„Dasz się zbić z pantałyku?”

„Nie, jestem twarda jak skała”.

„Twój chaos jest starodawny. Przez wiele żyć unosiłaś się w chaosie. To niemal wszechświat sam w sobie. Kiedy więc, z twoją minimalną pojemnością, wnिकiesz do niego, jest to, rzecz jasna, niebezpieczne”.

Z tej czy innej przyczyny cała rzecz pójdzie dobrze, a absurdalne, genetyczne wyrzuty sumienia w razie zwycięstwa miną w ciągu kolejnych tygodni i zostawią gładką, pozbawioną rys powierzchnię.

Dostaję wszystko, na co wskażę.

Gdzie jest anioł zemsty, który strąci mnie do piekła? Nie ma żadnego anioła-mściciela

Przez całą noc oblewał mnie zimny pot.

Alucarda wychodzi na balkon i szybkim ruchem zamyka za sobą drzwi, tak aby gaz nie wy dostał się na zewnątrz. Zapala papierosa. Wciąga dym do płuc. Poranek wypełnia się ptakami, nisko zawieszonym słońcem i sobotą. Wysysa każdą drobinę tytoniu w płonąym białym papierku, jak nektar.

Na w pól przy myka oczy w chwili bezruchu. Wewnątrz mieszkania niewiniątka śpią swoim zdeformowanym snem.

212 Chwiejnie przechodzi przez wrota do pociągających inkwizytorów z dzieciątkiem Jezus w ramionach, wyrwanym z posągu na ołtarzu, po tańcu na dachu i warczeniu jak pies przez długie tygodnie. Spal mnie! Skończ z tym! Nie widzisz, że jestem opętana. Diabeł stoi za mną zdesperowany po klasztorным życiu. Histeryczka twierdzi często, że wielcy panowie przychodzą do niej przez ścianę i sypią sól w oczy demona. Mając przyćmione zmysły, Alucarda robi to, czego najbardziej się boi. Jak zakonnica opętana przez diabła

wszystko dzieje się w ciągu kilku zdań

Alucarda rzuca żarzący się niedopałek do salonu, a szklane drzwi eksplodują wprost w nią, odbierając jej oddech, kiedy uderza w balustradę i z odrzuconymi w tył ramionami zwiesza się przez kuty wzór.

Piecze ją twarz oraz nagie ramiona w miejscach, do których przywarł materiał. W boku odzywa się dogłębny, kłujący ból. Duży odłamek szkła sterczy z ciała niewyraźnie, tuż pod zębem. Alucarda chciałaby zemdleć. Przy świadomości utrzymuje ją dźwięk pękających kręgów szyjnych. Dźwięk jest tak słaby, że człowiek automatycznie zaczyna go nasłuchiwać. Jak tykanie budzika o godzinie trzeciej w nocy. Trzeszczenie bali w ognisku, żar i krzyki, których nie słyszać. Żyją, dopóki krzyczą.

Wydaje mi się, że orzeł przelatuje nade mną i potężnymi szponami wyrywa mnie z tego zniszczenia. Wpija szpony w skórę na karku, w bok, głęboko w oczodoły. Błyszczą włócznie i studnie pełne oczu w innych krajobrazach, tam, gdzie żyją przygody i gdzie teraz zmierzam. Jestem rewoltą. Mój boże Ona jest jak twierdza.

Alucarda już za nimi tęskni, ale nie żałuje. Żal jest dla grzesz- 213
ników, a nie dla dzikich zwierząt. Krokodylowe łyzy łagodzą ból
spieczonych policzków. Autystyczna jak orzeł.

Komplementem byłaby wiara w to, że mam jakieś uczucia.

Tłumaczenie: Dorota Polska



*Alergia**Mojej Natalii*

Zaraz po weselu, w noc poślubną, okazało się, że Pelo jest uczulony na puch.

Nigdy wcześniej o tym nie mówił, bo gdyby powiedział, Beata, zamawiając pokój w podmiejskim hotelu na godziny i wpłacając zaliczkę z pieniędzy samodzielnie zarobionych przy zbieraniu szparagów i borówek, uprzedziłaby, że kołdra i poduszka powinny być z materiału sztucznego jak kamień w jej zaręczynowym pierścionku.

Chwilę przed atakiem duszności Pelo rozluźnił krawat i rozpiął rozporek. Leżał na łożku, patrzył w sufit i uśmiechał się. Z czułością przytulał do astenicznego torsu poduszkę pełną drobiowego pierza i głęboko oddychał. Na Beatę nawet nie spojrział. A Beata zrozumiała, że jej mąż właśnie osiągnął samozadowolenie i samospełnienie. Wywiązał się z przyrzeczenia złożonego kobiecie Nie-Wiem-Dlaczego-Ciebie-Wybrał: mamę, przyrzekam, tylko z żoną i tylko po ślubie.

Tej nocy Pelo doświadczył rozkoszy płynącej wyłącznie z dotrzymanej obietnicy.

Beata wezwała pogotowie do tracącego oddech Pela. Drzwi ambulansu przycięty jej welon, dowód niewinności i nieskazitelności, welon, który ciągnął się za karetką jak dwa lata narzeczeństwa.

W drodze do szpitala trzymała męża za rękę i modliła się, żeby się nie uduśli.

Pół roku po ślubie okazało się, że Pelo jest uczulony na przyrodę: na drzewa, na krzewy, na kwiaty, na trawy. Na świeże powietrze. I na nieświeże też.

Pewnej niedzieli po obiedzie u kobiety Nigdy-Mu-Nie-Dogodzisz, Beata zabrała męża tam, gdzie trzydzieści trzy lata temu wszystko się zaczęło. Ciotka Migutowa, która wiedziała naprawdę wszystko, wyznała Beacie, że jej rodzice, matka — księgowa, ojciec — mistrz w fabryce dywanów, oboje pozbawieni wyobraźni i polotu jak rachunki matki, oboje prości i banalni jak wzorzyste kobierce-nieloty w zakładzie ojca, poczęli Beatę w przypływie Bóg wie jakiego szaleństwa właśnie tutaj — między ławką w parku a już dawno wyschniętą sadzawką. Beata obiecała sobie, że w tym i tylko w tym miejscu powie swojemu mężowi...

— Nie mam siły — Beatę dogonił głos Pela.

Nie odwróciła się.

Przypieszyła.

Im bardziej oddalała się od Pela, tym wolniej poruszał się Pelo. To wszystko przez kaczkę, pomyślała Beata, to przez kaczkę kobiety Na-Pewno-Cię-Zostawi, przez kaczkę faszerowaną coniedzielnymi złośliwościami, przez kaczkę z nogami związanymi bawełnianym sznurkiem pretensji, przez kaczkę ociekającą tłuszczem miłości matki do jedynaka, przez kaczkę obłożoną jabłkami z drzewa mądrości Bo-Ja-Wiedziałam-Że-Ona-Nie-Dła-Ciebie.

W połowie drogi Pelo dostał zadyszki. W połowie drugiej połowy charczał jak stary maluch, którego ojciec Beaty wylosował w ostatniej peerelowskiej loterii w zakładzie.

Wreszcie Pelo zatrzymał się i nie ruszył dalej. Jak ten sam stary maluch, który każdego roku, dokładnie pierwszego listopada, dokładnie w rocznicę śmierci matki Beaty, przestawał jeździć. Do końca zimy.

O tym, że jest w ciąży, Beata powiedziała Pelowi w ambulansie, modląc się, żeby dziecko nie odziedziczyło po ojcu alergii.

Wkrótce po narodzinach Mai, okazało się, że Pelo jest uczulony na dzieci. Już w szpitalu przyglądał się nowo narodzonej tak, jakby próbował najpierw ustalić ojcostwo, a za chwilę wyprzeć się go. Kobieta Ależ-Ona-Do-Ciebie-Niepodobna trzymała dziecko pod światło, nad światłem i w poprzek światła.

— Miał być chłopak — powiedziała i wyszła bez pożegnania, ciągnąc za sobą smugę skrzywionego Pela.

W domu Pelo zaczął krzywić się jeszcze bardziej. Odwracał się od zapachu córki, zapachu, który Beata wyraźnie wyczuwała za uszami, na karku i we wgłębieniu między szyją a obojczykiem dziewczynki.

Do torsji doprowadzał go smród zużytych pieluch. Były kwintesencją gówna. Do torsji doprowadzał go zapach pieluch przed zuzyciem. Były zapowiedzią tuż-tuż gówna. Atakami duszności reagował na głośną obecność dziecka. Obecność coraz intensywniejszą i coraz bardziej wymagającą, bo rosnącą razem z Mają.

Za każdym razem, kiedy musiał zająć się córką, dostawał kinderliszaju. Najpierw zaczynał drapać całe ciało, a później wywijał rękawy i podciągał spodnie — wysypka rozkwitła na rękach i nogach Pela czerwonymi plamami, a kiedy przekwitała, łuszczyła się cienkimi, suchymi płatami skóry.

Maja nauczyła się nie drażnić ojca. Trzymała się w bezpiecznej odległości, dokładnie na wyciągnięcie łańcucha ze śwędzącego milczenia i z kichającej obojętności.

Pelo już bez Beaty jeździł na zastrzyki z hydrokortyzonu.

Ona zaś modliła się, żeby nie wracał zbyt szybko.

Trzy lata po nocy poślubnej okazało się, że Pelo ma alergię na dotyk.

— Zostaw mnie — mówił, kiedy Beata od czasu do czasu próbowała pokrywać jego ciało stemplami pocałunków i pieszczot.

218 Każdą czułość zmywał w kabinie bezdotykowego prysznicza wykafelkowanego w Jakie-Piękne-Zachody-Słońca.

Powiedział, że nie chce mieć więcej dzieci. Jeśli szedł z żoną do łóżka, a czasem szedł, wprawdzie okrężną drogą, wprawdzie jak na spacer z psem o czwartej rano, zawsze pamiętał o pancerzu z trzech prezerwatyw. Kiedyś chyba dwie z trzech ześlizgnęły się i zostały w miękkim wnętrzu Beaty.

— Wyjmij to natychmiast — powiedziała, zrzucając z siebie męża. — Wyjmij, bo inaczej...

Nie dokończyła. Pelo dusił się. Wyobraził sobie, że pozbawiony zabezpieczenia zostanie po raz drugi ojcem.

W drodze na pogotowie, Beata modliła się tylko o to, żeby ginekolog wydobył z niej gumowe kaftany bezpieczeństwa.

Pięć lat po ślubie okazało się, że Pelo jest uczulony na wydawanie pieniędzy.

Nigdy nie pamiętał, jaki jest PIN jego złotej karty. Podpis ze srebrnej karty nie zgadzał się z tym, który Pelo zostawiał na rachunkach. A portfel Pela częściej mieszkał w kuchennej szufladzie kobiety Wszystko-Ci-Się-Należy niż w kieszeniach jego markowych spodni i skórzanych kurtek.

Nie potrafiła ustalić momentu, w którym Pelo obarczył ją spłatą dwustu pięćdziesięciu metrów kredytowych ze strychem i z niedużym ogródkiem i zażądał zwrotu z odsetkami swojej części długu. Potrafił robić takie rzeczy, w końcu był prawnikiem. Może wtedy, kiedy bolące od trzech miesięcy podbrzusze przestało żyć własnym życiem? Tak, chyba właśnie wtedy. Przypomniała sobie, że przyniósł do szpitala jakieś papiery do podpisania, jakieś dokumenty do przeczytania, i chociaż prosiła, żeby później i nie w tej chwili, uparł się. Wiedział, że środki uspokajające wygładziły czujność Beaty.

W pewne sobotnie przedpołudnie Beata zauważyła, że lodówka jest pusta jak jej macica wyczyszczona z drugiego dziecka. Na zakupy zabrała Pela. — Pomożesz przy pchaniu wózka, chociaż przy pchaniu wózka.

Pomógł, bo akurat to nie kosztowało wiele.

Przy kasie Beata spokojnie wykladała francuskie sery, polskie wędliny, szwedzkie kawitory, angielskie herbaty i hiszpańskie wina.

— Dwieście siedemdziesiąt pięć i dwadzieścia — powiedziała kasjerka, nie podnosząc głowy.

— Nie mam pieniędzy — odrzekła Beata.

Kasjerka podniosła głowę.

— Nie mam przy sobie ani grosza — dodała, wskazując dłonią na Pela.

Pelo zapłacił. Odebrał dwadzieścia cztery złote i osiemdziesiąt groszy reszty. Nie zdążył włożyć pieniędzy do kieszeni, kiedy dostał ataku. Oparty o kasę dusił się.

Beata spokojnie pakowała francuskie sery, polskie wędliny, szwedzkie kawitory, angielskie herbaty i hiszpańskie wina.

Ambulans wezwała ochrona, bo Beata nie miała telefonu.

Na pytanie lekarki, czy pojedzie z mężem na pogotowie, odpowiedziała, że nie. Musi zająć się sprawunkami. Musi odebrać dziecko z przedszkola. Musi wracać do domu. — Samo życie — mruknęła lekarka i zniknęła.

Na parkingu Beata leniwie pchała wózek pełen spożywczej Europy. Nie spieszyła się, choć czekała na nią translacja łacińskiego traktatu *Adversus fallaces et superstitiosas artes* i angielskiej prozy *Suburban Mobile Brothel*. Zrozumiała nagle, że jedynym tekstem, którego nigdy nie zdołała przetłumaczyć, był Pelo. Nie opanowała podstaw polojęzyka bazującego na wszechodmianie zaimka osobowego *ja*. Nie pojęła koniugacji czasowników *chcę, żądam, należy mi się*. Nie poznała deklinacji męzowskich zachcianek i kaprysów. Nie wiedziała,

220 dlaczego przywłaszczył sobie najwyższy stopień wszystkich przymiotników. Nie potrafiła pojąć zagadnień bardziej skomplikowanych. Dlaczego na przykład w peloskładni zawsze występowała w roli zdania podrzędnie złożonego lub współrzędnie przeciwstawnego? Albo dlaczego od pięciu lat traktował ją jak podmiot nierozwinięty, a jej ciało jak zwarto-szczelinowe, bezdźwięczne czy?

Nie wiedziała, kiedy i jaki popełniła błąd w przekładzie narzeczeństwa z Pelem na małżeństwo z nim.

Bezdomny pojawił się przed Beatą nagle. Zanim zdążył o cokolwiek poprosić, wyjęła z torby portfel i wcisnęła śmierdzielowi sto złotych.

— Ja się pomodłę, o zdrowie, obiecuję.

— Lepiej o to, żeby się udusił. — I dołożyła żebrakowi kolejną stówę, odbierając jednocześnie telefon. — Wszystko w porządku, tato, później zadzwonię, wszyscy zdrowi, później.

Po chwili zza pleców usłyszała zawodzenie: — Od śmierci nagłej a nieoczekiwanej nie wybawiaj skurwiela, Panie Boże Dyrektorze.

Wkrótce zauważyła, że karetka bez sygnału z lekarką bez skrupułów podjeżdża co trzeci wieczór pod ich dom. Pelo — chociaż nie miał ataków — znikał coraz częściej na coraz dłużej.

Czasem wracał.

Beata uciekała wtedy w miejsca, na które Pelo miał uczulenie. Chowała się przed nim w kuchni (alergia na zapachy), na strychu (alergia na kurz) i w ogrodzie (alergia na przyrodę).

Dokładnie wtedy, kiedy przestały pylić leszczyny, olchy i topole, Pelo w towarzystwie kobiety Wszystko-Moje-I-Twoje zaczął pakować rzeczy. Ruch na ulicach zamierał, kiedy rozwrzeszczanym ambulansem przewoził do lekarki meble z zawałem, książki z zatorem, płyty CD z bezdechem.

Wyprowadzał się już od kilku tygodni. Miał wyprowadzać się jeszcze tydzień. W ciągu najbliższych siedmiu dni nie zamierzał wychodzić z domu. Chciał udowodnić Beacie, że do niego należy ruska zapalniczka, prawidła skórzanych butów, stojak na wina, złocena rama bez obrazu. Ale przede wszystkim chciał zabrać to, co najcenniejsze — swoje nazwisko. I o tym dyskutował od rana do nocy.

— A dziecko? — zapytała Beata.

— Możesz mu dać swoje nazwisko — do pudła z kuchennymi drobiazgami dorzucił otwieracz do konserw i praskę do ziemniaków.

I wtedy pojawił się on. Tycjan. Wielkie, rude kocisko z urwanym uchem i przypalonymi rzęsami. Beata kosiła trawę, kiedy przyszedł po raz pierwszy. Ocierał się o jej nogi jak potulna przeszłość, którą zostawiła za sobą; wyginał grzbiet jak niepewna przyszłość, która miała nastąpić; liniał i obłaził grubym, ryżym włosem jak terażniejszość, która w zadłużonym domu ładowała w walizki wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. I co nie miało wartości.

Beata pochylała się. Długo głąskała kota. Miedziane kłaki przyklepiły się do jej spoconej dłoni.

Pierwszej nocy Pelo tylko sucho kaszłał.

Następnego dnia Beata wycesała Tycjana gęstą szczotką. Jak psa. Kudły zabrała ze sobą. Fafroki, jak mówiła Maja. Farfocle, jak mówił ojciec Beaty.

Drugiej nocy Pelo sucho kaszłał i podduszał się.

Kolejnego dnia Beata wycięła z podbrzusza Tycjana wielką garść futra.

Trzeciej nocy Pelo zaczął dusić się naprawdę. Wydierał się: — Nastuniu, podaj mi sterydy, w szafce, tak w szafce, no podejdź, podejdź tu, podejdź, dziwko jedna, tu przy łóżku, blisko, trzecia szuflada od dołu, no chodźże, jak nie chcesz, to zadzwoń po pogotowie, a najlepiej po Joannę, tak po nią, jej numer w telefonie, znajdziesz pod Amore, proszę, bo...

Beata nie poruszyła się. Nie odezwała się. Przyglądała się. Tycjan spał na jej kolanach. Nie widział, a szkoda, jak Pelo przestaje oddychać, jak jego wielkie, coraz większe oczy uciekają z głowy w hipoaergiczną wieczność.

Ambulans przyjechał za późno. Dużo za późno. Nie, Beata nic nie słyszała. Wiedziała, że mąż ma alergię i astmę. Ostatnio nie skarżył się. Okaz zdrowia.

Policji także nie miała zbyt wiele do powiedzenia. — Przecież od roku, panie inspektorze, prawie tu nie mieszkał. Najpierw wyniósł się do kobiety U-Mnie-Będzie-Ci-Lepiej, a później zaczął budowę. Tak. Budowę. Nowego związku z nową kobietą. — Z emocjonalnych pustaków — chciała dodać. Ale nie dodała.

Kiedy rano Maja obudziła się, nie zapytała o ojca. Beata sprzątała posłanie Pela. Z poszwy na poduszkę wysypywała rudą sierść. Słyszała, jak przed domem zawodzi kobieta To-Ona-Go-Zabiła.

— Zasłużyłeś — powiedziała Beata, podsuwając Tycjanowi ciepłe mleko.

Wyciągnęła rękę. Chciała pogłaskać kota tak, jak lubił najbardziej, między oczami bez rzęs, między naderwanymi uszami. Ale Tycjan wymknął się spod dłoni Beaty. Z wyrzutem, jak spod ogona, spojrział najpierw na mleko, a później na kobietę.

— Mam na to alergię — mruknął.

I zniknął w ogrodzie.

*Allergi**Til min Natalia*

Rett etter bryllupet, på bryllupsnatten, viste det seg at Pelo var allergisk mot dun.

Han hadde aldri snakket om det tidligere, for hvis han hadde sagt det ville Beata — da hun bestilte rommet på motellet i utkanten av byen og betalte forskuddet med pengene hun selv hadde tjent på å plukke asparges og blåbær — sagt fra om at puten og dynen måtte være kunstige, akkurat som steinen i forlovelsesringen hennes.

Et øyeblikk før kvelningsanfallet løsnet Pelo på slippet og åpnet buksesmekken. Han lå på sengen, så i taket og smilte. Med ømhet klemte han puten fylt med hønsedun til det asteniske brystet og pustet dypt. Han så ikke på Beata engang. Og Beata forstod at mannen hennes i dette øyeblikket hadde oppnådd selvtilfredshet og selvoppfyllelse. Han hadde holdt løftet han hadde gitt kvinnen Jeg-Vet-Ikke-Hvorfor-Han-Valgte-Deg, løftet som lød slik: mor, jeg lover, bare med min kone, og bare etter at vi er gift.

Den natten erfarte Pelo nytelse mest som et resultat av løftet han hadde overholdt. Beata tilkalte ambulansen til Pelo, som var i ferd med å slutte å puste. Døren til ambulansen smekket over sløret, selve beviset på uskyld og renhet, og det ble slept etter sykebilens lik de to årene med forlovelse.

På vei til sykehuset holdt hun mannen sin i hånden og ba til Gud om at han ikke skulle kveles.

Et halvt år etter bryllupet viste det seg at Pelo var allergisk mot natur: mot trær, mot busker, mot blomster, mot gress. Mot frisk luft. Og mot ikke fullt så frisk også.

En søndag, etter en middag hos kvinnen Du-Kommer-Al-dri-Til-Å-Tilfredstille-Ham, tok Beata mannen dit alt begynte for tretti år siden. Tante Migut, som virkelig visste alt, innrømmet for Beata at foreldrene hennes, moren — bokholderen, faren — mesteren på teppefabrikken, begge like blottet for fantasi og inspirasjon som morens regnskap, begge enkle og banale som de mønstrete ikke-flygende teppene på farens verksted, unnfanget Beata i, et gudene vet hva slags, tåpelig innfall, nett opp her — mellom benken i parken og en for lengst uttørket dam. Beata lovet seg selv at på dette stedet, og bare på dette stedet skulle hun fortelle mannen sin...

— Jeg orker ikke — stemmen til Pelo nådde frem til Beata.

Hun snudde seg ikke.

Hun gikk raskere.

Jo mer hun fjernet seg fra Pelo, jo saktere beveget Pelo seg. Alt skyldtes andesteken, tenkte Beata — andesteken til kvinnen Han-Kommer-Til-Å-Forlate-Deg, andesteken som hver søndag var fylt med sarkasme, andesteken som var knyttet sammen med en bommulstråd av bebreidelser, andesteken som rant av morskjærlighet til enebarnet, andesteken som var omkranset av epler fra visdommens tre, visdommen til Jeg-Visste-At-Hun-Ikke-Er-Bra-For-Deg.

Da de var halvveis ble Pelo tungpustet. Etter at de var halvveis hveste han som den gamle fiaten Beatas far vant på verkstedet under den siste loddtrekningen i Folkerepublikken Polen. Til slutt stoppet Pelo og rikket seg ikke av flekken. Akkurat som den samme gamle fiaten, som hvert år, nøyaktig første

november, nøyaktig på årsdagen for morens død, stoppet. Og 225
ble stående resten av vinteren.

Beata fortalte Pelo at hun var gravid i ambulansen, mens hun
ba til Gud om at barnet ikke skulle arve farens allergi.

Rett etter at Maja ble født, viste det seg at Pelo var allergisk mot
barn. Allerede på sykehuset så han på den nyfødte som om han
først prøvde å fastlå farskapet, og deretter fornekte det. Kvin-
nen Men-Hun-Ligner-Jo-Ikke-På-Deg holdt barnet opp mot lyset,
over lyset, og på tvers av lyset.

— Det skulle bli en gutt — sa hun og gikk uten å ta avskjed,
med stripen av surmulende Pelo hengende etter seg.

Hjemme begynte Pelo å surmule enda mer. Han snudde seg
vekk fra jentas lukt, lukten som Beata tydelig kunne kjenne
bak ørene, i nakken og i fordypningen mellom jentas hals og
kragebein.

Han brakk seg av stanken fra de brukte bleiene. De var essen-
sen av dritt. Han brakk seg av lukten fra de ubrukte bleiene. De
var et varsel om dritt-om-litt. Han fikk kvelningsanfall av bar-
nets høylytte tilstedeværelse. En tilstedeværelse som vokste i takt
med Maja og derfor bare ble stadig mer intensiv og krevende.

Hver gang han måtte ta seg av datteren fikk han barneut-
slett. Først begynte han å klø seg på hele kroppen, etterpå rul-
let han opp ermene og trakk opp buksen — utslettet blomstret
frem i røde flekker på Pelos hender og føtter, og når det avblom-
stret flasset det av i tynne, tørre hudflak.

Maja lærte seg til å ikke irritere faren sin. Hun holdt seg på
trygg avstand, nøyaktig så langt som lenken av kløende taushet
og nysende likegyldighet rakk.

Pelo dro for å få sprøyter med hydrokortison, nå uten Beata.

Og hun ba til Gud om at han ikke skulle komme tilbake på
en stund.

226 Tre år etter bryllupsnatten viste deg seg at Pelo var allergisk mot berøring.

— La meg være — sa han, når Beata av og til prøvde å dekke kroppen hans med kyss og kjærtegn. Hvert tegn på hengivenhet vasket han av seg i dusjkabinettet med berøringsfri dusjkran, flislagt med Å-Så-Vakre-Solnedganger.

Han sa at han ikke ville ha flere barn. Hvis han gikk til sengs med sin kone, for av og til gjorde han det, riktignok ad omveier, riktignok på samme måte som man går tur med hunden klokken fire om morgenen, husket han alltid rustningen som bestod av tre lag med prevensjon. En gang skled to av de tre av og ble igjen i Beatas myke indre.

— Ta de ut med en gang — sa hun, idet hun kastet av seg mannen sin. — Ta de ut, for ellers...

Hun fullførte ikke setningen. Pelo var i ferd med å kveles. Han forestilte seg at han, blottet for beskyttelse, kom til å bli far for andre gang.

På vei til legevakten ba Beata Gud kun om at gynekologen skulle få de beskyttende gummitvangstrøyene ut av henne.

Fem år etter bryllupet viste det seg at Pelo var allergisk mot å bruke penger.

Han husket aldri koden til gullkortet sitt. Underskriften fra sølvkortet var ikke den samme som Pelo underskrev regningene med. Og Pelos lommebok bodde oftere i skuffen til kvinnen Du-Fortjener-Alt enn i Pelos merkebukser og skinnjakker.

Hun klarte ikke å nøyaktig fastslå øyeblikket da Pelo belastet henne med nedbetalingen av to hundre og femti kvadratmeter med loft og liten hage, og krevde tilbakebetaling av sin del av gjelden med renter. Han kunne gjøre sanne ting, han var jo tross alt jurist. Kanskje det var da, da hun ble innlagt på grunn av underlivet som hadde gjort vondt i tre måneder. Ja, det var vel akkurat da. Hun husket at han kom med noen papirer som

hun skulle underskrive på sykehuset, noen papirer å lese gjennom, og selv om hun spurte om de ikke kunne ta det senere og ikke nå, så var han urokkelig. Han visste at de beroligende midlene hadde sløvet Beatas oppmerksomhet.

En lørdagsformiddag oppdaget Beata at kjøleskapet var like tomt som livmoren hennes etter fjerningen av barn nummer to. Hun tok Pelo med på butikken. — Du kan hjelpe til med å dytte handlevognen, du kan i det *minste* dytte handlevognen.

Han hjalp til, for akkurat det kostet ikke så mye.

Ved kassen la Beata rolig fransk ost, polsk pålegg, svensk kaviar, engelsk te og spansk vin på båndet.

— To hundre og syttifem tjue — sa kassadamen uten å løfte hodet.

— Jeg har ikke penger — svarte Beata.

Kassadamen løftet hodet.

— Jeg har ikke en krone på meg — la hun til og pekte på Pelo.

Pelo betalte. Han tok de tjuefire åtti han fikk igjen. Han rakk ikke å legge pengene i lommen før han fikk et anfall. Han støt seg til kassen mens han holdt på å kveles.

Beata pakket rolig fransk ost, polsk pålegg, svensk kaviar, engelsk te og spansk vin ned i en pose.

Vekterne tilkalte ambulansen, for Beata hadde ikke telefon.

Da den kvinnelige legen spurte om hun skulle være med mannen sin på legevakten, svarte hun nei. Hun måtte gjøre noen innkjøp. Hun måtte hente barnet i barnehagen. Hun måtte hjem.

— Sånn er livet — mumlet legen og forsvant.

På parkeringsplassen dyttet Beata dovent handlevognen som var fylt med varer fra det næringsgivende Europa. Hun hadde det ikke travelt, selv om oversettelsen av den latinske avhandlingen *Adversus fallaces et superstitiosas artes* og den engelske teksten *Suburban Mobile Brothel* ventet på henne hjemme. Hun forstod plutselig at den eneste teksten hun aldri kunne oversette,

228 var Pelo. Hun behersket ikke grunnlaget i pelospråket, som var basert på universell bøyning av det personlige pronomenet *jeg*. Hun forstod ikke konjugasjonene i verbene *vil*, *krever*, *fortjener*. Hun skjønte ikke deklinasjonen i ektemannens *ønsker* og *innfall*. Hun visste ikke hvorfor han gjorde krav på superlativgraden av alle adjektiv. Hun klarte ikke å sette seg inn i mer kompliserte problemstillinger. Hvorfor var hun alltid en underordnet eller en adversativ setning i Pelos syntaks? Eller hvorfor hadde han de siste fem årene behandlet henne som et underordnet subjekt, og kroppen hennes som en affrikat, en lydløs *cz*?

Hun visste ikke når og hva slags feil hun hadde gjort i oversettelsen av forlovelsen med Pelo til ekteskap.

Den hjemløse dukket opp foran Beata plutselig. Før han rakk å be henne om noe, tok hun ut lommeboken fra vesken og dyttet en hundrelapp i hånden på den stinkende mannen.

— Jeg skal be for deg, be om god helse, jeg lover.

— Heller be om at han kveles. — Og hun gav ham en hundrelapp til, mens hun tok telefonen. — Alt er i orden, pappa, jeg skal ringe senere, alle er friske, senere.

Et øyeblikk senere hørte hun uling bak ryggen sin: — Ikke frels drittsekken fra en plutselig og uventet død, ærede herr Gud.

Snart merket hun at ambulansen uten blålys med legen uten skrupler stanset foran huset deres hver tredje kveld. Pelo — selv om han ikke hadde anfall — forsvant stadig oftere og ble borte stadig lenger.

Av og til kom han tilbake.

Da flyktet Beata til steder Pelo var allergisk mot. Hun gjemte seg for ham på kjøkkenet (allergi mot lukter), på loftet (allergi mot støv) og i hagen (allergi mot naturen).

Nøyaktig da haslene, orene og poplene sluttet å avgi pollen, begynte Pelo og kvinnen Alt-Er-Mitt-Og-Ditt å pakke tingene. Trafikken

i gatene stanset opp da han kjørte til legen i den hylende ambulansen, og fraktet møblene med hjerteinfarkt, bøkene med blodpropp, CD-platene med åndedrettsstans.

Han hadde flyttet i et par uker. Han skulle flytte en uke til. I løpet av de nærmeste syv dagene planla han å ikke forlate huset. Han ville bevise for Beata at det var han som eide den russiske lighteren, skotrærne til skinnskoene, vinstativet, den forgyllede rammen uten bilde. Men først og fremst ville han ta det mest dyrebare — etternavnet sitt. Og det var det han diskuterte fra morgen til kveld.

— Og barnet?

— Du kan gi henne etternavnet ditt — han kastet boksåpneren og potetskrelleren i boksen med kjøkkenting.

Og da dukket han opp. Titian. En stor, rødlig katt med et avrevet øre og svidde øyenvipper. Beata klippet gresset da han kom for første gang. Han gned seg mot beina hennes som den føyelege fortiden hun forlot bak seg; han krummet ryggen som den usikre fremtiden som skulle komme; han røytet og mistet tykt, rødbrunt hår, akkurat som nåtiden som var inne i det belånte huset og fylte koffertene med alt av verdi. Og alt uten.

Beata bøyde seg ned. Hun klappet katten lenge. De kobberfargede dottene klistret seg til den svette hånden hennes.

Den første natten hadde Pelo bare en tørr hoste.

Den neste dagen børstet Beata Titian med en børste med tette nåler. Som en hund. Hårdottene tok hun med seg. Totter, som Maja brukte å si. Tjafser, som faren til Beata brukte å si.

Den andre natten hadde Pelo en tørr hoste samt pusteproblemer.

Den neste dagen klippet Beata en stor neve pels fra Titians mage.

Den tredje natten begynte Pelo virkelig å kveles. Han hylte: — Skatt, gi meg steroidene, i skapet, ja i skapet, kom hit, kom nå hit, kom hit din hore, her ved sengen, ja her, den tredje skuffen, kom igjen, hvis du ikke vil, ring ambulansen, eller bare ring

230 direkte til Joanna, ja, ring henne, nummeret hennes er på telefonen, du finner det under Amore, vær så snill, for...

Beata rikket seg ikke av flekken. Hun sa ikke et ord. Hun så på ham. Titian sov på fanget hennes. Han så dessverre ikke hvordan Pelo sluttet å puste, hvordan hans store, stadig større øyne flyktet fra hodet inn i den antiallergiske evigheten.

Ambulansen kom for sent. Alt for sent. Nei, Beata hadde ikke hørt noe. Hun visste at mannen hadde allergi og astma. Han hadde ikke klaget i det siste. Sunnheten selv.

Hun hadde heller ikke så mye å fortelle politiet. — Han bodde jo nesten ikke her i over ett år, inspektør. Først flyttet han til kvinnen Hos-Meg-Vil-Du-Få-Det-Bedre, og etterpå begynte han byggingen. Ja. Byggingen. Av en ny relasjon med en ny kvinne. — Av hule emosjonelle mursteiner — ville hun legge til. Men hun lot det være.

Da Maja våknet om morgenen, spurte hun ikke etter faren. Beata ryddet Pelos seng. Hun tømte den rødbrune pelsen ut fra putetrekket. Utenfor hørte hun kvinnen Det-Var-Hun-Som-Drepte-Ham ule.

— Du har fortjent det — sa Beata, og skjøv skålen med varm melk mot Titian.

Hun strakk ut hånden. Hun ville klappe katten der han best likte å bli klappet, mellom de vippeløse øynene, mellom de opprevete ørene. Men Titian smøg seg unna Beatas hånd. Med bebreidelse, som fra under halen, så han først på melken, og deretter på kvinnen.

— Jeg har allergi mot det — brummet han.

Og forsvant inn i hagen.

Oversatt av Agnes Banach



Flyktige glimt av skjønnhet

Aldri kommer sommeren til Krakow. Det regner og regner. Regnet kommer, regnet går. Brått og intenst, langsomt og dryppende. Den gamle byen ligger sølvskimrende og flyter i disen over Wisla, Polens åre, elva bare vokser og vokser. En ettermiddag tekster en venninne, som bor et steinkast unna elvebredden, dog oppe i en bakke, at hun er engstelig, veldig engstelig, for vannet som stiger. Tre venninner av henne er allerede evakuert. Jeg har tatt toget fra Berlin et par dager tidligere, og sett åkre og landsbyer stå under vann. Men jeg vet hvor min venninne bor, og svarer at vannet garantert ikke når henne, og så kjenner jeg kroppen fylles av spenning, en merkelig opphisselse. Askeskyer og vann som stiger, da livner jeg til. Da jeg sykler inn til gamlebyen fra der jeg bor, på et høydedrag utenfor byen, og først ikke kommer over brua «mi», som er stengt, murene av sandsekker bevoktet av patruljerende politi, skjønner jeg hva hun mener. Synet av den voksende elva er ubehagelig. Men ubehaget er ikke knyttet til *mengden* vann, nei, det er *farten* vannmassene trykker seg gjennom middelalderbyen med, som skremmer. Først nå, da vannet skvalper like oppunder brotakene, ser man hvor godt sig det er i elva. Den strømmende kraften er ikke synlig når vannstanden er normal. Man legger også merke til farten fordi det flyter gjenstander på elva — grener, et lekespann, plastposer, en sebramønstret strandmadrass.

Folk ser med lengsel i blikket etter den.

234 Mennesker stimler sammen på elvebreddene, breddene par vanligvis svermer langs om kveldene. De stirrer, overvåker situasjonen, registrerer den, kameraene hevet. De henvender seg til sidekvinnen eller mannen, nå har de et samtaleemne, flommen, som binder dem sammen. Det varer tre dager, kanskje fire. Det bygger seg opp en vannfront i elva, en slags mini-tsunami, som skyver seg mot havet, flytter seg nærmere Østersjøen, og i dagene som følger skal gjøre livet surt for innbyggerne i Wrocław, Warszawa, Gdansk. Hvis bølgen ikke har krympet når den treffer Gdansk, da, blitt sugd ut av breddene underveis, og helt der ute ved Østersjøen bare er et skuffende lite skvulp, en etterdønning.

Jeg forlater vannmassene og sykler inn i gamlebyen. Fra vannmasser til menneskemasser. Det store torget, som må være blant de største i en gamleby i Europa, er fylt til trengsel. Flere turister her enn i Warszawa, mange flere. Grupper med unge britiske menn, som flyr hit med Ryanair, for å drikke seg fulle, nesten gratis. De er høyrøstede, røde i ansiktet, ofte overvektige. Man ser på skikkelsene at de er briter, lenge før de åpner munnen.

En time senere sitter jeg og noterer og leser på Plac Nowy i det gamle jødiske distriktet, Kazimierz. Flytter meg mellom de ulike kafeene som omkranser plassen. Krakow er kafeenes by. I hvert minste tomme bunkersaktige murhull bak en vegg, åpnes plutselig dørene til en kafé. Gamle møbler, dunkel belysning, jazz eller techno. Blir sittende i et vindu og se på regnet. De gamle slitte skadde husfasadene skimrer og skinner, våte nyanser av grått, kveldslyset lavt. For meg praktfullt at fasadene har fått stå som de er, tæret av vær og vind, av mangel på penger til å forbedre dem. Forfallet og slitaskjen vakker, vakrere enn de pedantisk gjenoppbygde gamlebyene i Gdansk og Warszawa. Der ble bykjernene reist fra krigens ruiner, gjenskapt i minste detalj, med hjelp av fotografier, tegninger, dokumenter. Borgerhusene

og palassene fikk tilbake fargene sine, men etter en stund har de begynt å ligne hva de faktisk er, kopier.

Warszawa og Gdansk så godt som jevnet med jorden. Krakow spart.

I Krakow fantes noe annet.

Europas mørke hjerte.

Det er filmfestival i Krakow. For femtiende gang. En festival som konsentrerer seg om kortfilm og dokumentarfilm. Jeg sitter i den store salen i kinoen som ligger rett rundt hjørnet for den enorme gressdekkede enga, Blonia, som minner om Gärdet i Stockholm, og like ved en kantet massiv rektangulær betongkloss, hotell Cracovia, communist style. Jeg venter på at Jonas Mekas skal entre scenen, for å motta en ærespris. Til slutt kommer den gamle mannen gående for egen maskin. Han er nær nitti år gammel (født 1922), hatten svart, svart alt, jeans, en slitt blazer, hvite hårtuster stikker fram under hattebremmene. Etter at den tunge drageprisen nesten har sendt den tynne mannen i gulvet, styrter en oppmerksom polsk filmprofessor til, befri Mekas for byrden. Nå knytter Mekas begge de frie nevene, hever dem i været, og slik, hyttende med dem foran seg, ett hytt for hver setning, roper han ut sin takketale, i form av et manifest. Han virkelig roper. Det handler om at alt må settes inn på å bevare filmarven, og at filmene må bevares *i det formatet* de er skapt. 70 mm som 70 mm. 35 mm som 35 mm. 16 mm som 16 mm. Super åtte som super åtte. Video som video. Digitale bilder som digitale bilder. Han kaller filmarven umistelig, menneskehetens hukommelse, ber den europeiske union om å kjenne ansvar, ta det. Mekas er kjent som en kløktig strateg, som har klart å finne penger til bevaring og skaping av noen av filmhistoriens merkeligste frambringelser. Så takker han for seg, forlater scenen, langsomt lokalet, mens vi blir sittende. For å se filmer, signert Jonas Mekas.

236 Hvem er Jonas Mekas? Han er en av den amerikanske avantgardefilmens aller fremste aktivister og personligheter. Noen kaller ham dens «gudfar». Og han er, av alle steder, født (på julaften 1922) og oppvokst i Litauen, i Semeniskiai. Han lever sitt voksne liv på den amerikanske østkysten, som en del av miljøet rundt Andy Warhol, John Lennon, Yoko Ono, Nico, beat-poetene. Han fanger dem alle på film. Men før han kommer så langt, og før han i 1962, i en alder av førti år, ferdigstiller sin første film, «Guns of the Trees», har han rukket å flykte fra krigen i Litauen, vært tatt til fange av nazistene, internert i arbeidsleiren Elmshorn utenfor Hamburg (sammen med broren Adolfas). Brødrene oppholder seg åtte måneder i leiren, flykter, overlever de to siste månedene av krigen i skjul på en bondegård ved den danske grensen. Etter freden oppholder han seg i ulike leire i Kassel og Wiesbaden, studerer filosofi i Mainz, før han sammen med Adolfas setter kursen mot USA. Der bosetter han seg i Brooklyn. To uker senere kjøper han sitt første 16mm-kamera, et Bolex, som han senere i livet alltid bærer med seg. I 1954 blir han redaktør for tidsskriftet Film Culture. Der begynner arbeidet som er nesten like mye livsverket, og som han nå hedres for, som filmene han skal komme til å lage: Han skriver om avantgardefilm, engasjerer seg for å få vist og bevart filmene, nedtegner historiene rundt dem. Han er med på å bygge opp flere amerikanske filminstitusjoner. I 2007 åpnet «Jonas Mekas Visual Arts Center» i Vilnius.

Etter at Mekas har forlatt scenen ser vi «Scenes From the Life of Andy Warhol: Friendships and Intersections» (1982), «Happy Birthday to John (Lennon)» (1996), «This Side of Paradise. Fragments of an Unfinished Biography» (1999), og «Scenes from the Life of George Macunias» (1992). Greie nok. Man lærer seg Mekas røffe håndholdte form, hvordan han fanger omgivelsene på film, familien og vennene. Filmene om Warhol og Lennon er dog ganske kjedelige, scener fra livet med gjengen, men ikke i nærheten

av å komme nær, hvilket det er tilløp til i den selvbiografiske filmen, og dessuten i filmen om den litauiske vennen og kunstneren og en av grunnleggerne av Fluxus-bevegelsen, George Maciunas. Den store åpenbaringen kommer to kvelder senere, da jeg med selvsmurt matpakke tar plass i salen, for å se den fem og en halv timer lange «As I Was Moving Ahead Occasionally I Saw Brief Glimpses of Beauty» (2000). Nå snakker vi. Hva er det Mekas gjør? Dette: Han bestemmer seg for å skape noe ut av filmaterialet han har liggende, snuttene som gjennom et langt liv har hopet seg opp. Ja, hvis jeg ikke misforstår, er det de tusenvis av meter film han ikke har brukt, negativene som har havnet på gulvet i klipperommet, eller som han har bedømt som for personlige eller private, han nå interesserer seg for. Og selvfølgelig: Det er der stoffet ligger. På gulvet i klipperommet. Han er nesten åtti år da han forstår det. På alder med Theodor Fontane, da Fontane skrev «Effi Briest».

«Mens jeg beveget meg framover så jeg innimellom korte glimt av skjønnhet» er en fem og en halv timer lang visuell dagbok, fra livet til Jonas Mekas, livet med kona, barna som vokser opp, glimt fra pikniker, turer i skogen — ganske nordisk, dette dryppende våte skogslandskapet på USAs østkyst — selskaper med vennene, vinglass i været, somre på Cape Cod, flere vinglass i været, lekebryting på stranden, sopplukking, matlaging, søvn. Mekas forstår sent i livet at han har vært besatt av to ting. Han har vært besatt av å filme, av å fange øyeblikk, «moments», med sitt 16 mm Bolex, og særlig har han vært besatt av øyeblikkene *som tilsynelatende ikke har noen mening*. Han går etter pausene, livets ingenting, dets *nothingness* — timene, dagene, ukene, månedene mellom livets såkalt avgjørende øyeblikk, og det er selvfølgelig der den skjuler seg, meningen, om den nå finnes. Snøen i New York. Kveldshimlene. Nettens kunstige lys. Menneskene han liker, og som han får til å smile mot kameraet, tillitsfulle, glade,

238 avslappede, hvilende i seg selv. Han innser, jo eldre han blir, at det som betyr noe, og har betydd noe, er livet med vennene, det sosiale. Og han forstår at om det er noe mennesket har rett til å søke, og bør søke, så er det skjønnhet og lykke. Den visuelle dagboken han gir oss — og det er en dagbok det er, filmen har ikke noe med visuelt essay å gjøre — ledsages av Mekas' naivt undrende og ikke-pretensiøse stemme, fortellende, beskrivende, enkelt, liketil. Den aldrende mannens røst er behagelig å lytte til. Når han ikke snakker, eller det bare er stille, eller det en sjelden gang er satt musikk til eller bare strømmer naturlig lyd fra en scene, limer han inn tekstplakater, en tanke, refleksjon, melding, konstatering — om ikke annet minner han oss om at «life goes on», «continues». Det oppstår en rytme. Mekas erkjenner, forteller oss, at han ikke er en filmskaper, men en *filmer*. Han liker rett og slett bare å filme det som foregår rundt ham. Og at han med denne metoden, bruke kameraet som penn, fordi det er en dagbok det er snakk om, en dagbok av bilder, uforvarende kommer til å fange glimt av skjønnhet og lykke, og først etterpå oppdager at det er det han faktisk har gjort — funnet, fanget og sett. Happiness og Beauty, livets mening. Søke meningen der den tilsynelatende ikke finnes, i livets nothingness. Fem og en halv time uten plott, konflikter eller kranbler. Et univers befolket av glade mennesker, som ser ut til å like hverandre.

Mennesker som liker hverandre!

Da lysene etter fem og en halv time tennes, og jeg reiser meg på en av de fremste benkeradene, og snur meg bakover i salen, ser jeg at vi bare er tolv personer igjen, i det som for fem og en halv time siden var en fullsatt sal.

Det var en erfaring, å se denne filmen. Slik er det ofte med kunst som gjør inntrykk. Det er too much, varer for lenge. Men nett-opp *mengden* bidrar til avtrykket som settes. Til slutt. Viktige

kunsterfaringer er ofte kjedelige. Dog kjedelige på den rette måten. Det aller meste av kunst er kjedelig på den gale måten, altså bare kjedelig. «As I Was Moving Ahead Occasionally I Saw Brief Glimpses of Beauty» var verken kjedelig på den rette eller gale måten. 239

Den bare var.

Krótkie mgnienia piękna

Lato nigdy chyba nie zawita do Krakowa. Pada i pada. Deszcz przychodzi i odchodzi. Nagły i intensywny albo mżący powoli. Stare miasto leży srebrząc się w słońcu i rozplywa się we mgle, unoszącej się nad Wisłą, żyłą Polski, rzeka wciąż rośnie i rośnie. Pewnego popołudnia dostaję wiadomość od znajomej, która mieszka rzut kamieniem od brzegu rzeki, choć na wzgórzu, że się boi, bardzo się boi wzbierającej wody. Ewakuowano już trzy jej przyjaciółki. Przed paroma dniami jechałem pociągiem z Berlina i widziałem podtopione pola i wsie. Wiem jednak, gdzie mieszka znajoma, więc odpowiadam, że woda z pewnością do niej nie dotrze, i czuję, jak moje ciało wypełnia ekscytacja, dziwne podniecenie. Chmury pyłu wulkanicznego i wzbierająca woda ożywają mnie. Z miejsca, w którym mieszkam, na wzgórzu poza miastem, jadę rowerem w stronę Starego Miasta i dopiero gdy nie przedostaję się przez mój most, zamknięty teraz rzędami worków z piaskiem, pilnowanymi przez patrole policji, pojmuję, o co chodziło znajomej. Widok wzbierającej rzeki jest nieprzyjemny. Poczucie przykrości nie wiąże się jednak z ilością wody, nie, przeraża raczej prędkość, z jaką masy wody próbują przedrzeć się przez średniowieczne miasto. Dopiero teraz, gdy woda pluska tuż pod przęsłami mostu, widzi się, jak ta rzeka pędzi. Siła jej prądu nie jest widoczna przy normalnym poziomie wody. Teraz zwraca się uwagę na jej prędkość także dlatego, że nurt niesie przedmioty — gałęzie, zabawki, woreczki

242 foliowe, materac plażowy w zeberkę. Ludzie oglądają się za nim z tęsknotą w oczach.

Na brzegach rzeki, po których wieczorami zwykle przechadzają się pary, panuje ścisk. Ludzie gapią się, śledzą rozwój sytuacji, rejestrują ją, unosząc kamery. Zwracają się do kobiety obok, do mężczyzny obok, mają teraz temat do rozmowy, powódź, która ich łączy. Taki stan rzeczy utrzymuje się przez trzy, może cztery dni. Na rzece powstaje wielka fala, rodzaj miniaturowego tsunami, które przesuwają się w stronę morza, zbliżają się do Bałtyku, by w nadchodzących dniach uprzykrzyć życie mieszkańcom Warszawy i Gdańska.

Pozostawiam masy wody ich biegowi i wjeżdżam rowerem na Stare Miasto. Od mas wodnych do ludzkich. Na wielkim targu — który musi należeć do największych w Europie — mrowi się od ludzi. Więcej tu turystów niż w Warszawie, znacznie więcej. Wśród nich grupy Brytyjczyków, którzy przylecieli tutaj Ryanem, by się spić, niemalże za darmo. Są głośni, czerwoni na twarzach, często mają nadwagę. Już z ich sylwetek, na długo zanim otworzą usta, zgaduje się, że to Anglicy.

Godzinę później siedzę, notując i czytając, na Placu Nowym w dawnej żydowskiej dzielnicy, Kazimierzu. Przenoszę się między różnymi kawiarenkami, otaczającymi plac. Kraków jest miastem kawiarni. W każdej, najmniejszej nawet, bunkropodobnej dziurze za ścianą jawią się nagle kawiarniane drzwi. Stare meble, niedoświetlone wnętrza, jazz lub techno. Siedzę przy oknie i patrzę na deszcz. Stare, podniszczone fasady domów połyskują wilgotnymi odcieniami szarości w miękkim świetle wieczoru. Wspaniały wydaje mi się fakt, że fasady stoją, jak stały, zgryzione zębem niepogody i brakiem środków na ich renowację. Upadek i zaniedbanie nadają im rys piękna, są piękniejsze niż pedantycznie odbudowane Stare Miasta Warszawy i Gdańska.

Tam serce miasta wzniesiono z powojennych ruin, odtworzono w najmniejszym szczególe dzięki fotografiom, szkicom, dokumentom. Domy mieszczańskie i pałace odzyskały dawne barwy, ale po pewnym czasie zaczęły przypominać to, czym faktycznie są — repliki. Warszawę i Gdańsk praktycznie zrównano z ziemią, ale Kraków ocalał.

W okolicach Krakowa było też coś innego.

Mroczne serce Europy.

W Krakowie toczy się obecnie festiwal filmowy. Po raz piętnasty. Festiwal, koncentrujący się na filmie krótkometrażowym i dokumentalnym. Siedzę na wielkiej sali kina mieszczącego się tuż przy ogromnej, trawiastej łące — Błoniach — przywodzącej na myśl Gärdet w Sztokholmie. Nieco dalej stoi kanciasta, masywna bryła hotelu Cracovia: styl komunistyczny. Czekam, aż na scenie zjawi się Jonas Mekas, by odebrać honorową nagrodę. Wreszcie na scenę wchodzi staruszek. Ma około dziewięćdziesięciu lat (urodzony w 1922 roku), czarny kapelusz, wszystko ma czarne, dżinsy, znoszony sweter, spod kapelusza kępkami wystają mu białe włosy. Gdy pod cienkim, obciążonym smoczą nagrodą mężczyzną nieomal uginają się nogi, doskakuje doń jakiś bystry profesor filmówki i odbiera mu brzemień. Mekas zaciska teraz pięści, wznosi ręce w powietrze, i potrząsając nimi nad sobą, okraszając każde zdanie potrząśnięciem, wygłasza mowę dziękczynną w formie manifestu. Mówi o tym, że wszystko trzeba poświęcić, by ocalić spuściznę filmową i że filmy trzeba zachowywać w tym formacie, w jakim się je tworzy. 70 milimetrów jako 70 milimetrów. 35 milimetrów jako 35 milimetrów. 16 milimetrów jako 16 milimetrów. Super osiem jako super osiem. Video jako video. Zdjęcia cyfrowe jako zdjęcia cyfrowe. Określa spuściznę filmową jako nieocenioną, nazywa ją pamięcią ludzkości, prosi Unię Europejską, by wzięła za nią odpowiedzialność. Mekas znany jest jako zręczny strateg, któremu udało się zdobyć

środki na utrwalenie oraz dokonanie jednych z największych osiągnięć w historii filmu. Następnie dziękuje, schodzi ze sceny i powoli opuszcza lokal, my zaś zostajemy, by obejrzyć filmy sygnowane jego nazwiskiem.

Kim jest Jonas Mekas? Jednym z najwybitniejszych działaczy i twórców amerykańskiego kina awangardowego. Niektórzy nazywają go „ojcem chrzestnym”. A urodził się (w wieczór wigilijny roku 1922) i dorastał na Litwie, w Semeniskiai. Swoje dorosłe życie spędził na wschodnim wybrzeżu USA, jako jeden z członków towarzystwa skupionego wokół Andy’ego Warhola, Johna Lennona, Yoko Ono, Nico, beat-poetów. Umieszcza ich wszystkich w swoich filmach. Zanim jednak zajdzie tak wysoko i zanim w roku 1962, w wieku czterdziestu lat, ukończy swój pierwszy film, *Działa wśród drzew*, zdąży uciec z ogarniętej wojną Litwy, dostać się w niewolę nazistów i (razem ze swoim bratem Adolfasem) zostać internowany w obozie pracy Elmshorn w okolicach Hamburga. Bracia spędzają w obozie osiem miesięcy, następnie uciekają z niego i przez ostatnie dwa miesiące wojny ukrywają się w gospodarstwie rolnym na granicy z Danią. Gdy nastaje pokój, Jonas Mekas przebywa w różnych obozach, w Kasel i Wiesbaden, studiuje filozofię w Moguncji, po czym wraz z Adolfasem obiera kurs na USA. Osiedla się w Brooklynie. Dwa tygodnie później kupuje swoją pierwszą kamerę z obiektywem 16 milimetrów — Bolexa, z którym w późniejszym okresie życia nigdy się nie rozstaje. W 1954 roku zostaje redaktorem czasopisma „Film Culture”. Zaczyna tam pracę, która w podobnym stopniu co filmy, jakie nakręci w przyszłości, będzie dziełem jego życia i za którą w podobnym stopniu co filmy, spotykają go teraz honory. Pisze o kinie awangardowym, angażuje się w pokazywanie i zachowywanie filmów, spisuje historie wokół ich powstania. Przyczynia się do stworzenia wielu amerykańskich instytucji filmowych. W roku 2007 otwiera Centrum Sztuk Wizualnych imienia Jonasa Mekasa w Wilnie.

Gdy Mekas schodzi ze sceny, oglądamy *Sceny z życia Andy'ego Warhola* (1982), *Wszystkiego najlepszego, John [Lennon]* (1996), *Po tej stronie rajy. Fragmenty niedokończzonej biografii* (1999) i *Sceny z życia George'a Macuniasa* (1992). Może być. Widz uczy się szorstkiej formy ujęć z ręki Mekasa, tego, jak na filmie pokazuje on swoje otoczenie, rodzinę i przyjaciół. Filmy o Warholu i Lennonie są dość nudne, sceny z życia, jakie prowadzili w swoich środowiskach, ale bez tych prób zbliżenia, jakie występują z kolei w autobiograficznym filmie Mekasa oraz w filmie o jego litewskim przyjacielu, artyście i jednym z założycieli ruchu Fluxus, George'u Maciunasiu. Wielkie objawienie następuje dwa wieczory później, gdy z własnoręcznie przygotowaną kanapką zajmują miejsce na sali, aby obejrzeć *Kiedy szedłem przed siebie, widziałem krótkie mgnięcia piękna* (2000). No, teraz to rozmawiamy. Co robi Mekas? Rzecz następująca: postanawia stworzyć coś z materiału filmowego, jaki posiada, z urywków, jakie zebrały mu się w ciągu całego jego długiego życia. Tak, jeśli dobrze rozumiem, obiektem jego zainteresowania stały się teraz tysiące niewykorzystanych metrów filmu, negatywy, które wylądowały na podłodze montażowni, bo zostały przez niego uznane za nazbyt prywatne. I rzecz jasna: to tam leży materiał. Na podłodze montażowni. Ma prawie osiemdziesiąt lat, gdy to do niego dociera. Jest więc w tym samym wieku, co Theodor Fontane, kiedy napisał *Effi Briest*.

Kiedy szedłem przed siebie, widziałem krótkie mgnięcia piękna jest trwającym pięć i pół godziny dziennikiem wizualnym z życia Jonasa Mekasa, pokazuje jego życie z żoną, dorastające dzieci, urywki pikników i wycieczek do lasu — ociekającej wodą, wilgotnej scenerii leśnej ze wschodniego wybrzeża USA, podobnej do lasów nordyckich — przyjęcia z przyjaciółmi, wzniesione kieliszki, lato na Cape Cod, jeszcze więcej wzniesionych kieliszków, zapasy na piasku, zbieranie grzybów, gotowanie, sen. W późnym

okresie życia Mekas zrozumiał, że pochłaniały go dwie rzeczy. Pochłaniało go filmowanie, uwiecznianie chwil swoją kamerą Bolex 16 mm, szczególnie tych, które z pozoru nie miały żadnego znaczenia. Mekas śledzi pauzy, życiowe nic, życiową pustkę — godziny, dni, tygodnie i miesiące między tak zwanymi przełomowymi momentami życia — i to w nich, rzecz jasna, kryje się sens (jeśli takowy w ogóle istnieje). Śnieg w Nowym Jorku. Wieczorne niebo. Sztuczne światło nocy. Ludzie, których lubi i których nakłania, aby uśmiechali się do obiektywu, ufni, radośni, wypoczęci. Im jest starszy, tym lepiej rozumie, że tym, co ma i co zawsze miało znaczenie, jest życie z przyjaciółmi, towarzyskość. Rozumie też, że jeśli człowiek ma prawo czegoś szukać i jeśli czegoś szukać powinien, to tym czymś jest piękno i szczęście. Wizualnemu dziennikowi, który nam daje — chodzi właśnie o dziennik, sam film niewiele ma do czynienia z wizualnym esejem — akompaniuje głos Mekasa, pełen naiwnego zadziwienia, bezpretensjonalny, opowiadający, opisujący i prosty. Przyjemnie słucho się głosu tego starzejącego się mężczyzny. Kiedy nie mówi, gdy po prostu zapada cisza lub gdy z rzadka obrazom towarzyszy muzyka lub naturalne dźwięki scen, Mekas wkleja tablice z tekstami, myśli, refleksje, konstatacje — jeśli nie zawierają innego przekazu, to po prostu, że życie toczy się dalej, trwa. Tworzy się rytm. Mekas wyznaje nam, że nie jest twórcą filmowym, ale że po prostu filmuje. Najzwyczajniej w świecie lubi filmować to, co dzieje się wokół niego. I że dzięki tej metodzie, w której kamery używa się jak długopisu — bo mowa tu w końcu o dzienniku, dzienniku złożonym z obrazów — nieplanowanie pochwyti błysk piękna i szczęścia, po czym dopiero później odkryje, że to zrobił — znalazł, złapał i zobaczył. Radość i piękno, sens życia. Szukanie sensu tam, gdzie z pozoru go nie ma, w życiowej pustce. Pięć i pół godziny bez fabuły, konfliktów czy kłótni. Wszechświat ludzi szczęśliwych, którzy wydają się lubić siebie nawzajem.

Ludzie, którzy lubią się nawzajem!

Gdy po pięciu i pół godzinach zapala się światło i wstaję z miejsca w jednym z przednich rzędów, odwracam się i widzę, że na sali, która jeszcze pięć i pół godzin temu była wypełniona po brzegi, teraz zostało ledwie dwanaście osób.

Zobaczenie tego filmu było dla mnie przeżyciem. Często bywa tak ze sztuką, która robi wrażenie. Zbyt dużo tego i za długo trwa. Ale to właśnie ilość odciska piętno. Pod koniec. Ważne przeżycia artystyczne często bywają nudne. Ale — nudne we właściwy sposób. Większa część sztuki jest nudna w sposób niewłaściwy — czyli zwyczajnie nudna. *Kiedy szedłem przed siebie, widziałem krótkie mgnienia piękna* nie było nudne ani we właściwy, ani w niewłaściwy sposób.

Po prostu było.

Tłumaczenie: Dorota Polska



Husfred

Komisk familietragedie i tre akter. Utdrag

MA: 50-årsjubilant

BO: eksmannen hennar, og vordande far i nytt ekteskap.

Kvelden før selskapet.

MA Er det for seint med ein siste drink?

BO Du er så herleg sjølvdestruktiv.

MA Er ikkje det berre positivt då? Så blir det mindre arbeid for dykk andre.

BO Vennleg av deg. Eg tar gjerne eit lite glas.

(Ma finn fram to små glas og ei flaske i kjøenskapet.)

BO Kva ønskjer du deg til bursdagen?

MA Hukommelsestap.

BO Då er du på god veg allereie.

250 MA Eg har alltid vore oppteken av å leggje eit godt grunnlag.

(BO får ei melding på telefonen).

MA Skal ho aldri ta kvelden?

BO Ho søv dårleg.

MA Eg kan tilrå valium og tre flasker raudvin.

BO Veit du kva som er ironisk —

MA Veit du kva som er klisjefylt? Å starte ein setning på den måten.

BO Greitt.

MA Eg trur eg har lyst til å gå opp på taket ein tur.

BO Du treng ikkje hoppe for mi skuld.

MA Me får sjå. Du kan jo heise opp persiennene og følgje litt med.

BO Vil du ha selskap?

MA Nei, berre luft.

BO Kanskje du heller skal ta kvelden. Det er ein stor dag i morgon, veit du.

MA Takk for tipset, tante Pose.

BO Tenk å ein gong kunne hatt ein roleg, vennleg samtale med deg.

(BO ler)

MA Det er forresten ikkje sant. Når eg ser dei seks milliardane alternativ der ute, så føretrekker eg meg sjølv.

BO Det er ei fin og forsona innstilling.

MA Eg håpar verkeleg ikkje du innbillar deg at du har eit lykkelegare liv enn eg.

BO Eg veit ikkje om eg heilt følgjer deg lenger, men eg kan godt svare nei.

MA Takk.

BO Kanskje det er kvelden no.

MA Sannsynlegvis.

BO Du skal ikkje på taket?

MA Eg mista inspirasjonen. Desperasjonen.

BO Godt.

MA Eg har lagt på senga til deg oppe.

BO Takk. God natt.

MA Eg er ikkje ein bitter person.

252 BO Nei, det trur eg ikkje du er.

MA God natt.

BO Iallfall ikkje før.

MA Kva før?

BO Du var ikkje bitter før.

MA Endeleg noko som kan tolkast som eit verbalt stikk frå deg!

BO Trudde du ikkje eg hadde det i meg?

MA Å jo, men eg trudde du var meir eit handlingsmenneske.

(Bo skjenker seg eit nytt glas).

MA Ikkje leggjetid likevel?

BO Ma, kan me ikkje denne helga roe det litt ned, for Lill og for gjestene dine og —

MA Lill har då aldri sett noko anna enn dette.

BO Nei vel, men det er ikkje vanskeleg å førestille seg at ho ønsker at denne helga skal gå nokonlunde fint for seg.

MA Og i staden for å få det ønskje oppfylt, får ho — av alle ting — eit tjuefem år yngre søsken på namnedagen sin!

BO Sa du namnedagen?

MA Visste du ikkje det? Termindatoen er same dag som Lill sin namnedag. 253

BO Berre ei uvanleg hengiven mor kan halde styr på slikt midt under ein krangel.

MA Takk, eg var ganske fornøgd med den.

(Bo ristar på hovudet)

BO Eg veit me har mykje å snakke om, men eg veit ærleg talt ikkje kva som skulle ha kome ut av det.

MA Ikkje eg heller. Du skal få fri.

BO Ta ein liten skål med meg, så tar me kvelden. Sjå, no er ho over tolv — gratulerer med dagen!

MA Det er ikkje i dag, din idiot. Det var på tysdag.

BO Og eg gratulerte deg ikkje?

MA Det ville eg nok ha registrert.

BO Vel, Ma: gratulerer så mykje med overstått.

(Held fram glaset i ein skål)

MA Mange takk.

BO Og lykke til i morgon.

MA Det trengst.

254 BO Det kan hende det blir ein fin fest.

MA Reint hypotetisk kan det sjølvsagt det.

BO Og så får du jo gåver!

MA "I staden for gåver til jubilanten, gi heller ei pengegåve til Anonyme misantroper", skreiv eg i invitasjonane.

BO Er det formildande eller skjerpande, det at du er så medviten om all sfovelysra du produserer. Det spørsmålet har eg ofte stilt meg.

MA Eg òg. Det er skjerpande.

BO Det trur eg òg. Det rare er at du ikkje gjer noko for å endre på det.

MA Då har du i så fall ei overdriven tru på den frie viljen.

BO Trur du ikkje på den frie viljen?

MA Eg lærte meg tidleg å ikkje diskutere filosofiske spørsmål med deg.

BO Men svar meg likevel: trur du ikkje at mennesket har ein fri vilje?

MA Eg veit kva du skal til å seie: «Kvifor kan du ikkje berre skjerpe deg, Ma. Det går an å *velje* å skjerpe seg, mennesket har trass alt fri vilje». Men du anar ikkje kva du snakkar om. Skal eg fortelje deg kva du meiner med å skjerpe seg?

BO Eg har ikkje ein gong sagt noko om å skjerve seg.

255

MA Du meiner: Tenk positivt! Smil til verda så smiler ho tilbake! Finn ein mann på nettet! Slike ting meiner du når du trur du snakkar om den frie viljen. Vel, det er ikkje dét det handlar om.

BO Eg trur heller du brukar mi manglande akademiske tilnærming til alt for å sleppe å svare på eit heilt relevant spørsmål: Kvifor vil du ikkje forbetre situasjonen din?

MA Eg ser verken opning eller behov for noka forbetring.

BO Eg vil faktisk at du skal ha det bra, Ma,

MA Det trur eg så gjerne. Det ville jo spare deg for ein del brysamst dårleg samvit.

BO Eg har ikkje dårleg samvit.

MA Ikkje?

BO Jo, eg har det — men det overskyggar ikkje gleda over å vere der som eg er no.

MA Det har eg all muleg forståing for.

BO Men så kva er det du vil då, Ma?

MA Kva eg “vil” — dersom det var noko eg absolutt “ville” så hadde eg vel gjort noko med det for lengst. Eg vil ingenting.

BO Greitt.

256 MA Eg veit ikkje om eg orkar å setje i gang eit heilt maskineri for å forklare deg ein heilt vesentleg forskjell på oss to: du lever i ei tru på at om berre det og det og det skjer, då skal du bli “lykkeleg”.

BO Men eg har det jo betre.

MA Mens eg trivst ganske bra med mitt delvis forspilte liv.

BO Seier ho som trur at alt skal bli bra dersom ho berre blir professor.

MA Du er ein ureflektert og klossete hedonist, eg ein reflektert pragmatist.

BO Flaks for deg at du har eit begrepsapparat som du får alt til å passe inn i etter ditt eige godtbefinnande.

MA Betre enn å ikkje ha eit begrepsapparat i det heile.

BO Eg trur iallfall på å ta ansvar for si eiga lykke.

MA Då burde du blitt spaltist i eit kvinneblad.

BO Og du burde skrive ei sjølvbiografisk handbok i hersketeknikkar.

MA Den var bra!

BO Endeleg ein flik av anerkjenning.

MA Du har hatt ein god læremeister.

BO Du meiner eg er eit produkt av deg?

MA Hunden bit den handa som matar han, eller kva det heiter. 257

BO Okei. Det er seint, Ma.

MA Det er det.

BO Du må berre seie frå om kva du treng hjelp til i morgon.

MA Takk.

BO Og så håpar eg du får sove godt.

MA Det håpar eg òg. Treng du vekking?

BO Eg set på klokka sjølv.

MA Frukostserveringa startar ni.

BO Blir det egg?

MA Sjølv sagt.

BO Du veit korleis eg vil ha —

MA Akkurat som deg: smilande.

BO Eg kunne ha kome med ein vits om korleis du vil ha dine egg.

MA Befrukta? Nei, eg er ferdig med dei greiene, i motsetnad til deg.

BO Nei, det var ikkje heilt det eg tenkte på.

MA Hardkokte. Det er for billeg.

258 BO Eg skulle til å seie blautkokt: mjuk inni og hard utanpå.

MA Milde måne. Spar det til eitt av dei skrekkelege portrettin-
tervja dine.

BO Eg har faktisk alt brukt det. To gonger.

MA Det kan eg tenke meg.

BO Javel, Ma — god natt igjen.

MA God natt.

(Bo går ut og opp trappa. Ma ryddar kjøkkenbordet og benken. Sløkker lyset og går ut.)

Spokój domowego ogniska
Tragikomedialna rodzina w trzech aktach. Fragment

MA: pięćdziesięcioletnia jubilatka.

BO: jej eks-mąż, przyszły ojciec w nowym małżeństwie.

Wieczór przed przyjęciem.

MA Nie jest chyba za późno na ostatniego drinka?

BO Jesteś taka cudownie autodestrukcyjna.

MA No, to chyba tylko na plus? Mniej będzie pracy dla was.

BO Miło z twojej strony. Chętnie wypiję kieliszek.

(Ma wyjmując z szafki kuchennej dwa kieliszki i butelkę).

BO Co chciałabyś dostać na urodziny?

MA Utratę pamięci.

BO Jesteś na dobrej drodze.

260 MA Zawsze mnie interesowało kładzenie dobrych podstaw.

(BO *dostaje smsa*).

MA Czy ona nigdy się nie położy?

BO Źle śpi.

MA Doradzam valium i trzy butelki czerwonego wina.

BO Wiesz, ironią jest...

MA Wiesz, stereotypem jest zaczynać zdanie w ten sposób.

BO W porządku.

MA Myślę, że mam ochotę na mały spacer po dachu.

BO Nie musisz dla mnie skakać.

MA Zobaczą. Możesz podwiesić firany i śledzić rozwój wydarzeń.

BO Potrzebujesz towarzystwa?

MA Nie, tylko powietrza.

BO Może to ty powinnaś się położyć. No wiesz, jutro jest wielki dzień.

MA Dziękuję, wujku Dobra Rada¹.

¹ W oryginale: *Tante Pose* — postać z norweskiego filmu o tym samym tytule, nakręconego przez Leifa Sindinga w 1940 roku; natrętna starsza panna, która próbuje wtrącać się w życie rodziny (przyp. tłum.).

BO Tylko sobie wyobraź, choć raz rozmawiać ze mną spokojnie i życzliwie. 261

MA Alarm, pięta Achillesa!

(BO się śmieje).

MA Zresztą, to nieprawda. Mając do wyboru sześć miliardów alternatyw tam w świecie, po prostu wolę siebie.

BO To dobre nastawienie, znamionuje pogodzenie się ze sobą.

MA Mam wielką nadzieję, że nie wyobrażasz sobie, że twoje życie jest szczęśliwsze niż moje.

BO Nie wiem, czy wciąż śledzę tok twojego rozumowania, ale jeśli chcesz, mogę powiedzieć, że nie.

MA Dziękuję.

BO Może jest już wieczór.

MA Prawdopodobnie.

BO Nie wybierasz się na dach?

MA Straciłam inspirację. Desperację.

BO To dobrze.

MA Pościeliłam ci łóżko na górze.

BO Dzięki. Dobranoc.

262 MA Nie jestem rozgoryczoną osobą.

BO Nie, wcale nie sędzę, że nią jesteś.

MA Dobranoc.

BO W każdym razie nie kiedyś.

MA Co: nie kiedyś?

BO Kiedyś nie byłaś rozgoryczona.

MA Nareszcie coś, co można uznać za uszczypliwość z twojej strony!

BO Myślałaś, że nie potrafię?

MA O, zdawało mi się, że jesteś raczej człowiekiem czynu.

(Bo nalewa sobie jeszcze jeden kieliszek).

MA I co, nie kładziemy się jednak?

BO Ma, czy nie moglibyśmy w ten weekend trochę się uspokoić, ze względu na Lill i na twoich gości, i na...

MA Lill nigdy nie widziała niczego innego.

BO Może i nie, ale nietrudno sobie wyobrazić, że chciałaby, żeby ten weekend minął jakoś fajnie.

MA I zamiast spełnionego życzenia, dostanie na imieniny — abrakadabra — o dwadzieścia pięć lat młodszą siostrę!

MA A co, nie wiedziałaś? Termin porodu wypada w imieniny Lill.

BO Tylko niezwykle oddana matka pamiętałaby o tym w samym środku kłótni.

MA Dzięki, jestem z tego całkiem zadowolona.

(Bo kręci głową).

BO Zdaję sobie sprawę, że mamy dużo do obgadania, ale szczerze mówiąc nie wiem, co mogłoby z tego wyniknąć.

MA Ja też nie. Zwalniam cię z obowiązków.

BO Stuknij się ze mną kieliszkiem i chodźmy spać. Popatrz no, już po północy — wszystkiego najlepszego!

MA To nie dzisiaj, idioto, tylko w ubiegły wtorek.

BO I nie złożyłem ci życzeń?

MA Pewnie bym to zarejestrowała.

BO Cóż, Ma; spóźnione gratulacje.

(Wznosi toast).

MA Wielkie dzięki.

BO I powodzenia jutro.

264 MA Przyda się.

BO Może się zdarzyć, że to będzie udana impreza.

MA Z czysto hipotetycznego punktu widzenia, owszem, może.

BO I dostaniesz prezenty!

MA „Zamiast dawać jubilatce prezenty, wpłacajcie pieniądze na konto Anonimowych Mizantropów”, jak napisałam w zaproszeniach.

BO Czy fakt, że jesteś świadoma całego kwasu siarkowego, jaki produkujesz, to okoliczność łagodząca, czy zaostrzająca? Często zadawałem sobie to pytanie.

MA Ja również. Zaostrzająca.

BO Też mi się tak wydaje. Dziwne tylko, że nic z tym nie robisz.

MA Cierpisz widać na przerost wiary w wolną wolę.

BO Nie wierzysz w wolną wolę?

MA Wcześniej się nauczyłam, żeby nie poruszać z tobą kwestii filozoficznych.

BO Ale mimo to odpowiedz: nie wierzysz w to, że ludzie mają wolną wolę?

MA Wiem, co zamierzasz powiedzieć: „Dlaczego się nie ogarniesz, Ma? Rzecz w tym, by postanowić wziąć się w garść, człowiek ma przecież wolną wolę”. Ale ty nawet nie wiesz, o czym

mówisz. Mam ci powiedzieć, co masz na myśli, mówiąc „weź się w garść”?

265

BO Ani razu o tym nie wspomniałem.

MA Chcesz przez to powiedzieć: Myśl pozytywnie! Uśmiechaj się do świata, a on uśmiechnie się do ciebie! Znajdź sobie męża przez internet! Takie rzeczy masz na myśli, mówiąc o wolnej woli. No cóż, wcale nie o to chodzi.

BO Myślę, że wykorzystujesz mój brak akademickiego podejścia do rzeczy, żeby uniknąć odpowiedzi na całkiem konkretne pytanie: Dlaczego nie chcesz poprawić swojej sytuacji?

MA Nie widzę ani szansy na taką poprawę, ani jej potrzeby.

BO Naprawdę chciałbym, żeby było ci dobrze, Ma.

MA Chętnie w to uwierzę. Oszczędziłoby ci to całkiem pokazanych wyrzutów sumienia.

BO Nie mam wyrzutów sumienia.

MA Nie?

BO No dobrze, mam — ale nie psują mi one radości z tego, gdzie się teraz znajduję.

MA Całkowicie cię rozumiem.

BO Ale w takim razie, czego chcesz, Ma?

266 MA Czego „chcę” — gdyby było coś, czego absolutnie bym sobie życzyła, dawno bym już to zrobiła. Niczego nie chcę.

BO W porządku.

MA Nie wiem, czy chce mi się wprawiać w ruch całą maszynę, aby wyłożyć ci fundamentalną różnicę między nami: tobie wydaje się, że jeśli tylko nastąpi to i to, i to, będziesz „szczęśliwy”.

BO Ale mnie na prawdę jest lepiej.

MA A ja czuję się całkiem nieźle z moim częściowo przegranym życiem.

BO Mówi ta, której wydaje się, że wszystko się ułoży, jeśli tylko zostanie panią profesor.

MA Jesteś bezrefleksyjnym, niezdarnym hedonistą, a ja myślącą pragmatyczką.

BO Szczęściara z ciebie, że operujesz systemem pojęć, w którym udaje ci się wszystko zamknąć zgodnie ze swoim widzimisię.

MA To lepiej, niż w ogóle nie mieć żadnego systemu.

BO Ja w każdym razie wierzę w to, że człowiek sam odpowiada za swoje szczęście.

MA Wobec tego powinieneś mieć własną rubrykę w jakimś czasopiśmie kobiecym.

BO A ty powinnaś napisać autobiograficzny poradnik technik manipulacji.

MA To było dobre!

BO Nareszcie jakieś uznanie.

MA Miałeś dobrego nauczyciela.

BO Myślisz niby, że jestem twoim produktem?

MA Nie gryzie się ręki, która karmi — czy jak to się mówi.

BO Okej. Późno już, Ma.

MA Zgadza się.

BO Musisz tylko powiedzieć, w czym będziesz jutro potrzebowała pomocy.

MA Dziękuję.

BO Mam nadzieję, że się wyśpisz.

MA Też na to liczę. Mam cię obudzić?

BO Nastawię budzik.

MA Śniadanie serwujemy od dziewiątej.

BO Będą jajka?

MA Oczywiście.

BO Wiesz, jak chciałbym je mieć przy...

268 MA Takie jak ty sam: uśmiechnięte.

BO Mógłbym powiedzieć dowcip o tym, jakie jajka ty chciałabyś mieć.

MA Zapłodnione? Nie, w przeciwieństwie do ciebie skończyłam już z tym.

BO Nie do końca o tym myślałem.

MA Na twardo. Trochę tani tekst.

BO Powiedziałbym raczej na miękko: miękkie w środku, twarde na zewnątrz.

MA Na litość boską. Oszczędź to sobie na jeden z tych twoich wywiadów.

BO Prawdę mówiąc, już tego użyłem. Dwa razy.

MA Domyślałam się.

BO No dobrze, Ma — dobranoc ponownie.

MA Dobranoc.

(BO opuszcza pokój i wchodzi po schodach. MA sprząta ze stołu i blatu kuchennego. Gasi światło i wychodzi).

Tłumaczenie: Dorota Polska



*Wypoczynek i rozrywkę po pracy zapewniają ci
wycieczki świąteczne PTTK
(fragment powieści Dedlajn)*

Event. Trzydziestka Angeli stylizowana na *party à la* późny Gierk: tartinki, ptifurki, kuchnia *fusion* i litry mrożonej równie *fusion* finlandii krzyżują się z jarzębiakiem, czystą i żytnią, kanapkami ze smalcem i ogórkiem kiszonym. Na fecie trzydziestoletni: Śnieżynki, Uszatki, Kolargole, Żwirki i Muchomorki plus nostalgiczne rekwizyty z dzieciństwa, co się komu na strychach i w piwnicach ostało. Plastikowi ułani i husarze w liszczach złotej farby; wywrotki i lale, piłki i misie nadziewane trocinami, korkowce, łunochody i szklane kule, kompozycja propagandowych plakatów: *Wróg czuwa!; Coś ty zrobił dla realizacji planu?; Tylko Polska Ludowa zapewni waszym dzieciom chleb i opiekę; Niech żyje sojusz robotniczo-chłopski!* Słowik jako Marceli Szpak miota się wśród biesiadników, Angela w kostiumie księżniczki Arabeli *na kręca fetę*, machając różdżką. Pracuje rzutnik: *picassa* z Tunezji, gdzie niedawno byli, doznali, a teraz dzielą się, jedzcie i pijcie z tego: „Wielbłąd, a tu Słowik, znaczy się Marceli Szpak na słoniu”. Śmiech: „Insekty dziobie, chciał w pysku aligatora”. „Słoń afrykański różni się od azjatyckiego...”. Przebrana za wróżkę-dzwoneczek blondyneczka, przysięgły tłumacz francuskiego z fraucymeru Arabeli: „Uszki ma malutkie, i trąbkę krótszą, króciutką, ale słonik jest *zoli*”. Śmiech. „A my jedziemy do Egiptu/ a my jesienią do Tunezji/ wiosną do Hiszpanii” — głosów polifonia,

nowe współrzędne stylowych wypraw: „Arabowie patrzą tak ła-
komie na Europejki...”, a Słowik, czyli Marceli Szpak: „W Giro-
nie jest bazylika pod wezwaniem świętej Eulali od cudów bez-
liku, bluzkę Angela miała *na ramiączka*, a dewoty rozdzierają
się: *Pornografika!*”. Wolta w samobójstwo młodego artysty, któ-
re niby liczba *Pi*, że to trzy z hakiem, wciąż przykry temat po-
wraca, się obraca, hakiem stuka, przecież pośmiertnie czytany
i wystawiany, a my nie... Młody dramaturg w kozakach Relax
i kostiumie Sigmy, przybysza z Mat-planety, cierpko podsumo-
wuje cudzą śmierć: „Dobry chwyt marketingowy, interaktyw-
na gra z odbiorcą”.

„Też grałem” — chwali się Marceli Szpak. „A gdzie?” — docieka
czujna doktoranta przebrana za kota Filemona. „U Polańskiego.
Jako oprawca-statysta”. Doktorantka taksuje Słowika wzrokiem
niby tłąstą mysz: „Czytałeś Pynchona?”. Uważna, spod okularów
szerokich, znerwicowana, ładna, co fajkę za fajką, co kawę za ka-
wą, nawet nocą, by jej drapieżne sny gwizdały jak czajnik. Mogła-
by nad Manifestem komunistycznym robić bomby, rzucać pod
nogi cara Aleksandra, niech parujące wnętrzości Imperium wy-
płyną... Tylko czasy złe, jeszcze okrzykną, że islamska terroryst-
ka; może nie? Jak powtórzą komunikat, uwierzysz, że twoja mat-
ka — pedofilka, co powiesz, co odpowiesz? Nie przewijała cię?!

Biegnie Słowik do drzwi, bo wstępuje Orlicki: „A pan się nie
prebrał? — Arabela grozi Mistrzowi różdżką. — Zamienię w za-
bę”. „Mam specjalną wejściówkę — Orlicki celuje w księżnicz-
kę plastikowym pistoletem z *Precyzji*. — Majtki w dół, pieniądze
na stół... *pif-paf*”. Naciska cyngiel, który wzbudza na *skalce* okry-
tej przezroczystym płaszczem czerwonego plastiku — iskry, po
chwili brzęczenie ustaje, siarczana woń... Za Mistrzem dwa bla-
de karty, Tomek i Romek, montażyści, po podłodze się toczą,
wołając: *jabadabadu!*, przemyka zielonooka Ruda w kostiumie
Makowej Panienci. „To moja świta” — przedstawia ich Orlicki.
Angela mierzy go spojrzeniem: „Pan w istocie przebierać się nie

musi”. Odpowie jej Mistrz, gdy *małolata* w szaty królewskie wąpłi, o *ewentualnym possaniu lufy pistoletu*...

Słowik oprowadza Mistrza po domu i znajomych, z Kolargolem robił aspiracyjne to, ze Śnieżynką aspiracyjne tamto, ze Szpiegiem z Krainy Deszczowców — śmo, aż znów wpada na Kota Filemona: „Co tam na zajęciach?” — zagaja Orlicki, jakby się znali, może się z niego doktoryzuje? „Inwersje seksualne u Prousta”. Macha Słowik skrzydłami z pluszu, uwagę chce Mistrza odwrócić: „Ścigał się z Senna”, a Kot Filemon: „Nie Prosta prostaku, Prousta...”. „Jego frazy: powodzie i wodotryski — ile u Słowika słówek za *free*, całe słowniki frekwencyjne — może to ryby, co w mule głosek z pyszczkami przy tafli łąpią powietrze, Autor o nich zapomniał, to w połowie tomu wykształciły kończyny, i chodziły jako ludzie po ziemi”. „Nie śliń się tak” — Mistrz wpycha, dobrze to widzicie? w objęcia Słowika Makową Panienkę; jakie zielone oczy, a włosy... Rzeka, która płynie przy fabryce rudych farb, kaskadą na nagie plecy. Z jakiej dali słowa Mistrza: „Kotku, ty czytaj Joyce’a. Przez staw, pod wodą, a o suchej nodze...”.

Dłonie Słowika w płatkach nieznajomej, tyle ślicznotek przyszło, uciekło od mężów, którzy po godzinach nad projektem, u kochanek czy tylko nicują piksele kobiet-androidów z serii 0700. Pewnie jakaś Basia czy Kasia z pionu HR... Makowa Panienska pachnie zielnym dymem, a dłonie Słowika wciąż ślizgają się po konturach jej ciała, na które został rzucony; Angela, co tak patrzysz, czarowana na kanapie przez Kreta od Calineczki, tkani na taka śliska, Słowik zaraz złapie równowagę. Już piją toast za toastem na twoją cześć, już są w łazience, by scementować wspólnotę... Szczerzy się wiewiórka ze szczoteczką w łapce: *Członkiem klubu Wiewiórka może być uczeń, który posiada własną szczoteczkę...* Na lustrze propagandowy plakat z maszynką do mielenia mięsa: *Stój, palce nie odrastają!* ostrzeżenie przed zdradą? Dziś ramy wierności płynne: „Branicki, ten Kret z Calineczki, zaglądał jej

274 w dekolt. Jej się podoba, że patrzy. Wyznaj mi liryczny wiersz, a płatki na podłogę opadną...”

Słowik niby jest *copywriter* i poeta, głowa nie ta, bądź tu mądry i pisz wiersze, ale odmieni się w motyla Emanuela; niby trubadur opiewa wdzięki Makowej Paniénki: „Mnie sama miłość śpiewać każe...”. Rozchylone płatki sukni na ziemię lecą, a między płatkami — rosa. Tylko Angela się do łazienki dobija, jaka szkoda... Trzeba zakryć makową polanę, wyjść nienasycony na wielbłądy i piramidy, łelbekowskie smutki turystyki seksualnej zmęczonego impotentą, wspinać się na górne warstwy trójkąta Masłowa, trzepnąć niby ćma ptasią głową o lampę, wierząc że to słońce, świat rozbujać, niech lampa rzuca cień! „Tylko paliłiśmy, Angela, do niczego nie doszło...”

W *livingroomie* Orlicki, podobny dostojnemu Bonifacemu, wciąż naucza jak prowadzić artystyczne łowy, gdy w żarliwej dłoni młodziutkiego Filemona zamiast myszy — cudze słowa. Przepycha się do nich Słowik, gotów roztrząsać na towarzyskim polu choćby *Finnegans Wake*, byleby uniknąć małżeńskich wyjaśnień: „To moje, nie twoje urodziny, chcę być...”. Nie wyprosi przecież na życzenie Angeli Orlickiego; na szczęście spóźnieni goście: dobre wróżki, Migotki, Pszczółki Maje, trzydziestoletnie małe dziewczynki z krainy Oz, które zapominają na chwilę, precz z tym!: treningi interpersonalne, style negocjacji dla profesjonalnych *bizneswomen*, kompetencje menadżerskie, rozwiązania zarządcze, nawet relaksacyjną medytację pokarmu, tylko machają skrzydełkami, różdżkami i do sufitu fruną. Wielkie brzęczenie zadowolonego z siebie ula, jak ślicznie tu pachnie, jak kolorowo: burze włosów, płytki tipsów i paznokci, kompozycje ubrań, a w środku barw i aromatów — zachwycające właścicielki. Wita je Angela, ściskając w dłoni niby kielnię szpatułkę do tortu: „Pozdrawiamy kobiety pracujące dla pokoju i rozkwitu ojczyzny!”. Ile śmiechu! „Uprzejmie i szybko obsługujemy ludzi pracy. Komu

finlandii, komu? Bo idę do domu” — Słowik uwolniony od prześluchań, co w tej łazience... wraz z chórem znajomych na modłę rustykalną: „Jest już torcik dla Anielki, a w kieszeni trzy cukierki!”, bo gasną światła i wjeżdża tort, śpiewy *a cappella* i *unisono*: *Sto lat, sto lat!*, wiruje świat, a kto ty jesteś? Ty, którego palce we włosach, po konturach ciała błędzą, a skóra o skórę, nieważne, bylebyś był... jak dobrze. Przebijają się przez zawodowe makijaże, lecą hymny „pokolenia”, którego wzniosłym patronem JP2, a obdarzona dobrym głosem Zuzia, lalka nieduża ze skandynawskiego konsulatu, podaje melodię psalmu: *Puszek okruszek, puszek kłębuszek!*, próbuje całować Pankracego, który wyklada Aramisowi o cudownym zdarzeniu: „Jestem w *Między nami*, on taki śliczny. Na siebie patrzymy, taka rozmowa, on: *Jesteś gejem?* Ja: *Nie... A ty jesteś gejem?* On: *Nie... I naraz mówimy: Jaka szkoda!*”.

Zu, kapryśny *lipstick*, zawsze wybiera najładniejszych, ale nim wpije się w różane usta Pankracego, Zgromadzeni *podłapią* psalm, oto Wielki Kościół Powszechny... wzmagą się pieśń, pokolenie JP2 porzuca Natalkę dla repertuaru Fasolek, istna orgia, gdy zgromadzone na nostalgicznej fecie czarodziejskie fasolki rosną, w sufit pukają, by w niebo: Nie koziołek, nie biedronka, lecz to ja, Zając Poziomka! Ogon, uszy, zęby dwa, hej Poziomka, hej to ja! Każdy ma jakiegoś bzika, każdy jakieś hobby ma, a ja w domu mam chomika, kota, rybki oraz psa” — leci znów szczęśliwy Kolargol, Gucio wrzeszczy: „Kto widział Dziabonga on śmiesznie wygląda”, a Uszatek z Plastusiem mu wesoło: „Szczotka pasta, kubek dynamitu!”. To już ryk: „Misia A, Misia B, Misia Kasia konface!”, trzęsą się ściany, gdy tłuką z całej siły butami o podłogę, gdy skaczą, objęci! „Ptaszków posłuchamy, w berka też zagramy!”. Raaazem! W górę! Wysoko! Znów sięgają nosem ledwo ponad stół, że tak skakać mogą, ale tak naprawdę będąc dziećmi, mają wzrostu metry trzy czy cztery! Głową nad chmury, a w dole, pod nimi, toczy się błękitna kula, znów wszystkie drogi rozwar-te, choć za młodzi byli na Stare, za starzy, by wierzyć w Nowe,

276 teraz już o nic nie dbają, tylko stopami z całej siły uderzają! Nawet nie w podłogę *livingroomu*, ale o ziemię! Wyżej, wyżej, jeszcze raz! Dygot kamienicy, osiedla, dzielnicy, jacy szczęśliwi są TERAZ, ryk wciąż jeszcze młodych ludzi, którzy jednym głosem wyśpiewują jednoczący ich hymn: „Kolorowe kredki w pudełeczku noszę, kolorowe kredki bardzo lubią mnie, kolorowe kredki kiedy je poproszę, namalują wszystko to co chcę!”.

Zbliża się ranek, Kasia czy Basia, Makowa Panienska zostawia Słowikowi wizytówkę — o! jednak Asia: „Zadzwoń, jeśli uważasz, że to ma sens”, mówi mu na ucho; wstępne rozpoznania taksówek, którą korporację polecacie, kiedy ostatnie metro? Dopalają się historie o tym, kto łyka *folik*, kto się *rozodzi*, Czerwony Kapturek, pani trener biznesu o oczach rozświetlonych, wciąż z dłonią na rosnącym wolno, choć nieubłaganie „brzusku”: „Urodzi się jesienią. Cudownie!” — trzydziestoletnie dobre wróżki machają różdżkami, błogosławią nowe, jeszcze nie stać je na dziecko, i choć boli, cudzym się cieszą. Czym bliżej świt, tym gorzej: redukcje, rozwody, kredyty, choroby rodziców, *deformacje postrzeżenia*, zapowiedzi jutrzejszego kaca... W domu już pusto, walają się stare zabawki, które wyciągnęli z szaf dzieciństwa, kotyliony, cekiny i misie, plastikowe psy z obracającą się kulą w głowie, na której zdrapane przez czas oczy; a *gospodarze* z lśniących czerwienią gałek ocznych ściągają przed lustrem jednorazowe soczewki. Angela zmywa z siebie kostium Arabeli, Słowik salutuje elektryczną szczoteczką suszącej zęby wiewiórcę; *kolorowe kredki* namalowały mu dziś Makową Panienskę, a jutro wszystko to, co chce? Dzisiaj Polska, a jutro cały świat!

Z zegara w nagłej ciszy, po pokoleniowej burzy — monotony stukot, jak smutno, zabawki z epoki PRL-u trzeba sprzątnąć. Podnosi Słowik z podłogi szklaną kulę, miał przed wiekami taką, kiedy trawa była zieleńsza, a smak słodszy... Kto ją przyniósł, Orlicki czy jego montażyści? Osypuje się śnieg na wewnętrzny

jarmark hemisfery, na pierwszym planie miniatura ratusza i neogotyckiego kościoła, w głębi kuli karuzela i ciągnące na targ wozy, milicjant grozi na niby gumową pałką apaszowi w kra-
ciastej czapce. Obraca Słowik kulę, by znów sypał się śnieg; za
oknami terkoczą sroki, po nocy? „Co to była za Ruda?” „An-
gela, do niczego nie doszło...”, fantazje Angeli, by przeciągać
noc, nim pierwsza smuga cienia? By tej nocy Słowik — w koń-
cu ta noc do innych niepodobna: urodziny — za łazienkę z Rudą,
był na przykład jak... Orlicki. Jest w wieku ojca Angeli, często
w to „gracie”...

Przy łóżku pistolet z *Precyzji*, niech strzelą skry; Słowik po-
spiesznie przetrząsa rekwizyty końca lat 70., kiedy to przypadła
„dojrzałość” Mistrza, urodzinowy trybut: „Angela, od teraz masz
na imię... Ela, przyniosłem słodkie wino i kwiaty. Wyobraź so-
bie, jesteś w kozakach i futrze, pod nim tylko pończochy, jak te-
raz”, z opadającego z twoich *wdzięków* futra — łożo, by nie otrzeć
sobie o dywan kolan, twoje złote włosy... postawa i makijaż na
Szapołowską czy na Korę? Sofia Loren czy Kim Novak? Na pewno:
róże, modrości, pastele, a potem w mirafiori, skodzie rapid, dy-
rektorskiej GAZ 24 wołdze, w daczce, o szafkę kuchenną wspartą,
na stole, aż chlebak i syfon — drga; na puchatych „perskich” dy-
wanach *made in* sklep dla młodych małżeństw, delikatnie i moc-
no! *Romantycznie*, jak wasi rodzice, co widma niemowląt niesku-
tecznie straszili szczypcami. *Mocniej!*

Może to naprawdę... Orlicy? Już nie Dolny Mokotów, gdzie
mieszkanie na morderczy kredyt, a spółdzielcze M-3 na Górnym
Śląsku; niedawno był ślub, noce i dni spędzacie na miłosnych
wyładowaniach, by tłumić podstawowe sprzeczności, by dwoje
jak jedno! Dygocą talerze w witrynkach, ślubny prezent od cio-
ci... szczebioczą sztucce, jeździ armatka z atrapą koniaku, na
gwoździu kołyszże się oleodruk z kardynałem Wojtyłą i pejza-
żem, gdzie strumyk w trzcinach zanika, a dalej kaskadą z foto-
tapety, to od teściowej; w centrum, ponad parą, która *kocha się*

278 na dywanie, maszyna do pisania *remington*, ustawiona na biurku-ołtarzu, ma z niej być na chleb i sława! Westchnienia Eli: *Ti amo i Je t'aime*, mocno tak... krzyczy: „Chryste!”, a Słowik czy Orlicki jak na maszynie, po ciele Eli czy Angeli wciąż bębni, mylą mu się ołtarze, a palce jak czcionki, ogniste litery.

Angela śpi, Słowik znów zagląda w szklaną kulę: końskie grzywy falują, lecą płaty piany jak śnieg, jak manna. Wozy płyną ulicą w górę i w dół, konie spinane, powściągane, w sieciach miotają się wieprze, skarżąc się niebu, że blisko do szynki, na obiad! Sypie się pierze z gęsi i gołębi, pieją koguty, a krowy jak pacierza korale, wpięte w łańcuch wozów. Na chodniku baby z mendlami jaj, kobiałkami truskawek, z chrzanem i koprem, którego woń... Na targowisku odpustowa loteryjka, migają *święte obrazki*, gliniane papieże i madonny, *chodzą* trzy karty, wirują trzy kubki, a na topoli ponad światem, trzy diabły-kruki, baczą komu potępienie. Małomiejski apasz, w kraciastym kaszkieciuku, poznajesz? Przecież to wuj Gzik! Sprzedaje panny jak z obrazka: „Pan patrzy, cha-cha, miód-malina”, a mundurowy dziadek Adam, przechadzający się wśród bryk i koni, przemyka na proceder szwagra oczy. Skrzypi, nie sznur na belce... to karuzela! na wietrze sukienki w groszki i paski. Makowa Panienska i Angela jak migi kołują, jak jaskółki! Na białych koniach, kucykach i kaczkach czarodziejskich. Trzymają się jedną ręką cugli, grzyw z tworzyw sztucznych, drugą — lodów bambino. Niżej ziemne konie, srokate, kare i gniade, z otarciami i rakowymi naroślami, pod górę i z góry targowiska na łańcuchach się wloką, zagryzają pokornie wędzidła. Gdzież im do koni skrzydlatych, rozbrykanych na parnasie targowym, spod kłapek nawet nie dojrzą. Niosą włosie grzyw, ogonów na szczoteczki i pędzle, w perspektywie mając ostateczny kurs do rzeźni. Poddane *recyklingowi* pójdą na *końską kiełbasę*, jako masa mięsno-towarowa przyczepami i lorami przetoczą się przez Polskę...

Na kursie kolizyjnym figurki Milicjanta, który zabezpiecza targowisko — drugi dziadek Słowika, Ludwik, co przyjechał za interesem. Jego dziad, rotmistrz Hieronim, złotymi głoskami podczas cudu nad Wisłą; ojciec jeszcze wierzchem na siwku przez wioski klucza, bryczesy się lśniły, z Ludwika już tylko pogrobowiec, ledwie pamięta szlachecki znak, obok wspiętego gryfa — *lelija? Cmoka* na rasowe konie, choć sam ma już tylko pociągowe, zamiast latyfundiów kapitał mnożących się nutrii i tuczników. Dziadek Ludwik cały z ambicji, przesunie linię horyzontu za granicę ojcowizny, jak było za rotmistrza Hieronima, tak i u niego będzie, amen. Zacznie od ufundowania masarni, którą zapisze na zięcia, bo jego *postawa ułańska!* Takich potomków sobie wymarzył, a potem nowe rodowe Królestwo. Pomoże sierżant Adam Słowik, by ziemię klasy, by mięso klasy... Spotkają się prawice dziadów nad wymuszonym mariażem dzieci. Na wozie Kasia, czyli matka spętana rodzinną siecią, zaraz ją dziadek Ludwik przytroczy zięciowi-ułanowi do siodła; syją się ślubne dary — szary składak SAM imitujący „forda” fiestę, na którego opadną liście pięciu jesieni... aż zamiast fiesty pojawi się wymarzony czerwony ford mustang, i madonny odlecą z kluczem gęsi do zaświatów, swoich spraw i dzieci. Śnieg przysypie rodzinną karuzelę, Ręka znowu odwróci kulę pełną czasu. „Czekajcie! — krzyczy Słowik. — Póki wiosna i lato, weźcie mnie ze sobą...”

Sny, wasz przekrój poprzeczny, gdzie głęboko skryta zadra się obiera, wystarczy, że zmrużycie oczy. Śpij już, Słowiku, *aaaaa*, słodko śpijcie z Angelą, kotki dwa, bo już całe miasto śpi, uśpiona stolica, tylko ty. *Niech wam się przyśni cała fabryka kolorowych kredek...*

4.45, na szerokim łożu Słowik i Angela, pod łóżkiem w towarzystwie pism kolorowych — przywarowały karły. Pomiedzy nimi okuta walizka z podręcznym oprogramowaniem: matryce *Fausta*, *Dziadów*, *Króla Edypa*, *Narcyza* i *Złotoustego*, w przegródkach

280 Zohar, Kabała, talie Tarota i Bóg wie co jeszcze. Karzeł Drugi lartarkę oświetla instrukcją: „Pora?” Pierwszy z *joystickiem*: „Kontrola techniczna, sprawdzamy sterowanie, są wytyczne”. „Różowe sny i ona — Drugi puka od spodu w materac, na którym Angela — jako kolumny zwieńczenie?” „Będą zakłócenia — Pierwszy wysuwa spod łóżka dłoń z piórkiem — budzimy konwencjonalnie”.

Słowik spogląda na zegarek: dochodzi piąta, *hitlerowcy napadają na Polskę...* Wpatruje się w sufit, na którym majaczą rysy i grudki, jakby zaświatowa mapa, którą wędrują starcy, nim to nadejdzie, coraz słabiej związani z życiem, wsłuchują się w zegary, których monotony stukot... Co tak szumi, sąsiad bierze prysznic? Głowa boli, feta, Makowa Panienska i Orlicki... Karzeł Pierwszy przesuwa *joystick*, niby sufler podpowiada: *Mistrz! Mistrz i jego świta, karły... Oddaj pokłon!* Jesteś wielki przez to co stworzyłeś, jak potrafiłeś... *Ubogacić się!* Tantiemy pokryły cię grubym werniksem, wynagrodziły za chłosty, które... Całuję twą poradloną dłoń, za dobroć, za dary, na które nie ma miary, które we mnie przelejesz, licząc co najwyżej, że twojemu dziełu, co strzeżyste, ile mocy dopomogę, hosanna na wysokościach!

„Spuść już nań *drzymotę*. Nadsterowny” — szepce Pierwszy, bo Słowik niestabilny, mineralnej pod łóżkiem szuka. „Kotki dwa, *aaaa*. Oczka zmruż”. Słowik zasypia... Pierwszy dłonie składa na podołku: „Leżąc pod łóżkiem niby w grobowcu na Wawelu, rozmyślałem. Jesteśmy żywym obrazem ciała, które nad nami się pomału rozpada, a jego docelowe miejsce w pieczarze. Oni nad grobem, choć w górze, ich życie jak chwila, a my w grobie, o ironio, wieczni. Wszystko na opak”. „Głosek na palcach nie obliczasz... — szydzi Drugi znad instrukcji. — *Complete*, wszystko działa, wrzucimy im miły program na ranek: *Głębokie gardło? Lepiej soft, Miłosne igraszki*, i to będzie na tyle”.

*Den Polske Turistforeningens
ferieturer muliggjør rekreasjon
(et utdrag fra romanen Dedlajn)*

En *event*. Angelas trettiårsdag stilisert som et *party à la* sen Gierrek¹: kanapeer, småkaker, *fusion*-kjøkken og litervis med frossen *fusion*-Finlandia blandes med fruktvodka, rugvodka og ren vodka, smørbrød med smult og sylteagurk. På festen er trettiåringene: Snøfnugg, bamsen Uszatek, bjørnen Colargol, Sandkornet og Fluesoppen, pluss barndommens nostalgiske rekvisitter som lå igjen på loftene og i kjellerne. Soldater i plast og kavalerister med avflasket gullfarge; lastebiler og dukker, baller og bamser fylte med sagflis, lekepistoler, månebiler og glasskuler, en anretning av propagandaplakater: *Fienden våker!*; *Hva har du gjort for å realisere planen? Bare Folkerepublikken Polen vil gi deres barn brød og beskyttelse; Lenge leve bonde-arbeideralliansen!* Słowik², for anledningen utkledd som stæren Marcelli Szpak, raser rundt blant gjestene, Angela, i prinsesse Arabella-kostyme, får opp stemningen ved å vifte med tryllestaven. Prosjektoren jobber: *picasa* fra Tunisia, de har akkurat vært der, opplevd det, og nå vil de dele det med andre, ét og drikk alle derav: “En kamel, og der er Słowik, det vil si Marcelli Szpak på en elefant”. Latter: “Fuglen spiser insekter

1 Edward Gierek var leder for det polske kommunistpartiet mellom 1970 og 1980. (overs. anm.)

2 Słowik er et etternavn, men betyr også nattergal (overs. anm.).

282 inne i kjeften på alligatoren”. “Den afrikanske elefanten skiller seg fra den asiatiske...”. En liten blondine utkledd som Tingeling, en av Arabellas hoffdamer, jobber som statsautorisert fransktolk: “Han har bittesmå ører, og enda kortere snabel, kjempekort, men elefanten er *sjoli*”. Latter. “Og vi skal til Egypt/og i høst skal vi til Tunisia/i vår skal vi til Spania” — en polyfoni av stemmer, ny likestilling av *stilfulle* reiser: “Araberne ser grådig på europeiske kvinner...”, og Słowik, altså Marcelli Szpak: “I Giron er basilikalen av den hellige Eulalia med de mange mirakler, Angela hadde en bluse *med stropper*, og de trangsynte hylte: *Pornografikk!*” Så en vending rett inn i selvmordet til en ung kunstner, som er som tallet *Pi*, som liksom er tre og en liten løkke, det triste temaet vender stadig tilbake, snur seg rundt, slår en løkke rundt seg, han er jo lest og oppført posthumt, og det er ikke vi... En ung dramatiker i Relax-støvletter og Sigma-kostyme, et romvesen fra planeten Matt, oppsummer tørt kollegaens død: “Det interaktive spillet med mottageren er et godt markedsføringsgrep”.

“Jeg har også spilt” — skryter Marcelli Szpak. “Hvor da?” — spør en skarp doktorand, utkledd som katten Filemon. “Hos Polański. Jeg var bøddel-statist”. Doktoranden ser på Słowik med et granskende blick, som om han var en fet mus: “Har du lest Pynchon?”. Hun er oppmerksom, bak brede briller, nevrotisk, pen, sigg etter sigg, kaffe etter kaffe, til og med om natten, så rovdyrdrømmene hennes fløyter som en kjele. Hun kunne ha kastet bomber over Det kommunistiske manifest, slengt de under beina på tsar Aleksander, måtte Imperiets dampende innvoller tyte ut... Men det er dårlige tider, de kunne ha sagt at hun var en islamsk terrorist; ikke det? Hvis de sier det mange nok ganger så tror du på det, at moren din er pedofil, hva skal du si, hva skal du svare? Skiftet hun ikke bleie på deg, kanskje!?

Słowik springer til døren, det er Orlicki som titter innom. “Og du har ikke kledd deg ut? — Arabella truer Mesteren med tryllestaven — Jeg skal trylle deg om til en frosk”. “Jeg har en

spesiell inngangsbillett — Orlicki sikter på prinsessen med en plastpistol fra *Precyzja*. — Ned med trusen, pengene på bordet... *pif-paf*". Han trykker på avtrekkeren, det kommer gnister på *berget* dekket av en gjennomsiktig kappe av rød plast, så stopper summingen, det lukter svovel... Bak Mesteren kommer det to bleke dverger, Tomek og Romek, de er filmklippere, de triller bortover gulvet mens de roper: *jabadabadu!* En grønnøyd Rødtopp smetter forbi i Valmuefrøken-kostyme. "Dette er mitt følge" — sier Orlicki. Angela måler ham med blikket. "Du trenger virkelig ikke å kle deg ut". Mesteren svarer henne, når *den mindreårlige* betviler kongens klær, kan det være snakk om *en eventuell suging av pistolmunningen...*

Słowik viser Mesteren huset og gjestene, han har gjort et prosjekt med bjørnen Colargol, et annet med Snøfnugg, et tredje med Spionen fra Regnlandet, så treffer han på katten Filemon igjen. "Hva skjer på forelesningene" — begynner Orlicki, som om de kjente hverandre, kanskje hun skriver doktorgrad om ham? "Seksuell inversjon hos Proust". Słowik vifter med plysjørene, han vil ha Mesterens oppmerksomhet. "Han kjørte om kapp med Senna", katten Filemon svarer: "Ikke hos Prost, din dust, men Proust... "Frasene hans: flodene og fontenene — hvor mange ord har Słowik *for free*, hele ordbøker med de mest brukte ordene — kanskje det er fiskene som i lydgrumset snapper etter luft med munnene like under vannoverflaten, Forfatteren glemte de, og halveis i romanen utviklet de lemmer og gikk på jorden som mennesker". "Ikke spytt sånn". Mesteren dytter, ser dere det? Valmuefrøkenen inn i Słowiks armer; for noen grønne øyne, og håret... Elven som renner ved fabrikken der de produserer rød maling, i en kaskade nedover den nakne ryggen hennes. Mesterens ord kommer fra langt borte: "Pusekatt, les Joyce. Gjennom dammen, under vann, tørrskodd...".

Słowiks hender i krobladene til den ukjente, så mange skjønnheter her, har flyktet fra ektemennene som jobber overtid på

284 prosjekter, er hos elskerinner, eller bare hakker på pikslene til android-kvinnene fra 0700-serien. Hun er sikkert en eller annen Basia eller Kasia fra HR-avdelingen...Valmuefrøkenen lukter grønn røyk, og Słowiks hender glir over konturene av kroppen hennes, som han er blitt kastet mot; Angela, hva er det du ser på, du sitter på sofaen og blir sjekket opp av Muldvarpen fra Tommelise, stoffet er så glatt, Słowik vil snart bli seg selv igjen. Han drikker allerede den ene drinken etter den andre for deg, de er allerede på badet for å forsterke fellesskapet ytterligere...

Ekornet smiler med en tannbørste i labben: *En elev som eier en egen tannbørste kan være medlem i klubben Ekornet...* På speilet er det en propagandaplakat med en kjøttkvern: *Stopp, fingrene vokser ikke tilbake!* En advarsel mot utroskap? I dag er troskapens rammer flytende: "Branicki, den Muldvarpen fra Tommelise stirret ned i utringingen hennes. Hun liker at han ser. Si meg et lyrisk dikt, og kronbladene skal falle til bakken..."

Słowik er liksom *copywriter* og dikter, hvor er det han sikter, hvordan skal han klare å dikte nå, men så forvandles han til sommerfuglen Emanuel: som en trubadur lovpriser han Valmuefrøkenens ynde. "Det er selve kjærligheten som får meg til å synge...". Kjølens åpnede kronblader faller til gulvet, og mellom bladene — dugg. Men nå dunderer Angela på badedøren, så synd... Man må dekke til lysningen med valmuer, gå til kamelene og pyramidene utilfredstilt, den houllebecqu'eske tristessen i en sliten impotent sexturist, klatre opp på de øvre lagene av Maslows trekant, slå fuglehodet mot lampen som en nattsvermer, i god tro om at det er solen, bevege verden, la lampen kaste sine skygger! "Vi var bare på badet for å røyke Angela, det skjedde ingenting..."

I *livingroomet* foreleser fortsatt Orlicki, som en ærverdig Bonifatius, om hvordan man skal bedrive kunstnerisk jakt, til den unge Filemon som skal fange andres ord i stedet for mus. Słowik presser seg frem til dem, rede til å diskutere, til og med *Finnegans*

Wake, alt for å unnslippe det ekteskapelige maset: “Det er min, ikke din bursdag, jeg vil at du skal...”. Han kan jo ikke kaste ut Orlicki på Angelas ønske: heldigvis kommer forsinkede gjester: gode feer, Snorkfrøkener, bier, trettiårige små jenter fra landet Oz, som for et øyeblikk glemmer, vekk med det!: samspillteori, forhandlingsteknikker for profesjonelle businesswomen, managerkompetanse, taskledelse, til og med avslappende ernæringsmeditasjon, de vifter bare med vingene, tryllestavene, flyr opp mot taket. En stor summing i en selvtilfreds bikube, så godt det lukter her, så mange farger: flommende hår, kunstige negler og neglelakk, komposisjoner av klær, og midt i fargene og aromaene — henrivende eierinner. Angela ønsker dem velkommen, i hånden knuger hun kakespaden som om den var en murskje: “Vi hilser kvinnene som jobber for fedrelandets fred og utvikling!” Masse latter! “Høflig og raskt serverer vi arbeiderne. Hvem vil ha *Finlandia* nå? For om dere ikke drikker må dere gå.” — Słowik er fritatt fra forhøret vedrørende hendelsen på badet... med koret av gjester, på en litt rustikk måte: “Her er kaken til min lille engel, i lommen har jeg tre sukkerstenger!”, for nå slås lyset av, kaken bæres inn, det synges *unisono* og *a cappella*: *Hurra for deg!*, verden snurrer, og hvem er du? Du, med fingre som glir gjennom håret, over kroppens konturer, hud mot hud, det er ikke viktig, så lenge du finnes... så godt. De presser seg gjennom den profesjonelle sminken, nå synges hymnene til “generasjonen” som har Johannes Paul II som en ærverdig skytshelgen, og Zuzia, som har en fin stemme, en liten tulle med øyne blå fra det skandinaviske konsulatet angir melodien: *Lille pussekatt!*, hun prøver å kysse Pankratius som forteller Aramis om en fantastisk hendelse: “Jeg er på *Oss i Mellom*, han er så lekker. Vi ser på hverandre, har denne samtalen, han: *Er du homse?* Jeg: *Nei... Er du homse?* Han: *Nei...* Og så sier vi samtidig: *Så synd!*”.

Zu, den kresne *lipsticken*, velger alltid de peneste, men før hun suger seg fast i den rosefargede munnen til Pankratius, *hører de*

286 Samlede salmen, her er den Store Allmenne Kirke... sangen stiger, generasjonen JP2 kaster Nataalka opp og ned, som i repertoaret til barnedansegruppen Bønnene, det er en orgie når de magiske bønnene som er samlet på den nostalgiske festen vokser, slår i taket, strekker seg mot himmelen: “Det er ikke en geit, ikke en høne, det er jeg, Haren Kløne! Hale, ører, tenner små, hei din Kløne, du må stå! Alle har vi jo en hobby, ellers får vi alle fnatt, hjemme har jeg for eksempel hamster, fisker, hund og katt!” — nå kommer den lykkelige bjørnen Colargol igjen, bien Gucio hyler: “Har dere sett Abrakadar, han som er så veldig rar”, bamsen Uszatek og plastfiguren Plastuś svarer lystig: “Tannbørste tannkrem, en kopp med dynamitt”. Når hyler de alle “Ole, Dole, Doff, Kinkeliane koff!”, veggene rister når de tramper alt det de kan mot gulvet, når de hopper opp og ned mens de omfavner hverandre! “Fugler synger, det er vår, vi skal leke boksen går”. Saaammen! Opp! Høyt! Igjen har de bare såvidt nesen over bordet, så de kan hoppe sånn, men egentlig er de tre, fire meter høye barn! Hodet over skyene, og nede, under dem, triller den blå kule, igjen er alle veiene åpne, selv om de var for unge for Det Gamle, for gamle til å tro på Det Nye, nå bryr de seg ikke lenger, de bare tramper hardere og hardere med beina! De tramper ikke en gang på *livingroom*-gulvet, men på jorden! Høyere, høyere, en gang til! Det går en skjelven gjennom bygården, kvartalet, bydelen, så lykkelig de er NÅ, de hylende er fortsatt unge, og enstemmig synger de hymnen som forener dem: “Jeg har fargestifter i en liten boks, med mine fargestifter vil jeg få det til, mine fargestifter, hvis jeg bare ønsker, hjelper meg å male alt jeg bare vil!”.

Morgenen nærmer seg, Kasia eller Basia, Valmuefrøkenen gir Słowik et visittkort — oj, det var altså Asia: “Ring hvis du mener at det kan fungere”, hvisker hun i øret hans; den første orienteringen om taxiene, hvilket selskap anbefaler dere, når går den siste metroen? Historiene brenner ut, hvem spiser *folsyre*, hvem

skal *skilles*, Rødhette, businessstreneren med lysende øyne, hele tiden med hånden på “den lille magen“, som sakte, men ubønnhørlig vokser: “Det kommer til høsten. Vidunderlig!” — de trettiårige feene vifter med tryllestavene, velsigner det nye, de har ikke råd til å få barn ennå, og selv om det gjør vondt, så gleder de seg over de andres. Jo nærmere daggryet er, jo verre blir det: reduksjoner, skilsmisser, lån, syke foreldre, *deformert erkjennelsesevne*, et forvarsel om morgendagens bakrus... Så er huset tomt, overalt er de gamle lekene de har tatt ut av barndommens skap, papirblomster, paljetter og bamser, plasthunder med en snurrende kule i hodet, med øyne som har blitt klort vekk av tid; *vertsskapet* står foran speilet og tar endagslinsene av øyeeplene som glinser rødt. Angela vasker av seg Arabella-kostymet, med den elektriske tannbørsten hilser Słowik til ekornet som tørker tenene; *fargestiftene* har i dag malt Valmuefrøkenen for ham, og i morgen alt han peker på? I dag Polen, i morgen hele verden!

En monoton tikking fra klokken i den plutselige stillheten etter generasjonskrigen, så trist at man må rydde lekene fra Folkerepublikken Polen. Słowik løfter en glasskule opp fra gulvet, han hadde en sånn for lenge, lenge siden, da gresset var grønnere, og smakene søtere... Hvem har tatt den med, Orlicki, eller filmklipperne hans? Snøen faller på det indre torget i hemisfæren, på første plan er det et rådhus og en neogotisk kirke i miniatyr, lenger inn i kulen er det en karusell og vogner på vei mot markedet, en politimann holder en gummikølle og later som om han truer en apasje i en rutete lue. Słowik snur kulen sånn at snøen kan falle igjen; bak vinduet skråler skjærene, om natten? “Hvem var hun Rødtoppen?”. “Angela, det skjedde ingenting...”, Angelas fantasier om å strekke ut natten, før den første skyggen faller? Det er tross alt bursdagen hennes, og etter det på badet med Rødtoppen skylder Słowik henne å spille for eksempel... Orlicki. Han er på samme alder som faren til Angela, dere “leker” det ofte...

Ved siden av sengen er pistolen fra *Precyzja*, la det bli gnister; Słowik leter raskt gjennom rekvisittene fra slutten av syttitallet, da Mesteren var “på topp”, en bursdagshyllest: “Angela, fra nå av heter du... Ela, jeg har med søtvin og blomster. Se det for deg, du har på deg støvletter og pels, under pelsen har du bare strømper, sånn som nå”, pelsen som faller ned av din *ynde* blir en seng, sånn at du ikke skal få sår på knærne av teppet, ditt gylne hår... kroppsholdning og sminke som Szapołowska eller Kora? Sophia Loren eller Kim Novak? Det må være rosatoner, dyblått, pasteller, og så Fiat 131, Skoda Rapid, eller direktørens GAZ M24 Volga, i sommerhuset, mot kjøkkenskapet, på bordet, så brødboksen og vannløpet rister; på de tykke persiske teppene *made in* butikken for unge par, ømt og hardt! *Romantisk*, som deres foreldre, som virkningsløst skremte bort skyggene av spedbarn med tang. *Hardere!*

Kanskje de virkelig er... hr. og fru Orlicki? De er ikke lenger på Nedre Mokotów, i en leilighet med drepende boligkreditt, men på en treroms i et borettslag på Øvre Schlesien; det er ikke lenge siden bryllupet, dere tilbringer nettene og dagene med knulling for å dempe de grunnleggende motsetningene, for to skal jo bli ett! Fatene skjelver i skjenkene, en bryllupsgave fra tante... bestikken kvitrer, kanonen med konjakkflasken kjører frem og tilbake, og på spikeren vaier fargelitografien med kardinal Wojtyła omgitt av et landskap, der bekken forsvinner i sivet, for deretter å komme ned i en kaskade på fototapeten, den var fra svigermor; i midten, over paret som *elsker* på teppet, en *Remington* skrivemaskin, den står på skrivebordsalteret, den skal bringe brød og berømmelse! Elas stønn: *Ti amo* og *Je t'aime*, hardt... hun roper: Herregud!, og Słowik eller Orlicki trykker fortsatt på Elas eller Angelas kropp, som på en maskin, han tar feil av *alterne*, og fingrene er som taster, bokstaver av ild.

Angela sover, Słowik ser inn i glasskulen igjen: hestenes maner bølger, skummet faller som snø, som manna. Vognene flyter oppover og nedover veien, hestene er bundet sammen, holdt

tilbake, grisene gleser ut i nettet, klager mot himmelen over at skinkemiddagen er nær! Dunet faller av gjess og duer, hane-galer, og kyrne er som perler på en bønnesor, festet til rekken av vogner. På fortauet står kjerringene med kasser med egg, kurver med jordbær, med pepperot og dill, med en lukt som... På markeds-plassen er det lotteri i anledning avlaten, det glimter i *hellige bilder*, paver og madonnaer av leire, tre kort *trekkes*, tre kopper snurrer, og på poppelen over verden er det tre djevel-ravner, som passer på hvem som skal fordømmes. Den provinsielle apasjen i en rutete lue, kjenner du ham igjen? Det er jo onkel Gzik! Han selger billedskjønne jenter: "Bare se her, ha-ha, honning og bringebær", og uniformerte bestefar Adam, som spaserer mellom vognene og hestene, ser mellom fingrene på svogrens handel. Noe knirker, det er ikke tauet på bjelken... det er karusellen! de prikkete og stripete kjolene vaier i vinden. Valmuefrøkenen og Angela snurrer rundt som lysglimt, som svaler! På de hvite hestene, ponniene og de magiske endene. De holder i tøylene og de kunstige manene med en hånd, og i den andre har de — Bambino iskrem. Lengre ned er det jordfargede, spraglete, svarte og rødbrune hester, med skrubbsår og kreftsvulster, de sleper seg oppover og nedover fra markedet i lenker, tygger ydmykt på tøylene sine. De er så langt unna bevingede hester, de viltre hestene på parnasset, disse klarer ikke engang å se opp fra under skylappene. Håret de bærer i manene og halene skal bli til børster og pensler, og de har en fornemmelse om at denne turen ender på slaktehuset. De skal *recycles* og omdannes til hestepølse, de skal trille gjennom Polen på tilhengere og lastebiler forvandlet til kjøtthauger.

Politifiguren som *beskytter* markeds-plassen er på kollisjonskurs med Słowiks andre bestefar, Ludwig, som er på forretningsreise. Bestefaren hans, rittmesteren Hieronim, innskrevet i gull under mirakelet ved Wisła; faren hans red på en grå hest gjennom landsbyområder med glinsende ridebukser, det eneste som

290 er igjen av Ludwig er et barn som blir født etter hans død, det er så vidt han husker adelstegnet, ved siden av den opphøyde griffen er det en — *lelija*? Han *smatter* på rasehestene, selv om han bare har trekkhester, i stedet for latifundium har han en voksende kapital, tjent på sumpbevere og griseslakting. Av ambisjon flytter bestefar Ludvik grensen på arvegodset, sånn som det var på rittmester Hieronims tid, sånn skal det være hos ham, amen. Han begynner med å betale for et slakteri, som svigersønnen skal arve, for han er *ridderlig*! Han drømte om sånne arvinger, og etterpå en ny royal arverekke. Sersjant Adam Słowik skal hjelpe, jord til klassene, kjøtt til klassene... Bestefedrene møtes i anledning barnas tvangsekteskap. På vognen er Kasia, altså en mor fanget av familiebånd, bestefar Ludvik skal straks binde henne til sadelen til sin ridder-svigersønn; det drysser med bryllupsgaver — en grå sammenleggbar SAM som imiterer en “Ford” Fiesta, som løvet fra fem høster skal falle på... helt til man i stedet får den røde Ford Mustang man har drømt om, og madonnaer flyr vekk som en flokk med gjess, til den neste verdenen, til sine saker og barn. Snøen vil dekke familiekarusellen, hånden vil igjen snu kulen, fylt med tid. “Vent! — roper Słowik. — Mens det fortsatt er vår og sommer, ta meg med...”

Drømmer, drømmenes tverrsnitt, der det dannes puss rundt den godt skjulte flisen, det holder at dere lukker øynene. Sov godt, Słowik, *tipp på tå*, sov søtt med Angela, alle barn i alle land, hele byen sover, en sovende hovedstad, bare du. *Måtte dere drømme om en hel fabrikk med fargestifter...*

4.45, Słowik og Angela ligger i den brede sengen, under sengen mellom de fargerike magasinene — krøker dvergene seg sammen. Mellom dem er en metallkoffert med en lett håndterlig programmering: matrisene til *Faust*, *Dziady*, *Ødipus*, *Narcissus*, *Chrysostomos*, i mellom ligger Zohar, Kabbala, Tarot-kortstokker og gudene må vite hva mer. Den Andre Dvergen lyser på instruksjonen med lommelykten: “Er det på tide?”. Den Første har en *joystick*:

teknisk kontroll, vi sjekker styringen, vi har instruksene”. “Rosa drømmer og hun — Den Andre banker nedenfra på madrassen der Angela — som korsblomsten på søylen?”. “Det kommer til å bli forstyrrelser — Den Første strekker frem en hånd med en fjær fra under sengen — vi vekker dem på vanlig måte”.

Słowik ser på klokken: den nærmer seg fem, *Hitlers hær angriper Polen...* Han stirrer i taket, han kan skimte riss og klumper, som et overjordisk kart der de eldre vandrer, før DET kommer, stadig svakere forbundet med livet lytter de til klokkene med den monotone tikkingen som... Hva er det som suser sånn, er det naboen som tar en dusj? Hodet gjør vondt, fest, Valmuefrøkenen og Orlicki... Den Første Dvergen flytter *joystick*en, som en sufflør hvisker han *Mesteren!* Mesteren og hans følge, dvergene, *bøy deg i støvet!* Du er stor på grunn av det du har skapt, for du klarte å... *Berike deg!* Royaltyene har dekket deg med tykk ferniss, du har fått belønning for piskingen, som... Jeg kysser den rynkede hånden din, for godheten, for gavene som ikke kan måles med noe, som du skal øse inn i meg, og du regner bare med at jeg skal hjelpe verket ditt, som er storslått, hjelpe av all makt, hosanna i det høye!

“Senk ned *døseriet* på ham. Overstyrmann.“ — hvisker Den Første, for Słowik er ustabil, han leter etter mineralvann under sengen. “Alle barn i alle land ligger nå og sover”. Słowik sovner... Den Første folder hendene i fanget. “Når vi lå her under sengen som i gravkammeret på Wawel, tenkte jeg på dette. Vi er et levende bilde på kroppen, som sakte går i oppløsning over oss, og dets endelige tilholdssted er i hulen. De er over graven, selv om deres liv er endt på et øyeblikk, og vi er i graven, akk ironi, men er evige. Alt er omvendt”. “Du teller ikke lydene på fingrene... — håner Den Andre ham over instruksjonsboken. — *Complete*, alt fungerer, la oss gi dem et hyggelig program på morgenkvisten. *Deep Throat?* Nei, heller noe *soft*, *Les jeux de l'amour*, og det er alt for nå”.

Oversatt av Agnes Banach



Costa blanca

— EG FANN HAN VED SJUTIDA, seier vaktmeisteren (iført slippers og Hard Rock Café Barcelona-t-skjorte).

Han ser opp på meg. Det kan verke som om han vil at eg skal anerkjenne det faktum at han har vore oppe tidleg, i strid med dei stereotypar han meiner å kunne ha grunn til å tru at eg dyrkar om nordmenn busett i Spania.

— Vi skjønar ikkje heilt korleis det har hendt, men det ser ut til at han fall der oppe frå, ein eller annan gong i løpet av natta.

Ein boge med høgre hand, frå balkongen i tredje etasje til det blomelause blomsterbedet under, blod mot sitrongul murvegg.

— Vi?

— Ja, altså, Mathiesen og eg.

Namnet Mathiesen seier meg ingenting, men vaktmeisteren framseier det på ein slik måte som får meg til å tenkje at han truleg må vere ein person av ein viss autoritet i det spansk-skandinaviske lokalsamfunnet, og at det vil vere uklokt av meg å stille spørsmål ved denne autoriteten (og såleis vaktmeisteren si dømekraft).

Det har vore ein lang dag. Eg hadde heilt fortrent avstanden hit frå flyplassen i Alicante. Med drosjeturen i tillegg til den hastebestilte flybilletten hadde eg brukt ni timar og meir enn seks tusen kroner då eg sto ved bassengkanten og vaktmeisteren trykte handa mi og sa:

— Kondolerer.

Kort tid etter at far gjekk av med pensjon og busette seg i Spania på permanent basis, trefte han ei svensk kvinne på sin eigen alder. Vi fekk ikkje vite svært mykje om henne, berre at dei hadde felles interesser (bilturar, jazz, vin), og treivst godt i lag, og at ho, som han, hadde mista ektefellen i kreft. Eg må erkjenne at dette uroa meg, for i dei ti åra som var gått hadde han sjeldan (eller meir presist: aldri) uttrykt noko ynskje om å samtale om emnet. Men no var det brått svært viktig. Sorgarbeid. Åsa hadde hjelpt han til å innsjå at han hadde eit problem. Uheila emosjonelle sår. Peter (som ofte seier det eg tenkjer) var ikkje uventa full av forakt: det var patetisk, meinte han. Det patetiske besto (visstnok) i at far hadde overlata til oss å sørgje over mor både under sjukdommen og etterpå, men at han no lét som om han bar på ei (fortrengt) tapskjensle berre for å kunne få fitte. (Trur du verkeleg dei ligg saman? sa eg.)

Mobilen ringjer, og vaktmeisteren orsakar seg. Det er november, overskya, relativt kjølig. Far har endt sine dagar i eit blomsterbed. Tanken på kor krenka han ville kjent seg dersom han kunne fått vite om døds måten, er uuthaldeleg, men samstundes frigjerande, og produserer ein i denne situasjonen diverre sosialt uakseptabel reaksjon: latter. Eg vender meg vekk for at vaktmeisteren ikkje skal kunne sjå det. Eg veit at det sakleg sett ikkje er noko å le av, og eg veit óg at eg seinare kjem til å grine, åleine, truleg under påverknad av billeg alkohol, men her og no er det umogleg for meg å sjå alvoret i situasjonen. Mangelen på samsvar mellom innhald (far) og ytre form (fallet). Det er latterleg. (Men urovekkjande. Kva skulle han på balkongen om natta?)

Etter berre eit par månader kom meldinga om at han vurderde å selje husværet og flytte inn hjå henne (ein nyare og større urbanisasjon nærare havet). Eg kjente ein betydeleg skepsis. Far hadde levd i lag med berre to kvinner i løpet av livet, og mitt ærlege inntrykk var at han ikkje hadde likt det. Dessutan reagerte

eg negativt på at Åsa (tilsynelatande) ynskja å ta kontroll over vår familiehistorie, appropriere vår lidning: kvifor måtte far fortelast kva han skulle føle og korleis han burde gje uttrykk for det? Slik eg kjente han, ville han normalt verte rasande over slikt. (Då Mirjam, som trudde seg uhøyr, uttrykte overrasking over at han ikkje hadde grete under gravferda, sa han at ho ikkje lenger var velkomen i heimen hans – og dét trass i at han alltid har likt henne svært godt, og ho han.) Men kva kunne vi gjere? Vi kunne seie frå, meinte Peter. Eller, det vil seie: eg kunne seie frå. (Peter: Han høyrer jo uansett ikkje på meg.) (Men Peter (sa eg ikkje): det er deg han høyrer sjølv om det er eg som talar.)

Då eg tok kontakt via Skype for å forklare kva vi meinte og kvifor vi meinte det, framsette han straks to feiltolkingar, begge svært føreseielege:

- 1) Dette er noko Peter har funne på, ikkje sant? (Nei, far, det er ikkje noko Peter har funne på.)
- 2) Det handlar om pengar, gjer det ikkje? Det handlar alltid om pengar. (Nei, far, det handlar ikkje om pengar.)

Han var ikkje interessert i å høyre kva meir eg hadde å seie, og avslutta samtalen. Det handla ikkje om pengar. Rett nok er det umogleg for alle andre enn Peter å skjøne kva Peter egentleg gjer, men det er sikkert at han tener gode pengar. Far hadde meir enn ein gong antyda at det måtte ha å gjere med narkotika. (Nei, far, Peter handlar ikkje med narkotika.)

Seinare same kveld sende han ein sms kor han bad om orsaking, eller han skreiv han var *viljug* til å bede om orsaking dersom vi gjorde det same. (Åsa hadde forklart at konflikta i nære relasjonar ikkje var godt for han.) (Men far (førestelte eg meg at eg sa) (under den (hypotetiske) påfølgjande samtalen): vi kan ikkje bede om orsaking. Vi har ingenting imot Åsa (Peter himla (såg eg føre meg) med augo), men vi synst ikkje det er fornuftig å flytte i lag no. De har ikkje kjent kvarandre særleg lenge, og Peter og eg har ikkje ei gong treft henne, det er for tidleg. (For

296 tidleg (tenkte eg han truleg ville kome til å repeterer): eg er snart sytti år, Tomas, kor mykje tid trur du eg har?) Det var (ville vore) eit godt spørsmål. Eg hadde sett journalen hans, han visste at eg hadde sett journalen hans, og eg visste at han visste at eg ikkje hadde noko svar som han ville høyre. Eg hadde bede om løyve til å finne for han ein kompetent fastlege i nærleiken av Torrevieja. (Far, høyr på meg, mange norske legar bur i området, eg kan berre ta eit par telefonar.) Men han hadde nekta (*quelle surprise*.)

Vaktmeisteren returnerer:

— Det var Mathiesen. Han kan *diverre* ikkje vere her før i niti-da. Eg er redd det ikkje er så mykje meir vi kan gjere fram til då.

— Kva meiner du?

— Nei, det er ikkje så mykje meir vi kan gjere.

— Men eg vil gjerne sjå husværet.

— Eg skjønar ikkje...

— Husværet til far. Der han var busett. (Eg peiker opp mot balkongen frå kor han fall på tragisk vis.)

— Å. Ja. Men. Eg har ikkje nøklar.

— Orsak?

— Eg har ikkje nøklar, repeterer han. Vaktmeisteren har nøklar til alle fellesareal, men ikkje til bustadeiningane.

I dag tidleg, då telefonen ringte, var eg oppteken i ein pasient-samtale. Eg er svært streng på at eg aldri skal forstyrrast under slike samtalar, og denne var både vanskeleg og viktig. Ei kvinne i trettifemårsalderen hadde i noko tid vore plaga av smerter i musklar og ledd, samt vedvarande energimangel. Eg synst ho verka overspent (ein tidlegare fastlege hadde skrive ut til henne antidepressiva i uforsvarleg store mengder) og hadde meint det var psykosomatisk, men teke feil: leverenzymtestar syntte at ho hadde lupus. (Det finst inga kurativ behandling (skulle eg til å seie), men...) Halvannen time seinare var eg på veg til flyplassen. Det undra meg at vaktmeisteren ikkje eit ord hadde nemnt om Åsa, men eg tenkte at det var jo ikkje sikkert at ho hadde

vore der akkurat denne dagen, eller natta. Med Peter fekk eg ikkje kontakt før i security-kontrollen. Han kunne ikkje kome nedover før tidlegast torsdag (i dag er det tysdag) kveld, sa han (men kom igjen, Tomas, du fiksar dette).

Ei eldre kvinne kjem ut på balkongen under og til venstre for den frå kor far fall. Lilla hår, som er ho send av ei høgare makt for å stadfeste alle fordommar eg måtte ha om bebuarane i denne og tilsvarandre urbanisasjonar. Ho lét som om ho føretek seg noko meiningsfylt med potteplantane, før ho går inn igjen. Seinast i forgårs, etter eit par glas vin og ein lengre samtale med Mirjam, som oppmóda meg til å søkje forsoning, freista eg å kontakte han, og han responderte (i samsvar med sin nye (og heilt ukarakteristiske) vane) per sms. *Hos Åsa. Ikkje tid til å prate. Pappa.* Eg finn fram telefonen og konstaterer at den ordlyden eg har memorert, er den korrekte. Dét er altså siste helsing frå far. *Ikkje tid til å prate.* Så langt eg kan hugse, har verken Peter eller eg nokon gong kalla han Pappa, så kvifor insisterte han sjølv på å nytte denne nærast vulgært intimitetstyranniske nemninga, når føremålet med tekstmeldinga ikkje kunne vere anna enn at eg skulle skjøne kor lite viktig eg (vi) var?

Eg spør:

— Kor er far?

Det kan sjå ut som om det er eit spørsmål vaktmeisteren helst skulle sett var ustilt. Merkeleg nok har det ikkje slått meg før no, men eg veit jo (eg er trass alt lege) at eit dødsfall i regelen har sin fysiske manifestasjon i form av eit lik, og at dette må oppbevarast ein stad i påvente av jordfestinga (alternativt kremasjonen). Han ser ikkje på meg, men svarar:

— Det er ikkje meir vi kan gjere no.

— Vi må vente på Mathiesen?

— Men ta det berre med ro, alt er klart.

Klokka er seks. Mathiesen skal kome ni. Eg kan ikkje kome inn i husværet. Eg kan ikkje få sjå den døde. *Ta det berre med ro?*

— Kva meiner du?

— Alt er klart. Vi har alt vi treng.

— Eg veit ikkje kva du meiner vi treng, men eg veit at eg ikkje har det.

Han ser uforståande på meg.

— Eg har ingen stad å bu, for eksempel.

— Nei?

— Nei. Eg hadde jo tenkt at eg kunne bu (eg peikar mot balkongen) der oppe.

— Åja.

— Ja.

— Eg veit ikkje...

— Men det gjer eg. Vi får ta døra.

— Kva?

— Du og eg. Vi får prøve å slå inn døra.

— Men...

— Det kan ikkje vere så vanskeleg. (Han verkar veltrent, vaktmeisterarmar.)

— Vi to?

— Ja.

— Men vi kan ikkje berre...

— Det er husværet til far min. Han er død. Eg bestemmer kva vi kan og ikkje kan. Vi tek døra.

Eg gjer mine til å bevege meg i retning trappa, i samsvar med mi nyvunne besluttingskraft, men han seier:

— Det der får vi eventuelt ta stilling til når Mathiesen kjem.

Ikkje tid til å prate. Pappa. Kven er Mathiesen, og kva har han gjort for å oppnå slik utanomjordisk makt? Eg vil spørje, men seier:

— Finst det ein stad i nærleiken kor eg kan få meg noko mat?

— Det er eit shoppingsenter ved (han seier eit namn, eg oppfattar det ikkje). Trur det skal vere ein kafé der. Fem-seks kilometer i den retninga (igjen denne karakteristiske bøgerørsla med handa).

— Fem-seks kilometer?

Han trekk på akslene.

— Det er praktisk å ha bil her, seier han.

Dét er det utan tvil, og ein eller annan stad må vel bilen etter far finnast, men eg lét det liggje (Mathiesen har sikkert veto-rett kva gjeld dette spørsmålet òg). Vaktmeisteren orsakar seg:

— Eldstesónen har vore til tannlegen i dag, og eg har lova han minigolf som belønning.

— Eg skjønar, seier eg (utan å skjøne). Men det var ein ting.

— Ja?

— Har de meldt frå til Åsa?

— Kva meiner du?

— Ja, du og/eller Mathiesen: har de meldt frå om dødsfallet?

— Til kven?

— Til Åsa.

— No er eg ikkje heilt med...

— Åsa. “Veninna” hans. Svensk kvinne sist i sekstiåra. Har de meldt frå til henne?

— “Veninne”?

— Ja, eller kjærast, då. Litt merkeleg uttrykk å bruke om såpass gamle menneske, synst du ikkje?

— Ja, kanskje, men...

— Ja...

— Kva?

— Har de meldt frå til henne?

— Eg er redd eg ikkje skjønar kva du meiner.

— Og eg skjønar ikkje at du ikkje skjønar kva eg meiner.

— Altså, eg veit ikkje kven denne “Åsa” er. Eg kan ikkje hugse å ha sett far din i lag med noka kvinne. Eg beklagar.

Han går. Igjen vert eg ståande åleine ved bassenget. Eg vurderer å ringje Peter, men slår det frå meg. (Kva skulle det kunne tene til?) Ringjer i staden Mirjam, men får opptattsignal. *Ikkje tid til å prate?* Eg ser opp, eg ser mot balkongen, og eg ser at

300 det kan sjå ut til at døra inn frå/ut til den nemnte står halvopen, at det skal kunne vere mogleg å kome seg inn dersom eg kjem meg opp dit. Men korleis kome seg opp dit? Porten til den utvendige trappa er ulåst, eg går opp i andre etasje, ringjer på til det eg (etter ein augneblinks desorientering) meiner truleg må vere husværet til kvinna med det lilla håret.

— Ja?

— Kan eg få kome inn?

Eg ventar ikkje på svar, går berre forbi henne og inn i stova, ut på balkongen. Som eg tenkte, ikkje umogleg, men vanskelegare i praksis (her oppe) enn i teorien (der nede). Eg må *stå* på rekkverket og *hoppe* for å få tak i det tilsvarande på balkongen til far. Dersom det går, kan eg trekkje meg opp ved armkraft, dersom ikkje vil eg kveste meg alvorleg, i verste fall fatalt. Det skulle verkeleg vere noko! To generasjonar Nordahl stuper i døden frå same balkong i løpet av knapt eit døgn. (Eg har høyrte at VG og Dagbladet har eigne kontor her nede.) Vel. Ikkje tenk. *Use the force*, Tomas.

Frå balkongen går eg inn til far. Vanskeleg å seie kva eg ventar å finne der inne, og difor óg vanskeleg å seie om eg finn det. Ryddig og reint, ikkje overraskande. På salongbordet brillar, eit halvtomt glas vatn, spansk vegatlas oppslått på Baskerland. Soverommet. Senga oppreidd til ein. *Eg kan ikkje hugse å ha sett far din i lag med noka kvinne*. Men dei var vel hjå henne storparten av tida? Eg opnar kjøleskapet og finn ein tupperwareboks med noko slags kyllingryte. Et den kald. Far må ha laga dette i går, då visste han ikkje at han same natt skulle døy, og at eg skulle kome til å stå her neste dag og reflektere over liv og lagnad. Han har óg vore omtenksom nok til å kjøpe inn ein heil del øl (eg visste ikkje at han drakk anna enn vin), og eg tek med ein boks San Miguel (nei, *to* boksar) ut på balkongen. Kvinna som før stirte ned på meg, stirar no opp på meg. Ignorerer henne. Mørkre fell på. Eg ventar.

Mathiesen gjev meg handa, venleg, korrekt, men er tydeleg

ikkje heilt tilfreds med situasjonen. Eg bed dei å sitje. Mathiesen takkar nei til øl, vaktmeisteren ja. (Han verkar ukomfortabel.) Mathiesen seier:

— Eg er ikkje glad for dette.

— For kva?

— Du burde ikkje tatt deg inn her utan først å konferere med oss.

— Eg er redd eg ikkje skjønar kva du meiner.

— Det burde ikkje vere så vanskeleg å skjøne. Vi meinte det var best å vente. Det er ein grunn til at vi meinte det.

— Men det er eg som eig husværet. Far er død. Bror min Peter og eg er arvingar. Eg kan ikkje sjå at kva de måtte meine skulle ha nokon relevans.

— Det er inga grunn til å vere ufin, Tomas.

— Eg er vaktmeister, eg har eit slags ansvar her, seier vaktmeisteren (krenka).

— Det er ofte ein skilnad på kva ein har rett til, og kva som er klokt. Du skjønar det, ikkje sant?

Tre menn i ein død mann sitt husvære. Dei to i skinnssofaen. Eg i ein lenestol overfor dei, med ryggen mot veggen.

— Det eg skjønar er at far min er død, at eg har kome hit for å ordne med det praktiske, og at det av årsaker umoglege for meg å begripe kan verke som om de motarbeider meg.

— No, seier Mathisen, framleis svært roleg. Det er sjølvsagt ingen som ynskjar å motarbeide deg. Vi skjønar at dette er ein svært vanskeleg situasjon.

— Eg har eigentleg berre eitt spørsmål, seier eg. Kor er den døde?

— Lat oss heller prøve å handtere dette konstruktivt.

— Eg er lege, eg veit korleis ein handterer eit dødsfall. Er det skrive dødsattest?

Vaktmeisteren, framoverbøygd i sofaen, vil til å seie eit eller anna, men Mathiesen legg ei hand på armen hans.

— Tomas, vi har vore her lenge. Vi veit ein del om korleis det fungerer.

— Og?

— Det er ikkje slik vi gjer det.

— No veit eg visst verkeleg ikkje...

— Du har jo vore her i nokre timar, ikkje sant?

— Ja...

— Og du har sett deg ikring. Mange eldre menneske, dei fleste skandinavar. Dei kjem hit for å nyte livet den siste tida. God mat og drikke. Varmt i veret. Far din tenkte sikkert óg slik.

— Sikkert, men kva så?

— Ja, det er ikkje akkurat første gong nokon her døyr, for å seie det slik.

— Det skjønar eg.

— Fint. Og spanske styresmakter er ikkje dei enklaste å ha med å gjere.

— Nei?

— Svært byråkratisk. Tungvint system. Ikkje slikt ein vil bruke krefter på når ein har mista einkvan som sto ein nær.

— Men...

— Så vi har funne vår eigen måte å gjere det på.

— Kva meiner du “vår eigen måte”?

— Så langt eg skjønar er mor dykkar óg gått bort?

Dei utvekslar blick i sidesynet. Eg nikkar. (Korleis i helvete veit han dette?) Eg grip etter ølboksen, men den er tom, og det er tydeleg at dette ikkje er rett tidspunkt å tilby seg å hente meir.

— Ja, seier eg. Kreft.

— Det gjer meg vondt å høyre. Men de vil vel at ho og far dykkar skal kunne gravleggjast i lag?

— Det er klart, men kva...

— Tomas, veit du kor kostbart det er å skulle frakte ein avdød frå Spania til Noreg?

— Eg har ikkje tenkt så mykje på det...

— Totalkostnadane kan fort kome opp i meir enn hundre tusen kroner.

— Så mykje?

— Hundre tusen kroner, repeterer vaktmeisteren (mykjesei-
ande).

— Vi tilbyr oss å gjere det for halvparten. Heimtransport, alle formalia, alt. Femti tusen. Det einaste de forpliktar dykk til, er å ikkje stille spørsmål som ikkje treng svar.

— *Need-to-know-basis?*

— Nettopp. (Han smiler.) Du skjønar no, gjer du ikkje, Tomas? De betalar femogtjue no før du reiser, femogtjue når avdøde er returnert til Noreg, og lagt i jorda. Dødsattest ordnar ein norsk lege som skal få lov til å vere anonym.

— Kva...

— Blodpropp grunna langvarig åreforkalking. Det skulle stemme greitt. Du har vel sett journalen hans?

Det vert stille i det halvmørke rommet. Kva skal eg seie? Eg seier:

— Og kva skjer dersom eg takkar nei til dette tilbødet?

— For meg verkar det svært lite sannsynleg at du vil ta eit så uklokt val.

— Skal eg oppfatte det som eit trugsmål?

— Det finst ingen grunn til å kome med slike... insinuasjo-
nar. Det er eit tilbød, Tomas, og om eg skal seie det sjølv er det
svært sjenerøst. Tenk over det.

Det er signalet. Dei reiser seg. Mathiesen med mjuke rørs-
ler, vaktmeisteren som på kommando. Eg vert sitjande. Dei ser
ned på meg.

— Du må hugse at vi tek ein betydeleg risiko, Tomas. Ingen-
ting skal kunne sporast tilbake til dykk. Men ta det berre med
ro, det er svært lite sannsynleg at noko uforutsett skal kunne
hende. Som sagt, vi har erfaring med slike situasjonar, til no har
det alltid gått greitt.

Han går. Vaktmeisteren vert ståande på trappeavsatsen.

— Ordninga no er at Mathiesen kjem hit igjen i morgon førremiddag ved ellevetida. Dersom du skulle bestemme deg før dét, har du nummeret mitt. Vi reknar med at dette ordnar seg.

Han slår meg kameratsleg på aksla. Blunkar, så er eg åleine. Eg treng ein øl. På kjøkkenet vert eg ståande lenge og stire inn i kjøleskapets dimme ljøs, før eg går attende til balkongen.

Costa Blanca

— ZNALAZŁEM GO OKOŁO 7 — powiedział dozorca w klapkach i koszulce Hard Rock Café z Barcelony.

Spogląda na mnie tak, jakby oczekiwał uznania za to, że tak wcześnie rano był na nogach, przecząc tym samym wyobrażeniom, jakie według niego prawdopodobnie mam o Norwegach osiadłych w Hiszpanii.

— Do końca nie wiemy, jak to się stało, ale wygląda na to, że spadł stamtąd, w nocy.

Prawą ręką zatoczył łuk z balkonu na drugim piętrze do rabatki kwiatowej poniżej, z plamą krwi na cytrynowożółtej ścianie.

— My?

— No, Mathiesen i ja.

Nazwisko Mathiesen nic mi nie mówi, ale dozorca wypowiada je w taki sposób, że dochodzę do wniosku, iż musi on być osobą z dużym autorytetem w lokalnym środowisku skandynawskim, i że niemądrze byłoby ten autorytet (a tym samym osąd dozorczy) podważać.

To był długi dzień. Staram się nie myśleć o odległości, która dzieli to miejsce od lotniska w Alicante. Podróż taksówką i na przędcie zarezerwowany bilet lotniczy kosztował mnie więcej niż sześć tysięcy koron i dziewięć godzin życia, do momentu kiedy stanąłem na brzegu basenu i przyjąłem kondolencje dozorczy wyrażone uściskiem dłoni i słowami:

— Wyrazy współczucia.

Wkrótce po tym, jak ojciec przeszedł na emeryturę i osiedlił się w Hiszpanii na stałe, poznał Szwedkę mniej więcej w swoim wieku. Dużo się o niej nie dowiedzieliśmy, poza tym, że mieli te same zainteresowania (wycieczki samochodowe, jazz, dobre wino) i że dobrze im ze sobą było. Oboje stracili małżonków w walce z rakiem. Muszę przyznać, że to mnie zaniepokoiło, bo przez te dziesięć lat od śmierci matki ojciec rzadko wykazywał chęć do rozmowy na ten temat, właściwie nigdy tego nie robił. Nagle stało się to bardzo ważne: otrząśnięcie się z żalu po stracie. Ąsa pomogła mu zrozumieć, że miał z tym problem. Niewyleczone rany emocjonalne. Peter (który często głośno mówi to, co ja tylko myślę) był pełen pogardy, zresztą zgodnie z oczekiwaniami: jakże to żałosne. Zażenowaniem napełniało go przekonanie, że ojciec pozostawił opiekę nad matką w chorobie i żałobę po jej śmierci nam, a teraz udawał, że dławi go wyparte poczucie straty tylko po to, żeby się dobrać do czyichś majątek. (Naprawdę myślisz, że ze sobą sypiają? — spytałem).

Dzwoni komórka, dozorca przeprasza i odbiera. Jest listopad, zachmurzone niebo, dość chłodno. Ojciec dopełnił swoich dni w rabatce. Myśl o tym, jak poniżony by się czuł, gdyby mógł poznać sposób swojego odejścia ze świata, jest nie do wytrzymania, ale jednocześnie wyzwala w tej sytuacji zupełnie nieakceptowaną społecznie reakcję, mianowicie śmiech. Odwracam się, aby dozorca nie mógł mnie dostrzec. Wiem, że obiektywnie rzecz biorąc nie ma się z czego śmiać, wiem też, że później będę płakał, w samotności, prawdopodobnie pod wpływem taniego alkoholu, ale tu i teraz nie jestem w stanie dostrzec powagi sytuacji. Brak zgodności między treścią (ojciec) i formą (upadek). To *komiczne*. (Ale i niepokojące, co on robił na balkonie w środku nocy?)

Po zaledwie paru miesiącach dotarła do nas informacja, że rozważa sprzedaż mieszkania i przeprowadzkę do niej (nowsze i większe osiedle, bliżej do morza). Byłem nastawiony do tego zdecydowanie sceptycznie. Ojciec żył dotąd tylko z dwiema

kobietami, i moim szczerym zdaniem nie za bardzo mu się to podobało. Poza tym negatywnie reagowałem na Åsę, która (pozornie) próbowała zaanektować naszą historię rodzinną, uprawnić nasze cierpienia: dlaczego ktoś musiał ojcu mówić, co powinien czuć i jak dać temu wyraz? Na ile go znałem, normalnie byłby w takiej sytuacji wściekły. (Kiedyś Mirjam, myśląc, że jej nie słyszy, wyraziła swoje zaskoczenie faktem, że ojciec nie płakał na pogrzebie. W odpowiedzi usłyszała, że nie jest już więcej mile widziana w jego domu, mimo iż zawsze bardzo się nawzajem lubili). Ale co mogliśmy zrobić? Peter uważał, że powinniśmy powiedzieć nasze zdanie na ten temat. Albo raczej: że ja powinienem powiedzieć moje zdanie. (Peter: On i tak mnie nie słucha). (Ależ Peter [tego nie powiedziałem]: przecież to właśnie ciebie słucha, chociaż to ja mówię).

Kiedy zadzwoniłem do ojca na Skypie, żeby przedstawić nasze zdanie, natychmiast odparował dwoma bardzo przewidywalnymi, acz błędnymi interpretacjami:

- 1) To Peter na to wpadł, prawda? (Nie, ojczu, to nie Peter na to wpadł).
- 2) Chodzi o pieniądze, czyż nie? (Nie, ojczu, nie chodzi o pieniądze).

Nie zainteresowało go, co jeszcze miałem do powiedzenia i rozłączył się. Nie chodziło o pieniądze. Co prawda nikt poza Peterem nie jest w stanie pojąć, czym on się zajmuje, ale pewne jest to, że świetnie zarabia. Ojciec nieraz wspominał, że to musi mieć coś wspólnego z narkotykami. (Nie, ojczu, Peter nie jest dilerem narkotyków).

Tego samego wieczoru dostałem od niego smsa z przeprosinami, albo raczej z deklaracją, że jest skłonny nas przeprosić, jeśli zrobimy to samo. (Åsa wyjaśniła mu, że konflikty w relacjach z bliskimi mu nie służą). (Ależ ojczu [prowadziłem z nim w wyobraźni hipotetyczną rozmowę]: nie mamy za co przeproszać. Nie mamy nic przeciwko Åsie [już widziałem, jak Peter wywraca oczami], ale nie uważamy przeprowadzki do niej za rozsądne posunięcie. Nie znacie się zbyt długo, Peter i ja nawet jej nie

308 poznaliśmy, to pochopna decyzja. (Pochopna [odpowiedział mi ojciec z mojej wyobraźni]: Tomas, mam już prawie siedemdziesiąt lat, ile myślisz zostało mi jeszcze czasu?) To (byłoby) dobre pytanie. Widziałem jego kartę pacjenta, on wiedział, że ją widziałem, a ja wiedziałem, że on wiedział, że nie mam dla niego odpowiedzi, jakiej oczekiwał. Chciałem wymusić na nim przyzwolenie na poszukanie dla niego jakiegoś kompetentnego lekarza w pobliżu Torrevieja. (Ojcze, posłuchaj, tu mieszka dużo norweskich lekarzy, wystarczy parę telefonów). On oczywiście odmówił (*quelle surprise*).

Dozorca skończył rozmawiać:

— To Mathiesen dzwonił. Niestety może tu być dopiero o dziewiątej. Obawiam się, że do jego przyjazdu nie możemy nic więcej zrobić.

— Jak to?

— No, nie możemy nic więcej zrobić.

— Ale ja chętnie obejrzałbym mieszkanie.

— Nie rozumiem...

— Mieszkanie ojca. Apartament, gdzie mieszkał. (Wskazując balkon, z którego tak niefortunnie spadł).

— A, no tak, ale ja nie mam kluczy.

— Dlaczego?

— Nie mam kluczy — powtarza. — Dozorca ma klucze do pomieszczeń wspólnych, ale nie do poszczególnych mieszkań.

Dziś rano, kiedy zadzwonił telefon, byłem w trakcie rozmowy z pacjentką. Zazwyczaj nie pozwalam sobie przeszkadzać w takich rozmowach, a akurat ta była nie dość, że trudna, to jeszcze bardzo ważna. Trzydziestopięcioletnia kobieta już od dłuższego czasu cierpiała na bóle mięśni i stawów oraz ogólne osłabienie. Wydała mi się rozchwiana emocjonalnie (jej lekarz rodzinny przepisał jej leki antydepresyjne w niepoważnie wysokiej dawce) i początkowo określiłem te objawy jako psychosomatyczne, ale myliłem się: badanie poziomu enzymów wątroby wykazało,

że cierpi na toczeń rumieniowaty. (Nie znamy na to lekarstwa [akurat miałem powiedzieć], ale...) Półtorej godziny później byłem w drodze na lotnisko. Zaskoczyło mnie, że dozorca nawet słowem nie wspomniał o Åsie, ale pomyślałem, że przecież nie musiała wczoraj wieczorem lub w nocy być u ojca. Z Peterem udało mi się skontaktować dopiero przy kontroli bezpieczeństwa. Mógł przyjechać najwcześniej w czwartek (dziś jest wtorek) wieczorem (ale Tomas, przecież załatwisz to sam).

Starsza kobieta wyszła na balkon piętro niżej, na lewo od balkonu, z którego spadł ojciec. Fioletowe włosy, jakby stworzone po to, by utwierdzić mnie we wszystkich uprzedzeniach, jakie żywiłem do mieszkańców tego i jemu podobnych osiedli. Chwilę udawała, że przestawia doniczki, po czym znów się schowała. Nie dalej jak przedwczoraj, po paru kieliszkach wina i dłuższej rozmowie z Mirjam, w której namawiała mnie do próby pogodzenia się z ojcem, chciałem nawiązać z nim kontakt. Odpowiedział (zgodnie ze swoim nowym [i zupełnie dla niego nietypowym] zwyczajem) za pomocą smsa. *U Åsy. Nie mam czasu rozmawiać. Tata.* Wyjmuję komórkę i przekonuję się, że dobrze zapamiętałem treść wiadomości. Takie są ostatnie słowa ojca. *Nie mam czasu rozmawiać.* Odkąd pamiętam, ani ja, ani Peter nie mówiliśmy do niego Tato, dlaczego więc teraz uparł się, żeby użyć tego niemal wulgarnego, intymno-despotycznego określenia do przekazania mi (nam) informacji, jak mało dla niego znaczymy?

— Gdzie jest teraz ojciec? — pytam.

Wydaje się, że właśnie tego pytania dozorca chciał uniknąć. Dziwne, że nie pomyślałem o tym wcześniej, ale przecież wiem (w końcu jestem lekarzem), że wypadek śmiertelny zwykle manifestuje się poprzez zwłoki, które przechowuje się w jakimś miejscu w oczekiwaniu na pogrzeb (albo kremację). Nie patrzy na mnie, ale odpowiada:

— Nie możemy nic więcej zrobić.

— Musimy czekać na Mathiesena.

— Tylko spokojnie, przecież wszystko jest jasne.

— Jest szósta godzina. Mathiesen będzie tu o dziewiątej. Nie mogę dostać się do mieszkania. Nie mogę obejrzeć zwłok. *Tylko spokojnie?*

— O czym pan mówi?

— Wszystko jest jasne. Mamy to, co potrzebne.

— Nie wiem, co niby jest potrzebne, ale za to wiem, że ja tego nie mam.

— Patrzy na mnie bez zrozumienia.

— Nie mam na przykład gdzie mieszkać.

— Nie?

— Nie. Myślałem, że zamieszkać tu (wskazuję balkon).

— Aha.

— Tak.

— Nie wiem...

— Ale ja wiem. Wyważymy drzwi.

— Słucham?

— Razem, wyważymy drzwi.

— Ale...

— To chyba nie takie znów trudne. (Dozorca wydaje się silny).

— Razem?

— Tak.

— Ale nie możemy tak po prostu...

— To mieszkanie mojego ojca. On nie żyje. To ja decyduję, co można, a czego nie można zrobić. Wyważamy drzwi.

Wykonuję ruch w kierunku schodów, zachowanie zupełnie adekwatne do mojej nowo odkrytej siły przekonywania, ale on jednak stawia opór:

— Do tego możemy się ewentualnie odnieść, kiedy przybędzie Mathiesen.

Nie mam czasu rozmawiać. Tata. Kim jest ten Mathiesen, i jak zasłużył sobie na tę pełnię władzy? Chcę o to spytać, ale zamiast tego mówię:

— Czy można gdzieś w okolicy dostać coś do jedzenia?

— W pobliżu (mówi jakąś nazwę, której nie pojmuję) jest centrum handlowe. Powinna tam być kawiarnia. Pięć do sześciu kilometrów w tym kierunku (znów ten charakterystyczny łuk ramienia).

— Pięć do sześciu kilometrów?

Wzrusza ramionami.

— Samochód się tu przydaje.

Nawet w to nie wątpię, zresztą samochód ojca musi się gdzieś tu znajdować, ale nie podejmuję tego tematu (Mathiesen na pewno mógłby zgłosić zastrzeżenia i do tego pomysłu). Dozorca przeprasza:

— Mój najstarszy syn był dziś u dentysty, i obiecałem mu mini-golf w nagrodę.

— Rozumiem — mówię (nic nie rozumiejąc). — Ale mam jeszcze jedną sprawę.

— Tak?

— Czy daliście znać Åsie?

— O co panu chodzi?

— Czy pan albo Mathiesen powiadomił ją o wypadku?

— Kogo?

— Åsę.

— Chyba nie nadążam...

— Åsa. Jego „przyjaciółka”. Szwedka, zbliżająca się do siedemdziesiątki. Czy daliście jej znać?

— „Przyjaciółka”?

— No tak, albo dziewczyna, ale to trochę dziwne określenie w stosunku do tak starych ludzi, nie sądzi pan?

— Może i tak, ale...

— Tak...

— Słucham?

— Czy daliście jej znać?

— Nie rozumiem, o co panu chodzi.

— A ja nie rozumiem, czego tu można nie rozumieć.

— Po prostu nie wiem, kim miałyby ta „Åsa” być. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek widział pana ojca z jakąś kobietą. Przykro mi.

Odchodzi. Znów zostaje sam na brzegu basenu. Rozważam zatelefonowanie do Petera, ale rozmyślam się. (Co by mi to dało?) Zamiast tego dzwonię do Mirjam, ale jest zajęte. *Nie mam czasu rozmawiać?* Patrę w górę, w kierunku balkonu, i wydaje mi się, że drzwi są uchylone, dałoby się zatem wejść do mieszkania, gdyby udało mi się tam wspiąć. Ale jak to zrobić? Wejście do klatki nie jest zamknięte, wchodzę na pierwsze piętro i dzwonię do drzwi, które (mimo chwilowej dezorientacji) powinny być drzwiami mieszkania kobiety z fioletowymi włosami.

— Tak?

— Czy mogę wejść?

Nie czekając na odpowiedź, wchodzę do salonu i mijam ją, zmierzając prosto na balkon. No tak, tak jak mi się wydawało, wspinaczka nie jest niewykonalna, ale dużo trudniejsza w praktyce (tutaj) niż w teorii (tam na dole). Musiałbym *stanąć* na balustradzie i *podskoczyć*, aby złapać się barierki na balkonie ojca. Jeśli się uda, powinienem dać radę podciągnąć się na samych rękach, jeśli nie, poważnie się poturbuję, w najgorszym wypadku skończy się to tragicznie. To by było naprawdę coś! Dwa pokolenia Nordahli spadają z tego samego balkonu prosto w objęcia śmierci w przeciągu zaledwie doby. (Ponoć „Dagbladet” i „VG” mają tu lokalne redakcje). Ale, nie ma co myśleć. *Use the force*, Tomas.

Z balkonu wchodzę do mieszkania. Trudno powiedzieć, co spodziewam się tam zastać, i tym trudniej stwierdzić, czy to zastaję. Czysto, porządnie, co mnie wcale nie zaskakuje. Na stole w salonie okulary, w połowie opróżniona szklanka wody, atlas drogowy Hiszpanii otwarty na Kraju Basków. Sypialnia. Łóżko pościelone dla jednej osoby. *Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek widział Pana ojca z jakąś kobietą. Czyżby to u niej*

spędzali większość czasu? Otwieram lodówkę i znajduję plastikowy pojemnik z potrawką z kurczaka, którą zjadam na zimno. Ojciec musiał przyrządzić ją wczoraj, nie wiedział wtedy, że tej samej nocy umrze, i że ja będę tu dziś stał i dumał nad kolejami losu. Był również na tyle zapobiegawczy, że wyposażył się w dużą porcję piwa (nie wiedziałem, że pił coś poza winem), zabieram więc puszkę San Miguel (nie, dwie puszki) ze sobą na balkon. Kobieta, która wcześniej spoglądała na mnie z góry, teraz przygląda mi się spod spodu. Nie zwracam na nią uwagi. Zapada zmierzch. Czekam.

Mathiesen wyciąga rękę, przyjaźnie, poprawnie, ale widać, że nie jest zadowolony z sytuacji. Zapraszam ich, by usiedli, częstuję piwem, Mathiesen odmawia, ale dozorca nie. (Zdaje się, że czuje się trochę niezręcznie). Mathiesen mówi:

— Nie podoba mi się to.

— Co?

— Nie powinien pan tu wchodzić, nie uzgodniwszy tego z nami.

— Obawiam się, że nie rozumiem, o co panu chodzi.

— To chyba nietrudno zrozumieć. Uważaliśmy, że należało poczekać. Uważaliśmy tak nie bez powodu.

— Ale to ja jestem teraz właścicielem mieszkania. Ojciec nie żyje. Mój brat Peter i ja dziedziczymy. Nie mogę zrozumieć, na co jest mi potrzebna wasza zgoda.

— Proszę nie być niegrzecznym.

— Jestem tu dozorcą, odpowiadam za te posesje, mówi dozorca (upokorzony).

— Często jest tak, że jest pewna różnica między tym, co nam wolno, a tym, co jest właściwym posunięciem. Przecież pan to rozumie.

Trzech mężczyzn w mieszkaniu denata. Oni obaj na kanapie. Ja w fotelu naprzeciwko, oparty o ścianę.

— Do tej pory rozumiem głównie to, że mój ojciec nie żyje, a ja przyjechałem, żeby się zająć wszystkimi praktycznymi

314 sprawami, i że wszystko wskazuje na to, że panowie, z powodów mi nieznanych, utrudniają mi działanie.

— Ależ skąd — mówi Mathiesen, nadal bardzo spokojnie. — Nikt tutaj nie próbuje panu nic utrudniać. Rozumiemy, że to bardzo trudna sytuacja.

— W zasadzie mam tylko jedno pytanie: gdzie są zwłoki?

— Spróbujmy raczej podejść do tego konstruktywnie.

— Jestem lekarzem, wiem, jak konstruktywnie podejść do wypadku śmiertelnego. Czy został wypisany akt zgonu?

Dozorca pochyła się i chce coś powiedzieć, ale Mathiesen kładzie mu rękę na ramieniu.

— Mieszkamy tu już od dawna. Wiemy, jak należy tutaj działać.

— Więc jak?

— Nie robimy tego w taki sposób.

— Teraz naprawdę już nie wiem...

— Pan jest tu od paru godzin, prawda?

— Tak...

— I rozejrzał się pan wokół. Dużo starszych osób, większość ze Skandynawii. Przybywają tu, by korzystać z życia u jego kresu. Dobre jedzenie, picie. Ciepło, przyjemnie. Pana ojciec też tak pewnie myślał.

— Pewnie tak, ale co z tego?

— Jakby to powiedzieć... nie pierwszy raz już tu ktoś umiera.

— Domyślam się.

— To dobrze się pan domyśla. A hiszpańskie władze nie są szczególnie nastawione na współpracę.

— Czyżby?

— Straszna biurokracja. Skomplikowany system. Kto by chciał tracić siły na walkę z nimi, kiedy straciło się kogoś tak bliskiego.

— Ale...

— Więc wymyśliliśmy nasz własny sposób.

— Co mam rozumieć jako „nasz własny sposób”?

— Z tego co wiem, pańska matka również nie żyje?

Spoglądają na siebie ukradkiem. Kiwam głową. (Skąd do diabła on o tym wie?) Sięgam po puszkę piwa, ale ta jest już pusta, a moment ewidentnie nie jest właściwy do zaproponowania nowej porcji trunków.

— Tak — odpowiadam. — Rak.

— Przykro to słyszeć. Ale chyba sobie państwo życzą, żeby rodzice leżeli razem?

— Oczywiście, ale co...

— Czy zastanawiał się pan, ile może kosztować transport ciała z Hiszpanii do Norwegii?

— Nie myślałem o tym za dużo...

— Całkowite koszty dość łatwo mogą przekroczyć sto tysięcy koron.

— Tak dużo?

— Sto tysięcy koron — powtarza dozorca (wiele mówiącym tonem).

— A my oferujemy panu tę usługę za pięćdziesiąt tysięcy. Transport do domu, wszystkie formalności, wszystko. Pięćdziesiąt tysięcy. Jedyne, do czego musi się pan zobowiązać, to zarzucenie pytań, na które nikt nie potrzebuje znać odpowiedzi.

— Zasada *need-to-know*?

— Właśnie tak. (Uśmiecha się). Wreszcie pan rozumie, правда? Płaci pan dwadzieścia pięć tysięcy teraz, przed wyjazdem, a drugą połowę po pochowaniu ciała, już w Norwegii. Akt zgonu zostanie wystawiony przez anonimowego norweskiego lekarza.

— Co...

— Zator serca spowodowany wieloletnimi zmianami miażdżycowymi. Powinno pasować. Widział pan jego kartę pacjenta?

W półmroku pokoju zapadła cisza. Co mam powiedzieć? Mówię:

— A co się wydarzy, jeżeli odrzucę tę propozycję?

— Wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby miał pan zrobić coś równie niemądrego.

— Czy to groźba?

— Nie ma najmniejszego powodu, żeby snuć takie... insynuacje. To tylko propozycja, na dodatek bardzo łaskawa, moim zdaniem.

To sygnał zakończenia rozmowy. Obaj wstają, Mathiesen miękkimi ruchami, dozorca gwałtownie, jak na rozkaz. Ja siedzę dalej. Patrzą na mnie z góry.

— Musi pan pamiętać, że narażamy się na poważne ryzyko. Niczego nie da się z panem powiązać. Ale proszę się nie denerwować, mało prawdopodobne, żeby coś nieprzewidzianego się wydarzyło. Jak już mówiłem, mam doświadczenie w takich sytuacjach, do tej pory wszystko szło jak z płatka.

Wychodzi. Dozorca stoi jeszcze chwilę na klatce schodowej.

— Dalszy plan jest taki, że Mathiesen przybędzie tu jutro rano, około jedenastej. Gdyby pan podjął decyzję wcześniej, ma pan mój numer. Liczymy, że wszystko się ułoży.

Klepie mnie po ramieniu jak starego kumpla. Jedno mrugnięcie oka i już go nie ma. Chce mi się piwa. W kuchni długo wpatruję się w słabe światło w lodówce, po czym wracam na balkon.

Oversatt av Paulina Horbowicz



Krótkie opowiadanie oparte na faktach

— Za synka.

Janek bawi się korkociągiem, spogląda to na trybiki, to na mnie, a w jego oczach widać prawdziwą ojcowską dumę.

Pijemy ze wzruszenia.

Dziś nasz czternastoletni syn po raz pierwszy w życiu poszedł na wagary, a do domu przywiózł go policyjny radiowóz.

Teraz rozmawia przez telefon.

— Chyba nawet wiem z kim — mówi Janek, wlewa do kieliszków resztkę wina i całuje mnie w usta.

Powinniśmy zapukać i upomnieć syna, że już północ, a jutro na ósmą, więc znów nie będę mogła go dobudzić, coś tam, ale postanawiamy odpuścić.

Cieszy nas, że rozmawia. Cieszy, że potrzebuje co najmniej ośmiu godzin snu. Cieszy, że zamyka drzwi.

Jeszcze nie tak dawno musiały być otwarte przez cały czas, bo w środku nocy nagle zaczynał krzyczeć. Płakał, dopóki nie upewnił się, że jesteśmy obok.

— Chodź.

Janek odkłada korkociąg i całuje mnie w szyję.

Przenosimy się do sypialni.

Godzinę później nadal nie mogę zasnąć. On pobiegł, oczywiście boso, do łazienki. Zawsze tak jest — najpierw leży przez chwilę jak martwy, a potem zrywa się i biegnie do łazienki, a z łazienki do kuchni i wyjada wszystko, co mu wpadnie w ręce. Szynkę.

320 Chleb. Orzeszki. Wafle ryżowe. Zapija to colą i wraca do łóżka ze zziębniętym tyłkiem.

Leżę i myślę o krótkim filmie, który obejrzałam w pracy w porze obiadu. Owszem, był fascynujący. Sprawił, że odstawiłam na biurko niedojedzoną sałatkę.

Plemię Satere-Máwe zamieszkuje teren brazylijskiej Amazonii.

Zgodnie z tamtejszą tradycją chłopcy w wieku naszego syna przechodzą obrzęd inicjacyjny, w czasie którego zakładają rękawice wypełnione mrówkami z gatunku *paraponera clavata*. Ból po ukąszeniu tej mrówki jest trzydzieści razy silniejszy niż ból spowodowany ukąszeniem pszczoły. Jest porównywalny z postrzałem i trwa przez całą dobę. Żaden młodzieniec nie może być uznany za prawdziwego wojownika, dopóki nie założy rękawic dwadzieścia razy pod rząd.

Wódz plemienia tłumaczył, że takie doświadczenie uczy bycia lepszym człowiekiem. Możliwe. Ja zupełnie nie miałam ochoty na *replay*. Nawet nie próbowałam wyobrazić sobie Maćka na miejscu jednego z tych omdlewających z bólu chłopców.

Do głowy mi nie przyszło, że dziesięć minut wcześniej nasz syn przechodził samodzielnie wyreżyserowany obrzęd inicjacyjny. Ryzykował, że go pobiją. Oplują. Albo, w najlepszym wypadku, zniszczą nowy rower.

Sięgnęłam po wzór umowy dla nowego klienta, kiedy zadzwonił telefon.

Janek wraca i wsuwa się pod kołdrę. Przyniósł ze sobą zapach pomidorów, jogurtu, fety i szarlotki.

— Jak tam? — pytam, przesuwając się w stronę ściany. — Czy cenny Mopex 2 Lux wciąż jest na swoim miejscu?

— Owszem.

— Doprawdy, cieszę się, że znów jest z nami.

Mój biegający na bosaka mąż nie znosi lepkich podłóg, dlatego w naszym domu pojawił się niedawno najbardziej zaawansowany

technicznie mop na rynku. Produkt przyszłości. Nadzieja ludzkości. Szansa na normalne życie. 321

Szczęście trwało krótko. Wczoraj wracam, wykończona, ze szkolenia i już od drzwi słyszę, że przepadł bez wieści.

— No przecież stoi za suszarką.

— No, to proszę, pokaż mi gdzie, bo ja najwyraźniej ślepy jestem.

W butach i w płaszczu idę do łazienki — rzeczywiście, nie ma.

Obok suszarki lśni Lux Wiadro w kolorze agresywnie czerwonym. Puste.

— Janek — mówię słabym głosem — uspokój się. Mopy to sobie mogą przepadać bez wieści w willach w Konstancinie, a nie na czterdziestu siedmiu metrach na Powiślu. Maćka pytałeś? Maciek!

Syn spojrział na mnie z za tej swojej za długiej grzywki jak na idiotkę, jakby chciał zapytać „kooobietooo... ooomopiaaaaś?” i wrócił do jedzenia kanapki z pomidorem.

Jego reakcja była jak najbardziej wiarygodna, zważywszy na to, po jakich bojach łaskawie zniża się do odkurzenia dywanu w swoim pokoju.

Mąż spojrział na mnie złym wzrokiem.

— To kto go wyniósł? Pies?

Psa nigdy nie mieliśmy.

Nagle coś mnie tknęło i zajrzałam, tak tylko, na wszelki wypadek, za kosz na bieliznę.

— Jest!

To znaczy są. Włókna, a raczej, pardon, *wytworzone na Islandii włókna mikroaktywne o potrójnej sile działania*. Porzucona peruka średnio zabawnego klauna.

No dobrze. Włókna są, wiadro jest, a pięknego, nowego kija jasny metalik nie ma. Dalsze poszukiwania zakończyły się fiaskiem i nabraliśmy podejrzeń, że ktoś mógł wejść do mieszkania pod naszą nieobecność. Pobiełam do sypialni sprawdzić, czy w szufladzie leży nowa bransoletka, a w szafie torba z jeszcze

322 nowszym laptopem. Wszystko było w porządku, ale kładliśmy się spać z mieszanymi uczuciami.

I chociaż nie przyszło nam do głowy, żeby dzwonić na policję, sprawca czynu oraz miejsce przechowywania kija zostało ustalone przez sierżanta Głojkę zaskakująco szybko, bo już dziś, we wczesnych godzinach popołudniowych.

Janek całuje mnie w kark i czuję na brzuchu chłodną skórę jego dłoni.

— Wcześniej jakoś nie było ci do śmiechu.

— No, muszę przyznać, że synek wie, jak zamieszać. Masz zimne ręce.

— Nic ci nie będzie. Prześmiewcy muszą cierpieć z godnością.

Dobrze nam. Nigdy nie przeszkadzało mi, że nie mamy własnych dzieci.

— Wzięłaś sobie ciotę za męża, to czego się spodziewałaś — brat wykorzystał moment, kiedy znaleźliśmy się sam na sam w kuchni, żeby wyjaśnić mi przyczynę mojej spektakularnej klęski.

Były imieniny ojca, więc postanowiliśmy z Jankiem poinformować wszystkich, że już niebawem adoptujemy sześciolatniego chłopca.

Chłopiec pojawił się w naszym życiu zupełnie niespodziewanie, dzięki zezowatej rzepce kolanowej kuzynki Ilony.

Kuzynka Ilona, poza tym, że uczy niemieckiego, bardzo lubi biegać, grać w tenisa i ulegać kontuzjom. Któregoś dnia zadzwoniła z pytaniem, czy mogłabym ją zastąpić na zajęciach.

— W domu dziecka? Nie wiem, czy podołam, szczerze mówiąc.

— Anita, znasz niemiecki lepiej niż ja. No idź. Zrób coś dla świata.

Poszłam.

Jeden z chłopców śpiewał piosenkę o żabce tak cicho, że musiałam przy nim usiąść, żeby coś usłyszeć.

Dwa miesiące później rozpoczęliśmy starania o adopcję.

Przy stole zapadła cisza.

— Dacie sobie radę z sześciolatkiem? — zapytała mama.

Nie ona pierwsza.

Wszyscy doradzają niemowlęta, najlepiej te odbierane prosto z sali porodowej. Te, które nie trafiły jeszcze do smętnej Krainy Kiwaczków. Starsze mogą mieć problemy z nauką. Cierpieć na zaburzenia snu. Są płaczące. Boją się wszystkiego. Nie chcą jeść.

— Zaryzykujemy — powiedziałam. — Odniosę te talerze do kuchni. Hubert, pomożesz mi?

— Od razu wiedziałem, że tak będzie.

Mój brat uważa ludzi niechętnych przekazywaniu własnych genów za istoty głupsze od zwierząt. Ponieważ w jego mózgu nie istnieje obszar, który pomógłby mu zrozumieć motywy takiego działania, postanowił interweniować. Wy tłumaczyć mi, czym różni się prawdziwy mężczyzna od cioty. Otóż prawdziwy mężczyzna jest w stanie spłodzić prawdziwego syna.

Jego żona Natalia była w szóstym miesiącu ciąży.

Pierworodny, Paweł, miał wyrósć na twardziela.

— Nie będzie mi się mazał jak jakiś pedał.

— No, kochany — powiedziałam — a jak wda się w dziadka i będzie hodował rybki i kwiatki?

— Jasne. Chciałaś powiedzieć — deptał. Ja ci radzę, ty się dobrze zastanów. Idę się odlać.

Jeśli już mowa o rybach hodowanych przez dziadka: wówczas nie miałam jeszcze pojęcia, że mój brat jest fanem metod rozrodczych bojownika syjamskiego.

Bojownik buduje na powierzchni wody gniazdo z piany i zwabia do niego samicę. Tłucze ją bez litości, tak, że w akwarium pływają łuski i fragmenty płetw, a z uciskanego brzucha spływają ziarna ikry. Polewa je spermą i umieszcza w gnieździe. Samicę zabija. Rzadko kiedy udaje jej się zaszyć gdzieś w kącie i przeżyć. Kiedy młode opuszczają gniazdo, doradza się usunięcie samca z akwarium, ponieważ lubi je zjadać.

324 Janek zasnął, ciasno owinięty kołdrą. Przyglądam mu się przez chwilę.

W niczym nie przypomina bojownika syjamskiego. Jest jak niepozorny kogutek kuropatwy, który opiekuje się małymi na spółkę z kurą. Jeśli stracą matkę, zajmie się nimi, a jeśli spotka opuszczone pisklęta, przygarnie je i wychowa.

Wstaję, wsuwam stopy w kapcie i, najciszej jak potrafię, otwieram drzwi balkonowe.

Muszę zapalić.

Jakieś pół roku po naszym rodzinnym spotkaniu moja matka postanowiła pomóc synowej. Zabrała Pawełka na spacer, a przy okazji wstąpiła do osiedlowego warzywniaka. Tam usłyszała historię, od której na trwałe skoczyło jej ciśnienie.

— Pani się teraz opiekuje Pawełkiem? To dobrze, że mają opiekunkę, matka trochę odpocznie. Bo pani wie, co ten jego ojciec wyprawia...

— Tak? — matka spokojnie wybierała pomarańcze, chociaż poczuła nagły ucisk w żołądku.

— O, kochana, tu u nas jest taka Marysia Olczak, pani to jej pewnie nie zna, na drugim mieszka, no i któregoś dnia urządziła sobie to... no, co w majtkach siedzą... bielizna party! Piły wino z koleżankami, wie pani, gadają, a tu nagle słyszą, że jakaś babka krzyczy. Tylko, że to tyle mieszkań, to czasami w ogóle nie wiadomo, skąd głos dochodzi. Były już nieźle wstawione, i w tych majtkach, w tych szlafroczkach, pani sobie wyobrazi, po schodach na czwarte, wpadają do mieszkania, a tam ojciec tego małego żonę tłucze. Jak na niego naskoczyły, za fraki tę dziewczynę i do siebie, a on, to mówię pani, był w takim szoku, że nawet gęby nie zdążył otworzyć. Radziły jej, żeby zgłosiła na policję, ale nie chciała. Może myślała, że się zmieni. Bo ona już wtedy w ciąży była.

Noce są jeszcze chłodne. Zaciągam się i zamykam oczy. W odali słychać dudnienie pociągu.

Kiedy mama wreszcie zdecydowała się opowiedzieć nam o tym, co usłyszała w warzywniaku, w rodzinie zawrzało, ale my nie mieliśmy głowy do zastanawiania się, dlaczego mój brat zamienił się w świra okładającego pięścią ciężarną kobietę. Maciuś był u nas od niedawna i robiliśmy wszystko, żeby czuł się dobrze. Mimo to budził się w nocy z krzykiem, a kiedy wyjeżdżaliśmy i trzeba było zostać gdzieś na noc, od razu zaczynał panikować, że go zostawimy. Nieważne, że byliśmy obok, że zabieraliśmy wszędzie ukochanego pluszowego pieska o tak wymemłanym uchu, że musiałam je przyszyć, żeby nie odpadło. Słońce zachodziło, trzeba było wracać. Przez trzy lata nie mogliśmy wyjechać nawet do dziadków na weekend.

Uczył się nienajgorzej, ale nauczyciele powtarzali, że jest bardzo nieśmiały, nie chce bawić się z dziećmi. Udawał, że boli go brzusek, żeby nie musiał iść do szkoły i żebym została z nim w domu.

Baliśmy się pomyśleć, co będzie w gimnazjum.

Muszę się uspokoić. Jutro z samego rana czeka mnie przygotowanie umowy, którą powinnam była zająć się dzisiaj.

Wyłączyłam film o plemieniu Satere-Māwe, kiedy zadzwonił telefon. Dwadzieścia minut później byliśmy z Jankiem w mieszkaniu. Pod blokiem stał błękitny radiowóz.

Sierżant Głojko poprosił nas o podpisanie jakichś papierów i zrelacjonował przebieg zdarzenia.

Ponieważ marsz prolife pod Sejmem odbył się w południe, wzięty w nim udział głównie grupy starszych osób oraz młodych matek z dziećmi. Wzdłuż trasy przemarszu ustawili się przypadkowi gapie, studenci, skini oraz lekko znudzeni dziennikarze.

Uśmiechnięta nastolatka w zielonym płaszczu rozdawała ulotki z napisem RATUJCIE FOKI.

Inna, z dredami do pasa, kręciła się między ludźmi.

— Czy to jest pani dziecko?

— Tak.

— A gdzie jest to, które pani adoptowała?

— Oj, chyba coś ci się pomyliło. Nie adoptowałam dziecka.

— Jeśli pani nie adoptowała niechcianego dziecka, to nie ma pani prawa wstępu na ten marsz.

— Dziecinko, ja dokonuję duchowej adopcji. Modłę się o ocalenie życia.

— A co się dzieje później z tym życiem?

— Ty się nie wypowiadaj na tematy, o których nie masz pojęcia. Od tego są instytucje.

— Pani by oddała swoje dziecko do instytucji?

— Do ksiązek, do nauki, już, a nie na marsze z dorosłymi chodzić!

— Pani córka ma pięć lat, a też tu przyszła.

— O, ksiądz idzie. Zaraz zrobi porządek.

— Proszę księdza, prawda, że Jezus był adoptowany?

— Słucham?

— Józef go adoptował.

— No... w sumie... Można tak powiedzieć.

Naraz oczom sierżanta Głójki oraz tłumy zgromadzonych ukazał się samotny, idący pod prąd, przeraźliwie chudy nastolatek. Jedną ręką prowadził rower, a w drugiej niósł tablicę na długim kijku od, zdaje się, mopa, z nieco przekrzywionym napisem **POZWÓLCIE KOBIECIOM DECYDOWAĆ O SOBIE**.

Na szczęście natychmiast otoczyło go czterech policjantów, którzy pilnowali, żeby bezpiecznie dotarł do radiowozu. Po chwili dołączyła do niego dziewczyna z dredami.

Janek wzdycha przez sen.

Gaszę papierosa i wracam do łóżka.

Rano jak zwykle jesteśmy spóźnieni, pijemy kawę na stojąco.

— Mama...

— Co tam?

— Miałaś mi usprawiedliwić.

— Już napisałam. Weź sobie, leży na szafce.

- Dzięki.
- Kanapki nie zapomnij. Maciek!
- Co?
- Kanapkę weź.
- Czekaj synu — mówi Janek. — Daj. Ojciec też ci podpisze.

En kort fortelling basert på fakta

— Skål for gutten vår.

Janek leker med vinopptrekkeren, ser litt på tannhjulene, litt på meg, og i øynene hans kan man se ekte faderlig stolthet.

Vi drikker fordi vi er rørt.

I dag skulket vår fjortenårige sønn for første gang, og han ble kjørt hjem i politibil.

Nå snakker han i telefonen.

— Jeg tror til og med jeg vet hvem han snakker med — sier Janek, heller resten av vinen i glassene og kysser meg på munnen.

Vi burde vel banke på og minne ham om at det er midnatt, at han begynner klokken åtte i morgen, og at det igjen vil bli vanskelig å vekke ham, si et eller annet, men vi bestemmer oss for å la være.

Vi er glade for at han snakker. Vi er glade for at han trenger minst åtte timer søvn. Vi er glade for at han lukker døren.

Det er ikke så lenge siden den måtte være åpen hele tiden, for han begynte plutselig å skrike midt på natten. Han gråt helt til han hadde forsikret seg om at vi var der.

— Kom.

Janek legger vekk vinopptrekkeren og kysser meg på halsen.

Vi flytter oss til soverommet.

En time senere får jeg fortsatt ikke sove. Han sprang selvfølgelig barbert inn på badet. Det er alltid sånn — først ligger han helt stille et øyeblikk, og så spretter han opp og springer inn på

330 badet, og fra badet springer han inn på kjøkkenet og spiser det han finner. Skinke. Brød. Nøtter. Riskaker. Han skyller det ned med cola og kommer tilbake til sengen med kald rumpe.

Jeg ligger og tenker på kortfilmen jeg så i lunsjpausen på jobb. Ja, den var fascinerende. Den gjorde at jeg satte fra meg den halv-spiste salaten på skrivebordet.

Stammen Satere-Mawe bor i delstaten Amazonas i Brasil.

I tråd med stammens tradisjon gjennomgår gutter på vår sønns alder en innvielsesseremoni der de tar på dem hansker fylt med maur av arten *paraponera clavata*.

Denne maurens bitt er tretti ganger sterkere enn smerten fra et bistikk. Den kan sammenlignes med et skuddsår og varer i et døgn. Ingen gutt blir anerkjent som ekte kriger før han har tatt på seg hansken, og det *tjue* ganger på rad.

Stammehøvdingen forklarte at slik blir man et bedre menneske.

Det er mulig. Men jeg hadde ikke lyst på *replay*. Jeg prøvde ikke engang å forestille meg Maciek i samme situasjon som en av disse guttene, som var nær ved å besvime av smerte.

Det falt meg ikke inn at sønnen vår ti minutter tidligere hadde gått gjennom en egenregissert innvielsesseremoni. Han risikerte å bli slått ned. Spyttet på. Eller, i beste fall, få den nye sykkelen ødelagt.

Jeg strakk meg etter en kontrakt til en ny kunde da telefonen ringte.

Janek kommer tilbake og kryper inn under dynen. Han har med seg lukten av tomater, yoghurt, fetaost og eplekake.

— Hvordan går det? — spør jeg, mens jeg flytter meg mot vegg. — Er den dyrebare Mopex 2 Lux fortsatt på plassen sin?

— Jepp.

— Jeg er virkelig glad for at den igjen er blant oss.

Mannen min, som springer rundt barbent, hater klissete guly, og for en liten stund siden ble vi derfor eiere av den teknisk mest

avanserte moppen på markedet. Et produkt av fremtiden. Som gir håp for menneskeheten. Som legger til rette for at man kan leve et normalt liv.

Lykken varte kort. Jeg kom tilbake fra kurs i går, utslitt, og med en gang jeg kom inn døren hørte jeg at den var sporløst forsvunnet.

— Men den står jo bak tørkestativet.

— Ja, men da må du vise meg hvor, for jeg er tydeligvis blind.

Jeg gikk inn på badet med skoene og jakken på — den var virkelig borte.

Ved siden av tørkestativet glinset Bøtten Lux i en aggressiv rødfarge. Den var tom.

— Janek — sa jeg med spak stemme — ro deg ned. Mopper kan forsvinne sporløst i villaer i Konstancin, ikke på førtisyv kvadrat i Powiśle. Har du spurt Maciek? Maciek!

Sønnen min så på meg gjennom den lange luggen som om jeg var en idiot, som om han ville spørre: “Er du helt mopp, eller?” og begynte igjen å tygge på brødskiven med tomat. Reaksjonen hans var absolutt troverdig, tatt i betraktning kampene som må til for at han skal nedverdige seg til å støvsuge teppet på rommet sitt.

Mannen min så på meg med et olmt blick.

— Hvem er det da som har tatt den? Hunden?

Vi har aldri hatt hund.

Plutselig fikk jeg en innskyttelse og kikket for sikkerhets skyld bak skittentøyskurven.

— Her er den!

Det vil si: her er de. Trådene, eller snarere, beklager, *de Island-produserte mikroaktive trådene med trippel virkningskraft*. En midtels morsom klovns gjenglemte parykk.

Greit. Trådene er her, bøtten er her, men den vakre, nye stangen er for svarte metallic ikke her. Den videre letingen endte i fiasko og vi begynte å mistenke at noen hadde vært i leiligheten

332 mens vi var ute. Jeg sprang inn på soverommet for å se om det nye armbåndet lå i skuffen, og om den enda nyere laptopen lå i vesken i skapet. Alt var i orden, men vi la oss med en følelse av uro.

Og selv om det ikke falt oss inn å ringe politiet, ble gjerningsmannen og stangens tilholdssted fastlåst av sersjant Głojka forbausende raskt, for allerede i dag, i de tidlige ettermiddagstimene.

Janek kysser meg i nakken og jeg kjenner den kalde hånden hans på magen.

— Tidligere syntes du ikke det var spesielt morsomt.

— Nei, jeg må innrømme at gutten vet hvordan han skal lage bråk. Du har kalde hender.

— Det takler du. Spottefugler må lide med verdighet.

Vi har det godt. Det har aldri gjort meg noe at vi ikke har egne biologiske barn.

— Du har giftet deg med en soper, så hva ventet du deg — broren min utnyttet øyeblikket da vi var alene på kjøkkenet for å forklare meg årsaken til mitt spektakulære nederlag.

Det var navnedagen til faren vår, så Janek og jeg bestemte oss for å informere alle om at vi snart skulle adoptere en seks år gammel gutt.

Gutten dukket opp i livet vårt helt uventet, takket være den skjeve kneskålen til min kusine Ilona.

Ved siden av å undervise i tysk, likte Ilona å løpe, spille tennis og bli skadet. En dag ringte hun og spurte om jeg kunne vikariere for henne.

— På barnehjemmet? Jeg vet ikke om jeg klarer det, hvis jeg skal være helt ærlig.

— Anita, du kan tysk bedre enn meg. Kom igjen. Gjør noe for verden.

Jeg dro.

En av guttene sang sangen om frosken så stille at jeg måtte sette meg ved siden av ham for å høre noe.

To måneder senere var vi i gang med adopsjonsprosessen.

Stillheten senket seg over bordet.

— Klarer dere å håndtere en seksåring? — spurte moren min.

Hun var ikke den første.

Alle rådet oss til å adoptere spedbarn, gjerne rett fra fødeavdelingen. De som ennå ikke har havnet i det dystre Trasslandet. De eldre kan ha problemer på skolen. Lide av søvnproblemer. De gråter mye. De er redd for alt. De vil ikke spise.

— Vi tar sjansen — sa jeg. — Jeg tar de tallerkene ut på kjøkkenet. Hubert, kan du hjelpe meg?

— Jeg visste at det kom til å bli sånn.

Broren min mener at mennesker som er uvillige til å bringe genene sine videre er dummere enn dyr. Da han mangler ressursene i hjernen som kanskje kunne ha hjulpet ham med å forstå motivene bak en slik handling, bestemte han seg for å gripe inn. Forklare meg hva som skiller en ekte mann fra en soper. Det viser seg at en ekte mann er i stand til å frembringe en ekte sønn. Hans kone Natalia var seks måneder på vei.

Hans førstefødte, Paweł, skulle bli en tøffing.

— Han skal ikke syte som en eller annen homse.

— Å, vennen — sa jeg — hva hvis han tar etter bestefaren sin og begynner med fisk og blomster?

— Ja, særlig. Du mener vel å trække på fisk og blomster. Hør på meg, tenk deg godt om. Jeg går og pisser.

Når vi først snakker om fiskene til bestefar: på det tidspunktet ante jeg fremdeles ikke at broren min var en fan av forplantningsmetodene til den siamesiske kampfisken.

Kampfisken bygger et reir av skum i vannoverflaten og lokken hunnen inn i det. Han slår henne nådeløst, sånn at det flyter skjell og biter av finner i akvariet, og slik at rogn renner fra den sammentrykte buken hennes. Han spruter så sæd på rognen og legger den i reiret. Så dreper han hunnen. En sjelden

334 gang klarer hun å gjemme seg i et hjørne og overleve. Da de unge forlater reiret rådes man til å fjerne hannen fra akvariet, for han liker å spise dem.

Janek har sovnet, med dynen tett rundt seg. Jeg ser på ham et øyeblikk. Det er ingenting ved ham som minner om en siamesisk kampfisk. Han er som den lite iøyenfallende hannen til rapphønen, som tar vare på de små sammen med hunnen. Hvis de mister moren tar han seg av dem, og hvis han finner forlatte fugleunger tar han dem til seg og fostrer dem opp.

Jeg står opp, tar på meg tøflene, og åpner balkongdøren så stille som mulig.

Jeg må ta meg en røyk.

Omtrent et halvt år etter familiesammenkomsten bestemte moren min seg for å hjelpe svigerdatteren sin. Hun tok med lille Paweł på butikken, og der hørte hun en historie som fikk blodtrykket hennes til å sprette opp, og siden bli der på permanent basis.

— Du passer Paweł nå? Det er bra at de har en dagmamma, sånn at moren får hvilt litt. For du vet hva han faren holder på med?

— Nei? — moren min plukket rolig fram appelsiner, selv om hun kjente at magen hennes plutselig trakk seg sammen.

— Å, kjære, det bor en Maria Olczak her hos oss, du kjenner henne sikkert ikke, hun bor i tredje, og en dag arrangerte hun sånn... sånn når de sitter i bare trusa... undertøysparty! De drakk vin med venninnene, vet du, og plutselig hører de et eller annet kvinnemenneske rope. Men det er bare det at det er så mange leiligheter, så av og til er det ikke godt å si hvor stemmen kommer fra. De var ganske brisne allerede, i de trusene, i morgenkåpene, kan du se det for deg, opp trappen til femte, og der står han og slår kona si. De hoppet på ham, tok henne med seg, og han, skjønner du, han var så sjokkert at han ikke rakk å åpne kjeften engang. Da rådet de henne til å anmelde ham, men hun

ville ikke. Kanskje hun trodde at han kom til å forandre seg. For hun var gravid allerede.

Nettene er fortsatt kjølige. Jeg trekker inn og lukker øynene. I det fjerne høres drønningen fra et tog. Da moren min endelig bestemte seg for å fortelle oss om det hun hadde hørt i grønnsaksbutikken ble det bråk i familien, men vi hadde ikke tid til å lure på hvorfor broren min hadde blitt til en gærning som banket opp en gravid kvinne. Maciek hadde nylig kommet til oss og vi gjorde alt for at han skulle ha det bra. Likevel våknet han om natten og skrek, og når vi reiste vekk og måtte overnatte et sted fikk han panikk og trodde at vi kom til å forlate ham der. Det spilte ingen rolle at vi var rett ved siden av, at vi hadde med plysjhunden han var så glad i, den med øret han hadde kost så mye med at jeg måtte sy det fast for at det ikke skulle falle av. Solen gikk ned, vi måtte dra hjem. I tre år kunne vi ikke engang dra på helgetur til bestemor og bestefar.

Han gjorde det ikke så verst på skolen, men lærerne gjentok at han var veldig sjenert, at han ikke ville leke med de andre barna. Han lot som om han hadde vondt i magen for at han skulle slippe å gå på skolen og for at jeg skulle bli hjemme med ham.

Vi ville ikke tenke på hva som kom til å skje på ungdomsskolen.

Jeg må roe meg ned. I morgen tidlig må jeg forberede kontrakten jeg ikke fikk ordnet i dag.

Jeg slo av filmen om stammen Satere-Mawe da telefonen ringte. Tjue minutter senere var Janek og jeg i leiligheten. Foran blokken stod det en blå politibil.

Sersjant Głojko ba oss om å underskrive noen papirer og refererte handlingsforløpet.

Demonstrasjonen Prolife fant sted foran Riksdagen klokken tolv, og derfor var det hovedsaklig grupper med eldre og unge mødre med barn som deltok. Langs marsjruten stod det tilfeldige tilskuere, studenter, skinheads og litt blaserte journalister.

En smilende tenåring i en grønn jakke delte ut flyveblader med påskriften REDD SELENE.

En annen, med dreads til midjen, gikk rundt i folkemengden.

— Er det ditt barn?

— Ja.

— Og hvor er det du har adoptert?

— Nei, nå tror jeg du har misforstått. Jeg har ikke adoptert et barn.

— Hvis du ikke har adoptert et uønsket barn, så har du ikke rett til å delta i denne demonstrasjonen.

— Lille venn, jeg foretar en åndelig adopsjon. Jeg ber om at liv skal bli reddet.

— Og hva skjer med det livet etterpå?

— Ikke uttal deg om temaer du ikke vet noe om. Vi har institusjoner for sånt.

— Du hadde gitt barnet ditt til en institusjon?

— Du burde lese en bok eller være på skolen, i stedet for å gå her med de voksne!

— Datteren din er fem år, og hun er også her.

— Se, nå kommer presten. Han ordner opp.

— Pater, er det sant at Jesus var adoptert?

— Hva sier du?

— Han ble adoptert av Josef.

— Ja... egentlig... Ja, det kan man si.

Plutselig så sersjant Głojka og resten av forsamlingen en ensom, radmager tenåring som gikk mot strømmen. Han leide sykkelkelen med den ene hånden, og i den andre holdt han en plakate som var festet til en lang stang, mest sannsynlig en moppstang, med den litt skjeve påskriften LA KVINNENE BESTEMME SELV.

Heldigvis ble han med en gang omringet av fire politimenn, som passet på at han kom seg trygt til politibilen. Jenta med dreads fulgte snart etter.

Janek sukker i søvne.

Om morgenen er vi som vanlig sent ute, vi drikker kaffen stående.

— Mamma...

— Ja?

— Du skulle skrive melding til læreren.

— Jeg har skrevet den. Bare ta den, den ligger på benken.

— Takk.

— Ikke glem matpakken. Maciek!

— Hæ?

— Ta med matpakken.

— Vent litt, gutten min — sier Janek. — Kom med den. Pap-pa skal også underskrive.

Oversatt av Agnes Banach



Zupełny nie(z)byt Willema

Powrót Willema Bradforda do rodzinnego G. Springs nie był oparty żadnymi uściskami, oparty na całusach, ani tym bardziej na okrzykach radości. Całkowita cisza zastana w domu matki nawet wprawiła go w dobry nastrój. Niezręczność odtwarzania domu krok po kroku czyniła go swego rodzaju odkrywcą, szybko jednak minęła...

Kiedy Willem stanął w progach, które jakoby znał, mniej więcej, nastąpiło, choć trudno określić dzień i godzinę, morderstwo.

Mr i Mrs Bradford — właściciele domu. Wyjątkowo dziwna para. Mrs Bradford — matka Willema. Kobieta łagodna, skłonna jednak do wybuchów, afektów, napadów, eksplozji i wielu sercowych niewypałów. Właścicielką domu jest właśnie ona. Mr Bradford, bardzo opresywny wobec pasierba, karmi go cukierkami, które następnego dnia nazywa gównem, i godzinę szuka mu czapki, choć i tak wiadomo, że Willem potrzebuje zupełnie innej. Zwykłej, czarnej, szarej, no takiej jak Rocky Balboa... albo nie potrzebuje w ogóle, bo jest piętnaście stopni w cieniu.

Willem dowiaduje się o tym bardzo szybko. W ciągu około trzynastu dni rozpoznaje już wszystkie schematy zachowań, jakie stosuje wobec niego Mr Bradford.

Mrs Bradford żyje w ciemnym cieniu swojego partnera, czy może raczej konkubenta, choć sama nie używa tego wyrazu. Nie tylko z powodu jego postury. Mr Bradford jest po prostu dosyć podłym emocjonalnym szantażystą. Prosty, rostry facet, który

340 zawsze chciał być rzeźnikiem, a ni stąd ni zowąd został scenografem w Teatrze Narodowym. Trzy razy w tygodniu odchodzi od matki Willema, by trzy godziny później wrócić do domu i przyznać, że trochę się zagalopował.

 Że biedny miś. Że biedny miś. Że biedny miś.

Mrs Bradford jest uzależniona. Nałogowo żyje tak, jak robią to ludzie wchłonięci przez różne środki wpływające na ośrodkowy układ nerwowy. Kiedy Mr Bradford spóźnia się na obiad aż siedem minut, ona wie już, że odszedł od niej po raz kolejny. Mr Bradford przychodzi za minutę i chwali pomidorową Mrs Bradford przez dobre pół godziny.

A Willem uzależniony jest od benzodiazepin. Liczyłby na większy wybór leków, które mu zapisują lekarze, ale oni ograniczają się w zasadzie do Xanaxu, Lexotanu, Lorafenu, Tranxene... Willem chciałby mieć zapas kilku opakowań Relanium 5 mg.

Jak pamięta, tylko Relanium zmiękcza nogi tak dziwnie śmiesznie, cała reszta pochodnych Diazepamu działa już tylko tak, że Willem po prostu musi je łyknąć. Zjada listek i zaraz musi zjeść następny. Willem nie ma problemu ze spożyciem opakowania Xanaxu 0,5 mg w ciągu jednego dnia.

 To nie jest jeszcze tak dużo.

Tak naprawdę Mr i Mrs Bradford nazywają się zupełnie inaczej, ale Willem nie zna prawdziwego nazwiska człowieka, z którym żyje jego matka. Partnera albo konkubenta.

Willem też nie nazywa się Bradford, ponieważ jego prawdziwy ojciec nie jest z nim w najlepszych stosunkach. Brat również. Willem używa nazwiska pradziadka ze strony ojca matki, co powoduje mnóstwo komplikacji. Ale nie one są teraz ważne.

Mr Bradford z reguły traktuje Mrs Bradford jak cham i prostak. Oprócz tego nienawidzi pedałów, czarnuchów i Żydów. Najlepiej, według niego, byłoby, gdyby świat znów poznał kogoś tak prawego jak Adolf Hitler.

Oprócz Państwa Bradford w domu mieszka jeszcze kilka osób. Jest na tyle duży, że Mr Bradford i Mrs Bradford urządzili tam swego rodzaju pensjonat.

Mr Bradford przeforsował nazwę „Orle Gniazdo”.

Mieszka więc Eve, która wykłada fizykę na uniwersytecie. Willem zauważa, jak ogląda przez teleskop niby to gwiazdy, a tak naprawdę — jak ludzie pieprzą się w sąsiednim bloku. Jest fizycznie nieatrakcyjna i jej masturbacja przy teleskopie sprawia, że Willem ma pewne poczucie absmaku w związku z powrotem do G. Springs.

W pokoju na końcu korytarza, tuż obok łazienki, mieszka Sally, która jest szybsza niż być potrafi. Jest jak lokomotywa wyprzedzająca tory. Przytrzasnęła Willema drzwiami tak, że zerwała mu paznokiec u nogi. Całkowicie zamknięta w sobie, ma krzepę, ale jej mózg zdecydowanie źle nią steruje. No i nie maluje paznokci.

Obok Sally, w najmniejszym pokoju, mieszka Theodor, który może być kiedyś taki, jak Ted Bundy. Nie wychodzi z gier komputerowych. Gada do siebie w zasadzie bez przerwy. Strach z nim rozmawiać. 29 lat. Nie ruchał i wciąż zalega z rachunkami.

Willem wkracza w to wszystko, żeby obmyślić nowe życie. Zraniony, zdradzony przez żonę bohater ucieka od niej do rodzinnego G. Springs. Po tygodniu mieszkania w tym dziwnym sanatorium uświadamia sobie, że być może uciekł przed opresją i gniotącym poczuciem winy za to, co robił.

Uciekł do 170 metrów kolejnej zarazy.

Wszystko zaczyna traktować jako ograniczanie jego wolności i postanawia zaprowadzić własny porządek.

Tak. Willem wszystko wokół zaczyna widzieć jako ograniczenie jego wolności i dość szybko wpada w rodzaj obłądu, terroryzując członków tej chorej, według niego, społeczności.

To dla niego pewien rodzaj skaryfikacji.

Willem Bradford, oddychając powietrzem G. Springs, czuje, że nie jest to już oddech świeży. Sądzi, że pewne lata, oczywiście zdaje sobie sprawę z trywialności tego spostrzeżenia, sądzi, że pewne lata już minęły.

Trzeba wiedzieć, że Willem do G. Springs powrócił po zupełnie nieudanym związku małżeńskim. Jego trzymiesięczny pobyt w Berlinie na stypendium dla uzdolnionych, względnie młodych twórców, sprawił, że chłopaka zastał już ze swoją żoną. Ze swoją ukochaną napotkał go w statusie jej przyszłego małżonka.

Kathie Bradford miała na palcu dwa pierścionki zaręczynowe oraz obrączkę.

A Willem kochał ją kiedyś tak, jak praktycznie się nie kocha.

Jego następny trzymiesięczny pobyt w ośrodku dla uzależnionych, względnie młodych ludzi miał mieć miejsce po powrocie z zaćpanego Ost Berlin, ale rzeczy potoczyły się, jak się potoczyły.

A jak długo okłamywałaś matkę?

Że palę?

Że palisz.

Nie okłamywałam ich, bo nie pytali nigdy, czy palę. Nie umiesz słuchać i nie obchodzili cię moi rodzice i nie liczyłeś się z moimi potrzebami i oczekiwałeś czegoś innego i ja na coś innego czekałam.

A jak długo okłamywałaś mnie?

Tak.

Willem, zastanawiając się długo, podjął szybką i nagłą decyzję, że jednak nic nie trzyma go już w mieście naftaliny, jak zwykł nazywać je Ojciec. Willem, nie zastanawiając się, pewnej soboty o godzinie piątej trzydzieści siedem wsiadł do pociągu jadącego po torach prowadzących do G. Springs.

Był tak cholernie naćpany, że okradli go ze wszystkiego oprócz biletu.

Teraz Willem na czubku języka ma czasem lato roku 1985, kiedy miał lat czternaście albo może siedemnaście. Nie wie tego Willem Bradford, bo tego po prostu się nie wie.

Kiedy Willem stanął w progach, które jakoby znał, mniej więcej, nastąpiło, acz trudno określić dzień i godzinę, morderstwo.

Kto zabił?

Willem Bradford nie zamordował nigdy nikogo i jego udział w tej sprawie możemy, choć nie musimy, wykluczyć.

Tylko, kogo byśmy podejrzewali? Albo, kogo Willem Bradford, jego była żona, policja, jej teściowie podejrzewają o zamordowanie Paula?

Willema Bradforda, który miał oczywisty motyw, a jego alibi polega na tym, że danego, nie wiadomo którego dnia, spędzał czas mieszając cukier w filiżance z herbatą, którą popijał różne środki psychotropowe. One nie są przecież jego najlepszymi świadkami. Herbata. Cukier. Stół. Krzesła. Lustro. Willem Bradford jest tak przecpany, że skłonny jest wierzyć w to, co mówi do niego policja.

W każde słowo. I jest mu dokładnie wszystko jedno, co powiedzą.

Dziwne jednak jest, że Willem B. dotychczas nie został nawet na sekundę aresztowany. On też, w przebłyskach słońca, zadaje sobie pytania, czemu tak to właśnie jest.

Tak. Willem jest człowiekiem całkowicie wolnym.

Powrót Willema Bradford do New Ironworks nie był poparty żadnymi uściskami, oparty na całusach, ani tym bardziej na okrzykach radości. Całkowita cisza zastana w domu jego byłej żony wprawiła go nawet w dobry nastrój. Niezręczność tego pierwszego kroku odtwarzania małżeństwa na nowo czyniła go swego rodzaju odkrywczą, szybko jednak minęła...

Kathie Bradford, która nie zdążyła jeszcze zmienić nazwiska, aresztowana została trzy dni po jego powrocie.

344 I stał się nagle najwolniejszy czas jego życia. Życia w zupełnej samotności, pozbawionego więc krótkich oczekiwań na coś cholernie niedobrego.

Willem Bradford już nigdy więcej nie pozwolił sobie powrócić.

Willems fullstendige ikke(helt)væren

Willem Bradfords tilbakekomst til hjemstedet G. Springs ble verken møtt med omfavnelser, kyss eller gledesutrop. Men den fullstendige stillheten i morens hus fikk ham faktisk i godt humør. Det pinlige ved å gjenskape huset skritt for skritt gjorde ham til en slags oppdager, men det varte ikke lenge...

Omtrent da Willem kom tilbake til huset han trodde han kjente, ble det begått et mord.

Mr. og Mrs. Bradford var eierne av huset og ellers et svært merkelig par. Mrs. Bradford — Willems mor, en mild kvinne, med hang til utbrudd, affekter, anfall, eksplosjoner og kjærlighetsfiaskoer. Det er hun som er eieren av huset. Mr. Bradford er en mester til å undertrykke stesønnen, mater ham med sukker-tøy som han neste dag kaller dritt, og bruker en time på å lete etter luen hans, selv om det er klart at Willem trenger en helt annen; en vanlig, svart, grå, ja, sånn som Rocky Balboa... eller sant skal være sagt; han trenger den egentlig ikke, for det er femten grader i skyggen.

Willem finner ut av dette veldig fort. I løpet av cirka trettende dager identifiserer han Mr. Bradford og adferden han bruker mot ham.

Mrs. Bradford lever i den mørke skyggen av partneren sin, eller snarere mannen hun lever i konkubinatsforhold med. Og det skyldes ikke bare kroppsbygningen hans. Mr. Bradford er rett og slett et ganske usselt emosjonelt vesen. En enkel, tettbygd mann som

346 alltid ville bli slakter, men som helt ut av det blå ombestemte seg og ble scenograf ved Nasjonalteatret. Tre ganger i uken går han fra Willems mor, for så å komme tilbake tre timer senere og innrømme at han overdrev litt.

Stakkars vennen. Stakkars vennen. Stakkars vennen.

Mrs. Bradford er avhengig. Uforbederlig lever hun som misbrukerne av sentralstimulerende midler. Hvis Mr. Bradford er syv minutter for sen til middag, tror hun at han har forlatt henne. Mr. Bradford ankommer ett minutt senere og roser Mrs. Bradfords tomatsuppe i godt og vel en halvtime.

Og Willem er avhengig av benzodiazepin. Han regnet med at legene ville skrive ut et større utvalg medisiner, men de begrenser seg til Xanax, Lexotan, Lorafen, Tranxene... Willem ville helst hatt et lager med forpakninger av Relanium 5 mg.

Så vidt han kan huske er det bare Relanium som gjør at beina svikter på en morsom måte, resten av medisinene som er avledet av Diazepam har en virkning som gjør at Willem grådig hiver dem i seg. Han svelger ett flak og spiser det neste med en gang. Willem har ikke problemer med å spise en pakning Xanax 0,5 mg i løpet av en dag.

Det er faktisk ikke så mye.

Egentlig heter Mr. og Mrs. Bradford noe helt annet, men Willem kjenner ikke det virkelige navnet til mannen moren hans bor sammen med. Til partneren eller mannen hun lever i konkubinatsforhold med.

Willem heter heller ikke Bradford, for den virkelige faren hans har ikke det beste forholdet til ham. Heller ikke broren. Willem bruker navnet til oldefaren på morfarens side, noe som fører til et utall komplikasjoner. Men det er ikke de som er viktige nå.

Mr. Bradford oppfører seg som regel som en usling og en tosk mot Mrs. Bradford. Bortsett fra det hater han homser, svartinger og jøder. I følge ham ville alt vært bedre hvis verden igjen hadde funnet noen like hederlige som Adolf Hitler.

Bortsett fra herr og fru Bradford bor det et par stykker til i huset. Det er såpass stort at Mr. og Mrs. Bradford har laget et slags pensjonat der.

Mr. Bradford insisterte på å kalle det "Ørneredet".

Her bor altså Eve som underviser i fysikk på universitetet. Willem legger merke til at hun later som om hun ser på stjernene gjennom teleskopet, mens hun egentlig ser på folk som knuller i naboblokken. Hun er ikke attraktiv fysisk, og hennes masturbasjonsøker ved teleskopet gjør at Willem føler en viss avsmak forbundet med sin tilbakekomst til G. Springs.

På rommet i enden av korridoren, rett ved badet, bor Sally, som er raskere enn hun har godt av. Hun er som et lokomotiv som kjører utenfor togs�kinnene. Hun smekket døren over Willems tær, sånn at en negl ble revet av på en av dem. Hun er fullstendig innesluttet, har mye energi, men dessverre fordeler hjernen hennes dette overskuddet helt feil. Og dessuten lakker hun ikke neglene.

På det minste rommet, ved siden av Sally, bor Theodor, som har anlegg til å bli en ny Ted Bundy. Han er en upult 29 åring som aldri betaler regningene i tide. Han fyller dagene sine utelukkende med dataspill. Han babler høyt med seg selv. Det er også forferdelig å måtte prate med ham.

Willem er her for å tenke ut et nytt liv. Den sårede helten, bedratt av sin kone, flykter til hjemstedet G. Springs. Etter å ha bodd en uke på dette merkelige sanatoriet innser han at han kanskje har flyktet fra store problemer og dårlig samvittighet.

Han har flyktet til 170 meter med mer elendighet.

Ja. Willem begynner å se alt rundt seg som et angrep på friheten sin, og går ganske raskt inn i et slags vanvidd, ved å terrorisere medlemmene av dette, i følge ham selv, syke fellesskapet.

Det er en form for selvskading.

Willem Bradford kjenner at luften han puster inn i G. Springs ikke lenger er frisk.

Han mener at en viss periode, han er selvfølgelig klar over trivialiteten i den oppdagelsen, er over og forbi. Det må sies at Willem kommer tilbake til G. Springs etter et fullstendig mislykket ekteskap. Hans tre måneder lange opphold i Berlin på et stipend for unge kunstnere gjorde at han kom hjem og fant sin kone sammen med en annen mann. Mannen var sammen med hans elskede, og hans status var hennes blivende ektemann.

Kathie Bradford hadde to forlovelsesringer og en giftering på fingeren.

Og en gang elsket Willem henne usannsynelig høyt.

Det neste oppholdet hans i senteret for avhengige, relativt unge mennesker skulle finne sted etter returen fra knarke Ost Berlin, men ting ble som de ble.

Og hvor lenge løy du til moren din?

At jeg røyker?

At du røyker.

Jeg løy aldri til dem, for de spurte aldri. Du kan ikke lytte, du brydde deg ikke om foreldrene mine, og du tenkte ikke på behovene mine. Du forventet noe annet og jeg ventet på noe annet.

Og hvor lenge løy du til meg?

Ja.

Willem, som hadde tenkt lenge, tok en rask og plutselig avgjørelse om at det likevel ikke var noe som holdt ham igjen i *naf-talenbyen*, som Faren brukte å kalle den. Uten å tenke seg om, en lørdag klokken sytten trettisyv, satte Willem seg på toget som gikk til G. Springs.

Han var så jævlig ruset at de stjal alt, bortsett fra billetten.

Nå tenker Willem av og til på sommeren året 1985, da han var fjorten eller kanskje sytten år. Willem Bradford vet ikke dette helt nøyaktig, for slik vet man bare ikke.

Omtrent da Willem kom tilbake til huset han trodde han kjente, ble det begått et mord.

Hvem var morderen?

Willem Bradford myrdet aldri noen, og hans innblanding i denne saken kan vi, selv om vi ikke trenger, utelukke.

Men hvem skal vi mistenke? Eller, hvem mistenker Willem Bradford, ekskona hans, politiet og svigerforeldrene hennes for mordet på Paul?

Willem Bradford, som hadde et klart motiv, og har et alibi som går ut på at han, på den ikke nøyaktig fastsatte dagen, tilbrakte tiden med å røre sukker rundt i en kopp med te, som han siden brukte til å svelge forskjellige psykotropiske midler med. Det er jo ikke de beste vitnene. Teen. Sukkeret. Bordet. Stolene. Speilet. Willem Bradford er så ruset at han er tilbøyelig til å tro på alt politiet sier. På hvert eneste ord. Og det de sier er ham revnende likegyldig. Men det er likevel merkelig at Willem Bradford foreløpig ikke har blitt arrestert. Også han, i glimt av solen, stiller seg spørsmålet om hvorfor det egentlig er slik.

Ja. Willem er et fullstendig fritt menneske.

Willem Bradfords tilbakekomst til New Ironworks ble verken møtt med omfavnelser, kyss eller gledesutrop. Men den fullstendige stillheten i ekskonens hus fikk ham faktisk i godt humør. Det pinlige ved det første skrittet i gjenskapelsen av ekteskapet gjorde ham til en slags oppdager, men det varte ikke lenge...

Kathie Bradford, som ikke hadde rukket å endre etternavnet sitt enda, ble arrestert tre dager etter at han kom tilbake.

Og plutselig inntraff den mest langsomme tiden i livet hans. Et liv i fullstendig ensomhet, og dermed fratatt den korte ventingen på noe som var jævlig dårlig.

Willem Bradford tillot seg aldri mer å vende tilbake.

Oversatt av Agnes Banach



Prawda

Siedzimy w kuchni z pisarzem norweskim, który przypomina nadspodziewanie spokojne dziecko, a przecież tak narozrabiał w norweszczyźnie; w jego książkach, jak w *Labiryncie fauna*, norwedyckie potwory ożywają w łożysku niewygodnej prawdy o kolaboracji z nazizmem.

— Na studiach poznałem emigranta, starego Żyda z Polski imieniem Leon — opowiada Nils. — Nienawidził Norwegii za to, że nie dała mu pracy adekwatnej do wykształcenia. Tam był polonistą w szkole, tu dostał posadę woźnego na politechnice; nie odzywał się do nikogo całymi dniami, chodził z wiadrem pełnym brudnych mydlin, szorując podłogi i mamrocząc coś pod nosem w języku spalonym w komorach gazowych. I pewnie z powodu tych komór bardziej od Norwegii nienawidził Polski. Nie tylko dlatego, że to tam Wszystko się zdarzyło. „Przeżyłoby nas więcej, gdyby nie Polacy — krzyczał. — Nigdy nie zaznałeś takiej nienawiści, jak my od Polaków. Gdyby nie oni, Wszystko by się nie wydarzyło”. Nigdy nie chciał podać szczegółów, na jego temat krążyły najbardziej fantastyczne plotki. Jedni mówili, że Polacy zamordowali w 1939 roku jego rodzinę. Do jego miasteczka wtargnęła niemiecka kompania, żołnierze wywelekli polskiego burmistrza i zażądali wskazania domów żydowskich. Polscy sąsiedzi wykonali zadanie z nadatkiem. Niemcom wystarczyło stanąć na Rynku i obserwować przebieg zdarzeń, czasem tylko powietrze zdzielił głuchy klaps wystrzału, pozostawiając na

352 bruku ciało zdjęte skurczami jak umykający zaskroniec. Ciekawe, czy żyje jeszcze niemiecki oficer, przeraźliwie chudy rudzielec o twarzy usianej pryszczami, obserwujący ze zgrozą początki pierwszej wojny swego życia? (Mówią, że były to pierwsze dni Września). Czy pamięta, jak Polacy wpadli do domu młodego wówczas Leona, gdzie jego ojciec prowadził skład bławatny? Ojciec stanął w progu, usiłując zablokować wejście, ale przewodzący napastnikom wiejski pijaczyna Gąsiorek odepchnął go mocno; ojciec zatoczył się, oparł o blat stołu i wtedy powaliło go precyzyjne uderzenie pałki — prosto w skroń, jakby młody Szarpak nie spędził ostatnich lat jako skryba w urzędzie, a w rzeźni przy tłuczeniu świniaków. Upadł na podłogę, znieruchomiał, leżąc jak trup, z półotwartymi oczyma, ale żył jeszcze, dlatego mała Gajka wczepiwszy się weń najpierw krzyczała wniebogłosy, ale potem już nieco ciszej, jakby uspokoiło ją chwilowe oszukanie śmierci. Matka Leona nie wiedziała, co robić, czy ratować męża, czy bronić dzieci? Postąpiła krok w stronę leżącego ciała, coś wyszeptwała, chciała krzyknąć, ale nie mogła — ciężki but śmierci już nastąpił jej na krtań. Potem, w ułamku sekundy cofnęła się, rozłożyła ręce odcinając oprawców od dzieci, rozbiegających się po domu jak rozlana woda, aż wreszcie złapali ją za jasny, aryjski zupełnie warkocz, bo matka Leona nie wyglądała na Żydówkę. Sąsiedzi często mówili jej o tym w tonie komplementu: „Jak pani pięknie wygląda, nawet lepiej niż n a s z e”, albo w tonie wyrzutu: „Pani to na pewno katoliczka, po co się z Cwikauerem prowadzać? Toż to są śmierzące pieniądze, czosnkiem śmierzące i polskim potem, bo na polskim pocie oni się pasą, z polskiej pracy spijają śmietankę. Owszem, będzie pani bogata, ale pieniądze szczęścia nie dają. Przyjdzie dzień, w którym pani zapłacze, że z Żydem poszła”.

Ale matka Leona nie zapłakała. Nigdy się nie dowiemy, czy to z dumy, odwagi, czy może z powodu szoku. Mogła też po prostu nie zdążyć, bo gdy ją wywlekli za warkocz z domu, poprawiając

kilkoma uderzeniami z otwartej dłoni, gdy kazali uklęknąć i złożyć z tyłu ręce, by syn młynarza mógł związać je tym sznurkiem, którym wiązał worki pełne mąki, od razu wepchnęli jej w usta jakąś szmatę. I tak klęczała przed domem może jeszcze kwadrans, widząc przez otwarte szeroko odrzwia, co dzieje się w środku. Patrzyła na Leona, którego złapali pierwszego, bo największy, dojrzewający, więc niezgrabny, nie miał gdzie się schować. Złapali go we dwóch, Gąsiorek i jakiś chłopak ze wsi, którego nie znała, szesnastoletni może, niewiele starszy od jej syna. Walnął Leona pięścią, potem raz jeszcze, z wyraźną satysfakcją, i trzymał mocno za ramiona, na klęczkach, jak mu Gąsiorek kazał. Patrzyła na Szarpaka, jak próbuje Gajkę oderwać od nieprzytomnego ojca, ale nie daje rady; może to ze względu na chude ramiona, niemal bez śladu mięśni? Skryba w końcu ciężarów nosić nie musi, parę godzin przy biurku, ot i cała robota. Tak ją ciągnął, tak się z nią szamotał, że małe, okrągłe okulary spadły mu na ziemię prosto w kałużę krwi, co zdążyła wypłynąć z głowy jej ojca. Zaśmiali się chłopcy, nie pierwszy raz zresztą, bo kto to przecież widział nosić okulary, kto to widział spędzać całe dnie przy papierzyskach, przy księgach, w zaduchu. Nie chciał Szarpak za smyka grać z nimi w piłkę, włączyć na drzewa i biegać po krzakach, nie chciał bawić się w wojnę, udając strzelanie z kijków w kształcie pistoletu, ale oto dorósł i prawdziwa wojna przyszła mu w sukurs, może nadrobić zaległości. Patrzyła więc na niego matka Leona, gdy nie dając sobie rady z oderwaniem Gajki od ojca, podniósł pałkę, tę samą, którą powalił jej męża, z kępą jego włosów przyklejonych do krwawego skrzepu, i uderzył dziecko dwa razy, raz w plecy, raz w główkę. I wtedy obraz zakołysał się, rozszczępił na setki kolorowych pasm i utonął w morzu czerni, a zgromadzeni roześmiali się, bo kula, którą Niemiec wpakował matce Leona w tył głowy, wyszła ustami i trafiła w łydkę jednego z chłopców. Zaraz zaczął podskakiwać na zdrowej nodze, kląć na czym świat stoi, „ale to

tylko otarcie” zaśmiał się żołnierz niemiecki, Polak z Wrocławia, za którego pośrednictwem niejeden już biznes mieszkańców wioski z Niemcami ubili. „Nie strzelać, idioci! Rykoszety!” — niemiecki oficer dodawał sobie powagi krzykiem, ale miał rację, przed domem co prawda ziemna droga, ale ściany murowane, taki rykoszet mógł groźnie zranić.

I nie zobaczyła matka, ale zobaczył Leon, jak Gąsiorek złapał Gajkę za nóżki i cisnął na dwór, leciała jak lalka, obracając się wokół własnej osi, po drodze uderzywszy jeszcze główką o framugę. Widział przeniknięte cieniem sylwetki mężczyzn tłukących ciało jego ojca, najpierw kijami, które przynieśli, potem znalezionymi w domu metalowymi prętami. Kiedy pół godziny później pod domem przejeżdżał wóz, na który rzucano zwłoki ofiar i za którym szli pobici, poszarpani Żydzi prowadzeni do zagajnika, gdzie Niemcy zastrzelili ich i wrzucili do wykopanego przez wieśniaków dołu, ojciec dawno już nie żył. Leon widział, jak sąsiedzi wynoszą naczynia, pieniądze, bele materiału; dwie z nich zdawały się protestować przeciw tej grabieży, pulsowały, wydawały jednostajne buczenie, jakby uwięził w nich rój pszczół. Ale tych nie zabrali od razu, jak innych, rzucili je pod domem i zaczęli się śmiać wniebogłose, przekrzykiwać jeden przez drugiego, grajek podał nutę, zaśpiewali piosenkę o Rudym Kurze, co pod żydowską chatą zapał. I zaczęli je oblewać naftą z butli. I wtedy Leon zrozumiał, że to nie lniane bele ożyły w przedziwnym proteście przeciw sąsiedzkiej przemocy, a jego najmłodsze rodzeństwo, bliźniaki, każdy zawinięty w jeden śmiertelny kokon leżą pod domem, czekając na koniec. I patrzył, jak grajek flegmatycznym gestem odpala zapałkę, jak bele zajmują się w mgnieniu oka płomieniem najpierw jasnoniebieskim, potem coraz gęstszym, czerwieniejącym. Słyszał dźwięk dochodzącego z kokonów, straszniejszego niż krzyk, bo stłumionego przez ich grube warstwy basowego vibrato. Takiego dźwięku nie jest w stanie z siebie wydobyć dziecko. A jednak ten dźwięk

tam był — Leon nigdy tego nie zapomni — wirował wokół niego, napełniał powietrze wrzaskliwym zapachem spalonego mięsa, wreszcie chlasnął po świadomości i cisnął nieprzytomnym chłopcem o ziemię.

Leon ocknął się w obcej, przestronnej izbie, pachnącej gulaszem, zanurzonej w półmroku. Naprzeciw łóżka, przy wielkim stole, siedział rudy niemiecki oficer, ten sam pryszczaty młodzieniec, który kierował pacyfikacją. Skończył właśnie jeść; na stole stały miska z łyżką i pół bochna chleba. Zapisywał coś zapamiętane na papierowym formularzu. Rubryczki raportu zapełniały się, rosły, wreszcie oficer odłożył pióro, spojrział na Leona, zamarłego z przerażenia, i wskazał mu krzesło naprzeciw siebie. Leon wstał, szedł do stołu jakby przez kisiel, jak w snach o ucieczce przed uzbrojonymi bandytami, gdy nogi odmawiają posłuszeństwa tuż przed bezpieczną kryjówką. Usiadł. Niemiec podsunął mu miskę z gulaszem, wyjął bagnet, odkroił pajdę chleba, wcisnął do ręki. Leon jadł, nie patrzył na Niemca, ale czuł na sobie jego przenikliwe spojrzenia, ginął w nich jak w przepastnym wąwozie. Raz po raz spoglądał na bagnet, zostawiony przez oficera tuż obok, myślał, czy zdąży go złapać, zanim Niemiec sięgnie po pistolet, czy zdoła sięgnąć przez całą długość stołu, by dźgnąć go i uciec, samotnie, nie wiedząc dokąd.

Skończył jeść. Oficer wstał i zaczął chodzić wokół izby, po kilka kroków w jedną i zwrot, kilka w drugą i znów z powrotem, w nieznośnie precyzyjnym rytmie. Zatrzymał się przy sakwach, wyjął brulion i kilka ołówków. Szukał czegoś przez dłuższą chwilę odwrócony tyłem do chłopca, Leon chwycił bagnet, ruszył w stronę Niemca, uniósł uzbrojoną dłoń, na jedną chwilę zawahał się i to wystarczyło, teraz patrzył oficerowi prosto w oczy. Stali tak przez jakiś czas, Leon nie pamięta jak długo, mogło to być kilka sekund, mógł być i kwadrans, ze strony człowieka w mundurze czuł siłę zmieszana z pewnością i bezgranicznym spokojem; musiał ulec, był małym, przerażonym chłopcem,

356 był Wrzesień, Wszystko było jeszcze przed nim, jeszcze nie był gotowy na wbicie noża w brzuch niemieckiego żołnierza. Dłoń zaciśnięta na rękojeści bagnetu rozplotła się, broń upadła na klepisko. Oficer wziął go za rękę, poprowadził, krzesło ustawił na środku izby i usadził chłopca. Zdjął mu koszulę przez głowę, delikatnie, bez niepotrzebnej brutalności, odrzucił ją na łóżko, ujął Leona pod brodę i ustawił głowę lekko pod kątem do góry; Leon widział teraz pajęczynę dumnie rozciągniętą na drewnianym stropie. Niemiec wziął ołówek i blok. Zaczął rysować; ciemne nitki szkicu zawinęły się wokół chudej piersi Leona, zanurkowały w jego wklęsłym mostku, bez kłopotów zatoczyły koła wokół drobnych, jasnobrązowych sutków, niemal nieodróżnialnych barwą od skóry, podkreśliły kilka pierwszych włosów wyrosłych pod pachami, wątłych jak pierwsze zimowe pędy, spływały w kaskadzie żeber aż do brzucha uwięzionego między dwoma pasmami bioder, aż zakończyły podróż, zasypiając w niewyraźnej kulce wystającego pępka.

Kiedy umilkło ciche szuranie ołówka, Leon nie ośmielił się zrazu spojrzeć na Niemca. Nie odważył się nawet zmienić pozycji, trwał niewzruszenie jak leśny bożek zaklęty w kamień. Zorientował się wreszcie, że oficer siedzi spokojnie, z głową wspartą na dłoniach, smutny, zmęczony, wpatrzony w niego, jakby chciał zażyć ostatnich haustów niewinności. I znów siedzieli nie wiedzieć jak długo, Leon nie pamięta, co wtedy czuł, czy w ogóle myślał o Niemcu, o jego żołnierzach, o polskich sąsiadach? Czy ich nienawidził, czy nie miał na to siły? Czy trząśił się z zimna, czy w ogóle nie czuł wczesnojesiennego chłodu? (Tamten wrzesień był wyjątkowo pogodny). Chyba jednak dygotał, nie pamięta tylko czy z zimna, czy z przerażenia, bo oficer założył mu koszulę, a na ramiona narzucił koc. Do pokoju wszedł jakiś żołnierz, zaszalutował, złożył krótki meldunek. Oficer spakował rysunek do przenośnej tuby, założył płaszcz, zarzucił sakwy na ramię i dał chłopcu znak do wyjścia.

Jechali odkrytym mercedesem, z adiutantem, kierowcą i strażnikiem uzbrojonym w schmeissera, w kolumnie złożonej z czterech ciężarówek i pojazdu opancerzonego, pełnych żołnierzy. Jechali na zachód, po szerokiej, ziemnej drodze, suchej i żółtej jak Sahara, w stronę miasta, nad którym zaległy ciężkie chmury huk wystrzałów. Im byli bliżej, tym palba była rzadsza, a gdy zauważyli pierwsze zabudowania, wszystko ucichło. Na rogatkach zatrzymał ich kontrolny posterunek, żołnierze szybko sprawdzili dokumenty i kazali wjeżdżać; gdy główną ulicą jechali do rynku, przez moment ogarnął ich czarny dym kilku płonących budynków. Polacy bronili się krótko, najpierw na wzgórzu nieopodal miasta, potem w zrujnowanej fortecy w zakolu rzeki. Ostrzał z kilku dział i karabinów maszynowych wystarczył, do tego grupa piechurów w strojach maskujących sforsowała rzeczkę kilka kilometrów wyżej i podeszła Polaków z zaskoczenia. Tamci uciekli, zostawiając kilkunastu jeńców siedzących teraz kręgiem pod ratuszem, powiązanych jak niemowlęta w becikach. Leon pamięta, że tylko kilku z nich miało mundury, reszta nosiła cywilne ciuchy, skromne, przeważnie podarte marynarki. Oficer wziął Leona za rękę, poprowadził za sobą, pod jedną z kamienic, gdzie inny oficer rozmawiał z wysokim, eleganckim mężczyzną z wypomadowanym wąsem, ubranym w stalowoszary garnitur z kamizelką. Oficer zamienił z nim kilka słów po niemiecku, po czym delikatnie pchnął chłopca w jego stronę. „No cóż, młody człowieku” — powiedział mężczyzna tonem formalnym, lecz ciepłym. „Na jakiś czas zostanie pan z nami”. Leon odwrócił się, ale Niemca już nie było, nie spostrzegł go nigdzie na placu, nie spotkał nigdy więcej. Chociaż... zdarzyło mu się raz, jeszcze przed emigracją, jakoś w połowie lat sześćdziesiątych, gdy pojechał na wakacje nad łuzyckie jeziora, spostrzec z ulicy za ladą sklepu z artykułami dla malarzy siwego mężczyznę, mocno posuniętego w latach, tęgiego, który ani posturą, ani kolorem włosów nie przypominał tamtego młodego,

358 rudego jak lis oficera. Leon zadrzał jednak, bo w oczach subiekta dostrzegł tę samą zmęczoną pasję, z jaką zderzył się tamtego straszego, wrześnieowego dnia. I jeszcze tego samego dnia uciekł z Cottbus, spakował walizki i wrócił do Polski, przez wiele tygodni nie mogąc zaznać spokoju.

Elegancki mężczyzna, który przyjął Leona pod swój dach, nazywał się Józef Leberman. Był szanowanym w mieście lekarzem, jednym z nielicznych przedstawicieli miejscowej inteligencji, bezdzielnym. Zajmował z żoną przestronne, czteropokojowe mieszkanie w jednej z uliczek odchodzących od Rynku; Leon miał tam idealne warunki. Dziś z przerażeniem wspomina, że wcale nie myślał o zgładzonych rodzicach i rodzeństwie; tamten świat odpłynął od niego, jak po przebudzeniu odpływają powidoki koszmarnego snu. Teraz miał nową rodzinę, szybko nauczył się kojarzyć odruchowo słowa „ojciec” i „matka” z nowymi twarzami, nowymi zapachami, nowym porządkiem. „Tamci” nie przynależeli do terażniejszości, ich brak nie mógł więc boleć, byli jak słabo pamiętane szczenię utopione przed laty, którego pamięć znika wobec towarzystwa nowego, wesołego psiaka.

Do jesieni 1940 roku żyli dobrze; Józef miał sporo odłożonej gotówki, w mieście był tylko jeden kilkunastoosobowy niemiecki posterunek, a porządku pilnowała polska policja. Musieli odeśłać gosposię, nie jadali frykasów, ale nie głodowali; w małej stabilizacji czekali na bieg zdarzeń. Józef zabierał Leona na targowisko, jedzenia było mniej niż przed wojną, ceny wyższe, ale atmosfera została bez zmian; rumiany Kacprzyk, od lat sprzedający doktorostwu warzywa, witał Józefa jak zawsze, z uśmiechem, siarczyście całując w oba policzki. Ceny poszły co prawda w górę, czasem nie dało się dostać mięsa, ale Kacprzyk potrafił zadbać o dobrego klienta. Zawód Lebermana dawał mu gwarancję stałych dochodów, nieporównywalnych wprawdzie z przedwojennymi, ale wystarczających na przeżycie. Leon wychodził bawić się z innymi dziećmi, dało się wyczuć pewne napięcie,

dzieciaki obserwowały się wzajem jak koty, ale kończyło się bez-
troskimi wygłupami. Jednak im bardziej gorąco było na dworze,
tym chłodniejsze relacje panowały na podwórku. Latem agre-
sja zaczęła materializować się także wśród dorosłych. Pewnego
dnia Lebermana wezwano do polskiego pacjenta, przedwojen-
nego oficera, obecnie dorabiającego czasowymi wyjazdami na
roboty do Niemiec. Doktor oczyścił mu i opatrzył fatalnie gojącą
się kontuzję nogi. Oficer odmówił zapłaty. „Won stąd”, warknął,
jego syn brutalnie wypchnął Lebermana z domu. Pogorszyło się
także na targu. „Panu to się znakomicie powodzi, doktorze” —
mówił Kacprzyk — „Zastanawiam się, jak to możliwe, przecież
jeszcze w październiku zabronili wam mieć więcej jak 2000 zł.
No tak, ludzie biedni, ale na lekarza zawsze znaleźć muszą...
Ale wie pan co, ja mogę im pomóc, obniżyć im ceny. Jakim to
sposobem? Zarabiając więcej na takich jak pan”. Od tego dnia
cena kartofli czy mleka, wyższa dotąd od przedwojennej czte-
rokrotnie, dla Lebermana skoczyła o kolejnych sto procent. We
wrześniu polskie i żydowskie dzieci bawiły się już oddzielnie,
ulubiony plac na brzegu rzeki przechodził z rąk do rąk, zajmo-
wany przez tych, którzy danego dnia zjawili się na nim pierwsi.
W połowie października do miasta przyjechał większy oddział
niemiecki, padł rozkaz — wszyscy Żydzi mieli przenieść się na
dwie równoległe ulice spięte przecznicą odchodzącą od Rynku.
Rodzina Leona już tam mieszkała, nie musiała się więc prze-
prowadzać, dokwaterowano im jednak dwie rodziny, w sumie
jedenaście osób, sklepikarza z żoną i trójką dzieci oraz bezro-
botnego pijaczka z konkubiną i czwórką przychówku. Leon nie
odczuł boleśnie pogorszenia warunków życia, próbował nawet
opiekować się młodszymi dziećmi, z czasem lgnęli do niego jak
do prawdziwego starszego brata. Józef kompletnie się załamał;
dzień wprowadzenia się nowych lokatorów spędził, siedząc nie-
ruchomo w ulubionym fotelu, patrząc jak zawiany Lejb Gutman
wlecze przez salon toból wypełniony szmatami (wkrótce zaległ

360 w nich wraz z konkubiną, Żydom nie wolno było zabrać pościeli), jak z jego papierosa, cuchnącego machorką, popiół spada na ulubiony dywan Józefa, na specjalne zamówienie sprowadzany ze Stambułu, jak porcelanowe putto roztrzaskuje się na podłodze, strącone przez roześmiane dziecko.

Getto teoretycznie było zamknięte, ale w zamian za łapówkę można było w miarę swobodnie poruszać się po mieście. Tylko trzydzieści najlepiej utrzymanych mieszkań po Żydach zarezerwowano na potrzeby Niemców i ich lokalnych pomagierów. Pozostałych uzbrojeni żandarmi pilnowali tylko przez kilka dni. Gdy tylko ustąpili, wlała się do nich oszalala ludzka masa, o sumieniach zatrutych od wszechotaczających dóbr. „Bierzcie, to pożyczdowskie”, „Oni już tu nie wrócą” — wołali. Pożyczdowskie. Słowo, którego nie znajdziecie poza polszczyzną. Leon patrzył na sąsiadów walczących o mieszkania i dobytek, patrzył, jak w ogniu walki przewracały się meble, tłukły talerze, pięści zderzały się ze szczękami w tępym plaśnięciu. „Nie wejdiesz tu, okurwieńcu, już moja żona wcześniej zajęła”, wrzeszczał potężny mężczyzna, wymachujący nogą urwaną od ozdobnego krzesła, stojący w progu pięknego domu kaletnika Szwicera. Leon patrzył, jak drab rozdaje razy na prawo i lewo, jak stateczne chrześcijanki rozszarpują wywleczone z szaf suknie, i wtedy dopiero, z górą rok po tragicznych zdarzeniach września, poczuł czułe objęcia słodkiej siostry — nienawiści.

Kilka dni później Józef został napadnięty przez grupę młodych Żydów. Zaciągnęli go do bramy, pobili i obrabowali. Napastniczka pluła mu w twarz, jej towarzysze krzyczeli: „Pieprzony burżuju, żresz co dzień frykasy, a my głodujemy”. W rzeczywistości pieniądze prawie mu się skończyły. Gutman co dzień przychodził prosić o pieniądze na wódkę. Zawsze był grzeczny, układny; na jego nabrzmiałej od alkoholu twarzy, pokrytej gęstą siatką zmarszczek, zakwitał rumieniec zażenowania. Nigdy nie próbował kraść, nawet w chwilach największej desperacji; wtedy

po prostu tłukł żonę, ciskał nią po pokoju jak workiem pełnym kartofli, darł włosy z głowy, kopniakami rozpędzał krzyczące dzieci. Tylko w takich chwilach Józef cierpiał z braku pieniędzy, wolałby oddać wszystkie Gutmanowi i słyszeć tylko ciężkie westchnienia śpiącego pijaka, z rzadka przerywane głośnym pierdnięciem. Kiedy więc pewnego dnia przyszła wieść, że Gutman nie żyje, po raz pierwszy od miesięcy poczuł coś na kształt radości. Wiadomość przyniósł Mordechaj, wysoki, przeraźliwie chudy chłopak, przed wojną student poznańskiej wszechnicy, syjonista z przekonania, intelektualny autorytet miejscowej młodzieży. Niemcy zastrzelili Gutmana na rogatkach, podobno był nietrzeźwy, podobno im złorzeczył — to nie miało znaczenia. Józef spał, wycieńczony poczuciem winy, a jego żona pocieszała Rachelę i dzieci. Najstarsza córka zmarłego, dwunastoletnia Ryfka wyrwała się z objęć matki i wbiegła do pokoju Lebermanów, gdzie upadła w kącie, zanosząc się płaczem. Leon objął ją, przytulił, jej łzy studziły jego gorącą pierś, ostry zapach dziewczęcego łoju bijący z jej włosów zatruwał jego tożsamość, niweczył resztki niewinności, zalegał w podbrzuszu twardym, wilgotnym cieniem. Leon przytulił Ryfkę mocniej, przylgnął krocem do jej uda, za oknem padł kolejny strzał, chłopiec zadrżał, ale nie wydał żadnego odgłosu.

Tygodnie mijały w rodzącym się głodzie, w czerwcu kolejnego roku gruchnęła wieść o ataku Niemiec na Sowiety. Hitlerowcy zażądali od mieszkańców getta finansowej kontrybucji w absurdalnej kwocie pół miliona złotych. Gdyby nawet zebrać całą gotówkę od każdego mieszkańca, nie udałooby się tyle uzbierać. W domu Lebermanów zapanowała panika. Do tej pory zmarła najmłodsza siostra Ryfki i jedno z dzieci sklepikarza, w całym getcie głodowa pożoga uśmierciła kilkudziesięcioro mieszkańców. Pewnego gorącego dnia do getta wpadła polska policja, Niemcy obstawili krańce ulic i tylne wyjścia z budynków, wstępu na teren getta wzbraniała im rodzima administracja wojskowa.

362 Mocnymi kopniakami wywalali policjanci kolejne drzwi, żądali wydania wszystkich pieniędzy i kosztowności. Jakikolwiek opór karali biciem — mieli ze sobą solidne, drewniane pałki, niektórzy nosili przy pasach pistolety. Wpadli też do domu Leona. Lebermanowie nie próbowali się bronić, sklepikarz nie chciał oddać ostatniej gotówki, policjant zdzielił go pałką w twarz, krew buchnęła z rozbitego nosa. Inny mundurowy wywalił na podłogę całą zawartość bieliźniarki, znalazł zwitek banknotów; nim wrzucił je do rekwizycyjnego worka, odliczył kilka sztuk i podzielił między siebie i kolegów. Dwie bramy dalej policjanci zastukali do domu Mordechaja, który otworzył im i grzecznie zaprosił do środka. Domownicy siedzieli na największym łożu, dosiedleni lokatorzy skupili się w drugim pokoju. Policjanci zaczęli skrupulatne przeszukania mebli, Mordechaj przeprosił ich, mówiąc, że musi do łazienki, z szafki nad wanną wyjął naładowanego Visa, słysząc za sobą kroki, przycisnął broń do krocza i osłaniając ją lewą ręką, zrobił krok do tyłu. Gdy policjant przekroczył próg, przyłożył mu lufę do skroni i nacisnął spust. Mózg z kawałkami czaszki bryznął na ścianę, ciało runęło do wanny. Mordechaj wpadł do pokoju, dwa razy strzelił do policjanta przeszukującego sekretarzyk, pierwsza kula walnęła w ścianę, druga strzaskała lustro. Obaj granatowi rzucili się do ucieczki, Mordechaj strzelił raz jeszcze, znów pułkując; gdy stanął naprzeciwko drzwi, obok głowy śmignął mu pocisk wystrzelony z półpiętra. Ścisnął Visa w obu dłoniach, wziął oddech, wycelował, czekając na ofiarę. Słyszał okrzyki nawołujących się oprawców, ale nie rozumiał tego, co mówią; na chwilę przed śmiercią jego dusza ostatecznie odkleiła się od Polski. Ze schodów zeskoczył policjant, stanął w drzwiach, przez moment spojrzeli sobie w oczy, Mordechaj pomyślał: „Kiedyś się znaliśmy”, chciał strzelić, ale palce odmówiły mu posłuszeństwa, porażone potwornym bólem płynącym z podbrzusza, palące ciepło ogarnęło mu brzuch i uda. Oparł się o ścianę, usłyszał kolejny

huk, lewa ręka zapłonęła, pistolet upadł na podłogę, Mordechaj usiadł, wbiegających policjantów widział jak przez krwawy filtr. „Znaliśmy się”, pomyślał, kiedy Andrzej brał go za rękę i włókł do okna, przypomniał sobie piłkarski mecz sprzed lat, pamiętał dośrodkowanie, po którym wyskoczył do piłki tak wysoko, że nikt nie zdołał go dosięgnąć. Andrzej leżał w bramce, patrzył na Mordechaja ze złością pokonanego sportowca, ale i z podziwem. Przeraził go jasne słońce oślepiało Mordechaja, rozmywało ludzkie kształty, ziemia zbliżała się szybko, aż nadeszło uderzenie, a światło zgasło. Leon patrzył, jak policjanci wyrzucają Mordechaja przez okno, a ich koledzy na dole tłuką go pałkami do chwili, aż w czerwonym strumieniu spoczęła czarna, mięsna masa.

— Zaczekaj — przerywam Nilsowi. — To przecież nie ma sensu.

— Pozwól mi skończyć — mówi Nils. — To dopiero początek historii. Zostało jeszcze kilkanaście lat uzasadnienia dla jego nienawiści. Jeszcze kilkadziesiąt powodów, dla których absurdalna dla ciebie teza o Polakach jako oprawcach gorszych od nazistów jest najprawdziwszą prawdą, przynajmniej dla Leona — a przecież nie ma prawdy, która zdolna byłaby obsłużyć wszystkich.

— Jestem w stanie zrozumieć jego ból i rozgoryczenie — mówię. — Mordercy jego rodziny nosili polskie nazwiska, mieli polskie paszporty i mówili po polsku. Ale dlaczego mamy oceniać tę niewątpliwą zbrodnię w kategoriach rasowych? To byli po prostu bandyci, zabijaliby zawsze, to okoliczności sprawiły, że mogli to zrobić bez konsekwencji właśnie tam i właśnie wobec jego rodziny.

— A skąd wzięły się te okoliczności? — pyta Manfred, cichy zazwyczaj poeta z Niemiec, bacznie przysłuchujący się naszej rozmowie. — Dlaczego Polacy zaatakowali swoich sąsiadów, w równej mierze będących ofiarami hitlerowskiego najazdu? Dlaczego wyręczyli nazistów? Czy przedwojenny polski antysemityzm ulotnił się jak kamfora? Czy może znalazł nagłą możliwość

364 ujęcia w dążeniu do nagłego wzbogacenia się, pod ochroną nazistowskiego projektora?

— To ciekawe, że używasz określenia „naziści” — mówię. — Ja wolę określenie „Niemcy”. Bo to przecież Niemcy wybrali Adolfa Hitlera, to Niemcy walczyli w armii, która napadła Polskę i wiele innych krajów, to Niemcy rozstrzelali w lesie Żydów z tamtego miasteczka. Zdecydowaną większość tamtych Żydów. Rodzina Leona była wyjątkiem od reguły. Powinien nienawidzić Niemców.

— Czy wiesz, że większość niemieckich Żydów przeżyła wojnę? — pyta Nils. Umożliwiano im ucieczkę za granicę, przechowywali ich aryjscy przyjaciele, znajdowali schronienie dzięki przedwojennym znajomościom — w końcu sporą grupę działaczy NSDAP stanowili przedwojenni socjaliści, a nawet komuniści, którzy wstępowali do partii albo z pragmatyzmu, albo z nadziei na odmianę losu zwykłych Niemców!

— Próbujecie mnie przekonać, że Niemcy to niewinne aniołki, a całą brudną robotę odwalili za nich skurwysyny Polacy? To kompletny absurd! — krzyczę. — Jakkolwiek nie byłbym krytyczny wobec własnego kraju i prób koloryzowania niewygodnych aspektów naszej przeszłości, nigdy nie zgodzę się na takie postawienie sprawy. Mniejsza już o to, jak wielu Polaków znalazło się w gronie Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata, ale zdajecie sobie chyba sprawę z ogromu terroru, jakiemu podlegaliśmy od początku wojny? Od pierwszych jej miesięcy! Jak można w tej sytuacji kuć teorie o systemowej współpracy Polaków z Niemcami przy zagładzie Żydów?

— Rozumiem, że prawda jest dla ciebie niewygodna — mówi Manfred. — Ale zastanawiałaś się chyba, dlaczego naziści umieścili swoje obozy zagłady na terenie Polski? Dlaczego nie na Węgrzech, w Rumunii, Grecji, Czechach, Niemczech?

— Dlatego, że odsetek Żydów był największy właśnie tam — odpowiadam. — W Polsce, na Ukrainie, w Białorusi, w Rosji, skąd łatwo było dowieźć ofiary do obozu.

— Nie, mój drogi — odpowiada Manfred. — Umieścili swoje obozy tam, gdzie nie tylko nie spodziewali się problemów ze strony lokalnej ludności, ale więcej — spodziewali się jej wsparcia.

— Brednie! — krzyczę.

— Dlaczego rządy sojusznicznych Węgier czy Bułgarii — ciągnie niezrażony Manfred — nie pozwoliły na wydanie swoich żydowskich współobywateli? W Bułgarii do samego końca wojny, na Węgrzech konieczny był do tego przewrót, a w okupowanej Polsce ludność pomagała zabijać Żydów, wymuszała od nich łapówki, z radością przejmowała ich mieszkania i warsztaty? Oj, nie lubisz prawdy, mój drogi.

— A co, jeśli opowieść Leona nie jest prawdą? Jeśli jego resentyment płynie z zupełnie innych, niewinnych źródeł? — pytam. — Albo przeciwnie, nie tylko nie zaznał on żadnych krzywd ze strony Polaków, ale wręcz sam wyrządził im niezliczone krzywdy i teraz próbuje zamaskować wyrzuty sumienia agresją? A może prawda jest jeszcze bardziej skomplikowana, może stosunek winy i cierpienia jest równy, za to ich natężenie tak silne, że Leon nie jest w stanie sobie z tym poradzić i nienawidzi tylko tej Polski, jaka jest teraz, tęskniąc za tą bezpowrotnie utraconą, zburzoną przez czas, w którym spadło na nią Wszystko?

Przy stole zapada głęboka cisza, nawet gęste kotary papierosowego dymu wydają się zdolne ją zakłócić w swoim trującym szumie.

— Opowiem wam teraz, co w rzeczywistości zdarzyło się Leonowi — mówię, przeczuwając rychłe nadejście własnej, bezpiecznej Prawdy.

Sannheten

Vi sitter på kjøkkenet med den norske forfatteren. Han er som et veldig rolig barn, på tross av at han har greid å lage mye bråk i den norske litteraturen; i bøkene hans, som i *Pans Labyrint*, vekkes de nordiske monstrene til live i reiret av den ubehagelige sannheten om kollaborasjonen med nazismen.

— Da jeg var student møtte jeg en emigrant fra Polen, en gammel jøde ved navn Leon — forteller Nils. — Han hatet Norge fordi han aldri fikk en jobb som var relevant for utdannelsen hans. Der hadde han vært polsklærer, her fikk han jobb som vaktmester på en teknisk høyskole; det gikk dager uten at han snakket til noen, han gikk rundt med en bøtte skittent såpevann, mens han skurte gulvene og mumlet for seg selv på det samme språket som tyskerne forsøkte å utslette i gasskamrene. Og det var på grunn av kamrene at han hatet Polen enda mer enn han hatet Norge. Ikke bare fordi det var der Alt skjedde. “Flere av oss hadde overlevd, hadde det ikke vært for polakkene” — ropte han — Du kan ikke forestille deg det hatet som polakkene hadde mot oss. Hvis det ikke hadde vært for dem, så hadde ikke Alt skjedd”. Leon ville ikke fortelle i detalj, og det gikk de villeste rykter om ham og hans historie. Noen sa at polakkene hadde myrdet hele familien hans i 1939. Et tysk kompani invaderte byen han bodde i, soldatene anholdt den polske borgermesteren og krevde at innbyggerne skulle peke ut de jødiske husene. De polske naboene gjorde det og mere til. Tyskerne kunne bare stå

på torget og se på det som skjedde; fra tid til annen gikk det et skuddsmell gjennom luften, og en kropp ble liggende og vri seg som en flyktende buorm på fortauet. Mon tro om den tyske offiseren lever fortsatt, den radmagre, rødhårede mannen med det kvise ansiktet, han som med frykt observerte begynnelsen på den første krigen i sitt liv? (Det sies at det var de første dagene i september). Han husker vel hvordan polakkene brast inn i den unge Leons hus, der faren drev en tekstilbutikk? Faren stilte seg på terskelen og prøvde å sperre inngangen, men landsbyfylliken Gąsiorek, som ledet angriperne, dyttet ham bort; faren vaklet, støttet seg mot bordflaten, før han ble felt av et kølleslag — rett i tinningen, som om den unge Szarpak ikke hadde tilbrakt de siste årene som funksjonær på et kontor, men på et griseslakteri. Faren falt til gulvet som en dødning med halvåpne øyne, men han levde fortsatt, derfor klamret den lille Gajka seg til ham og skrek: først kjempehøyt, og så litt stillere, som om hun ble beroliget av at døden lot vente på seg et øyeblikk. Leons mor visste ikke om hun skulle forsøke å redde mannen eller ta barna i forsvaret. Hun tok et skritt mot den livløse kroppen, hvisket noe, ville skrike, men klarte ikke — dødens tunge sko hadde allerede tråkket henne over halsen. Deretter, i løpet av brøkdelen av et sekund, trakk hun seg tilbake, strakk ut hendene og stod mellom angriperne og barna som spredde seg rundt i huset, stod der helt til de tok tak i den lyse, ariske fletten, for Leons mor så ikke ut som en jødinne. Naboen sa det ofte som et kompliment: “Så vakker du ser ut, det er til og med bedre enn *vårt*”, eller som en bebreidelse: “Du er vel katolikk, hvorfor er du sammen med en jøde? Det stinker av pengene deres, de stinker hvitløk og polsk svette, for de livnærer seg av polsk svette, de skummer fløten av det polske arbeidet. Ja visst, du kommer til å bli rik, men penger gir ikke nødvendigvis lykke. Det kommer en dag da du vil gråte fordi du ble sammen med en jøde”. Men Leons mor gråt ikke. Vi får aldri vite om det var av stolthet, mot, eller sjokk. Det kan

også hende at hun ikke rakk det, for de dro henne ut av huset etter fletten mens de slo, tvang henne til å knele og folde hendene bak ryggen, slik at møllerens sønn kunne binde de med tråden han brukte på sekkene med mel, og dyttet ei fille inn i munnen hennes. Og slik knelte hun foran huset, og kunne gjennom den vidåpne døren bevitne scenene som utspant seg innenfor. Hun så på Leon, som de tok først, for han var den største, han var en klossete tenåring og hadde ikke noe sted å gjemme seg. Det var to som fanget ham, Gasiorek og en eller annen gutt hun ikke kjente, han var kanskje seksten, ikke stort eldre enn sønnen. Han slo Leon med knyttneven, både en og to ganger, med tydelig tilfredshet, så holdt han ham hardt i armene og fikk ham til å knele, som Gasiorek befalte. Hun så Szarpak som prøvde å rive Gajka løs fra den bevisstløse faren, uten å lykkes; kunne det skyldes disse tynne armene, nesten uten antydning til muskler? En kontorist må jo ikke bære tungt, et par timer ved skrivebordet, og det er alt. Han dro og rykket i henne, helt til de små, runde brillene datt av nesen hans og falt ned i blodpølen som hadde rent fra hodet til faren. Guttene lo, det var forresten ikke første gang, for hvem er det som frivillig bruker briller, som tilbringer hele dager med papirer, bøker, i innestengt luft? Som barn ville ikke Szarpak spille fotball med dem, klatre i trær eller løpe i buskene, han ville ikke leke krig, late som om han skjød med kvister formet som pistoler, men så ble han voksen og den virkelige krigen kom ham til unnsetning, nå kunne han ta igjen alt det tapte. Så Leons mor så på ham, han klarte ikke å rive Gajka vekk fra faren, så han løftet kollen, den samme som han slo mannen hennes med, der en del av farens hår satt fast i det størknede blodet, og slo barnet to ganger, en gang i ryggen og en gang i hodet. Og da ristet bildet foran morens øyne, det ble til hundrevis av fargede tråder som deretter druknet i mørket, og de som var tilstede lo, for kulen som tyskeren skjød inn i bakhodet på Leons mor gikk ut gjennom munnen og traff

370 en av guttene i leggen. Han begynte med en gang å hoppe opp og ned på den friske foten, mens han bannet, “men det var bare en skramme” lo en tysk soldat, en polakk fra Wrocław, det var takket være ham innbyggerne i landsbyen mer enn en gang hadde gjort forretninger med tyskerne. “Idioter, ikke skyt! De preller av!” — den tyske offiseren skrek for å gjøre seg viktig, men han hadde rett, foran huset var det riktignok en jordvei, men huset hadde murvegger, og et vådeskudd kunne gjøre mye skade. Og moren så ikke, men det gjorde Leon, hvordan Gąsiorek tok tak i beina til Gajka og slengte henne ut, hun fløy som en dukke, snurret rundt sin egen akse, og slo hodet mot dørkarmen. Han så de skyggefulle silhuetterne til mennene som slo farens kropp, først med stokkene de hadde med seg, og etterpå med metallstengene de fant i huset. Da likvognen kom en halvtime senere, fulgt av forslåtte jøder i opprevde klær som var på vei til krattskogen der tyskerne skjøt dem og kastet dem i graven gravd ut av de fattige, var faren død for lengst. Leon så hvordan naboe-
ne tok ut fat, penger, ruller med stoff; to av dem syntes å protestere mot denne robbingene, de pulserte, utstøtte en ensformig summing, som om en bisverm hadde tatt bolig i dem. Men dem tok de ikke med en gang, som de andre, de slengte dem ned foran huset og begynte å le høyt, den ene ropte høyere enn den andre, spillemannen spilte opp, de sang sangen om Den Røde Hane som galte foran det jødiske huset, og så begynte de å helle parafin på linrullene rett fra flasken. Og da forstod Leon at det ikke var rullene med lin som hadde våknet til live og protesterte mot volden, men at det var hans yngste søsken, tvillingene, som var rullet inn i hver sin dødelige kokong og som nå lå og ventet. Og han så hvordan spillemannen med en flegmatisk gest tente fyrstikken, hvordan rullene øyeblikkelig tok fyr med en flamme som først var lyseblå, og deretter ble stadig tettere og rødere. Han hørte lyden fra kokongene, verre og mer uhyrlig enn et skrik, for den var dempet av de tykke lagene med stoffets dype

vibrato. Et barn er ikke i stand til å lage en sånn lyd. Men likevel var lyden der — Leon vil aldri glemme det — den virret rundt ham, fylte luften med lukten av brent kjøtt, og til slutt slo den til bevisstheten hans og kastet den bevisstløse gutten til jorden.

Leon våknet i et fremmed, stort rom som luktet gulasj. Det var halvmørkt. Rett overfor sengen, ved et stort bord, satt det en rødhåret tysk offiser, den samme kvise unge mannen som hadde ledet angrepet. Han var akkurat ferdig med å spise; på bordet stod det en skål med en skje og et halvt brød. Han noterte ivrig i en formular. Tabellene i rapporten ble fylt opp, vokste, til slutt la offiseren vekk pennen, så på Leon, som var stiv av skrekk, og pekte på stolen rett overfor seg. Leon stod opp, gikk bort til bordet som om han vasset i gelé, som i drømmer der man flykter fra bevæpnede forbrytere, der beina nekter å lystre rett før man er i sikkerhet. Han satte seg ned. Tyskeren skjøv skålen med gulasj mot ham, tok ut bajonetten, skjærte en tykk brødslike og presset den inn i hånden hans. Leon spiste uten å se på tyskeren, men han kjente det granskende blikket hans, druknet i det som i en bunnløs bergsprekk. Igjen og igjen så han på bajonetten som offiseren hadde satt rett ved siden av seg, vurderte om han ville rekke å få tak i den før tyskeren trakk ut pistolen, om han ville klare å strekke seg over bordet for å spidde ham og flykte, ensom og bortkommen.

Han spiste ferdig. Offiseren reiste seg og begynte å gå rundt i rommet, et par skritt en vei og så snu, et par skritt den andre veien og så tilbake, i en streng rytme. Han stoppet ved reisevesken, tok ut en notatblokk og et par blyanter. En lang stund stod han med ryggen til gutten og lette etter noe, Leon grep bajonetten, gikk mot tyskeren, løftet den bevæpnede hånden, men han nølte et øyeblikk og det var nok, nå så han rett inn i øynene på offiseren. De stod slik en stund, Leon husker ikke hvor lenge, det kunne ha vært et par sekunder, det kunne ha vært et kvarter, mannen i uniform utstrålte styrke iblandet en grenseløs ro;

372 han måtte gi seg, han var en liten, forskrekket gutt, det var september, Alt var fortsatt foran ham, han var fortsatt ikke rede til å stikke en kniv i magen på en tysk soldat. Hånden som holdt rundt skaftet på bajonetten vek og våpenet falt ned på gulvet. Offiseren tok ham i hånden, førte ham til stolen han plasserte midt i rommet, og fikk ham til å sette seg ned. Han tok av skjorten hans, forsiktig, uten å bruke makt, kastet den på sengen, tok en finger under Leons hake og vippt hodet hans lett bakover; Leon kunne nå se et spindellev som stolt strakte seg over treakket. Tyskeren tok opp en blyant og en notatblokk. Han begynte å tegne; skissens mørke tråder viklet seg rundt Leons tynne brystkasse, dukket ned i det innhulte brystbeinet, sirklet uten problemer rundt de spinkle, lysebrune brystvortene, som nesten ikke skilte seg fra resten av huden, understreket noen av de første hårene under armene, skjøre som de første spirene etter vinteren, rant ned i kaskaden av ribbein, helt ned til magen som var fanget mellom to striper av hofter, helt til de avsluttet reisen og sovnet i den utstående navlens utydelige kule. Da den svake skrapingen fra blyanten stilnet, våget Leon ikke å se på tyskeren. Han torde ikke å skifte posisjon engang, han satt urørlig, som en forsteinet skogsgud. Til slutt ble han klar over at offiseren satt rolig, med hodet i hendene, trist, sliten, med blikket festet på Leon, som om han ville nyte de siste slurkene av uskyld. Og det er uvisst hvor lenge de satt slik, Leon husker ikke hva han følte, om han tenkte på tyskeren i det hele tatt, på soldatene hans, på de polske naboene? Hatet han de, hadde han krefter til det? Skalv han, eller kjente han ikke septemberkulden i det hele tatt? (Det var en usedvanlig fin september det året). Men han måtte ha ristet, han kan bare ikke huske om det var av kulde eller skrekk, for offiseren tok på ham skjorten og la et pledd rundt skuldrene hans. Det kom en soldat inn i rommet, gjorde honnør, avla en kort rapport. Offiseren rullet tegningen sammen, tok på seg jakken, tok reisevesken på skulderen og gjorde tegn til gutten

at de skulle gå. De kjørte i en åpen Mercedes, med en ordonnans, en sjåfør og en vakt bevæpnet med en Schmeisser, i en kolonne som bestod av fire lastebiler og et pansret personellkjøretøy fylt med soldater. De kjørte vestover på en bred jordvei, tørr og gul som Sahara, mot byen som var innhyllet i tunge skyer av skuddrøyk. Jo nærmere de kom, jo mindre skyting var det, og da de så den første bebyggelsen var det helt stille. På veibommen ble de stoppet av en vaktpost, soldatene sjekket dokumentene raskt og vinket de videre; da de kjørte hovedgaten mot markedsplassen var de en stund innhyllet i en svart røyksky som kom fra noen brennende bygninger. Polakkenes motstand hadde vært kortvarig, de forsvarte seg først på åsen ved siden av byen, og etterpå i festningsruinene ved elvebuktningen. Beskytning fra noen kanoner og maskinpistoler var nok, i tillegg var det en gruppe kamuflerte infanterisoldater som kom seg over elven et par kilometer høyere opp og gjennomførte et bakholdsangrep. Polakkene flyktet og etterlot et titalls krigsfanger som nå satt i en ring foran rådhuset, surret inn i tau som innsvøpte spedbarn. Leon husker at det bare var et par av de som hadde uniform, resten var i sivil, kledd i enkle, ofte fillete dressjakker. Offiseren tok Leon i hånden, førte ham etter seg mot en av bygårdene der en annen offiser snakket med en høy, elegant mann. Han hadde pomade i barten og var kledd i en stålgrå dress med vest. Offiseren vekslet et par ord med ham på tysk, og deretter dyttet han gutten lett i hans retning. "Ja vel, unge mann" — sa mannen i en formell, men hyggelig tone. "Du blir her hos oss en stund". Leon snudde seg, men tyskeren var borte, han kunne ikke se ham noe sted, han møtte ham aldri igjen. Selv om... en gang, før han emigrerte, midt på 60-tallet, da han var på ferie ved innsjøene i Lausitz, så han i en butikk med kunstmaterialer en gråhåret, tykk mann som var godt opp i årene, og som verken i hårfarge eller kroppsbygning minnet om den unge, rødhårede offiseren. Leon begynte likevel å skjelve, for i øynene på selgeren så han

den samme trette lidenskapen han hadde sett den grusomme septemberdagen. Og den samme dagen flyktet han fra Cottbus, pakket koffertene og dro tilbake til Polen, og han klarte ikke å gjenfinne roen på flere uker.

Den elegante mannen som tok Leon under sitt tak het Józef Leberman. Han var en velaktet lege i byen, en av de få representantene for intelligentsiaen, barnløs. Han og kona bodde i en romslig, fireroms leilighet i en av gatene ved markedsplassen; der hadde Leon alt han trengte. I dag husker han med skrekk at han ikke ofret de myrdete foreldrene og søsknene en tanke; den andre verden gled vekk fra ham, som bildene fra et mareritt som langsomt går i oppløsning etter at man har våknet. Nå hadde han en ny familie, han lærte raskt å forbinde ordene “mor” og “far” med nye ansikter, nye lukter, en ny orden. “De andre” tilhørte ikke nåtiden, så fraværet deres kunne ikke gjøre vondt, de var som en nærmest glemt valp som ble druknet for lenge siden, som man ikke husket når man var sammen med den nye, glade hunden.

Inntil høsten 1940 levde de bra; Józef hadde godt med oppsparte midler, i byen var det bare en vaktpost med et titalls tyske soldater, og det var polsk politi som holdt orden. De måtte si opp hushjelpen, de spiste ikke delikatesser, men de sultet ikke; i den skjøre stabiliteten ventet de på det som skulle komme. Józef tok med Leon på torget, det var mindre mat enn før krigen, prisene var høyere, men atmosfæren var den samme; den rød-mussete Kacprzyk, som hadde solgt grønnsaker til legen og legefruen i mange år, ønsket Józef velkommen som alltid, smilte og kysset ham energisk på begge kinnene. Prisene hadde unektelig steget, av og til kunne man ikke få tak i kjøtt, men Kacprzyk visste å ta vare på en god kunde. Lebermans yrke garanterte ham en fast inntekt, som riktignok ikke kunne sammenlignes med den før krigen, men som holdt for å overleve. Leon gikk ut for å leke med de andre barna, man kunne føle en viss spenning,

ungene gransket hverandre som katter, men det gikk som oftest over og snart lekte de bekymringsløst. Men jo varmere det ble ute, jo kjøligere ble relasjonene i bakgården. Om sommeren begynte aggresjonen å vise seg også blant de voksne. En dag ble Leberman innkalt til en polsk pasient, en tidligere offiser som nå tjente noen ekstra penger på sesongarbeid i Tyskland. Doktoren rensket og bandasjerte skaden på foten som ikke ville gro. Offiseren nektet å betale. "Kom deg vekk", knurret han, sønnen hans dyttet brutalt Leberman ut av huset. På torget ble det også verre. "Du gjør det jo så bra, doktor" — sa Kacprzyk — "Jeg lurer på hvordan det er mulig, i oktober forbød de dere å eie mer enn 2000 złoty. Jaja, folk er fattige, men de må jo alltid ha penger til lege... Men vet du hva, jeg kan hjelpe dem, jeg kan gi dem lave pris. Hvordan da? Ved å tjene mer på sanne som deg". Fra den dagen gikk prisen på potetene og melken, som var firedoblet etter krigen, ytterligere hundre prosent opp for Leberman. I september lekte de polske og jødiske barna hver for seg, de byttet på å være på yndlingslekeplassen ved elvebredden. Regelen var at de som kom først fikk plassen. I midten av oktober kom det et større tysk kompani til byen, ordren falt — alle jødene skulle flyttes til to parallellgater som lå ved siden av markedsplassen. Leons familie bodde der allerede, så de slapp å flytte, men to andre familier fikk tildelt plass i leiligheten deres, til sammen var det elleve personer, en butikkeier med kone og tre barn og en arbeidsledig fyllik med en konkubine og fire unger. Leon merket ikke så mye til at boforholdene ble dårligere, han prøvde til og med å ta seg av de yngre barna, med tiden klamret de seg til ham som om han virkelig var en eldre bror. Józef brøt helt sammen. Dagen da de nye leieboerne flyttet inn tilbrakte han urørlig i yndlingsstolen sin, mens han så på at den brisne Lejb Gutman slepte en sekk med filler gjennom stuen (snart la han seg ned i fillene med konkubinen sin, jøder hadde ikke lov til å ta med seg sengetøy); mens han så hvordan asken fra Gutmans sigarett,

376 som stinket bondetobakk, falt ned på teppet han hadde fått spesialbestilt fra Istanbul; mens han så hvordan en porselensengel gikk i tusen knas, revet ned av et leende barn.

Teoretisk sett var gettoen stengt, men hvis man tok i bruk bestikkløse kunne man bevege seg forholdsvis fritt i byen. Av de leilighetene som stod igjen etter jødene var det bare de tretti best velholdte som ble forbeholdt tyskerne og deres hjelpere. Resten ble bare passet på av de bevæpnede gendarmene i et par dager. Når de sluttet å vokte leilighetene raste den desperate folkemassen inn, med samvittigheter som ble forgiftet av rikdommen rundt dem. “Ta det, det er *postjødisk*”, “De kommer ikke tilbake hit” — ropte de. *Postjødisk*. Det ordet finner man ikke i andre språk enn polsk. Leon så på naboene som kjempet om leilighetene og eiendelene sine, i kampens hete ble møbler veltet, fat knust, never støtte mot kjever i sløve klask. “Du kommer ikke inn her, din forbannede drittsekk, kona mi var her før deg”, skrek en kraftig mann og viftet med et ben han hadde revet av en utsmykket stol, mens han stod på dørstokken i det vakre huset til veskemakeren Szwicer. Leon så hvordan bøllen delte ut slag til høyre og til venstre, hvordan de prektige kristne kvinnene slet og dro i kjolene de hadde tatt fra skapene, og først da, over ett år etter de tragiske hendelsene i september, kjente han det søte hatet komme over ham.

Et par dager senere ble Józef angrepet av en gruppe unge jøder. De dro ham inn i et portrom, banket ham opp og tok alt han hadde. Angriperen spyttet i ansiktet hans, de andre ropte: “din jævlige bursjoa, du eter delikatesser hver dag, mens vi sulter”. I virkeligheten hadde han nesten ingen penger igjen. Gutman kom og ba om penger til vodka hver dag. Han var alltid høflig, innsmigrende; ansiktet hans, som var hovent av alkohol og dekket av et tett nett med rynker, ble fylt av en forlegen rødme. Han prøvde aldri å stjele, selv ikke i sine mest desperate øyeblikk; da banket han heller opp kona, slengte henne rundt i rommet som

en sekk med poteter, rev seg i håret, sparket vilt rundt seg og jaget barna vekk. Det var bare da Józef led på grunn av sin penge-mangel. Han ville ha gitt alle pengene sine for å høre den soven-de fyllikens tunge stønn, som bare ble avbrutt av en og annen fis. Så da han en dag fikk beskjeden om at Gutman var død, kjente han for første gang på mange måneder noe som minnet om glede. Det var Mordechaj som underrettet ham, en høy, mager gutt som før krigen studerte på universitetet i Poznań, en sionist av overbevisning, en intellektuell autoritet for byens ungdom. Tyskerne hadde skutt Gutman på veibommen, han hadde visstnok vært beruset, han hadde visstnok fornærmet dem — det hadde ingen betydning. Józef sov, helt utslitt av den dårlige samvittig-heten, og kona hans trøstet Rachel og barna. Den avdødes eld-ste datter, den tolvårige Ryfka, slet seg løs fra morens armer og sprang inn på rommet til Leberman-familien, der hun falt sam-men i hjørnet mens hun ristet av gråt. Leon omfavnet henne, tå-rene hennes kjentes avkjølende mot den varme brystkassen hans, den skarpe talglukten som kom fra håret hennes førte ham på avveier, tilintetgjorde restene av uskylden, festet seg i underli- vet med en hard, fuktig skygge. Leon klemte Ryfka tettere inntil seg, presset skrittet mot låret hennes, det ble avfyrt flere skudd utenfor, gutten for sammen, men gav ikke fra seg en lyd. Uke- ne gikk, de begynte å sulte, i juni året etter kom beskjeden om at Tyskland hadde angrepet Sovjet. Nazistene krevde et absurd bidrag på en halv million złoty fra befolkningen i gettoen. Selv om man hadde tatt alle kontantene fra hver av beboerne hadde man ikke klart å samle sammen så mye. Det brøt ut panikk i hu- set til Leberman. Hittil hadde den yngste søsteren til Ryfka og ett av barna til butikkeieren dødd, i hele gettoen hadde sulten krevd et titalls menneskeliv. En varm dag braste det polske po- litiet inn i gettoen, tyskerne holdt vakt i enden av gatene og ved bygningenes bakre utgang, den innenlandske militære admi- nistrasjonen sperret adgangen til gettoområdet. Politimennene

sparket inn dør etter dør og krevde inn alt av penger og verdisaker. Enhver motstand ble møtt med vold — de hadde med seg trekøller, noen av dem med pistoler i beltet. De brøt seg også inn i Leons hus. Familien Leberman prøvde ikke å forsvare seg; butikkeieren ville ikke gi fra seg de siste kontantene, politimannen slo ham i ansiktet med køllen, blodet fosset fra den knekte nesen. En annen politimann rev kommodens innhold ut på gulvet og fant en bunke med sedler; han delte ut et par stykker til seg selv og sine kamerater før han tok resten i rekvisisjonssekken. To portrom lenger bort var det to politimenn som banket på døren til Mordechaj, som åpnet og høflig inviterte de inn. Beboerne satt på den største sengen, leieboerne som hadde blitt innkvartert her var samlet i det andre rommet. Politimennene begynte å gjennomsøke møblene, Mordechaj unnskyldte seg og sa at han måtte gå på badet. Han tok ut en ladet vis-pistol ut fra skapet over badekaret, og da han hørte skritt bak seg presset han våpenet til skrittet, og skjulte det med venstre hånd mens han tok et skritt bakover. Idet politimannen gikk over terskelen presset han munningen til tinningen hans og trykket på avtrekkeren. Hjernemasse og deler av hodeskallen sprutet mot veggen, kroppen ramlet ned i badekaret. Mordechaj stormet inn på rommet, skjøt to ganger mot politimannen som gjennomsøkte skrivebordet, den ene kulen traff veggen, og den andre smadret speilet. Begge politimennene la på flukt, Mordechaj skjøt en gang til, og bommet igjen; da han stod ved siden av døren føk det forbi en kule som kom fra etasjen over. Han knuget pistolen i begge hendene, trakk pusten, siktet, og ventet på offeret. Han hørte ropene til angriperne som nærmet seg, men han forstod ikke hva de sa; et øyeblikk før han døde løsrev sjelen hans seg fra Polen. En politimann hoppet ned fra trappeavsatsen, stod i døren, de så hverandre i øynene et øyeblikk, Mordechaj tenkte “En gang kjente vi hverandre“, han ville skyte, men fingrene ble rammet av den forferdelige smerten som kom fra underlivet og

adlød ham ikke lenger, en brennende varme feide over magen og lårene. Han støttet seg mot veggen, hørte et skudd til. Den venstre hånden ble truffet, pistolen falt på gulvet, Mordechaj sank sammen og så politimennene som løp inn gjennom et filter av blod. "En gang kjente vi hverandre", tenkte han da Andrzej tok tak i armene hans og slepte ham til vinduet, han husket en fotballkamp for mange år siden, han husket pasningen; han hadde hoppet mot ballen, og de andre var sjanseløse. Andrzej lå i målet, så på Mordechaj med det sinte blikket til en beseiret idrettsmann, men også med beundring. Det hvitglødende sollyset blendet Mordechaj, visket ut de menneskelige konturene, jorden nærmet seg raskt, helt til sammenstøtet kom og lyset sloknet. Leon så hvordan politimennene kastet Mordechaj ut gjennom vinduet, og hvordan de som stod nede slo ham med køllene til det bare lå svart kjøttmasse igjen i den røde blodstrømmen.

— Vent litt — avbryter jeg Nils. — Det gir jo ikke mening.

— La meg fullføre — sier Nils. — Dette er bare begynnelsen på historien. Det er fortsatt et titalls år med grusomheter som kan begrunne hatet hans. Det er fortsatt et titalls grunner til at tesen, som for deg er absurd, tesen om at polakkene var verre enn nazistene, er sann, i alle fall for Leon — og det finnes jo ikke sannheter som fungerer for alle.

— Jeg er i stand til å forstå smerten og bitterheten hans — sier jeg. — De som myrdet familien hans hadde polske navn, polske pass, snakket polsk. Men hvorfor skal vi bedømme det som utvilsomt var en forbrytelse i rasekategorier? De var rett og slett forbrytere, de hadde drept uansett, det var omstendighetene som muliggjorde at de kunne handle konsekvensløst, og akkurat mot familien hans.

— Men hvorfor var omstendighetene slik? — spør Manfred, en stillferdig dikter fra Tyskland, som lytter nøye til samtalen vår. — Hvorfor gikk polakkene til angrep på naboene sine, når de selv også var ofre for Hitlers angrep? Hvorfor hjalp de nazistene?

380 Hva med den polske antisemittismen som fantes før krigen, forsvant den som dugg for solen? Eller ble den plutselig en mulighet til å tjene raske penger, med beskyttelse fra nazistene?

— Det er interessant at du bruker betegnelsen “nazister” — sa jeg. — Jeg foretrekker betegnelsen “tyskere”. For det var jo tyskere som valgte Adolf Hitler, det var jo tyskere som kjempet i hæren som angrep Polen og mange andre land, det var jo tyskere som skjøt jødene i skogen. En stor del av jødene. Leons familie var unntaket som bekrefter regelen. Han burde hate tyskere.

— Visste du at flesteparten av de tyske jødene overlevde krigen? — spør Nils. Man hjalp dem å flykte til utlandet, de ariske vennene deres gav dem husly, de fant et tilfluktssted takket være bekjentskaper fra før krigen — det som virket i Det nasjonalsosialistiske tyske arbeiderparti hadde jo tross alt vært sosialister, eller til og med kommunister, og de ble medlemmer i partiet enten av pragmatisme, eller i håp om at livene til vanlige tyskere ville forandres!

— Prøver dere å overbevise meg om at tyskerne er uskyldige engler, og at de polske jævlene gjorde drittjobben for dem? Det er jo helt absurd! — roper jeg.

— Uansett hvor kritisk jeg er mot mitt eget land og mot alle forsøkene på å glatte over de ubehagelige aspektene ved for tiden vår, vil jeg aldri gå med på en slik fremstilling. Vi trenger ikke å snakke om hvor mange av polakkene som har blitt tildelt utmerkelsen “Rettferdige blant Nasjonene”, men dere er vel bekjent med forfølgelsene vi ble utsatt for i begynnelsen av krigen? Fra de første månedene av krigen! Hvordan kan man i den situasjonen smi teorier om at jødeutryddelsen var et systematisk samarbeid mellom polakker og tyskere?

— Jeg skjønner at sannheten er ubehagelig for deg — sier Manfred. — Men du har vel lurt på hvorfor nazistene la tilintetgjørelsesleirene sine på Polens område? Hvorfor ikke i Ungarn, Romania, Hellas, Tsjekkia, Tyskland?

— Fordi den største prosentdelen av jødene var der — svarer jeg. — I Polen, i Ukraina, i Hviterussland, i Russland. Det var lett å frakte ofrene til leirene.

— Nei, kjære deg — svarer Manfred. Det var ikke bare det at de plasserte leirene sine på steder der de ikke fryktet motstand fra lokalbefolkningens side, men de plasserte dem på steder der de forventet støtte.

— Sludder! — roper jeg.

— Hvorfor tror du regjeringen i det allierte Ungarn eller Bulgaria — fortsetter Manfred — ikke gikk med på å utlevere de jødiske innbyggerne sine? I Bulgaria varte det helt til slutten av krigen, i Ungarn måtte det en omveltning til, mens i det okkuperte Polen hjalp befolkningen til med å drepe jødene, de tvang frem bestikkelser, tok med glede over leilighetene og verkstedene deres? Nei, du liker nok ikke sannheten, min venn.

— Men hva om Leons fortelling ikke er sann? Hva om hans nag kommer av noe helt annet? — spør jeg. — Eller omvendt, ikke bare har han aldri opplevd noe vondt fra polakkenes side, men tvert imot, det er han selv som har skadet dem utallige ganger, og nå prøver han å dekke til den dårlige samvittigheten sin med aggresjon? Og kanskje sannheten er enda mer komplisert, kanskje er forholdet mellom skyld og lidelse likt, men de er begge så sterke at Leon ikke er i stand til å håndtere det, og derfor hater han det Polen som finnes nå, mens han savner det Polen som ugjenkallelig er tapt, som har blitt ødelagt av tiden, av Alt som har skjedd?

Stillheten senket seg over bordet, og til og med det tette forhenget av sigarettøyk er ikke i stand til å forstyrre den med sitt giftige sus.

— Nå skal jeg fortelle dere hva som egentlig skjedde med Leon — sier jeg, og kjenner at jeg nærmer meg min egen, trygge Sannhet.

Biogramy

TINA ÅMODT (1985, Norwegia) — urodzona na zachodnim wybrzeżu Norwegii. Autorka książki *Anleggsprosa* (2010). Studiowała kompozycję literacką na uniwersytecie w Göteborgu. Obecnie mieszka w Oslo i kształci się na bibliotekarkę. Prowadzi szwedzko-norweską współpracę z poetką Idą Säll. Åmodt zainteresowana jest pisaniem kolektywnym.

MARCIN BAŁCZEWSKI (1981, Polska) — autor postpowieści *W poszukiwaniu straconego miejsca* (2002) i zbioru opowiadań-pseudopowieści *Malone* (2010). Opowiadania publikował m.in. w „Lampie i Iskrze Bożej”, „Kresach”, „Portrecie”, „Ricie Baum”, „Pograniczach”, „Toposie”. Redaktor pisma „Puzdro”. Animator działań kulturalnych na terenie Łodzi.

HENNING H. BERGSVÅG (1974, Norwegia) — pisarz, poeta. Ukończył studia literackie i kreatywnego pisania na uniwersytecie w Göteborgu. Opublikował 4 tomiki poetyckie w norweskim wydawnictwie Gyldendal. Zadebiutował w roku 2000 książką *Newfoundland*. Był również razem z Tomaszem Espedalem założycielem i menedżerem Międzynarodowego Festiwalu Poezji w Bergen, będącego ważnym wydarzeniem w 2000 i 2002 roku, podczas którego prezentowano znaczących poetów. Od 2007 roku zasiada w zarządzie Norweskiego Związku Literatów.

384 HUBERT KLIMKO-DOBRZANIECKI (1967, Polska) — pisarz. Studiował filozofię, teologię i filologię islandzką. Wydał dwa tomiki poezji po islandzku. Swoje opowiadania publikował w takich czasopismach jak „Studium”, „Czas Kultury”, „Twórczość”, „Lampa” i „Portret”. W 2003 ukazał się jego zbiór opowiadań *Stacja Bielawa Zachodnia* (w 2007 nowe wydanie pod nazwą *Wariat*). Rozgłos przyniosła mu quasi-powieść, składająca się z dwóch odrębnych nowel *Dom Róży* i *Krýsuvík*, która otrzymała nominację do Nagrody Literackiej NIKE. Jego ostatnia powieść *Bornholm, Bornholm* ukazała się w 2011 roku nakładem wydawnictwa Znak. Autor był też nominowany do Nagrody Angelus i do Paszportów Polityki w 2007 roku. Jego twórczość została przetłumaczona na francuski, włoski, serbski i bułgarski. Autor przez dziesięć lat mieszkał na Islandii, zaś teraz w Wiedniu.

EIVIND HOFSTAD EVJEMO (1983, Norwegia) — pisarz. Studiował w szkole kreatywnego pisania Litterär Gestaltning na uniwersytecie w Gothenburgu i obronił stopień licencjata literatury na uniwersytecie w Oslo. W 2009 roku opublikował swoją pierwszą powieść *Wake me up if I fall asleep*, za którą otrzymał norweską nagrodę Tarjei Vesaas debutprice. Obecnie mieszka w Oslo.

KNUT OLAV HOMLONG (1969, Norwegia) — pisarz, tłumacz, muzyk i konsultant językowy. Jego pierwsza powieść *Romklang* została opublikowana w 2006 roku w wydawnictwie Damm. Napisana jest stylem pasywno-agresywnym z elementami pozornej melancholii oraz specyficznego humoru. Autor tworzy w mniej popularnej odmianie pisanego języka norweskiego Nynorsk, która to odmiana jest jego językiem ojczystym. Obecnie mieszka z rodziną w Stavanger.

DAWID KORNAGA (1975, Polska) — studiował dziennikarstwo, a jako samouk — historię antyczną. Pisze felietony dla magazynu

literackiego „Kwartalnik” oraz dla magazynu lifestylowego „Hiro”. Debiutował w 2003 roku powieścią *Poszukiwacze opowieści*. Opublikował kilka książek, m.in. głośną *Gangrenę* (2005) oraz *Rzęsy na opak* (2007), a ostatnio *Cięcia* (2011), będące pierwszą jego powieścią tak wyraźnie autobiograficzną.

LISA CHARLOTTE BAUDOUIN LIE (1980, Norwegia) — autorka, artystka sceniczna, dramatopisarka, poetka. Ukończyła Norweską Akademię Sztuki, w 2000 roku debiutowała tomikiem poezji *Forbausende fã katastrofer*, zaś w 2001 roku ukazała się jej powieść *Armløs slår tilbake*. Jej utwory *Pony of No return* oraz performance w duecie ze Stiną Kajaso pod tytułem *Sons of Liberty* będące mieszanką popkultury, kiczu i mizantropijnej szczerości sprawiły że miała ona duży wpływ na norweską scenę performancu. Jej ostatnia publikacja jest kompilacją *Pony of No Return/Sons of Liberty* pod tytułem *SONS OF LIBERTYS udistanserte Hongi hjerter og hjerner spiddet av enhjørningens anti-transcendentale regnbågs hallojs rosa horfluff med en twist*.

EWA MADEYSKA (1971, Polska) — absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego, doktor nauk humanistycznych, literaturoznawczyni. Autorka opowiadań, artykułów naukowych i nominowanej w 2008 roku do Nagrody Literackiej NIKE powieści *Katoniela* (2007). Absolwentka Studium Scenariuszowego na Wydziale Reżyserkim w PWSFTViT w Łodzi. Jako redaktorka pracowała w „Gazecie Wyborczej”, w „Metrze” i w „Dzienniku”. Jako scenarzystka pracowała dla Fremantle Media Polska, Constantin Entertainment, Besta Film i Akson Studio. Wykłada twórcze pisanie na Gender Studies (Uniwersytet Warszawski), oraz scenariopisarstwo na Kursie Kreatywnego Pisania w IBL PAN w Warszawie.

ROBERT OSTASZEWSKI (1972, Polska) — pisarz, krytyk literacki; ostatnio opublikował (wraz z Martą Mizuro) powieść kryminalną *Kogo kocham, kogo lubię* (2010). Mieszka w Krakowie.

386 TOR EYSTEIN ØVERÅS (1968, Norwegia) — pisarz, krytyk literacki. Zadebiutował w 1993 roku powieścią *Tittelløs*, zaś w 1996 została opublikowana jego druga powieść. Jego najobszerniejszym do tej pory projektem jest opowiadanie z podróży nad Morze Bałtyckie pod tytułem *Til: En litterær reise*, która zebrała bardzo pozytywne recenzje i została wyróżniona nagrodą Havmann. Ostatnią publikacją autora jest zbiór esejów literackich *Livet! Litteraturen!*, za który otrzymał on tytuł „Krytyk roku” przyznawany przez Norweski Związek Krytyków. Øverås ukończył komparatystykę i przez kilka lat redagował norweskie czasopismo literackie „Vinduet”. Obecnie mieszka częściowo na północy Norwegii i w Berlinie.

AGNES RAVATN (1983, Norwegia) — autorka i dziennikarka pochodząca z Vindafjord (zachodnia część Norwegii). W krótkim czasie stała się znana jako bezczelna, spostrzegawcza i zabawna pisarka z wiernym gronem czytelników. Ravatn debiutowała powieścią *Veke 53* (2007). Traktuje ona o rozwiedzionym wykładowcy w średnim wieku, który zdaje sobie sprawę, że jest niezadowolony z większości wyborów, których dokonał w życiu. W 2008 wydała nowatorską książkę *Ikke til hjemlån* w formie fanzinu. *Stillstand* z 2009 roku zawiera serię esejów opartych na sytuacjach, w których nic się nie dzieje. Składają się one na humorystyczny i krytyczny portret norweskiej cywilizacji. W 2011 wydała kolejną eseistyczną książkę *Folkelesnad*, tym razem przyglądając się magazynom czytany przez Norwegów. Za *Veke 53* autorka otrzymała Nagrodę Natt & Dag Bergen w kategorii najlepsza książka 2007 roku oraz nagrodę z Funduszu Alfreda Anderssona Ryssta w 2008 roku. Autorka mieszka w Oslo i pracuje jako dziennikarka w gazecie „Dag og Tid”.

BOHDAN SŁAWIŃSKI (1977, Polska) — autor powieści *Królowa Ti-ramisu* (finalistka nagrody literackiej NIKE 2009, nominowana

do Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus oraz Paszportów Polityki; przekład na litewski 2011); małych form oraz tomu *Sztuǳe do glist* (2008). W zespole redakcyjnym kwartalnika „Res Publica Nowa”.

NILS HENRIK SMITH (1980, Norwegia) — autor, prozaik. Studiował komparatystykę i język angielski na uniwersytecie w Bergen oraz, także w Bergen, kreatywne pisanie w Skrivekunstakademiet. Ostatnio pracował jako konsultant literacki w lokalnej bibliotece, od 2001 roku mieszka w Bergen. Wydał dwie powieści: *Manhattan Skyline* (2007), za którą otrzymał nagrodę Tarjei Vesaas w kategorii debiut, oraz *Austerrike* (2009). Obecnie pracuje nad swoją trzecią powieścią oraz jest zaangażowany w projekt teatralny GO EAST!, który pokazuje kulturalne, polityczne i społeczne impulsy w starej i nowej Europie i ma trwać trzy lata — do roku 2013.

KATARZYNA SOWULA (1977, Polska) — debiutowała powieścią *Fototerapia* (2004). Jej druga książka, *Zero osiemset* (2007), została przetłumaczona na niemiecki i węgierski. Opowiadanie tytułowe znalazło się w koreańskiej antologii *Europa, fascynujące historie*. Poszczególne teksty tłumaczone były na hiszpański, norweski, słoweński, ukraiński i niemiecki. Pisze również książki dla dzieci i młodzieży. Stypendystka min. Akademii Schloss Solitude (Niemcy, 2008) oraz JAK (Węgry, 2009). Mieszka w Warszawie.

JULIUSZ STRACHOTA (1979, Polska) — pisarz. Studiował kulturoznawstwo na Uniwersytecie Warszawskim oraz fotografię na Filmówce w Łodzi. Autor zbiorów opowiadań *Oprócz marzeń warto mieć papierosy* (2006), *Cień pod blokiem Mirona Białoszewskiego* (2009) i powieści *Zakłady nowego człowieka* (2010). Jego opowiadania i reportaże drukowano w czasopismach takich jak „Lampa”, „Czas Kultury”, „RADAR”, „Polityka” i w „Gazecie Wyborczej”. W 2012

388 roku wydaje powieść *I Wszechświat wtedy spełni tamte warunki*. Mieszka z rodziną w Izraelu.

MICHAŁ ZYGMUNT (1977, Polska) — pisarz, dziennikarz telewizyjny i prasowy. Współpracował m.in. z programami TVP i Polsatu, tygodnikiem „Wprost”, na łamach miesięcznika „Laif” autor pierwszej w Polsce kolumny poświęconej kulturze queer. Od początku związany z projektem Karola Radziszewskiego *Dik Fagazine*. Autor powieści *New Romantic* (2007) i *Lata walk ulicznych* (2010). Współautor antologii *Kino polskie 1989—2009*. *Historia Krytyczna* (2010) oraz przewodnika *Seriale. Przewodnik KP* (2011), oraz prozatorskiej antologii *Wolałbym nie* (2009). Za *Lata walk ulicznych* zgłoszony do nominacji do Paszportu Polityki i nominowany do nagrody SuperHIRO 2010 w kategorii książka/komiks.

Biografiske opplysningene

TINA ÅMODT (1985, Norge). Født på vestkysten av Norge. Debuterte med boken *Anleggsprosa* i 2010. Har gått på forfatterstudiet Litterär Gestaltning ved Universitetet i Göteborg. Bor nå i Oslo, hvor hun blant annet studerer til å bli bibliotekar. Hun arbeider for øyeblikket med et prosjekt sammen med den svenske poeten Ida Säll. Åmodt er interessert i kollektiv skriving.

MARCIN BAŁCZEWSKI (1981, Polen). Har skrevet romanen *W poszukiwaniu straconego miejsca* (2002) og pseudo-romanen *Malone* (2010). Flere av hans anekdoter har blitt publisert i magasiner som "Lampa i Iskra Boża", "Kresy", "Portret", "Rita Baum", "Pogranicza" og "Topos". Redaktør for journalen "Puzdro". Han er også evenementredaktør for kultur i Lodz.

HENNING H. BERG SVÅG (1974, Norge). Forfatter og poet. Har gått på forfatterstudiet Litterär Gestaltning ved Universitetet i Göteborg. Han har gitt ut fire diktsamlinger på Gyldendal forlag. Debuterte gjorde han i 2000 med den kritikerroste diktsamlingen *Newfoundland*. Han var også, sammen med forfatter Tomas Espedal, grunnleggeren av *Bergen internasjonale Poesifestival* som ble arrangert i 2000 og 2002. Festvalen var med på å introdusere en rekke sentrale poeter for den norske scenen. Siden 2007 har Bergsvåg sittet i styret i den Norske Forfatterforeningen.

390 HUBERT KLIMKO-DOBRZANIECKI (1967, Polen). Forfatter og prosaist. Har studert filosofi, teologi og islandsk filologi. Redaktør for to bøker med islandsk poesi. Har publisert korttekster i “Studium”, “Czas Kultury”, “Twórczość”, “Lampa” og “Portret”. I 2003 gav han ut en samling korttekster kalt *Stacja Bielawa Zachodnia* (ny print i 2007 med tittelen *Wariat*). Han fikk mye oppmerksomhet for sin kvasi-roman, som er satt sammen av de to originale og uavhengige korttekstene *Dom Róży and Krýsuvík* (nominert til NIKE prisen, den høyeste utmerkelsen for polsk samtidslitteratur). Hans siste roman *Bornholm, Bornholm* kom ut i 2011 på Znak forlag. Han ble nominert til det høythvedende *Angelus Central European Literary Award* og til *Paszporty Polityki* i 2007. Tekstene hans er også oversatt til fransk, italiensk, serbisk og bulgarsk. Han har bodd ti år på Island, men er i dag bosatt i Wien.

EIVIND HOFSTAD EVJEMO (1983, Norge). Forfatter. Har studert ved forfatterstudiet Litterär Gestaltning i Göteborg og har bachelor i Litteraturvitenskap fra Universitetet i Oslo. Han debuterte med romanen “Vekk meg hvis jeg sovner” i 2009 som han mottok Tarjei Vesaas Debutantpris for. Han bor i Oslo.

KNUT OLAV HOMLONG (1969, Noreg) — forfattar, omsetjar, muskar og språkkonsulent. Den fyrste romanen hans, *Romklang*, kom ut på Damm i 2006. Stilen er passiv-aggressiv med islett av påteken melankoli og anstrengt humor. Dessutan skriv Homlong på den minst populære av dei norske målformene. No bur han i Stavanger saman med familien sin.

DAWID KORNAĞA (1975, Polen). Har studert journalistikk og, av lidenskap, antikkens historie. Han skriver featurejournalistikk for litteraturtidsskriftet “Kwartalnik” og for livsstilsmagasinet “Hiro”. Kornaga debuterte i 2003 med romanen *Poszukiwacze opowieści*.

Han har siden da publisert en rekke bøker; romanen “Gangrena” (2005), *Rzęsy na opak* (2007) og *Cięcia* (2011), sistnevnte er hans første selvbiografiske bok.

LISA CHARLOTTE BAUDOIUN LIE (1980, Norge). Forfatter, artist, dramatiker og poet. Hun har studert ved Skandinavisk teaterskole i København, Akademi for figurteater i Fredrikstad og Kunstkademiet i Reykjavik. Hun debuterte med diktsamlingen *Forbausende få katastrofer* i 2000, fulgt opp av romanen *Armløs slår tilbake* i 2005. Gjennom hennes eget prosjekt *Pony of No return* og performanceduoen *Sons of Liberty* sammen med Stina Kajaso, øvde hun stor innflytelse på den norske performancescenen gjennom sin miks av popkultur, trashestetikk og fokus på misantropi. Hennes siste utgivelse er en samling av *Pony of No return/Sons of Liberty*s skuespill kalt *SONS OF LIBERTY*s *udistanserte Hongi hjerter og hjerner spiddet av enhjørningens anti-transcendentale regnbågs hallojs rosa horfluff med en twist*.

EWA MADEYSKA (1971, Polen). Utdannet ved Universitetet i Wrocław, doktor innenfor humaniora og litteratur. Har både skrevet korttekster og vitenskapelige tekster. I 2007 kom romanen “Katonieła” som året etter ble nominert til NIKE-prisen. Hun har studert dramatikk ved PWSFTviT i Łódź. Hun har arbeidet som redaktør ved “Gazeta Wyborcza”, “Metro” og “Dziennik”, samt som manusforfatter for Fremantle Media Polska, Constantin Entertainment, Besta Film og Akson Studio. Hun underviser i kreativ skriving på Kjønnstudiet ved Universitetet i Warszawa og i dramatikk for forfatterskolestudenter, organisert ved IBL PAN i Warszawa.

ROBERT OSTASZEWSKI (1972, Polen) — forfatter, litteraturkritiker; publiserte nylig kriminalromanen *Kogo Kocham, kogo lubię* (2010) [Hvem jeg elsker, hvem jeg liker]. Bor i Krakow.

392 TOR EYSTEIN ØVERÅS (1968, Norge). Forfatter og litteraturkritiker. Debuterte i 1993 med romanen *Tittelløs*, mens hans andre roman, *Fortelleren*, kom ut i 1996. Hans største prosjekt så langt er *Til: En litterær reise* 2005 som er tekster som på ulike måter skiller den kulturelle og politiske historien til landene rundt det Baltisk havet. Boken fikk svært god mottagelse i Norge og mottok blant annet Havmann prisen. Hans siste publikasjon var essaysamlingen *Livet! Litteraturen* som førte til at han ble hedret som Årets Kritiker av den Norske Forfatterforeningen. Øverås har en grad i Litteraturvitenskap og for noen år siden var han redaktør i litteraturtidsskriftet *Vinduet*. I dag bor han delvis i Nord — Norge og delvis i Berlin.

AGNES RAVATN (1983, Norge). Forfatter og litteraturkritiker fra Vindafjord (Vest-Norge). På kort tid har hun etablert seg som en freidig, observant og humoristisk forfatter med en trofast fanskare. Hun debuterte som forfatter med romanen *Veke 53* (2007). I romanen møter vi den middelalderske, nyskilte George Ulveset, som innser at han er misfornøyd med alle de valgene han har tatt i livet sitt. I 2008 gav hun ut fanzinen “Ikke til hjemlån” sammen med tre andre forfattere. I 2009 kom boken “Stillstand”, som inneholder en serie essays inspirert av tomme situasjoner der ingenting skjer. Resultatet er et humoristisk og kritisk portrett av Norge med høy gjenkjennelsesfaktor. I 2011 kom “Folkelesnad”, også det en essaysamling fylt med frekk sivilisasjonskritikk. Denne gangen undersøker hun nordmenns lesevaner når det kommer til ukeblader. For *Veke 53* mottok Ravatn Natt og Dags Bergen pris for beste bok. Hun ble også tildelt Alfred Anderssons Rysst fond i 2008. Ravatn bor i Oslo og arbeider som journalist i avisen *Dag og Tid*.

BOHDAN SŁAWIŃSKI (1977, Polen). Debuterte med romanen *Królowa Tiramisu* (finalist ved NIKEprisen i 2009, nominert til *Angelus*

Central European Literary Award og *Paszporty Polityki* og ble oversatt til litauisk i 2011) samt diktsamlingen *Sztuńce do glist* (2008). Sitter i redaksjonen for “Res Publica Nowa”.

393

NILS HENRIK SMITH (1980, Norge). Prosaforfatter. Har studert allmenn litteratur og engelsk ved Universitetet i Bergen og ved Skrivekunstakademiet i samme by. Han arbeider som litterær konsulent ved det lokale biblioteket og har bodd i Bergen siden 2001. Han har skrevet to romaner. Den første, *Manhattan Skyline* (2007), mottok han Tarjei Vesaas debutantpris for. I 2009 kom *Austerrike*. Smith arbeider for øyeblikket på sin tredje, fremdeles tittelløse bok, samtidig som han er involvert i teaterprosjektet *GO EAST!* som reflekterer over kulturelle, politiske og sosiale impulser mellom det gamle og det nye Europa. Prosjektet strekker seg over tre år, fram til 2013.

KATARZYNA SOWULA (1977, Polen). Debuterte med romanen *Fototerapia* (2004). Hennes andre bok, *Zero Oiemset* (2007), ble oversatt til tysk og ungarsk. Tittelnovellen dukket også opp i den koreanske antologien *Fascinerende historier fra Europa*. Andre tekster har blitt oversatt til spansk, norsk, ukranske og tysk. Hun skriver også bøker for barn og unge voksne. Hun har hatt lengre stipendopphold på Akademie Schloss Solitude (Tyskland, 2008) og JAK (Ungarn, 2009). Hun bor nå i Warszawa.

JULIUSZ STRACHOTA (1979, Polen). Forfatter. Har studert Kulturstudier ved Universitetet i Warszawa og fotografi i Lodz. Debuterte med kortprosasamlingen *Oprócz marzeń warto mieć papierosy* (2006). Flere av historiene hans har også blitt publisert i litteraturtidsskriftene, “Lampa”, “Czas Kultury”, “RADAR”, “Polityki” og “Gazeta Wyborcza”. I 2012 kommer hans andre bok som har fått tittelen; *I Wszechświat wtedy spełni tamte warunki*. Han bor med sin familie i Israel.

394 MICHAŁ ZYGMUNT (1977, Polen). Forfatter og journalist i fjernsyn og avis. Han arbeider for kanalene TVP og Polsat, og i det ukentlige avisen "Wprost". I Polen er han kjent som den første skribenten bak Queer Culture-spalten i den månedlige magasinet *Laif*. Han har, siden starten, vært tilknyttet prosjektet *Dik Fagazin* med Karol Radziszewski. Han har publisert romanene *New Romantic* (2007), *Lata walk ulicznych* (2010) og som medforfatter i antologien *Kino polskie 1989—2009*. *Historia Krytyczna* (2010) og håndboken *Seriale. Przewodnik KP* (2011), samt prosaantologien *Wolałbym nie* (2009). For boken *Lata walk ulicznych* vant ble han nominert til Paszport Polityki og SuperHIRO i 2010, sistnevnte i kategorien humorbok.

Autorzy zdjęć / Fotografier

Tina Åmodt / fot. Sannah Kvist
Marcin Bałczewski / fot. Agata Kobierska
Henning H. Bergsvåg / fot. Trude Rønnestad
Hubert Klimko-Dobrzaniecki / fot. Agnieszka Klimko
Eivind Hofstad Evjemo / fot. Eivind Hofstad Evjemo
Knut Olav Homlong / fot. Knut Olav Homlong
Lisa Charlotte Baudouin Lie / fot. Lisa Charlotte Baudouin Lie
Dawid Kornaga / fot. Aleksandra Natalia Pavoni
Ewa Madeyska / fot. Marek Zarański
Tor Øverås / fot. Dietrich Oltmanns
Agnes Ravatn / fot. Paul Bernhard
Bohdan Sławiński / fot. Magda Kuc
Nils Henrik Smith / fot. Ingeborg Skrudland
Katarzyna Sowula / fot. Maciek Foks
Juliusz Strachota / fot. Paweł Hoffman
Michał Zygmunt / fot. Patrycja Musiał

Spis treści

ROBERT OSTASZEWSKI	Polak Norweg dwa bratanki?	5
	Polakken og nordmannen — to gode venner?	9
NINA WITOSZEK	[<i>motto</i>]	13
TINA ÅMODT	Et kart og noen barn	15
	Mapa i parę dzieci	27
MARCIN BAŁCZEWSKI	Miłość w czasach wojny	39
	Kjærlighet i krigens tid	47
HENNING H. BERGSVÅG	Det er ditt eget dikt	57
	To Twój własny wiersz	67
EIVIND HOFSTAD EVJEMO	Utdrag fra romanen med arbeidstittelen: <i>Det siste du skal se er et ansikt av kjærlighet</i>	79
	Fragmenty powieści pod roboczym tytułem <i>Ostatnie, co zobaczysz, to oblicze miłości</i>	95
KNUT OLAV HOMLONG	Bil i fjorden (utdrag)	111
	Samochód w fiordzie (fragment)	121
HUBERT KLIMKO-	Dzisiaj pękło niebo	133
-DOBRZANIECKI	I dag revnet himmelen	141
DAWID KORNAGA	Call Center	149
	Call Center	163

LISA CHARLOTTE	The chronicles of the kanaries / kanariekrønikene (utdrag fra bok under arbeid)	177
BAUDOIN LIE	Kroniki kanaryjskie (fragment książki w przygotowaniu)	195
EWA MADEYSKA	Alergia Allergi	215 223
TOR EYSTEIN ØVERÅS	Flyktige glimt av skjønnhet Krótkie mgnienia piękna	233 241
AGNES RAVATN	Husfred Spokój domowego ogniska	249 259
BOHDAN SŁAWIŃSKI	Wypoczynek i rozrywkę po pracy zapewniają ci wycieczki świąteczne PTTK (fragment powieści <i>Dedlajn</i>) Den Polske Turistforeningens ferieturer muliggjør rekreasjon (et utdrag fra romanen <i>Dedlajn</i>)	271 281
NILS HENRIK SMITH	Costa blanca Costa Blanca	293 305
KATARZYNA SOWULA	Krótkie opowiadanie oparte na faktach En kort fortelling basert på fakta	319 329
JULIUSZ STRACHOTA	Zupełny nie(z)byt Willema Willems fullstendige ikke(helt)væren	339 345
MICHAŁ ZYGMUNT	Prawda Sannheten	351 367
	Biogramy	383
	Biografiske opplysningene	389
	Autorzy zdjęć / Fotografer	395

Podróż na północ. Antologia nowej literatury z Polski i Norwegii
Mot nord. Antologi for ny litteratur fra Polen og Norge

Copyright © for the Texts by the AUTHORS
Copyright © for the Translations by the TRANSLATORS
Copyright © for the Preface by ROBERT OSTASZEWSKI
Copyright © for this Edition by STOWARZYSZENIE WILLA DECJUSZA

Wydanie pierwsze / Første utgave

Printed in Poland
ISBN 978-83-61600-36-7

Projekt okładki / Omslag
Edgar Bąk | edgarbak.info

Redakcja / Redaktører
Małgorzata Ćwikła, Małgorzata Różańska, Renata Serebnicka

Opracowanie redakcyjne, adiustacja, korekta / Redigering
Monika Ples | tessera.org.pl, Magdalena Gałkowska | tessera.org.pl

Projekt typograficzny / Typografiske utformingene
Marcin Hernas | tessera.org.pl, Edgar Bąk | edgarbak.info

Skład i łamanie / Formgivning
Marcin Hernas | tessera.org.pl

Książkę złożono krojami pism Swift Gerarda Ungera

Druk / Trykk
Drukarnia Leyko
ul. Romanowicza 11
pl 30-702 Kraków
www.leyko.pl

Nakład / Opplag
1.000



Wsparcie udzielone przez Islandię, Liechtenstein oraz Norwegię poprzez dofinansowanie ze środków Mechanizmu Finansowego Europejskiego Obszaru Gospodarczego oraz Norweskiego Mechanizmu Finansowego.

Supported by a grant from Iceland, Liechtenstein and Norway through the EEA Financial Mechanism and the Norwegian Financial Mechanism.

